

# INFEKCJA

genesis

---

Andrzej Wardziak



Gdy w piekle  
zabraknie miejsca,  
zmarli wyjdą na ziemię

Pascal

# I N F E K C J A

g e n e s i s

---

Andrzej Wardziak



**Pascal**

© Copyright by Andrzej Wardziak.

Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo Pascal. Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej książki nie może być powielana lub przekazywana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy, za wyjątkiem recenzentów, którzy mogą przytoczyć krótkie fragmenty tekstu.

Ta książka jest fikcją literacką. Jakikolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób, żywych lub zmarłych, autentycznych miejsc, wydarzeń lub zjawisk jest czysto przypadkowe. Bohaterowie i wydarzenia opisane w tej książce są tworem wyobraźni autorki bądź zostały znacząco przetworzone pod kątem wykorzystania w powieści.

Tytuł: *Infekcja - Genesis*

Autor: *Andrzej Wardziak*

Redakcja: *Bartosz Szpojda*

Korekta: *Katarzyna Ziola-Zemczak*

Ilustracja i projekt graficzny okładki: *Rafał Kapica*

Redaktor prowadząca: *Agnieszka Pietrzak*

Redaktor naczelna: *Agnieszka Hetnał*

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.

ul. Zapora 25

43-382 Bielsko-Biała

[www.pascal.pl](http://www.pascal.pl)

Bielsko-Biała 2016

ISBN 978-83-7642-858-1

eBook maîtrisé par **Atelier Du Châteaux**

**PONIEDZIAŁEK.**

## PRZEDMIĘCIA WARSZAWY, GODZINA 20:27.

Tato, a... – zaczął niepewnie chłopak.

– Tak? – zapytał ojciec.

– Nie, nic... tylko... wiesz... – dzieciak wyraźnie się zmieszał. Mężczyzna zdecydował się nie naciskać i poczekać, aż ten sam powie, co mu leży na sercu. „Niech się uczy, później mu się to przyda” – pomyślał.

– Nic już – pięciolatek równie szybko zakończył, co rozpoczął dyskusję. Uniósł głowę i uśmiechnął się do ojca. Ten odwzajemnił uśmiech, zmierzwił mu włosy i spojrzał na sygnalizację dla pieszych.

Był ciepły, letni wieczór. Obaj nie mieli żadnych planów poza powrotnym spacerem do domu, dlatego po prostu stali i czekali na zmianę świateł, rozkoszując się wspólnie spędzaną chwilą. Gdy zaświecił się zielony ludzik, ruszyli. Naraz malec poczuł, jak ojciec gwałtownie go łapie i odciąga na bezpieczny chodnik. Sekundę później przez pasy pędem przejechała karetka, zawodząc żałośnie i błyskając na wszystkie strony dwukolorowymi światłami.

– Kto tam pojechał? – zapytał zdezorientowany i wystraszony maluch.

– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą ojciec.

– Aha – kiwnął głową chłopczyk.

Mężczyzna rozejrzał się kilkakrotnie w obie strony, zanim ponownie zdecydował się ruszyć przez jezdnię.

– Tętno? – zapytał medyk, dezynfekując przedramię przed wbiciem igły.

– Siedemdziesiąt na czterdzieści – odpowiedziała koleżanka.

– Cholera. Stasiu, bądź tak miły i nie zabij nas po drodze. Ale nie zwalniasz – zwrócił się do kierowcy, walcząc o utrzymanie równowagi.

– Nie widziałem ich, stali za słupem – odpowiedział Stanisław przeproszającym tonem, nie odrywając wzroku od jezdni. Pracował w pogotowiu najdłużej z całej trójki, co pozwalało mu w podobnych sytuacjach zachować zimną krew.

– Dobra, nie tłumacz się – rzucił lekarz nieco żartobliwie. – Daleko jeszcze?

– Jakies trzy minuty. Chyba że przykorkujemy się przy budowie.

– Lepiej nie, bo nasz pacjent ma niewiele czasu.

Karetka pędziła ulicą Pułkową. Kierowca zamierzał zjechać w Marymoncką i dojechać nią prosto do Szpitala Bielańskiego. Nagle urządzenie monitorujące funkcje życiowe pacjenta, trzydziestoletniego mężczyzny, który niespodziewanie zemdlął na środku ulicy, zaczęło wydawać jednostajny, ciągły sygnał. Młody ratownik spojrzał na jasnozieloną linię, biegnącą przez monitor, i zaklął. Kole-

żanka popatrzyła mu z niepokojem w oczy, jednak po sekundzie przeniosła wzrok, zerkając nad jego ramieniem. Chłopak zdążył tylko zauważyć, jak jej źrenice rozszerzają się z przerażenia.

I była to ostatnia rzecz, jaką zarejestrował w swoim życiu.

Karetka wbiła się w cysternę, wyjeżdżającą z ulicy Heroldów. Poduszka powietrzna zadziałała, jednak w starciu z taką ilością metalu nie miała najmniejszych szans – musiała ustąpić kierownicy oraz desce rozdzielczej, które zatrzymały się kilka centymetrów od oparcia fotela, więżąc kierowcę w śmiertelnym uścisku. Medycy jadący obok niego, niczym szmaciane kukły wrzucone do wirującej pralki, wypełnionej gwoźdźmi i żyłkami, zostali potwornie połamani i porozrywani przez wirujące fragmenty ambulansu i sprzętu medycznego. Samochód uderzył tak mocno w kilkudziesięciotonową ciężarówkę, że ta przechyliła się i przewróciła, co spowodowało uszkodzenie zbiornika i wyciek przewożonych toksycznych substancji. Na skutek wypadku zwłoki całej czwórki wylądowały w rozlewającej się błyskawicznie po ulicy, radioaktywnej kałuży.

Kilka osób stojących w bezpiecznej odległości bało się wejść w kontakt z niepokojąco fosforyzującym płynem. Wiedzieli, że i tak nie pomogą tym, którzy w nim leżą – nie trzeba było fachowej wiedzy medycznej, żeby stwierdzić, iż wszyscy nie żyją. Zgodnie z podstawami pierwszej pomocy, resuscytacji krążeniowo-oddechowej nie wykonuje się, gdy klatka piersiowa i głowa poszkodowanego leżą oddzielnie. A to skutecznie dyskwalifikowało zmaltretowaną ratowniczkę przed wszelkimi próbami ocalenia jej życia.

Minęło kilkanaście minut, zanim nadjechała kolejna karetka. Straż pożarna pojawiła się chwilę po niej, mozolnie przebijając się przez tłum zebranych gapiów. Jej załoga natychmiast zabrała się za zabezpieczanie toksycznej substancji. Gdy potwierdzono zgon załogi ambulansu oraz pacjenta, zwłoki zostały zapakowane w eleganckie czarne worki i przewiezione do pierwotnego celu – Szpitala Bielańskiego.

**WTOREK.**

## ŻOLIBORZ, GODZINA 03:15.

Tomek wychylił głowę zza rogu starego bloku. Przez kilka sekund uważnie obserwował okolice, po czym wyszedł na chodnik i żwawo ruszył przed siebie. Mimo że to środek lata, noc była chłodna, więc schował dłonie w obszerną kieszeń bluzy.

Lubił nocne spacerować. Miasto było ciche i spokojne, jakby chciało się odprężyć po ciężkim dniu. Czasami niewzruszone wody śpiącej metropolii mącili inni spacerowicze, zwłaszcza ci zbyt troskliwi, pytający się każdego, czy może ma jakiś problem i czy mogliby służyć pomocą. Ostatnim razem tak się o niego zatroszczyli, że odechciało mu się spacerowania na cały miesiąc. Szkoda, bo pogoda przemijała i było czego żałować. Z drugiej strony zima też miała swoje uroki – mniej się tego ciepłolubnego, trzypaskowego hultajstwa szwendało po ulicach.

Chłopak miał szczerą nadzieję, że tym razem nic złego się nie wydarzy. Oczywiście mógł wracać do domu autobusem. Koledzy powiedzieli, że go odprowadzą, ale podziękował – robili to przez ostatni miesiąc i ich ciągle brzęczenie nad głową zaczynało go, delikatnie ujmując, irytować. Poza tym czuł się przez to jak baba.

Szedł ulicą Słowackiego w kierunku placu Wilsona. Widział, jak po przystankach błakają się zadowoleni z życia ludzie, przeważnie pod wpływem najrozmaitszych substancji rozweselających lub po prostu ogarnięci gorączką letniej nocy. Uśmiechnął się na ten widok i skręcił w ulicę Suzina, chcąc ominąć wesołe grupki, a tym samym do minimum ograniczyć możliwość potencjalnej zaczepki. Po drodze zamierzał przejść obok kościoła Stanisława Kostki, którego majestat zawsze go fascynował. Zwłaszcza nocą.

W pewnym momencie zza rogu wyszedł chłopak ubrany na sportowo, ale Tomek mógłby się założyć o dziewictwo swojej siostry, że nie wracał z siłowni. Przełknął ślinę i wsunął ręce głębiej w kieszeń, jednak zdecydował, że nie może się teraz wycofać. Na to było już za późno. Nie może pokazać strachu i po prostu uciec. Starał się iść pewnie, chociaż miał wrażenie, że zaraz się potknie i wywróci. Wspomnienie ostatniej kradzieży i pobicia powróciło ze zdwojoną siłą, skutecznie odbierając trzeźwość myśli. „Bądź twardy” – nakazywał sobie w duchu. Szukał w pamięci filmowych herosów i zastanawiał się, jak ci zachowaliby się na jego miejscu. To jednak nie pomogło. Poczul, jak w gardle rośnie mu wielka, trudna do przełknięcia gęstwa. Od chłopaka dzieliło go już mniej niż dwadzieścia metrów; nawiązali kontakt wzrokowy, ale po sekundzie Tomek odwrócił wzrok. Mijając nieznanego, napiął mięśnie, gotowy do uniku. Nic jednak się nie wydarzyło – po prostu przeszli obok siebie. Kamień z serca. W tym samym momencie usłyszał ryk silnika, podniósł wzrok i zobaczył pędzące ulicą białe bmw. Samochód przemknął obok nich przy akompaniamencie dudniących basów rodem z berlińskiej parady techno z tą tylko różnicą, że na dachu fury raczej nikt by się nie utrzymał. Tomek śledził tor jazdy samochodu i nagle przerażony stwierdził, że na środku



jezdni, dokładnie na drodze pędzącego pojazdu, ktoś stoi. Mężczyzna był bosy i ubrany w szpitalne ubranie.

Bmw nie zdążyło go ominąć. Do ryku silnika i odgłosów muzyki doszedł pisk zdzieranych opon i dźwięk żalnego, jak na taki samochód, klaksonu. Tomka zmroził fakt, że człowiek, stojący na środku ulicy, przodem do nadjeżdżającego pojazdu, w żaden sposób nie zareagował na niebezpieczeństwo. Może był pijany, może wszystko działa się po prostu zbyt szybko. Może jedno i drugie. Auto zdążyło delikatnie, lecz niewystarczająco odbić w prawo – siła uderzenia była tak wielka, że pieszy został odrzucony na kilka metrów, uderzył plecami w ściankę przystanku autobusowego i bezwładnie opadł na zimny chodnik. W tym samym czasie samochód uderzył w słup po drugiej stronie ulicy.

Nastąpiła przejmująca cisza. Tomek miał wrażenie, że mimo to cały czas słyszy pisk zdzieranych opon. Obejrzał się za siebie i stwierdził, że nieznajomy, którego dopiero co minął, również wszystko widział. Ich spojrzenia ponownie się spotkały. Nagle dresiarz ruszył biegiem w kierunku uszkodzonych, klepnął Tomka mocno w ramię i wypowiedział tylko jedno słowo:

– Dawaj.

Tomek instynktownie pobiegł za chłopakiem. Zobaczył, jak ten pędzi w stronę przechodnia leżącego na chodniku, więc sam zdecydował, że pobiegnie sprawdzić, jak wygląda sytuacja pasażerów samochodu. Nie miał czasu na zastanawianie się nad tym, co robi – po prostu działał. Parę metrów przed pojazdem jego buty zaczęły rozgniatać potłuczone szkło. Kierowca siedział nieprzytomny, na jego kolanach spoczywała zakrwawiona poduszka powietrzna. Z nosa i ucha mężczyzny leciała krew. Chłopak zajrzał do środka samochodu i z ulgą zorientował się, że mężczyzna jechał sam. Położył mu rękę na szyi, szukając pulsu. Człowiek żył, ale Tomek nie wiedział, co ma robić dalej. Klepnął kierowcę delikatnie parę razy w policzek i zapytał:

– Słyszysz mnie pan?

Kierowca nie raczył odpowiedzieć. Co teraz?

Karetka.

Telefon.

Szybko.

Niczym automat sięgnął do kieszeni spodni, ale nie znalazł w niej komórki. Od ostatniej kradzieży nie zdołał kupić sobie nowego aparatu. Mając nadzieję, że kierowca bmw ma telefon, Tomek zaczął przeszukiwać jego kieszenie. Nic. Wycofał się, odwrócił w stronę przystanku autobusowego i ku własnemu zaskoczeniu zobaczył, jak chłopak pomaga uszkodzowanemu przechodniowi wstać. Nie wyobrażał sobie, jakim cudem ktokolwiek mógłby przeżyć tak silne uderzenie oraz grzmotnięcie plecami w przystanek. „Jezu, przecież on pofrunął jak szmaciana lalka” – pomyślał. Zobaczył, jak ofiara wypadku wyciąga ręce w stronę dresiarza, jakby chciała go objąć. Przytulili się. Tomek stwierdził, że może to znajomi albo rodzina, lub po prostu człowiek w ten sposób dziękuje za ocalenie życia. Nagle dresiarz zgiął się wpół, odpychając od siebie mężczyznę, po czym zaczął przeraźliwie krzyczeć. Przyłożył obie ręce do szyi. Pomimo dzielącej ich odległości Tomek wyraźnie widział

zaskoczenie malujące się na jego twarzy oraz krew wokół ust mężczyzny, który przed chwilą powinien był zginąć, a już na pewno leżeć połamany. Dresiarz spojrział na swoje dłonie, całe pokryte krwią. Z perspektywy Tomka wyglądało po prostu na to, że mężczyzna pobrudził dresiarza swoją krwią, ale nie rozumiał, dlaczego chłopak tak gwałtownie odskoczył i zaczął krzyczeć. Może się wkurzył, że nie da rady sprać krwi ze swojego ulubionego dresu?

Mężczyzna z pokrwawioną twarzą powoli ruszył z powrotem w stronę swego wybawcy. Dresiarz spojrział pytającym wzrokiem na Tomka, a ten odpowiedział takim samym spojrzeniem. Chłopak ledwo zdążył się odwrócić w stronę obcego, gdy ten złapał go za szyję i dosłownie wgryzł mu się w twarz. Tomek poczuł, jak każdy, najmniejszy nawet włoszek na jego ciele staje dęba, a plecy oblewa zimny pot. Dresiarz szarpał się i kopał, jednak obcy najwyraźniej nie zamierzał odpuścić. Nagle odwrócił głowę, wyszarpując kawałek skóry z twarzy ofiary. Gdy chłopak padał na ziemię, zakrwawiony mężczyzna spojrział wprost w oczy Tomka. Z jego brody skapywała krew, a z ust zwisał kawałek bladej skóry. Zanim Tomek zdążył się zorientować, co robi, był już jakieś dwadzieścia metrów od miejsca wypadku i pędził co sił w kierunku najbliższego skrzyżowania.

## WOLA, GODZINA 13:00.

Spieszno panu umrzeć? – usłyszała Kaja, mimo słuchawek wetkniętych głęboko w uszy. Odwróciła się i zobaczyła starca przechodzącego niepewnie przez ulicę na czerwonym świetle. Około czterdziestoletnia kobieta również na niego patrzyła, nie skrywając mieszaniny odrazy i złości. Staruszek zupełnie ją zignorował. Prawdopodobnie po prostu jej nie usłyszał, tak jak nie zwrócił uwagi na zmianę koloru sygnalizacji. Kobieta westchnęła, dobitnie dając upust dezaprobachie, po czym wróciła do lustrowania wzrokiem torów tramwajowych. To samo zrobiło kilka osób, które wcześniej odwróciły się i bacznie obserwowały całe zajście. Kaja nie mogła wyjść z podziwu, jak szybko ludzie zgromadzili się, żeby obejrzeć przebieg wypadków – może ta dwójka się pokłóci? Może staruszek powie jej coś zgryźliwego? Może nawet samochód go potrąci? Byłoby o czym opowiadać. W jednej chwili poczuła, jak zalewa ją współczucie, wściekłość i wstyd. Współczucie z powodu nieudolności starego człowieka, tak bardzo wyeksploatowanego i wymęczonego życiem; wściekłość na ludzi żądnych sensacji oraz wstyd przed dziadkiem za ich zachowanie.

Zamyślona prawdopodobnie przegapiłaby swój tramwaj, gdyby nie telefon wibrujący w kieszeni krótkich jeansów. Wsiadła, czytając SMS. Wiadomość od Adama – chłopak jest już w centrum i czeka na „patelni”. Kaja odpisała, że dojedzie za jakieś dwadzieścia minut. Nie skupiając wzroku na niczym konkretnym, pozwoliła się porwać muzyce.

## MOKOTÓW, GODZINA 13:00.

Jacek wpatrywał się znudzonym wzrokiem w jasny monitor. Po chwili stwierdził, że to bez sensu, więc zaczął stukać szczupłymi palcami o blat biurka, bezmyślnie przyglądając się srebrnym, gładkim spinkom do mankietów. W końcu i to mu się znudziło, więc odchylił się na krześle, poprawił krawat i rozejrzał się po biurze. Wypuścił powoli powietrze i zapytał:

– Idzie ktoś zrobić kawę?

– Nie, ale jak już będziesz w kuchni, to pamiętaj, że piję bez cukru.

Śmiech po odpowiedzi Karoliny utwierdził dziewczynę w przekonaniu, że zdobyła kolejne punkty w walce o firmową reputację. Jeżeli Jacek się nie odgryzie, może nawet będzie przyłożenie. Jednak młody mężczyzna tylko się uśmiechnął i powiedział:

– No tak, podobno ludzie się dzielą na inteligentnych i takich, co słodzą.

Karolina popatrzyła na niego wyraźnie zaskoczona. Jacek dalej się uśmiechał, po czym bez słowa wstał, wziął swój kubek i ruszył w kierunku wyjścia. Coś go wyraźnie gryzie, pomyślała. Po chwili odrzuciła tę myśl i pogrążyła się ponownie w pracy.

Jacek nastawił wodę w czajniku i oparł się plecami o kuchenny blat. Na ścianie widniało zdjęcie pracownika miesiąca. Wydało mu się to dziwnie tandetne. Człowiek wypruwa sobie żyły, a w nagrodę wieszają jego kiepskie – co należy podkreślić – zdjęcie, i to w kuchni, tak żeby wszyscy mogli mu się dokładnie przyjrzeć podczas pochłaniania kanapek lub odgrzanych w mikrofalówce obiadów. A co z godnością tej osoby? „Rozumiem ścianę sław i w ogóle, no ale w kuchni...” – powiedział do siebie w myślach.

Nie mógł dłużej znieść tego widoku, więc stwierdził, że może tak dla odmiany umyje w końcu kubek. Raz dziennie można, aby tylko nie przesadzać, bo się jeszcze zniszczy i będzie problem. Przypomniawszy sobie, jak jego babcia zawsze powtarzała, że nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu. Uśmiechnął się na myśl o staruszce. Dalej odczuwał żal po jej odejściu, jednak starał się przywoływać tylko te dobre wspomnienia. Poza tym powszechnie wiadomo, że czas leczy rany, a sześć lat to nie było co.

Elektryczny czajnik dostojnie zakomunikował wykonanie zadania, wydając przy tym dźwięk podobny do stuknięcia wojskowych butów. Jacek zalał już kolejną tego dnia kawę, wziął pełny kubek, spojrzął na zegar wiszący nad wyjściem i beznamiętnie ruszył z powrotem w kierunku biurka.

Zrobił krok na korytarz i zatrzymał się zaskoczony. Naprzeciwko stała Karolina i wpatrywała się w niego pustym wzrokiem, nie wypowiadając nawet słowa. Jacek poczuł się zaniepokojony – nie wiedział dlaczego, jednak uczucie z każdą chwilą przybierało na sile. Instynkt mu podpowiadał, że coś jest nie do końca tak, jak być powinno. Wydawało mu się, że w milczeniu stali całe godziny,

choć tak naprawdę trwało to zaledwie kilka sekund. Po chwili wyraz twarzy dziewczyny się zmienił.

– Co cię gryzie? – zapytała.

Jacek odetchnął z ulgą, po czym nie kryjąc zdziwienia, odparł:

– Ojej, czyżbyś się o mnie martwiła?

Odczekał chwilę, jednak oblicze Karoliny pozostało niewzruszone. Stali tak i mierzyli się wzrokiem, jakby porównywali swoje sylwetki. On, prawie trzydziestolatek o szczupłej budowie ciała i bladej twarzy z głęboko osadzonymi, czarnymi oczami. Ona – dwudziestoczteroletnia, dumna kobieta o kasztanowych włosach i ciepłym, łagodnym usposobieniu. Jacek uznał, że dziewczyna mówi poważnie, więc dodał:

– Nic się nie stało, po prostu mam gorszy dzień.

– Jasne – odparła z wyczuwalnym w głosie sarkazmem.

– No dobra, gorszy tydzień – chwila pauzy – miesiąc...?

– Tak, zdążyłam się zorientować. Pytałam konkretnie. Chodzisz ze zwieszoną głową od dłuższego czasu. Mogę ci jakoś pomóc? Może chociaż porozmawiać. Wiesz, gdybyś chciał... – zawiesiła głos.

– Wiem – odpowiedział szybko i zbyt szorstko. Zadziałał automatyczny system obronny, wywołujący jednocześnie delikatne poczucie winy.

Jackowi zrobiło się lepiej na myśl, że ktoś zauważa jego problemy, a nawet się nimi przejmuje i chce pomóc. Uśmiechnął się serdecznie, zamierzając zatrzeć tym nieprzyjemne warknięcie. Chciał dodać coś jeszcze, jednak przerwał mu przeraźliwy wrzask, dobiegający z za wahadłowych drzwi prowadzących do głównego holu. Oboje wstrzymali oddech. Po sekundzie usłyszeli kolejny krzyk, potem jeszcze jeden. Nim zdążyli zareagować, drzwi raptownie się otworzyły i stanął w nich obcy mężczyzna.

Jego ubranie było w niektórych miejscach podarte, na ciele miał liczne rany obficie broczące krwią. Wyglądał, jakby przed chwilą rzuciła się na niego wataha dzikich, wygłodniałych psów lub poturbował go pędzący autobus. Obcy najpierw spojrzał na Karolinę, która zdawała się być zbyt zdezorientowana, by podjąć jakiegokolwiek działanie, po czym przeniósł wzrok na Jacka. Chłopak poczuł, jak po plecach przechodzi mu dreszcz – oczy intruza wyglądały jak dwie studnie prowadzące na samo dno piekła.

Po sekundzie, która zdawała się trwać eony, mężczyzna bez słowa ruszył w ich kierunku.

## METRO, GODZINA 12:25.

Następna stacja: Metro Służew.

Max spojrział na rozkład jazdy umieszczony nad drzwiami wagonu. Na kolejnej wysiada. Liczył na to, że uda mu się jeszcze wejść do sklepu, kupić film i wrócić przed upływem wyznaczonego czasu. Zawsze, kiedy zrywał się z lekcji, starał się być w domu o regulaminowej porze, żeby rodzice niczego nie zauważyli.

Lubił ten lekki dreszczyk emocji, towarzyszący zarówno wagarom, jak i podróżowaniu metrem. Poza tym sklep z filmami miał świetną atmosferę. Był na swój sposób mroczny, zavalony nikomu nieznanymi tytułami i przede wszystkim – cichy. No i ta dziewczyna za ladą... Podczas dwóch ostatnich spotkań przegadali parę godzin i Max musiał się później gęsto tłumaczyć rodzicom ze swojej przedłużającej się nieobecności. Ale stwierdził, że było warto. Tym razem miał zamiar poprosić ją o numer telefonu. Rozważał przeróżne opcje – może poprosić o numer do sklepu czy lepiej o wizytówkę, a może pożyczyć jej swój film i umieścić kartkę z numerem w środku?...

Marzenie zostało brutalnie przerwane przez nagły zgrzyt hamulców pociągu, po którym nastąpił huk, jakby zawałiła się kopalnia. Wszyscy ludzie dosłownie pofrunęli w stronę przodu wagonu, wyciągając przed siebie ręce w desperackiej próbie złapania się czegokolwiek. Max poczuł silne uderzenie w plecy, po którym nastąpiła ciemność. Wszystko trwało krócej niż uderzenie filmowego klapsa.

Ocknął się, leżąc na podłodze. Nie miał pojęcia, ile czasu pozostawał nieprzytomny. Powoli podparł się na rękach i usiadł. Wzrok nie przyzwyczaił się do ciemności, ale za to słuch działał na najwyższych obrotach, chociaż przeszkadzało mu ciągłe, jednostajne piszczenie dobiegające z wnętrza czaszki.

Kilka osób jęczało z bólu, ale Max nie potrafił ocenić, czy są daleko, czy blisko. Sięgnął palcami tyłu głowy. Następnie sprawdził, czy te kleją się do siebie, co by oznaczało, że są we krwi. Nie kleją się, nie ślizgają, nie czuć ciepła. Dobrze, pomyślał. Głowa bolała, ale przynajmniej nie była rozcięta. Zachłysnął się nagle kurzem i dymem. Piekło go w przelyku, nosie i płucach. „Muszę stąd wyjść” – pomyślał w panice.

– Halo, ktoś mnie słyszy?

Niepewny kobiecy głos poniósł się po wagonie. Odpowiedziała mu cisza.

– Jest tu może lekarz?

Kolejny raz ten sam głos, lecz tym razem doczekał się odpowiedzi:

– Nie.

– Słucham?

– Nie, nie ma tu lekarza! – drugi głos należał do mężczyzny. Ewidentnie wkurzonego mężczyzny.

Zapadła pełna rozczarowania cisza. Max odkaslnął kilka razy, wyraźnie czując pieczenie w gardle. Szybko przebadał nogi i po raz kolejny z ulgą stwierdził, że nic go nie boli. Wyglądało na to, że miał więcej szczęścia niż pozostali. Powoli wstał, używając do tego barierki i ściany wagonu. Już w pozycji pionowej wyciągnął przed siebie drugą rękę, starając się czegoś złapać. Człapał powoli niczym dziecko błędzące we mgle.

Pokonał niewielki dystans i dotarł do czegoś, co przypominało drzwi. Wsadził palce pomiędzy uszczelkę a zimną blachę wagonu i spróbował je rozewrzeć, ale te ani drgnęły. Spróbował jeszcze kilka razy, po czym odwrócił się zdesperowany i oparł o nie plecakiem. Jęki rannych osób tłumili szereg pytań i śmiałych sugestii. Większość podróżnych starała się pomóc osobie znajdującej się najbliżej, chyba że akurat sami potrzebowali pomocy. Max próbował dostrzec coś w ciemności, gdy nagle mrok panujący w wagonie rozświetlił silny promień latarki.

– Kto potrzebował pomocy lekarza? – zapytał spokojnie męski głos, przenosząc snop oślepiającego światła z jednej osoby na drugą. Na końcu wagonu, tuż obok Maxa, młoda brunetka podniosła rękę.

– Ja. Tutaj.

Mężczyzna z latarką przykucnął obok dziewczyny.

– Co się pani stało?

– Chyba mam coś z nogą – odpowiedziała przez zaciśnięte zęby. Gdy mężczyzna skierował snop światła na jej kończyny, zobaczył otwarte złamanie piszczela. Rana obficie krwawiła. Kobieta, widząc własną kość wystającą z nogi, zachłysnęła się powietrzem, a jej twarz zrobiła się blada. Obcy szybko skierował na nią snop światła i tonem nieznoszącym sprzeciwu zakazał tracić przytomność. Następnie otaksował wzrokiem najbliższe otoczenie oraz okolice drzwi prowadzących do kolejnych wagonów. Gaśnice były na miejscu, ale ani śladu po małej czerwonej skrzyneczce z wymalowanym pośrodku białym krzyżem. Zaklął pod nosem, po czym odłożył latarkę na ziemię i ściągnął koszulę, zostając w samym T-shircie. Spojrzał na plecak Maxa, a potem prosto w jego oczy.

– Daj mi jakiś długopis albo ołówek – powiedział spokojnie. Max przyglądał się mu bezmyślnie, słowa mężczyzny nie do końca do niego docierały.

– Hej, młody. Daj mi ze swojego plecaka długopis albo ołówek – powtórzył bez cienia zdenerwowania. – Rusz się, bo dziewczyna zaraz nam tu zejdzie.

Max ocknął się i kiwnął kudłatą głową. Szybko wyciągnął z plecaka piórnik i podał go mężczyźnie. Ten, przebijając ołówkiem dwa zawiązane wokół uda rękawy koszuli, zrobił opaskę uciskową. Spojrzał na zegarek, potem znowu na chłopaka. Wskazał drzwi znajdujące się za jego plecami, po czym zapytał:

– Nie chcą się otworzyć?

– Ani drgną – odpowiedział Max. Starał się brzmieć poważnie. Nie chciał, żeby obcy mężczyzna pomyślał, iż chłopak po prostu ma za mało siły, aby rozewrzeć drzwi. Ku jego zaskoczeniu facet

podał mu latarkę i polecił sprawdzenie pozostałych. Gdy Max wyciągnął rękę, ten nagle ją chwycił, przyciągając go do siebie.

– Jeżeli szybko nie znajdziemy wyjścia i nie wyprowadzimy jej stąd, to dziewczyna się wykrwawi i na pewno umrze – szepnął mu do ucha.

Zdeterminowany i przerażony chłopak ruszył w kierunku najbliższych drzwi.



## MOST ŚLĄSKO-DĄBROWSKI, GODZINA 13:00.

Zapowiada się więc gorący wieczór, jednak w nocy mogą się pojawić przelotne opady deszczu, a nawet burze. Zostańcie z nami, po reklamie wiadomości sportowe.

Z głośników zaczął się sączyć potok słów wychwalających supernowoczesny i każdemu niezbędny do życia spray przeciw komarom. Kuba przełączył stację, ale wszystkie programy akurat nadały reklamy lub wiadomości. Włączył więc płytę i z głośników zaczęły się sączyć kojące dźwięki reggae. Idealna muzyka na taki piękny, letni dzień... i gotowanie się w samochodzie bez klimatyzacji, z perspektywą spędzenia najbliższych lat w beznadziejnej próbie przedarcia się przez zakorkowany most. Sięgnął pod radio i wyciągnął paczkę czerwonych lucky strike'ów. Zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem. Przez chwilę zrobiło mu się jeszcze goręcej, ale stwierdził, że było warto. Zmełł w zębach przekleństwo. Upał zawsze powodował u niego rozdrażnienie. Wszystkie ubrania kleiły się do niego, jakby był obłany miodem. Siedząca na fotelu pasażera szczupła blondynka, Natalia, spojrzała w jego stronę i zapytała:

– Co?

Kuba popatrzył przez chwilę na dziewczynę, następnie wypuścił dym i odparł:

– To. Korek. Dzień w dzień stoimy w tym pieprzonym korku.

Wrzucił jedynekę i podjechał kilka metrów.

– Mówiłam ci, żebyśmy zostawili samochód i jeździli komunikacją – Natalia wzruszyła ramionami, po czym zaczęła wachlować się gazetą. Jednocześnie rozłożyła fotel i oparła bose stopy na desce rozdzielczej. Wzrok Kuby zaczął błędzić po zgrabnych i anielsko długich nogach żony. Nie zatrzymał się jednak na jeansowych spodenkach, ledwo zakrywających to, co powinny, tylko wędrował w górę, przez ciasno przylegającą fioletową bluzeczkę z dużym dekoltem, by zatrzymać się dopiero na wielkich, przyciemnianych okularach. W tym momencie Kuba zorientował się, że Natalia śledziła jego wzrok. Uniosła delikatnie okulary i spojrzała mu prosto w oczy.

– Zapomnij – stwierdziła głosem nieznoszącym sprzeciwu. Mężczyzna głośno westchnął.

– I tak byśmy stali na moście. Tym czy innym – odpowiedział po chwili, wcześniej głośno przełykając ślinę. Zaczynał się irytować, jednak nie dawał tego po sobie poznać. Przynajmniej taką miał nadzieję.

– Ale przynajmniej w autobusie możesz poczytać książkę czy coś – stwierdziła Natalia.

– Tu też możesz.

– Ja tak, ale ty nie.

– Mną się nie przejmuj. Poza tym wiesz, jak uwielbiam czytać – spojrzał na nią z ironicznym uśmiechem.

– Tak, wiem, ale taniej by wyszło – odpowiedziała.

– Źle ci jeszcze, że wożę twoją dupę samochodem? Przecież nawet nie wiesz, ile kosztuje benzyna – warknął Kuba, a dziewczyna odwróciła głowę.

Podjechali kolejne kilka metrów, gdy nagle usłyszeli wybuch. Mężczyzna spojrział w prawo i zobaczył olbrzymi słup ognia, strzelający wysoko w niebo. Podmuch był tak silny, że samochód delikatnie się zakołysał. Nastąpiła cisza, jakby połowa miasta wstrzymała oddech.

– Jezu, co to było? – wyszeptała Natalia, ledwo rozchylając usta.

– Nie wiem – odparł Kuba. – Chyba stacja benzynowa.

Natalia patrzyła z niedowierzaniem na powoli opadające szczątki budynku. Niektóre elementy konstrukcji płonęły w powietrzu, pozostawiając za sobą ogony dymu, niczym spadające asteroidy. Jakaś młoda kobieta nagle wyskoczyła z auta, dosłownie ułamek sekundy przed tym, gdy opadające odłamki zbombardowały dach jej volkswagena. Kuba otrząsnął się i sięgnął na tylne siedzenie po plecak. Wyjął z niego służbową odznakę oraz broń i biegiem ruszył w kierunku płonącego budynku. Paru mężczyzn pobiegło za nim. Natalia pozostała na miejscu. Wystarczył gest jej męża – wiedziała, że chce, by pozostała przy samochodzie i nie narażała się na niepotrzebne niebezpieczeństwo.

Kuba zbiegł na dół mostu, pokonał kilkadziesiąt metrów, ominął odrzucony na bok samochód i zatrzymał się przed sporym budynkiem. Okazało się, że wybuch stacji benzynowej uszkodził pobliskie Wojewódzkie Centrum Stomatologii. Drzwi były wyrwane z zawiasów, ze środka buchał żar. Zajrzał w głąb korytarza i zauważył kilka zwęglonych ciał. Sufit pożądliwie lizały jęzory ognia, ale Kuba uparcie oceniał możliwość wejścia do środka. Aktualnie adrenalina tak w nim buzowała, że nie zastanawiał się, jak będzie wyglądało wyjście. Nagle z jednego z pokoi wybiegła płonąca kobieta. Krzyczała tak przeraźliwie, że policjant zaczął się zastanawiać, czy faktycznie warto tam się pchać. Po przebyciu kilku metrów upadła na podłogę i znieruchomiała, a z pomieszczenia, z którego wybiegła, wyszedł mężczyzna. Jego sylwetka zniknęła w ogniu, jednak on zdawał się tego nie zauważać. Robił powolne, ociężałe kroki, przechodząc przez korytarz. Nie spojrział w stronę Kuby, który stał kilkanaście metrów dalej i przyglądał się wszystkiemu z nieukrywaną zgrozą. Po krótkim, milczącym przemarszu mężczyzna zniknął.

Kuba wziął głęboki oddech, zakrył usta koszulą i wbiegł do środka. Nie liczył na znalezienie czegoś, co pomoże mu stłumić ogień, jednak ciężki czerwony przedmiot wiszący na ścianie zabłysnął nieoczekiwanie, niczym promyk słońca przebijający się przez ciężkie, burzowe chmury. Kuba zerwał gaśnicę, odbezpieczył ją i tak uzbrojony ruszył z pomocą pokrzywdzonym. Oczy niemiłosiernie go szczypały, a pomimo koszuli izolującej usta i nos, rozgrzane powietrze uparcie atakowało jego płuca, drastycznie osłabiając skuteczność działania.

Przebiegł obok recepcji, ale nie ujrzał nikogo, komu mógłby pomóc. Poczł natomiast, jak jego ubranie robi się coraz gorętsze. Zdecydował niechętnie, że musi się wycofać, bo bez odpowiedniego wyposażenia na nic się tu nie zda, a poza tym sam może ucierpieć. Zrobił parę kroków w stronę wyjścia, gdy do jego uszu dotarło wołanie o pomoc. Rozejrzał się wokół, ale nikogo nie dostrzegł.

– Gdzie jesteś?! – krzyknął w nadziei, że wołanie się powtórzy. – Halo, chcę ci pomóc!

Dalej cisza. Kuba jeszcze raz odchylił koszulę od ust, żeby krzyknąć, ale w tym momencie do jego uszu dotarło jedno, ciche słowo:

– Re... ce... pcja...

Spojrzał zdziwiony na blat, znajdujący się jakieś trzy metry od niego. Doskoczył do niego jednym susem i błyskawicznie zerknął na podłogę za nim. Leżała tam młoda dziewczyna przygnieciona ciężką szafą z segregatorami, które rozsypały się dookoła. Parę z nich już stało w ogniu. Wzrok Kuby spotkał się ze spojrzeniem lazurowych oczu, pełnych bólu, przerażenia, ale i determinacji. Z wyraźnym wysiłkiem dziewczyna powiedziała:

– Utknęłam... nie mogę... ruszyć... ni... oddychać.

Mężczyzna błyskawicznie przeskoczył blat i znalazł się na podłodze obok poszkodowanej.

– Zaraz ci pomogę, podniosę szafę. Spróbuj się wyczołgać.

Właścicielka pięknych oczu kiwnęła nieznacznie głową, a Kuba zapałł się i dźwignął szafę. Z trudem uwolniła rękę, złapała za biurko i szarpnęła resztką sił, szybko podkulając nogi. Kuba złapał ją za rękę, pomagając wstać. Na szczęście nie była poparzona ani w widoczny sposób ranna.

– Dziękuję – szepnęła.

– Musimy się stąd szybko zabierać, później będzie czas na podziękowania – odpowiedział mężczyzna i pociągnął za sobą dziewczynę w stronę wyjścia na korytarz. Gdy już znaleźli się w głównym holu, spojrzał w lewo i zamarł. Niecałe dziesięć metrów od niego stał człowiek, którego widział wcześniej. Jego całe ubranie w dalszym ciągu płonęło, z włosów nie pozostał nawet ślad, skóra na twarzy miejscami była czarna od poparzeń, a gdzieniegdzie niemalże stopiona. Kubie przeszło przez myśl, że podobnie wygląda przypalone na majowym grillu mięso. Płonący mężczyzna zdawał się spoglądać na Kubę przenikającym wszystkim wzrokiem. „Czy taki wzrok mają umierający ludzie?” – pomyślał policjant. Zawsze mu się wydawało, że patrzą błagalnie, nie chcąc się rozstawać z bliskimi i z całym pięknym światem, no chyba że są pogodzeni z losem – wtedy owszem, mogą odejść w spokoju. Ale śmierć w płomieniach w niczym nie przypomina normalnej przeprawy na tamten świat. Szczerze mówiąc, czy można – oczywiście nie licząc brutalnego zabójstwa – znaleźć bardziej okrutny sposób zakończenia życia? Kuba już uniósł gaśnicę i chciał zrobić krok w stronę obcego, gdy jego uwagę odwrócił donośny krzyk:

– Przejście! Odsuńcie się!

Kilku strażaków przebiegło obok nich, dzierżąc koc przeciwpożarowy i topory. Byli doskonale uzbrojeni do walki z żywiołem – Kuba przez moment pomyślał, że cały ten żółty pancerz musi być cholernie ciężki i niewygodny, jednak w płonących budynkach zdaje zapewne egzamin. Tę refleksję przerwał jeden z wybawicieli, który zatrzymał się przy nich i nałożył dziewczynie na twarz maskę tlenową. Kiwnął głową w jego stronę, po czym machnął ręką za siebie. Kuba pokazał mu uniesiony do góry kciuk i w trójkę ruszyli w stronę wyjścia i świeżego powietrza, jednak zdążył jeszcze się odwrócić, żeby zobaczyć, jak strażacy powalają na ziemię płonącego mężczyznę i nakrywają go kocem przeciwpożarowym. Zanim wyszli na zewnątrz, Kuba usłyszał kolejny krzyk – był pewien, że to wrzask płonącego biedaka, którego dogaszali strażacy.

## METRO, GODZINA 12:37.

Max szarpał się, stękał i zapierał rękoma i nogami, jednak nie mógł otworzyć drzwi. Nawet kopanie swoimi ciężkimi, okutymi w stal gланami, ale i to nic nie dało. Przeszło mu przez myśl, żeby spróbować wyjść przez okno, ale przypomniał sobie o rannej kobiecie i zrezygnował. Rozejrzał się po wagonie, szukając jakiegoś narzędzia, które mogłoby posłużyć za łom, gdy nagle podszedł do niego mężczyzna z latarką i pomógł mu otworzyć drzwi. Chłopak spojrzał na niego, potem na dziewczynę leżącą za nimi z opaską uciskową zawiązaną na krwawiącej nodze.

– Wyjdzie z tego? – zapytał.

– Sama na pewno nie – odpowiedział cicho mężczyzna. – Musimy jej pomóc.

– Jak?

– Trzeba ją stąd szybko zabrać. Do najbliższego wyjścia z tunelu – rzucił tonem świadczącym o tym, że doskonale wie, o czym mówi.

Mężczyzna zeskoczył z wagonu na ziemię. Łuna pożaru trawiącego przód pociągu odbiła się pomarańczową poświatą na jego twarzy. Do jego uszu dotarły krzyki osób uwięzionych w kolejnym wagonie, jednak nie wyobrażał sobie, jak mógłby im pomóc – tunel został zablokowany przez wykojony wagon, skutecznie ich rozdzielając. Oznaczało to, że będą musieli wrócić na stację Służew. Przypomniał sobie, że przed wypadkiem pociąg jechał około minuty, wobec czego do przejścia mają całkiem spory kawałek.

– Jak masz na imię? – rozmyślanie przerwał mu głos chłopaka, dobiegający ze środka wagonu.

– Paweł – odpowiedział, ciągle jeszcze zamyślony.

– A ja Max. Pytam, bo w takiej sytuacji dobrze jest wiedzieć...

– Wracamy na Służew. Przód pociągu się pali – przerwał chłopakowi dość brutalnie Paweł. Nie było to spowodowane grubiaństwem czy arogancją, po prostu był przejęty i zbyt skupiony na szukaniu najlepszego wyjścia z ponurej sytuacji, żeby tracić czas i energię na czcze pogawędki. Złapał się ręką barierki, podciągnął i zgrabnie wskoczył z powrotem do wagonu.

– Max, później pogadamy – powiedział delikatniej, co przyniosło chłopakowi wyraźną ulgę – teraz musimy skupić się na wydostaniu się stąd. Pomóż mi ją przenieść.

„Coś dziwnego jest w tym facecie” – pomyślał chłopak. Poruszał się zwinnie, jakby trenował jakieś sztuki walki albo coś w tym stylu. Nie, żeby mu się podobał, nic z tych rzeczy. Chodziło o to, że wokół Pawła unosiła się dziwna aura, która po części emanowała spokojem, a po części nakazywała szacunek i posłuszeństwo.

Podeszli do młodej kobiety i Paweł zaświecił latarką, żeby przyjrzeć się jej twarzy. Mimo krótkiego czasu, który upłynął od zawiązania opaski uciskowej, zrobiła się wyraźnie bledsza. Widać było, że słabnie i z minuty na minutę jej szanse na przeżycie stają się coraz niklejsze. Mężczyzna

złapał ją pod ramiona i pomógł wstać. Dziewczyna jęknęła z bólu, ale zacisnęła zęby, jedną ręką łapiąc się barierki, a drugą mimowolnie kierując w stronę złamanej kości. Max spojrzał pytająco na Pawła, lecz jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. W międzyczasie niektórzy ludzie zaczęli interesować się otwartymi drzwiami wagonu – kilka osób już zdążyło wyskoczyć do tunelu, rozpoczynając tym samym indywidualną ewakuację. Przez chwilę chłopak miał ochotę zrobić to samo. Ta myśl jednak go zawstydziła, więc czym prędzej zabrał się za pomaganie Pawłowi.

Podeszli z ranną dziewczyną do wyważonych drzwi. Max zeskoczył na ziemię, a jego wzrok błyskawicznie powędrował w stronę płonącego tunelu.

– Max, pomóż jej – powiedział Paweł, samemu przytrzymując dziewczynę za ręce i pomagając jej w opuszczeniu się na dno tunelu.

– Dlaczego po prostu nie możemy poczekać na ratowników? – odezwała się nagle dziewczyna. Mimo sytuacji, w jakiej się znaleźli, oraz rany, która przy każdym ruchu wyraźnie sprawiała jej ból, miała niespodziewanie kojący głos. Max pomyślał, że jest naprawdę bardzo ładna, wyobrażając sobie dość jednoznacznie ich wspólne spotkanie. Oto uroki bycia siedemnastolatkiem.

– Po pierwsze dlatego, że nie wiem, jak długo zajmie im dotarcie do nas, a tobie jest potrzebna natychmiastowa pomoc – odpowiedział rzeczowo mężczyzna. – Po drugie, siedząc tutaj, prawdopodobnie byśmy się udusili lub po prostu spłonęli żywcem, jak ludzie w wagonach przed nami.

Max oraz dziewczyna poczuli się, jakby wylano im po kubie lodowatej wody na głowę. Głos Pawła był spokojny, ale stanowczy i zdecydowany. Chłopak pomyślał, że brzmi trochę jak doktor House.

– To jak, zostajecie czy idziemy? – zapytał Paweł. Dziewczyna nie potrzebowała dodatkowego ponaglenia, zaczęła się już sama gramolić z wagonu. Max błyskawicznie do niej doskoczył, podając pomocną dłoń. Mężczyzna asekurował ją od góry, a po chwili cała trójka znalazła się na zimnej, betonowej posadzce. Chłopak po raz ostatni zajrzał do wagonu metra. Ujrzał w nim mniej niż pięć osób, które najwyraźniej zdecydowały, że nie warto się nigdzie ruszać i że pomoc na pewno nadejdzie na czas. Prawdopodobnie nie były do końca świadome zagrożenia. Na szczęście nikt z nich nie miał poważnych obrażeń.

– Przepraszam, ale powinniśmy się stąd jak najszybciej ewakuować. Przód pociągu się pali – powiedział Paweł, który za przykładem Maxa również zajrzał do środka. Przez chwilę zatrzymał wzrok na każdej z osób, po czym odwrócił się, złapał dziewczynę pod ramię i ruszył z wolna w stronę stacji.

– Co z nimi? – zapytał Max.

– Ich sprawa – odpowiedział krótko Paweł.

Max podszedł do dziewczyny i ujął ją pod drugą rękę. Po minięciu ostatniego wagonu do ich uszu doleciał krzyk. Nie było to jednak wołanie o pomoc – był to wrzask człowieka konającego w niewyobrażalnych męczarniach, kakofonia nieartykułowanych dźwięków pomieszanych z jęczeniem, wzywaniem Boga i jednostajnym, rytmicznym powtarzaniem słowa „nie”.

Maxowi wydawało się, że dźwięki dochodzą nie z mijanego właśnie, płonącego wagonu, ale z tego, który tak niedawno opuścili. Może komuś coś się jednak stało, a oni tego nie zauważyli? Nagle usłyszeli kolejny wrzask – Max był pewien, że to osoba, która co prawda żegnała się z życiem, ale robiła to w walce. Nie był w stanie określić, skąd wzięło się to przekonanie – może przez setki filmów, które obejrzał w swoim życiu? Może przez instynkt, który mu to podpowiadał? Tak czy inaczej, cała trójka przyspieszyła kroku. Pomimo gorąca panującego w tunelu ich plecy były mokre od zimnego potu.

## BIELANY, GODZINA 12:50.

Tomek otworzył oczy i leniwie zamrugał powiekami. Przekręcił się na bok i zobaczył, że zegar wskazuje prawie trzynastą, co niespecjalnie go zaskoczyło. Tak to jest, gdy się idzie spać o ósmej rano. Albo gdy kładzie się do łóżka przed piątą, ale usypia dopiero kilka godzin później – wszystko przez irracjonalne wspomnienia minionych godzin, które uporczywie nie pozwalały złapać głębszego oddechu i przyspieszały bicie serca mniej więcej o trzysta procent. Chłopak miał olbrzymią ochotę upić się i usnąć, niestety wiedział, że to wyjście awaryjne zarezerwowane jest wyłącznie dla dorosłych. Jego rodzice nie byliby zachwyceni takim rozwiązaniem. Z drugiej strony w sumie jest prawie dorosły – przecież siedemnaście lat to nie byle co. Nie dowiedzieliby się od razu, więc przynajmniej mógłby w spokoju wyleczyć ewentualnego kaca, ale był pewien, że prędzej czy później jego siostra o wszystkim by doniosła. Nie była złą siostrą – po prostu wypaplałaby wszystko nieświadomie przy najbliższej okazji. Czyli przy pierwszym kontakcie z rodzicami. Fakt, że na czas ich wyjazdu do Francji Ewa zgodziła się nie wspominać nikomu o tym, że Tomek szlajał się całą noc po mieście z kolegami, już zasługiwał na uznanie. Oczywiście nic za darmo – chłopak musiał jej obiecać, że w zamian nie piśnie ani słowem na temat towarzystwa, które Ewa sprowadza do domu, oraz co z tym towarzystwem robi. Układ był klarowny i wiążący obie strony, więc jak do tej pory z sukcesem udało mu się przetrwać minione pięć dni.

Z trudem usiadł na łóżku. Oparł łokcie na kolanach i złapał dłońmi głowę. Czuł się tak, jakby w ogóle nie zmrużył oka – w nocy budził się co chwilę, a kilka razy zdawało mu się, że słyszy ciche trzaski podłogi w mieszkaniu. Wyobrażał sobie wtedy powłóczęgę nogami mężczyznę z wypadku. Śniło mu się, że ten przyszedł po niego. W jego śnie tuż za mężczyzną stał dresiarz z poszarpaną twarzą, który patrzył na Tomka z wyrzutem i złością.

Chłopak wstał i podszedł do okna. Ludzie poruszali się leniwie, dokładnie w taki sposób, w jaki należy poruszać się w gorące, letnie popołudnie. Tak samo na chwilę obecną pracował mózg chłopaka. Był on jednak w stanie wygenerować informację, że pójście pod prysznic byłoby całkiem dobrym rozwiązaniem. Piętnaście minut później Tomek z rozczarowaniem stwierdził, że woda nie zmyła z niego wspomnień minionej nocy, a tylko orzeźwiła go i sprawiła, że te stały się wyraźniejsze. Postanowił przygotować śniadanie, żeby zająć czymś skołatane myśli. Po trwającym lata świetlnym gapieniu się w otwartą lodówkę, doszedł do wniosku, że nie ma ochoty na nic konkretnego, więc po prostu zrobił sobie dwie kanapki z szynką oraz kawę i tak zaopatrzoney podreptał do salonu.

Położył talerz z kanapkami na starej drewnianej ławie, rozsiadł się wygodnie na kanapie z kubkiem kawy w ręku i włączył telewizor. Był jak najbardziej świadomy faktu, że nie znajdzie niczego godnego uwagi, ale nie spodziewał się, że będzie aż tak źle. Przeskakiwał z kanału na kanał w tem-

pie, które w rzeczywistości nie pozwoliłoby mu zidentyfikować programu, na który patrzy, ale było mu to totalnie obojętne. I tak nie skupiał się na tym, co dzieje się na ekranie. Na chwilę zatrzymał się na paśmie informacyjnym. Notowania giełdowe, w tle relacja z klęski żywiołowej w państwie, którego nazwy nie potrafił nawet wymówić, oraz cienki czerwony pasek, przesuwający się niczym pociąg pospieszny na dole ekranu – wszystko to otaczało głowę wystylizowanej i wychuchanej prezydentki. Tomek przez chwilę zastanowił się, kiedy pojawi się drugi i trzeci pasek z przelatującymi wiadomościami, żeby bombardować widza jeszcze większą ilością danych. Nagle jego uwagę przykuło zdanie o wypadku samochodowym, który wydarzył się w nocy na ulicy Suzina. Informacja mówiła, że w okolicy roztraskanego samochodu nie znaleziono ofiar, natomiast wewnątrz auta oraz ulica zalane były krwią. Policja podejrzewa morderstwo oraz szuka świadków zdarzenia. Kamera zainstalowana przy banku ulicę dalej, zarejestrowała młodego chłopaka w zakrwawionej bluzie, oddalającego się z miejsca znalezienia pojazdu zaledwie dwie minuty po tragedii. W tej sekundzie w lewym rogu ekranu ukazało się zdjęcie. Tomek poczuł, jak całe jego ciało kurczy się i zapada w kanapę. Co prawda na zdjęciu był w kapturze, jednak ten zasłaniał tylko oczy – nos i usta były doskonale widoczne. Kolor ubrania też. Jeżeli ktoś sprytny wpadnie na pomysł przeanalizowania nagrań z innych kamer w okolicy, bez problemu będzie mógł wyśledzić jego miejsce pobytu.

W pierwszej sekundzie chciał pójść na policję i opowiedzieć o wszystkim, co widział. Niestety już w następnej zorientował się, jak absurdalnie to zabrzmiałoby. Bo co – powie, że owszem, był świadkiem wypadku i widział jak jakiś naćpany koleś najpierw został zabity przez pędzące bmw, potem wstał jak gdyby nigdy nic i wgryzł się w twarz obcego chłopaka? No tak, przecież to logiczne, czemu nie – wszyscy mu przyklasną, poklepią po plecach i powiedzą, żeby wracał do domu. Może nawet dostanie medal. Jasne.

Prawda jest taka, że nikt nie uwierzy, iż to nie on jest wszystkiemu winien. Jeżeli tu zostanie, to prędzej czy później go znajdą i zamkną przynajmniej do momentu wyjaśnienia sprawy. W praktyce może w areszcie spędzić szmat czasu. Musi więc uciekać.

Postawił kubek na ławie i popędził do swojego pokoju. Podniósł swój stary, wysłużony plecak i wysypał jego zawartość na łóżko. Długopis, kilka skasowanych biletów, parę paragonów i bliżej niesklasyfikowane śmieci. Nie, raczej nic z nich się nie przyda. Po paru minutach chaotycznej krzątania stał ubrany w drzwiach pokoju z plecakiem zarzuconym na jedno ramię i zastanawiał się, co jeszcze mógłby wziąć. Spojrzał na kanapki w salonie i poczuł, jak mu burczy w brzuchu. „W sumie to dlaczego tak się spieszę, chyba nie zapukają do moich drzwi już za chwilę?” – pomyślał. Cały ucieczkowy zapal momentalnie go opuścił. Rzucił plecak na podłogę i usiadł na kanapie. Poczucił się zmęczony jak jeszcze nigdy w swoim krótkim, siedemnastoletnim życiu.

– Cholera, nie mam telefonu – powiedział do pustego mieszkania.

Odpowiedziała mu cisza, ale chłopak poczuł się o wiele lepiej, słysząc swój głos. Zaczął się zastanawiać, gdzie tak właściwie się wybiera. Nie może wprosić się do któregoś z kumpli, bo ci mieszkają w Warszawie – a jeżeli zostanie w mieście, to znajdą go, prędzej czy później. „Może będę chodził od jednego do drugiego?” – pomyślał. „To zawsze jakiś pomysł, ale odpada, bo to dalej Warsza-



wa”. Niestety, nawet siostra nie może się o niczym dowiedzieć. Pewnie nie będzie za nim płakała, ale rodzice się zmartwią. Może wyjedzie do cioci do Płońska? Ta możliwość najbardziej przypadła mu do gustu. Ciotka powinna się ucieszyć, a zanim do niej dojedzie, zdąży wymyślić jakąś sensowną przyczynę nagłej wizyty. Dotrze tam PKS-em, więc nie znajdą go na dworcach kolejowych, które na pewno będą obstawione w pierwszej kolejności. Tomek wyobraził sobie agentów jak z amerykańskiego filmu akcji – w czarnych prochowcach, kapeluszach i okularach przeciwsłonecznych, uniwersalnym przebraniu, które pozwala idealnie wtopić się w tłum. Jeden będzie siedział na dworcowej ławce i udawał, że czyta gazetę. Drugi w tym czasie będzie zamawiał zapiekankę, trzeci stał w kolejce po bilety, czwarty, piąty i szósty obstawią wejścia. Siódmy i ósmy będą spacerowali po dworcu, a dziewiąty zajmie pozycję gdzieś wyżej, żeby ogarniać szersze pole. Do tego mniej więcej dwudziestu agentów na zewnątrz, furgonetki policyjne załadowane oddziałami antyterrorystycznymi, snajperzy na dachach i zdjęcia robione z satelity. I tak na każdym dworcu w Warszawie. Przez chwilę zrobiło się chłopakowi miło na taką myśl – cała ta machina uruchomiona tylko po to, żeby go pojmać. Jak bardzo byłby rozczarowany i zawiedziony, gdyby dowiedział się, że policja nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie go szukać. Na chwilę obecną po komisariatach rozesłano jego zdjęcie i na tym cała akcja się zakończyła. Jednak Tomek podjął już decyzję – nie może dłużej czekać, musi jak najszybciej dostać się do Płońska. Pora ruszać na Marymont, do PKS-u.

Dziesięć minut później chłopak wychylił się czujnie zza bloku. Zlustrował otoczenie, ale nie dostrzegł w pobliżu żadnego stróża prawa. Słońce prażyło niemiłosiernie i mimo zaledwie paru chwil spędzonych na świeżym powietrzu już poczuł, jak się poci. Podeszedł do pasów, poczekał na zielone światło i przeszedł na drugą stronę jezdni. Przed zejściem do metra zawahał się, ale stwierdził, że w ten sposób najszybciej dostanie się do miejsca przeznaczenia, więc musi zaryzykować zdemaskowanie.

Przyłożył portfel to czytnika i przeszedł przez bramkę. Już w połowie schodów zobaczył, że pociąg stoi na peronie, więc ruszył biegiem, przeskakując po kilka stopni na raz, żeby zdążyć wskoczyć przed odjazdem. Wpadł do wagonu jak torpeda. Zadowolony z siebie usiadł naprzeciwko drzwi i czekał na odjazd. Po minucie zorientował się, że zamiast klasycznego w takich sytuacjach trąbienia ostrzegającego przed zamykającymi się drzwiami, do jego uszu nie dociera żaden dźwięk. Silnik pociągu był wyłączony, a nieliczni pasażerowie siedzieli w milczeniu. Tomek powoli wstał i wychylił głowę na peron, bojąc się, że w każdej chwili drzwi wagonu zaczną się zamykać. Chciał zapytać nadchodzącego strażnika o sytuację, ale bał się, że zostanie rozpoznany. Na szczęście jakaś starsza kobieta wpadła na ten sam pomysł. Chłopak wyraźnie słyszał, jak rozmawia z agentem Służby Ochrony Metra. Pan w średnim wieku nie był zbyt zachwycony faktem, że ktoś mu przeszkadza i jeszcze śmie go pytać o sprawy służbowe, ale udzielił odpowiedzi szybko i profesjonalnie:

– No stoi, nie wiem, co się stało. Nie, nie wiem, kiedy odjedzie.

Po czym odszedł, nie oglądając się za siebie. Kilka osób wstało i ruszyło w kierunku schodów prowadzących na powierzchnię. Tomek zrobił to samo. W połowie drogi coś kazało mu się odwrócić i spojrzeć w przeciwległy tunel. Gdy to zrobił, poczuł, jak jego kręgosłup przecina, niczym wyla-

dowanie elektryczne, lodowaty dreszcz przerażenia. Nagle wszystko, co było w zasięgu wzroku, skurczyło się, przybliżając jak w soczewce tylko to, co znajdowało się w centrum – mężczyznę, którego Tomek widział w nocy na ulicy Suzina. Albo jego brata bliźniaka. Człowiek stał bez ruchu w tunelu z głową tak nienaturalnie przekrzywioną na bok, że wyglądał, jakby ktoś przetrącił mu kark. W pierwszej sekundzie chłopak pomyślał, że ma zwidy, ale kątem oka dostrzegł strażnika metra, który ruszył w kierunku obcego, krzycząc, że ten ma natychmiast zejść z torów i wrócić na peron. Parę osób zatrzymało się i z zaciekawieniem czekało na dalszy rozwój wydarzeń. Jednak Tomek wiedział, co za chwilę nastąpi, i nie miał najmniejszej ochoty na to patrzeć – piętnaście sekund później pokonywał bramkę metra, prowadzącą do wyjścia. Dogonił go krzyk dobiegający z peronu. Chłopak czuł się winny, ale jakaś nieznosząca sprzeciwu myśl zabroniła mu wracać i kazała uciekać jak najdalej.

## MOKOTÓW, GODZINA 13:15.

Zakrwawiony mężczyzna szedł mozolnie w kierunku Jacka i Karoliny. Oboje wpatrywali się w niego niczym zahipnotyzowani, zupełnie nie wiedząc, w jaki sposób zareagować. Poczuli, że obcy cuchnie potem, krwią i czymś jeszcze, czego woleli nawet nie nazywać. Po kilku sekundach Karolina pierwsza odzyskała możliwość trzeźwego myślenia i ruszyła w jego kierunku. Jednak na jej ramieniu niespodziewanie zacisnęła się dłoń Jacka. Spojrzała na niego zaskoczona, ale to, co ujrzała, przeraziło ją jeszcze bardziej niż nieznajomy. Twarz Jacka była ściągnięta w dziwnym grymasie i biała, jakby odpłynęła z niej cała krew. Oczy miał zwężone i skupione na obcym. Kolega z pracy wyglądał zarazem czujnie i drapieźnie, jak zwierzę broniące swojego terytorium i gotujące się do ataku na każdego potencjalnego intruza. Zakrwawiony mężczyzna zrobił kolejny krok w ich stronę.

– Co ty robisz? Trzeba mu pomóc, puść mnie! – krzyknęła, próbując jednocześnie wyswobodzić się z uścisku. Jacek jednak nie zamierzał ustąpić.

– Poczekaj – odpowiedział niepewnie. – Coś mi tu nie pasuje.

Kolejny krok.

Karolina popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Przez chwilę była skłonna mu uwierzyć. Jej instynkt samozachowawczy sygnalizował wielką czerwoną lampą, że powinna się znaleźć jak najdalej stąd, ale z drugiej strony chęć niesienia pomocy i troska o innych była silniejsza. Zza otwartych drzwi dalej dobiegały paniczne krzyki.

– Zwariowałaś, puść mnie – powiedziała, próbując wyszarpać rękę.

– Mówię ci, nie podchodź do niego – Jacek przeniósł wzrok na koleżankę.

Mężczyzna był coraz bliżej, zupełnie nie zwracając uwagi na to, o czym rozmawiają. Od Karoliny dzieliły go już tylko trzy metry. W tym momencie dziewczyna odepchnęła kolegę, wyszarpując się z jego uścisku. Odepchnięty rozlał na siebie kawę, prawie parząc sobie przy tym brzuch i nogi. Karolina natomiast wykorzystwała sekundową przewagę i zrobiła krok w kierunku mężczyzny. Gdy zorientowała się, jak duży błąd popełniła, było już za późno.

Obcy chwycił wyciągniętą w jego kierunku rękę dziewczyny i błyskawicznie wgryzł się w nią niczym wygłodniały pies w ochłap mięsa. Karolina wrzasnęła z bólu, zaskoczenia i żalu, że jednak nie posłuchała kolegi. Starła się cofnąć, ale uścisk był zbyt mocny. Nieznajomy gwałtownie cofnął głowę, jakby coś wrywał. Karolina nie wierzyła w to, co widziała – mężczyzna wpychał sobie fragmenty jej ciała do ust, żuł je i przeraźliwie przy tym mlaskał. Po jego rękach i brodzie powoli spływała krew. Naraz jakiś kształt przemknął błyskawicznie obok niej. Zobaczyła, jak obcy zostaje odrzucony w tył potężnym kopniakiem wymierzonym prosto w splot słoneczny. W locie rozłożył ręce, chlapiąc dookoła krwią. Na nic się to jednak nie zdało – odbił się plecami od ściany i osunął na podłogę.

– Żyjesz?! Widziałaś gdzieś apteczkę?! – głos Jacka dochodził do dziewczyny jakby z oddali. Karolina patrzyła na niego zamglonymi oczami. Rana na rękę obficie krwawiła, jednak nie przejmowała się tym – fakt ugryzienia przez innego człowieka tak silnie odcisnął się na jej psychice, że skutecznie wyłączył jej zdolności percepcyjne na najbliższe kilkadziesiąt sekund.

– Karolina! Pokaż mi rękę! – Jacek nie dawał za wygraną.

Dziewczyna niczym w letargu zrobiła, o co prosił. Skąd ona знаła tego chłopaka? „Wygląda znajomo i ma taki ciepły głos” – pomyślała.

– Puść, daj mi zobaczyć. – Jacek starał się mówić spokojnie, żeby tylko dziewczyna pozwoliła mu spojrzeć na ranę i ocenić zagrożenie. Karolina zabrała dłoń zakrywającą ranę. Gdyby odbierała bodźce zewnętrzne, zobaczyłaby, jak kolor skóry twarzy kolegi z białego zmienia się na zgniętelnony. Rana była poważna – z jej wnętrza połyskiwały ścięgna i mięśnie dziewczyny.

– Mówiłem ci, żebyś do niego nie podchodziła. Cholera, mówiłem! – powiedział. Nie spotkał się z najmniejszą reakcją, dziewczyna dalej milczała. Nagle Jacek wymierzył jej siarczysty policzek. Karolina od razu powróciła do świata żywych. Popatrzyła na kolegę, potem przeniosła wzrok na podnoszącego się z podłogi mężczyznę i w mig wszystko sobie przypomniała. Poczula pulsujący ból przedramienia i cofnęła rękę.

– Poczekaj tu, musimy wziąć apteczkę – powiedział Jacek, po czym wszedł do kuchni.

– Jacek, on wstaje! – piskliwy krzyk koleżanki odbił się echem od szafek. – Wracaj, szybciej!

Zakrwawiony mężczyzna mozolnie i z wyraźnym trudem podnosił się z wykładziny. Karolina zauważyła, że ma olbrzymi problem ze skoordynowaniem ruchów. Nagle usłyszała trzask pękającego plastiku, odwróciła głowę i ujrzała Jacka stojącego w drzwiach kuchni z apteczką w rękę. Wy-rwał ze ściany całe pudełko, wiedząc, że nie będzie miał czasu na opatrywanie koleżanki w tym miejscu.

– Dobra, idziemy stąd – powiedział.

– Gdzie? – zapytała Karolina. Jacek wyraźnie się zawahał. Spojrzał na dziewczynę, potem przeniósł wzrok na drzwi prowadzące na korytarz. Już chciał powiedzieć, żeby przeskoczyli gramolącego się z ziemi człowieka, przeszli przez hol i udali się na zewnątrz budynku, gdy w drzwiach pojawiła się kobieta. Z pozoru przypominała pokrwawionego mężczyznę, jednak – ku ich zdziwieniu – wyglądała jeszcze bardziej przerażająco. Ochłap skóry zwisający bezwładnie z jej twarzy odsłaniał kość policzkową i kawałek szczęki. Jej włosy były sklezione krwią, a ubranie obficie upstrzone bordowymi plamami. Jeden z obcasów był złamany, a z rozciętego uda skapywała krew. Kobieta odcięła jedyną drogę ucieczki. W tym samym czasie przewróconemu mężczyźnie udało się wreszcie wstać. Naraz oboje ruszyli w ich kierunku. Karolina i Jacek stali, nie wierząc w to, co widzieli.

– Co to ma być? – zapytała cicho dziewczyna.

– Nie wiem, ale tędy z pewnością nie przejdziemy. Chodź – odpowiedział Jacek i pociągnął koleżankę do drzwi prowadzących prosto do ich biur.

Gdy zamknęli je za sobą, stanęli twarzą w twarz ze swoim niskim i grubym team leaderem Przemkiem i jeszcze jednym kolegą z działu. Ich spojrzenia spotkały się, jednak po sekundzie obaj

przenieśli wzrok na krwawiącą rękę Karoliny.

– O Jezu, co się stało? – zapytał przerażony tym widokiem Przemek.

– Została ugryziona – odpowiedział szybko Jacek.

– Co? Pies w budynku? – brwi Przemka uniosły się ku górze, a na twarz wypełził grymas niedowierzania.

– Nie. Ugryzł ją jakiś obcy facet. Nie słyszeliście krzyków?

Odpowiedź spotkała się najpierw ze zdziwieniem, potem z ironiczną wymianą spojrzeń kolegów.

– Jaki facet...? I jakich krzyków? – zapytał współpracownik Jacka, który w pracy zajmował sąsiednie miejsce. Jacek niespecjalnie za nim przepadał. Zdawał się mieć ostre parcie na karierę, toteż bez najmniejszych ogródek chętnie i szybko dzielił się z przełożonym każdą plotką, jaką usłyszał w biurze. Poza tym nie potrafił rozmawiać o niczym innym, jak tylko o wynikach i raportach, co strasznie drażniło Jacka.

– Czy wyglądam, jakbym żartował? – oczy Jacka niebezpiecznie zwięziły się w dwie czarne szparki.

Karierowicz cofnął się o pół kroku, z wyraźnym zdziwieniem malującym się na twarzy. Nie spodziewał się ataku, zwłaszcza przy przełożonym – czegoś takiego nie przewidywał regulamin.

– No, ale jak jakiś facet mógł jej niemalże odgryźć rękę? – zapytał, pełnym niedowierzania i trzęsącym się głosem. W naturalny dla siebie sposób starał się sprowadzić dyskusję na racjonalny, bezpieczny i zrozumiały poziom.

– Normalnie – odwarknął Jacek, po czym wyciągnął przed siebie rękę, odepchnął kolegę i ruszył z dziewczyną w stronę toalet.

– Poczekaj, spokojnie – usłyszał głos Przemka. – Po prostu powiedz nam, co tam się stało.

– Przecież mówił, że face... – wtrącił się karierowicz.

– Zamknij się – brutalnie przerwał mu przełożony. Twarz chłopaka nabiegła purpurą. – Daj mi coś, do jasnej cholery, powiedzieć!

Jacek zatrzymał się i odwrócił w ich stronę. Karolina popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem, dając do zrozumienia, że potrzebuje tego opatrunku jak najszybciej.

– Powiedziałem wam – wziął głęboki oddech i postarał się uspokoić pędzące myśli – staliśmy przed kuchnią i rozmawialiśmy, kiedy wszedł jakiś pojebany typ i wgryzł się w rękę Karoliny. Odepchnąłem go, ale tuż za nim pojawiła się jakaś laska, która wyglądała tak samo pokraccie. Nie mogliśmy ich ominąć, więc tylko wzięłem apteczkę z kuchni. A teraz, jeśli zaspokoilem waszą ciekawość, idziemy opatrzyć jej rękę.

Powiedziawszy to, Jacek odwrócił się na pięcie i ruszył. Pozostawieni współpracownicy spojrzeli na siebie wyraźnie zdezorientowani. W tym momencie ktoś lub coś niespodziewanie uderzyło w drzwi, sprawiając, że obaj podskoczyli wystraszeni. Jacek natomiast zamarł w pół kroku. Odwrócił się powoli i spojrzał na klamkę. Oczami wyobraźni widział, jak powoli się przekręca, jednak nic takiego się nie stało. Uderzenie powtórzyło się – brzmiało, jakby ktoś walił w drzwi otwartą dłonią.

Zawtórowało mu kolejne łupnięcie, tym razem w inną część drzwi. I kolejne. Naraz do ich uszu doleciał cichy jęk, który z każdą sekundą narastał. Po chwili nieartykułowane dźwięki oraz uderzenia zlały się w jedną, nieprzerwaną kakofonię, która przyprawiała o gęsią skórkę.

– Co do... – powiedział Przemek, po czym ruszył w stronę drzwi.

– Nie! – krzyknął Jacek. – Nie, nie otwieraj, bo tu wejda!

– Co ty chrzaniś, że niby kto tu wejdzie? Jakies dupki sobie robią jaja i tyle – odpowiedział szybko, wyraźnie zdenerwowany.

– Jaja, tak? A Karolina sama siebie ugryzła, też dla jaj?! – odparował Jacek, jednak przełożony zignorował lub nie dosłyszał jego odpowiedzi, gdyż właśnie łapał już za klamkę.

Gdy drzwi stanęły otworem, Przemek poczuł, jak z przerażenia kurczy mu się serce. Ujrzał przed sobą las rąk i mrowie nabiegłych krwią oczu, należących do kłębiącego się tłumu poszarpanych i pokrwawionych ludzi. Ten widok go sparaliżował. Gdy poczuł, jak czyjaś dłoń go chwytą, było już za późno na jakąkolwiek reakcję. Starał się wyszarpnąć, jednak inne ręce zaczęły go łapać w coraz to nowych miejscach. Łapać i wciągać w głąb rojowiska, niczym bagno pochłaniające nieostrożnego wędrowca. Nagle poczuł, że coś zaciska się na jego dłoni, i zdążył tylko zobaczyć, jak jego kciuk znika w ustach obcego, wyglądającego na opętanego, człowieka. Przemek przeraźliwie wrzasnął z bólu. Coś wgryzało się w jego udo. Wolną dłoń złożył w pięść i zaczął nią wściekle mlócić po twarzach stworów stojących najbliżej, jednak nie robiło to na nich specjalnego wrażenia.

Pozostała trójka dosłownie wrosła w podłogę, jakby pozbawiono ich możliwości wykonania najmniejszego ruchu. Do nosa Jacka doleciał ostry zapach moczu, mieszający się z ciężkim zapachem krwi – to jego kolega karierowicz zmoczył się w spodnie. Po paru sekundach, zdających się trwać wieczność, Przemek zniknął w tłumie i przestał krzyczeć. Był to wyraźny bodziec, który zmotywował resztę do ucieczki.

– Drzwi! – wrzasnął Jacek i rzucił się przed siebie.

Współpracownik jednak nie wykonał najmniejszego gestu. Co innego Karolina, która pomimo odniesionych obrażeń ruszyła mu na pomoc. Dopadli we dwójkę do drzwi i zaczęli napierać na nie z całych sił. Jednak otwór nieubłaganie się rozszerzał. Walka z góry była skazana na niepowodzenie – liczba przeciwników okazała się zbyt duża. Nagle jedna z pokrwawionych osób, dosłownie wypchnięta przez tłum, wpadła do pomieszczenia. Dopiero w tym momencie drugi z mężczyzn, świadom niebezpieczeństwa zagrażającego bezpośrednio jego życiu, rzucił się na pomoc i doskoczył do drzwi. Uwagę Jacka przykuł ważny szczegół.

– Karolina... – wystękał przez zaciśnięte zęby, wykonując charakterystyczny ruch głową w kierunku klamki. – Nie mają zamka... Nie zamkniemy ich.

Karolina, pomimo wysiłku, zbladła. Nagle jej oczy odzyskały błysk.

– Łazienka. Szybko! – krzyknęła, po czym rzuciła się pędem w stronę skrzyżowania korytarzy. Jacek pobiegł w ślad za nią, co niestety skończyło się fatalnie dla ich kolegi – siła, którą cała trójka wkładała w utrzymanie drzwi, została drastycznie zredukowana. Samotny chłopak nie miał szans. Napierająca masa dosłownie wyrwała je z zawiasów – mężczyzna, potknąwszy się o wcześniej we-

pchniętą do pomieszczenia osobę, wyładował na plecach. Nim zdążył się podnieść, było już za późno. Dzika, krwiożercza horda dopadła go leżącego, nie dając najmniejszej szansy na obronę. Jacek zawahał się na moment, stojąc na skrzyżowaniu korytarzy, jednak wiedział, że nie da rady mu pomóc.

– Jacek! Szybciej! – Karolina wołała z uchylonych drzwi łazienki.

Po paru sekundach Jacek zamknął za sobą drzwi na zasuwę. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Trzy kabiny, umywalka, lustro. Podłoga w niebiesko-białe kafelki, srebrny kosz na śmieci. Duże okno wychodzące na przeciwległy blok. Odwrócił się, szarpnął za klamkę i z ulgą stwierdził, że drzwi nawet nie drgnęły.

– Co teraz? – zapytała przerażonym głosem Karolina. Jak na ostatnie kilkanaście minut, emocji było zdecydowanie za wiele.

– Najpierw zajmijmy się twoją raną, potem pomyślimy, co dalej – odpowiedział zdecydowanie Jacek. Starannie obmył rękę koleżanki, po czym posadził ją na podłodze. Otworzył apteczkę i wyjął dwa bandaże – jeden przycisnął bezpośrednio do rany, drugim owinał kończynę. Miał nadzieję, że to zatamuje krwawienie.

– Jacek, co to było? – zapytała Karolina. Jej oczy były wilgotne, jakby dziewczyna miała się lada chwila rozplakać.

– Nie wiem – powiedział po chwili. – Nie wiem – spojrzał jej prosto w oczy. – Musimy być cicho, to nas nie usłyszą. Poczekamy, aż sobie pójdą, i wtedy pojedziemy do szpitala. Okej?

Karolina w odpowiedzi tylko nieznacznie kiwnęła głową. Pomimo przyprawiającego o obłąd przerażenia, Jacek starał się zachować spokój.

## WOLA, GODZINA 13:15.

W tramwaju było nieznośnie gorąco i duszno. Kaja czuła się jak w piekarniku. Marzyła o znalezieniu się w centrum miasta i o zejściu na kojąco chłodny peron metra. Minęła Muzeum Powstania Warszawskiego, po raz kolejny karcąc się w myślach – za każdym razem, gdy tędy przejeżdżała, obiecywała sobie, że w końcu je zwiedzi. Ziewnęła przeciągle i leniwie, od niechcienia zakrywając usta dłonią. Pomimo wczesnej pory i ładnej, choć upalnej, pogody, odczuwała lekkie znużenie. Poranne bieganie zawsze ją pobudzało na kilka nadchodzących godzin, jednak konsekwencje bardzo wczesnego wstawania dawały o sobie znać w okolicach południa. Półprzytomnym wzrokiem wpatrywała się za okno, przełączywszy umysł na jałowy bieg. To przez to dopiero po kilkunastu sekundach poczuła wibrujący telefon. Wyciągnęła aparat z kieszeni – z wyświetlacza uśmiechała się do niej twarz Adama. Szybkim ruchem zdjęła słuchawki i przyłożyła komórkę do ucha.

– No, co tam? – zapytała w ramach powitania. – Już jestem w tramwaju – dopowiedziała tonem usprawiedliwienia.

W odpowiedzi usłyszała tylko uliczny gwar. Kaja pomyślała, że nawet jak na centrum miasta jest on o tej porze wyjątkowo głośny.

– Adam? Słyszysz mnie? – Znów brak odpowiedzi. Poczowała się dziwnie, ale nie była w stanie określić, czy czuje irytację, czy raczej zaniepokojenie. Pewnie jego telefon sam wybrał jej numer jako ostatnie połączenie, jednak umysł jak zwykle podsuwał najczarniejsze scenariusze.

– ...jeżdż... – usłyszała w końcu urwane słowo swojego chłopaka.

– Powiedz jeszcze raz, nic nie rozumiem – powiedziała, przyciskając telefon jedną ręką, a drugą zakrywając ucho.

– Nie... jeżdża... – krzyknął Adam. W jego głosie było słycać przerażenie. – Nie przyjeżdżaj!

– Dlaczego? Co się dzieje? – zapytała podniesionym głosem Kaja. Ludzie w tramwaju odwrócili twarze w jej stronę. Zignorowała ich.

– Adam, Adam! Jesteś tam?! – Poczowała, jak przez jej ciało przechodzi dreszcz. Miała ochotę wyskoczyć z tramwaju i popędzić do centrum.

Brak odpowiedzi. Usłyszała jedynie gwar uliczny i... krzyki? Próbowwała to jakoś skojarzyć z czymś, co znała – przychodził jej na myśl pub podczas meczu reprezentacji albo wesołe miasteczko. Ale krzyki były inne. Nie były wesołe. Brzmiały bardziej jak wrzaski przerażenia.

Kaja miała wrażenie, jakby podłoga wagonu się pod nią zapadała. Bolała ją lewa dłoń kurczowo zaciskana podczas rozmowy na poręczy. Wzięła głęboki oddech i starała się nie poddawać panice. Rady ojca w takich sytuacjach się przydawały – mawiał, że zawsze trzeba starać się kontrolować to, co się dzieje, a jeżeli to niemożliwe, przynajmniej kontrolować samego siebie i myśleć racjonalnie.



Nagle tramwaj zatrzymał się. Zaniepokojona dziewczyna wyjrzała przez okno i zobaczyła, że aż do kolejnego przystanku tory są zakorkowane, a na rondzie stoi mnóstwo samochodów. Pierwszą myślą był wypadek, bo korki o tej godzinie należały do rzadkości, nawet w tym drugim najbardziej zakorkowanym mieście Europy. Ale to raczej nie to... Każda minuta oczekiwania na ruch pojazdu była dla niej wiecznością. Wreszcie zdecydowała, że nie może dłużej czekać – podeszła do drzwi i mocnym szarpnięciem je otworzyła. W głębi duszy dziękowała Zarządowi Transportu Miejskiego za to, że jeszcze puszczają stare, wysłużone tramwaje – w tych nowych, futurystycznych modelach samodzielne otwieranie drzwi nie było już takie łatwe. Ktoś skomentował jej zachowanie, chyba nawet sam motorniczy zainteresował się samowolką dziewczyny, jednak Kaja nie zaszczyciła nikogo choćby jednym spojrzeniem.

Stała na trawie. Rozejrzała się, wyczekała odpowiedniego momentu i przebiegła przez jezdnię. Przeszła szybkim marszem kilkanaście metrów i skręciła w ulicę Srebrną. Stwierdziła, że jeśli pójdzie nią kawałek, potem prosto przez Twardą do Złotej, to znajdzie się w centrum szybciej, niż gdyby czekała na ruch tramwaju. Upał powoli osiągał apogeum. Już po przejściu kilkunastu metrów pomimo skąpego ubioru była cała spocona, a ciuchy się do niej kleiły. Szła szybko, stawiając długie, zdecydowane kroki. W ręku trzymała komórkę i co chwilę zerknęła z nadzieją na wyświetlacz – niestety nie pojawiła się żadna wiadomość od jej chłopaka. Rozejrzała się dookoła. W normalnej sytuacji zdziwiłby ją zupełny brak ruchu na bocznej ulicy, jednak w obecnym stanie ducha nawet tego nie zauważyła. Stwierdziła, że nie da rady tak dłużej maszerować.

Zatrzymała się przed starym, opuszczonym budynkiem. Zdjęła z ramion plecak i ukucnęła. Po chwili wyciągnęła z niego adidas, te same, w których biegła rano. Na swoje szczęście miała je zapakowane, bo po południu mieli iść z Adamem na tenisa. Dziękowała w myślach Bogu, że akurat w ten dzień jej chłopak dał się namówić na ruch, pierwszy raz od dwóch miesięcy. W japonkach nie dało się szybko iść, co dopiero mówić o bieganiu – zdjęła je, założyła na stopy krótkie skarpetki, potem adidas. Następnie schowała japonki do plecaka, zarzuciła go na ramiona i ruszyła biegiem przed siebie. Schowała też odtwarzacz MP3, żeby lepiej słyszeć to, co się działo wokół niej. Włosy, które miała spięte w koński ogon, podskakiwały miarowo w rytm jej kroków. Minęła dwoje starszych ludzi, spacerujących powoli. Oprócz nich i Kai ulica zdawała się być wymarła, jakby był zimny, niedzielny wieczór, a nie piękne, letnie przedpołudnie. Kaja obejrzała się za siebie, ale nie dostrzegła nikogo więcej – spojrzała więc na drugą stronę ulicy, ale tam też nikogo nie było. Przez chwilę pomyślała, że to dziwne, ale na ulicy nie było żadnych lokali usługowych czy sklepów, więc brak przechodniów można było zrozumieć. Spojrzała na zegarek – wskazywał godzinę trzynastą dwadzieścia osiem. Oszacowała, że utrzymując średnie tempo biegu, uda się jej dotrzeć do centrum w mniej niż dziesięć minut.

Po przebiegnięciu zaledwie kilkuset metrów, pot lał się z niej już strumieniami. Spływał z czoła, podrażniając oczy, ale starała się to ignorować. Wiedziała, że jak zacznie go ścierać, będzie musiała to robić już cały czas. Jeżeli tego nie zrobi, oczy przyzwyczajają się i po jakimś czasie przestanie jej to przeszkadzać. Niebieska tabliczka poinformowała ją, że znalazła się na ulicy Złotej – stąd już

czekała ją prosta droga do ścisłego centrum miasta. Między budynkami pojawił się majestatyczny Pałac Kultury i Nauki.

## MOST ŚLĄSKO-DĄBROWSKI, GODZINA 13:15.

Kuba oparł się ciężko o wóz strażacki. Rozwiązał koszulę i założył na spoczone plecy, pozostawiając ją rozpiętą z przodu. Cały śmierdział spalenizną, ale w chwili obecnej niezbyt mu to przeszkadzało. Poza tym i tak nie mógł nic z tym zrobić, więc nie było sensu przejmować się na zapas. Strażacy przejęli dziewczynę i odprowadzali ją w stronę karetki, ale zdążyła jeszcze odwrócić się i spojrzeć na mężczyznę, który uratował jej życie – bezdźwięczne „dziękuję” wydobyło się z jej delikatnie rozchylnych ust. Kuba odpowiedział uśmiechem i kiwnięciem głowy. W tym momencie koło niego pojawił się lekarz, pytając, czy nic mu nie jest.

– Nie, nie byłem w środku podczas wybuchu – powiedział Kuba, niemal spazmatycznie łapiąc świeże powietrze. Płuca i gardło paliły żywym ogniem.

– To jak pan się tam znalazł? – zapytał młody lekarz. Miał około trzydziestu pięciu, czterdziestu lat, z jego szarych oczu były jednocześnie troska i specyficzny chłód, wyróżniający wąskie grono profesjonalistów.

– Staliśmy w korku na moście, kiedy budynek wyleciał w powietrze – odpowiedział, wyjmując jednocześnie odznakę i pokazując ją lekarzowi – więc zareagowałem. – Schował ją i w zamian wyciągnął czerwone lucky strike’i. Zapalił, głęboko się zaciągając. „Może jeden dym wyprze drugi?” – pomyślał.

Lekarz raz jeszcze zapytał, czy Kuba nie potrzebuje pomocy, ale kiedy ten potrząsnął przecząco głową, ruszył w stronę ocalonej dziewczyny.

– Dobrze się pan spisał.

Kuba spojrzał w prawo i zobaczył stojącego nad sobą ogromnego strażaka. Facet był naprawdę wielki – skojarzył mu się z górskim olbrzymem, który biega po dolinach z maczugą i chroni owce przed wilkami. Z tą różnicą, że zamiast skóry i wełnianej czapki miał na sobie ognioodporny kombinezon i hełm. Przypomniało mu to oglądany niegdyś program, w którym strażacy podpalali pustostany w celach treningowych i jeden z takich pustostanów eksplodował – strażak przeżył tylko dzięki oprzyrządowaniu oraz temu, że wcześniej opuścił szybkę w hełmie. Ciekawe, czy nasze polskie hełmy też mają taką wytrzymałość?

– Widział pan w środku innych ocalałych? – zadudnił strażak-olbrzym.

– Dziękuję – odpowiedział Kuba, wypuszczając z ust kłęb dymu. – Tylko jednego mężczyznę, ale pańscy koledzy już do niego biegli. Poza tym nikogo, ale nie zapuszczałem się zbyt głęboko – dodał zgodnie z prawdą.

– Okej. – Olbrzym odwrócił się, krzyknął coś do dwóch strażaków i pobiegł w stronę wejścia do płonącego budynku. Ziemia wprost zatrzęsła się pod jego stopami.

Kuba rozejrzał się i zobaczył, że w akcji biorą udział już trzy wozy strażackie, a w oddali majaczyły światła kolejnego, który mozolnie przebijał się przez korek.

Westchnął głęboko i przetarł ręką spocone czoło. Pomyślał, że na nic się tu już nie przyda – czas bohaterów się skończył, teraz trzeba wracać do rzeczywistości i do żony, która czeka w samochodzie, prawdopodobnie odchodząc ze zmartwienia od zmysłów. Spojrzał na swoje ubrudzone i delikatnie osmolone ubranie, po czym rzucił okiem na płonący budynek. Po chwili przeniósł wzrok na most i zobaczył, że ustawiły się na nim tłumy gapiów, którzy z daleka oglądali niecodzienne widowisko. Szczerze gardził takimi ludźmi, ale jako stróż prawa nie mógł po prostu podejść i opieprzyć każdego po kolei – nie, jeżeli stali w bezpieczniejszej odległości i nie utrudniali akcji ratunkowej. A tak niestety było w tym przypadku. Wyrzucił niedopałek na ziemię, zdeptał go i ruszył powoli w stronę mostu.

Zauważył, że kilka twarzy jest zwróconych wprost na niego. Zignorował spojrzenia i skierował się w stronę schodów, prowadzących na górę. Kilka minut później stał już przy swoim samochodzie.

– Nic ci nie jest? – zapytała Natalia, widząc stan jego garderoby. Choć jej głos był spokojny, spojrzenie wyrażało ogromną troskę. Kuba po raz kolejny ucieszył się w duchu, że dane mu było znaleźć tak cudowną dziewczynę. Podszedł i objął ją czule.

– Nie, mnie nic.

– Wiesz, co się stało?

Wzruszył ramionami. Po chwili zadumy odpowiedział:

– Nie. Chyba w powietrze wyleciała stacja benzynowa, a rozprzestrzeniający się ogień zajął centrum... Ale to nie był raczej zwykły pożar, chociaż może i był... Nie wiem, nie jestem ekspertem.

– Pewnie stąd fruwające kawałki budynku – skomentowała Natalia. – Pospadały na samochody i nie można przejechać.

Kuba rozejrzał się po ulicy. Faktycznie, na niektórych samochodach leżały cegły, na jednym nawet znalazły się płonące deski. Miał tylko nadzieję, że obyło się bez rannych. Przynajmniej tu, na górze.

– Musimy poczekać na strażaków, aż to usuną, wszystko jest gorące – powiedział.

– Nawet płonąca deskę? – zapytała Natalia. Jej twarz przypominała gipsową maskę bez wyrazu, a brwi były delikatnie uniesione. – Chcesz czekać na strażaków, żeby usunęli płonąca deskę? Serio? – zapytała ponownie, przeciągając słowa, i wdzięcznie zamrugnęła oczami.

Zerknął w jej stronę.

– Nie, nie tylko płonąca deskę, ale i całą resztę gruzu – odpowiedział, przedrzeźniając ją. – Choćby te samochody, które zderzyły się przez wybuch. Ja tego przecież nie zrobię.

Zapadła cisza. Kuba wsiadł do samochodu, pozostawiając otwarte drzwi i jedną nogę na asfalcie. Zamyślił się, patrząc na powolnie płynącą rzekę.

– Co tam się stało? – zapytała po chwili Natalia.

– Mówiłem ci już, że nie wiem.

– Nie o to mi chodzi. Pytam, co widziałeś w budynku – ujęła jego dłoń i spojrzała głęboko w oczy.

Kuba chciał odwzajemnić spojrzenie, ale szybko odwrócił wzrok. Nigdy nie lubił rozmawiać o sprawach, które dotyczyły jego pracy. Bagno, w jakim przyszło mu funkcjonować, było zbyt brudne i zbyt śmierdzące. Chciał tego oszczędzić swojej młodej żonie. Natka jednak nie dawała za wygraną.

– Kochanie, znam cię nie od dziś. Powiedz mi, proszę, ulży ci.

Użyła ciepłego i kojącego głosu, który sprawiał, że Kuba czuł się jak na sesji u psychoanalityka. Dodatkowo zaczęła delikatnie głaskać jego dłoń. Po kilkunastu sekundach tej małżeńskiej terapii pękł.

– Chodzi o to, że... – zawahał się, szukając odpowiedniego słowa. – Widziałem tam płonącego faceta – powiedział szybko i spuścił wzrok.

– Udało ci się go uratować? – zapytała, uważnie dobierając słowa i patrząc głęboko w brązowe oczy męża. Wiedziała, że sprawa jest poważna i nie pora na żarty.

Kuba westchnął głęboko.

– Nie. Ale on był jakiś dziwny – odpowiedział. Trzymał podniesioną głowę i patrzył prosto w twarz żony. – Całe jego ubranie stało w płomieniach... – mówiąc to, zaczął gestykulować rękami, pokazując miejsca, które się paliły – ...a on po prostu stał i na mnie patrzył. Potem zniknął w kolejnym pomieszczeniu. Tak o, po prostu wyszedł, popatrzył się na mnie i poszedł sobie dalej. Jakby w ogóle nie czuł płomieni ani bólu.

Natalia dłuższą chwilę spoglądała na niego w milczeniu.

– Bez sensu – dodał, kręcąc głową.

– Może był w szoku? – zapytała. – Wiesz, ludzie w szoku dziwnie się zachowują. U niektórych adrenalina i endorfina jest pompowana z taką mocą, że w ogóle nie czują bólu. Widziałam kiedyś taki program na Discovery, o żołnierzach.

Natalia nie była pewna, czy jej mąż w ogóle słyszał to, co przed chwilą mówiła. Kuba wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze z płuc. Odwrócił się w stronę dziewczyny.

– Wiem, o czym mówisz – odparł. – Weź jednak pod uwagę, że już nie raz widziałem ludzi w szoku. Ten facet był inny. Było w nim coś dziwnego. Niepokojącego.

– Okej, rozumiem – odparła nieprzekonana Natalia.

Nagle usłyszeli strzał. Po sekundzie kolejny. Kuba zjeżył się i spojrzał w stronę schodów, po których wszedł na most. Zobaczył, jak stado gapiów, które mijał i którym tak bardzo gardził, rozbiega się we wszystkie strony, wrzeszcząc wniebogłosy. Automatycznie złapał ręką kaburę, w której tkwiła służbowa broń, i rzucił się w kierunku źródła hałasu. Przepychał się łokciami przez tłum. Powietrze przeszywały kolejne huk wystrzałów.

– Policja, przejście! – krzyczał zdenerwowany.

Nie wszyscy go usłyszeli, ale część ludzi się odsunęła. „Dobre i to” – pomyślał. Po chwili dotarł do szczytu schodów i stanął jak wryty.

Zobaczył, jak policjanci, którzy stali za radiowozem, strzelali do ludzi, powalając ich na ziemię. Krzyczeli, kazali się zatrzymywać, w końcu celowali w nogi. Ostatecznie strzelali, jednak ranni dalej czołgali się w ich stronę. Nie mieli broni, nie wyglądali na terrorystów – więc o co chodziło? Policji już doszczętnie odbiło? Jeśli nawet, to nie tylko im, bo Kuba dostrzegł, że strażacy też walczyli – wodą pod ogromnym ciśnieniem polewali osoby powoli idące w ich stronę. Nawet z takiej odległości było widać w ich ruchach nerwowość i strach. Coś było zdecydowanie nie tak. Ludzie byli przewracani i odrzucani – część z nich dosłownie leciała na samochody, część wywracała się wzajemnie o siebie. Jednak każdy niezmiennie wstawał i kontynuował obrany wcześniej kierunek marszu.

Nagle kilkanaście osób zaszło od tyłu grupę strażaków i wbiło się w szeregi, skutecznie ich rozdzielając. Kilku z nich zaczęło odpychać ludzi toporami. Olbrzym, z którym Kuba miał okazję parę minut wcześniej rozmawiać, stał w samym środku broniącej się grupy i wymachiwał bronią, trzymając atakujących na dystans. Jednak jednemu z napastników udało się przedrzeć i rzucić wprost na jego rękę – wyglądało to tak, jakby zaczął go gryźć. Strażak odepchnął go i błyskawicznie ugodził toporem w kolano. Strumień gęstej krwi rozlał się na jezdnię.

Kuba już chciał zbiec na dół i pomóc strażakowi-olbrzymowi, gdy usłyszał krzyk Natalii.

– Kubaaa! – w jej głosie było słycać przerażenie.

Mężczyzna błyskawicznie odwrócił się na pięcie i pobiegł w stronę samochodu, w którym zostawił żonę. Kątem oka dostrzegł, że ludzie uciekają też z mostu – co chwila ktoś na niego wpadał, odbijając się i spowalniając bieg.

W końcu dotarł do Natalii. Na szczęście, wbrew jego największym obawom, żona była cała i zdrowa.

– Co się stało? – zapytał, taksując ją spojrzeniem od góry do dołu. – Nic ci nie jest?

– Nie – odpowiedziała, łapiąc go z ręce i jednocześnie wskazując za siebie – ale spójrz tam.

Kuba odwrócił się. Ludzie opuszczali most w popłochu. Zostawiali pootwierane samochody, pozapalane światła i uruchomione silniki. Mężczyźnie przypominał się film o Godzilli z Jeanem Reno. Oczami wyobraźni zobaczył wielkiego zielonego jaszczura, który podnosi się z Wisły i swoim grzbietem niszczy stary, wysłużony most. „Jasne” – pomyślał. „Z tej rzeki co najwyżej wyskoczyłby stary, obdarty waran. Jaki kraj, takie potwory”. Po chwili jednak powrócił do rzeczywistości.

– Dlatego krzyczałaś? – zapytał nieco zdumiony.

Natalia popatrzyła na niego swoimi wielkimi, błękitnymi oczami.

– No tak. Bałam się, że polecisz na dół i zostawisz mnie samą – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Nie mógł jej za to winić. Uśmiechnął się ciepło.

– Już jestem, nie martw się – powiedział i pocałował ją w czoło.

Nagle, zupełnie niespodziewanie złapał przebiegającą obok osobę za rękę.

– Co się tam dzieje?

Młody chłopak, na oko w wieku gimnazjalnym, był wyraźnie zdezorientowany. Popatrzył na rękę, która go trzymała, później na Kubę.

– Puść mnie, kurwa – zaczął się wyrывać.

Kuba wzmocnił uścisk, wyjął odznakę z tylnej kieszeni i pokazał chłopakowi.

– Czemu wszyscy uciekają? – zapytał raz jeszcze, przysuwając twarz bliżej.

Chłopak wyraźnie zmiękł.

– Nie wiem. Ludziom odbiło i zaczęli się po prostu zjadać – powiedział szybko, nie patrząc Kubi w oczy.

Policjant odwrócił się i popatrzył na żonę. Potem ponownie spojrzął na chłopaka.

– Matka wie, że ćpasz?

– Jak mi nie wierzysz, to sam idź i się przekonaj, dupku – warknął małolat, po czym szarpnął się i uciekł, nim Kuba zdążył zareagować.

Mężczyzna nie zamierzał go gonić. Wyglądało na to, że na moście dzieje się to samo, co pod nim.

– Dobra, Natka, bierz torebkę i spadamy.

Natalia, która z przerażeniem słuchała rozmowy Kuby z chłopakiem, popatrzyła na męża i spytała wystraszona:

– Co się tu dzieje?

– Nie wiem dokładnie, kochanie – odparł, znikając w samochodzie. Po chwili wynurzył się z plecakiem i kontynuował: – Zamkniemy samochód i podejźmy na komisariat albo znajdziemy jakiś radiowóz po drodze i od chłopaków dowiemy się, co jest grane. Ale nie zostaniemy tutaj, bo dzieje się coś dziwnego.

– A nie możemy pojechać? – zapytała nieco zdziwiona Natalia.

Kuba popatrzył na żonę i po raz kolejny w życiu zastanowił się, dlaczego kobiety jednocześnie ładne i inteligentne są tak rzadko spotykane...

– Nie, bo za nami, przed nami i obok nas – zaczął wolno tłumaczyć małżonce – stoją puste samochody. Jakby to powiedzieć... Nie przeciśniemy się.

Mówiąc to, uśmiechnął się wyjątkowo wrednie.

Natalia w odpowiedzi obrzuciła go lodowatym spojrzeniem i zanurkowała po torebkę. Po dłuższej chwili wyciągnęła ją, pakując przy okazji do wnętrza parę innych rzeczy. Kuba zamknął samochód.

– Chodźmy – powiedział, biorąc ją pod rękę. Wyrwała się i poszła przodem.

„Nawet w takim momencie foch” – pomyślał i ruszył jej śladem.

W tej samej chwili za plecami usłyszał krzyk. Skulił się odruchowo, sięgnął po broń i błyskawicznie odwrócił. Zobaczył dwoje ludzi szarpiących się przy ich samochodzie. Tuż za nimi dostrzegł kilkadziesiąt kolejnych, przechodzących pomiędzy samochodami. Wszyscy wyglądali jak ofiary poważnego wypadku: zakrwawieni, ubrania w strzępach. Niektórzy byli nadpaleni, innym brakowało widocznych części ciała – ucha, ręki, kawałka policzka. Część z nich jęczała, jakby cierpiała z bólu. Jednak coś było z nimi nie tak. Te oczy... Ich wzrok był zupełnie obojętny.

– Kuba... – usłyszał. Odwrócił się i dostrzegł Natalię, która blada jak ściana wpatrywała się w ten przerażający tłum.

– Spadamy stąd. Migiem! – Podbiegł do żony, złapał ją za rękę i pociągnął w stronę Starego Miasta.



## METRO, GODZINA 13:19.

Max po raz kolejny z niepokojem odwrócił się w stronę wagonów, które niedawno opuścili. Spojrzał w stronę Pawła, lecz w ciemności nie dostrzegł jego twarzy. Jednostajne posapywanie mężczyzny i szuranie rannej kobiety utwierdzało go w zbawiennym przekonaniu, że nie jest sam. Tunel pachniał stęchlizną i wilgocią. Chłopak co kilkanaście metrów zatrzymywał się i świecił latarką Pawła w jego głąb. Miał nieodparte wrażenie, że cały czas ktoś za nimi idzie – oczyma wyobraźni widział obitych, ledwo poruszających się ludzi. To go skutecznie dopingowało do tego, by jak najszybciej oddalić się od miejsca katastrofy.

Nagle usłyszał jęknięcie. Zatrzymał się gwałtownie, co zwróciło uwagę Pawła.

– Co jest? – zapytał mężczyzna zziąjanym głosem, również przystając.

– Coś słyszałem – odpowiedział cicho chłopak.

Paweł głośno westchnął.

– Max? Tak masz na imię, prawda? – zapytał i dodał, nie czekając na odpowiedź: – Słuchaj, tam niczego nie ma. Jeżeli coś słyszałeś, były to tylko odgłosy płonącego pociągu. Trzaskający metal, pękające szyby i takie tam dźwięki. Chyba że ktoś się jeszcze uratował i idzie za nami. Staraj się tym nie przejmować.

Chłopak odwrócił się i poświecił latarką pod nogi Pawła, żeby go zobaczyć, ale nie oślepić.

– To było coś innego... – odparł. – Słyszałem jęknięcie. Jakby ktoś stękał z bólu.

Paweł stał chwilę, nic nie mówiąc. Korzystał z każdej możliwości odpoczynku. W oddali było już widać światła stacji Służew, jednak idąc pod ramię z raną kobietą, zaczynał coraz bardziej się męczyć. „Jeszcze jakieś dwieście metrów. To nic w porównaniu do tego, co już nie raz przeszedłeś” – pomyślał.

– Lepiej pomóż mi z naszą koleżanką – powiedział w końcu, zupełnie ignorując obawy Maxa i ruszając w stronę świateł stacji metra.

Nagle między nimi znalazła się czwarta osoba.

Max poczuł, jak jego całe ciało kurczy się ze strachu – automatycznie odskoczył w stronę ściany, dosłownie w ostatniej chwili unikając bezpośredniego kontaktu z intruzem, niestety jednocześnie upuścił latarkę. Kobieta, która niespodziewanie wynurzyła się z ciemności, minęła go i ruszyła bezpośrednio w stronę pozostałej dwójki.

Dystans, który miała do przebycia, był zbyt krótki, aby Paweł zdążył się w pełni odwrócić – kobieta wpadła z impetem na raną dziewczynę i wylądowała wraz z nią na dnie tunelu, wyrywając ją z uścisku mężczyzny. Ocalała z katastrofy krzyknęła krótko. W tym momencie napastniczka błyskawicznie przygniotła ją całym ciężarem swojego ciała, następnie złapała za rękę oraz głowę i wgryzła się jej w kark. Ofiara wrzasnęła z bólu, wijąc się niczym zwierzę w pułapce. Max stał przerażony,

opierając się plecami o ścianę. Leżąca latarka niewyraźnie oświetlała to, co się działo, a szalejące wokół cienie skutecznie podsuwały wyobraźni kolejne, straszne obrazy.

Nagle Paweł podbiegł, chwycił kobietę w pasie i z nadludzką wprost siłą odrzucił ją w głąb tunelu. Następnie pochylił się nad młodą dziewczyną.

– Hej! Słyszysz mnie?! – odwrócił ją na plecy, szukając jakichkolwiek oznak życia.

Dziewczyna w odpowiedzi wydała z siebie kilka nieartykułowanych dźwięków.

– Światło! – mężczyzna wrzasnął w stronę chłopaka.

Max błyskawicznie podniósł latarkę. Poświecił w stronę Pawła i rannej dziewczyny, po czym przeniósł snop światła na napastniczkę. A ta właśnie podniosła się z ziemi. Chłopak zaświecił jej prosto w twarz, a to, co zobaczył, sprawiło, że automatycznie cofnął się o krok.

Kobieta, która ich zaatakowała, wyglądała jak uciekinierka z szpitala psychiatrycznego. Jej ubranie było postrzępione i brudne, jakby przez tydzień buszowała w śmietniku. Twarz i włosy miała skąpane we krwi. Jednak najgorsze były oczy – tęczówki praktycznie zniknęły, ustępując miejsca czerni, która zajmowała teraz większą część gałki ocznej. I to spojrzenie, dzikie, pierwotne... Wzrok wściekłego drapieżnika, którego nic nie powstrzyma przed zrealizowaniem celu, który nie ma sumienia, nie potrafi współczuć i nie wie, czym jest moralność. Kobieta wyglądała jak sama śmierć.

I w tym momencie śmierć ruszyła w kierunku swojej niedoszłej ofiary.

– Nie podchodź! – krzyknął ostrzegawczo Paweł, wyciągając przed siebie otwartą dłoń.

Kobieta jednak nie zwolniła, tylko dalej, nieustępliwie zmierzała w jego kierunku. Dzielilo ich mniej niż dwa metry, jednak Paweł stał pewnie, wyraźnie nie zamierzając uciekać.

– Stój! – powtórzył raz jeszcze głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Nic to nie dało, bowiem w tym momencie kobieta pochyliła się do przodu i spróbowała pochwycić rękę Pawła, jednocześnie przygotowując się do ugryzienia. Mężczyzna zareagował błyskawicznie – cofnął rękę, po czym pewnym ruchem kopnął kobietę w prawe kolano. Ta zachwiała się i uklękła. Mężczyzna bez wahania wykorzystał sprzyjającą pozycję, kopiąc agresorkę tym razem prosto w klatkę piersiową. Na skutek uderzenia ta ponownie znalazła się na podłodze.

Max obserwował wszystko z otwartymi ze zdziwienia ustami, nie do końca wierząc w to, co widzi. Miał wrażenie, jakby oglądał jakiś film science fiction. Tymczasem Paweł wykorzystał nadarżającą się okazję i jednym susem doskoczył do rannej dziewczyny. Tym razem nie pytał, jak się czuje. Po prostu poderwał ją do góry, wziął na ręce i zaczął biec w stronę stacji metra. Po kilku metrach zatrzymał się i odwrócił w stronę Maxa.

– Rusz się, na co czekasz?! – krzyknął do sparaliżowanego strachem chłopaka.

Słowa docierały do niego jak przez mgłę, jednak ciało zareagowało tak, jak powinno – Max zaczął biec, chaotycznie świecąc latarką po ścianach tunelu.

– Co to, kurwa, było?! – wydusił zdyszonym głosem, gdy tylko dogonił uciekinierów.

Mężczyzna spojrzał na chłopca obojętnym wzrokiem. Nie odpowiedział.

Dobiegli na Służew. Paweł położył ranną dziewczynę na peronie, po czym podciągnął się i wskoczył w ślad za nią. Max dopiero teraz zobaczył, że pod szarą koszulką drgały potężne mięśnie. Facet

był bardzo dobrze zbudowany, a do tego ruszał się bardzo zwinnie, cicho i pewnie. „Bezapelacyjnie coś ćwicz” – pomyślał.

Paweł odwrócił się, podał chłopakowi rękę i pomógł mu wejść. Gdy cała trójka była już na bezpiecznym, jasnym kawalku podłogi, Paweł po raz kolejny pochylił się nad dziewczyną. Odwrócił ją na plecy i podłożył rękę pod głowę. Miała zamknięte oczy i delikatnie rozchylone usta. Paweł przyłożył jej dwa palce do szyi, licząc, że wyczuje tętno. Patrzył skupionym wzrokiem w głąb tunelu, z którego przyszli, w myślach licząc sekundy.

– I...? – zapytał cicho Max, nieśmiało przerywając ciężką ciszę.

Paweł w odpowiedzi pokiwał przecząco głową. Chłopak stał i przyglądał się dziewczynie. Pierwszy raz w życiu widział martwą osobę. Często wyobrażał sobie, co w tym momencie będzie czuł – czy będzie się zastanawiał nad sensem życia, nad jego kruchością, przemijaniem, czy też będzie mu po prostu smutno? A może właśnie nie poczuje niczego? W obecnej sytuacji, ku swojemu wewnętrznemu rozczarowaniu, ostatnia opcja była najbliższa rzeczywistości. Prawdopodobnie było to spowodowane szokiem, jaki właśnie przeżywał. Jeżeli powód był inny, chłopak nie chciał go znać.

Mężczyzna podniósł głowę i zaczął się rozglądać.

– Max.

– Tak?

– Stacja jest pusta.

W pierwszej chwili chłopak nie do końca zrozumiał, o co chodzi. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w zwłoki.

– No i co z tego? – zapytał w końcu, z trudem odrywając od nich wzrok. – Stacje często są puste.

Chciał coś jeszcze dodać, ale w tym właśnie momencie uświadomił sobie, że nigdy w życiu nie był na stacji metra zupełnie sam. Zawsze obok była co najmniej jedna lub dwie osoby. Nawet w środku nocy. Spojrzał prosto w szare oczy Pawła.

Podnieśli się i ruszyli szybkim krokiem w stronę schodów prowadzących na powierzchnię. Gdy je pokonali, ich oczom ukazały się zaciągnięte do podłogi kraty. Max podbiegł i zaczął w nie wściekle walić.

– Jest tam kto?! Jeszcze my! Wypuście nas, do cholery! – krzyczał, bezskutecznie łomocząc pięściami w niespodziewaną przeszkodę.

Paweł w tym czasie stał nieopodal. Skupiony, analizował sytuację, szukał wyjścia i logicznego powodu, dla którego stacja metra w środku dnia została odcięta od świata.

– Idę zadzwonić – powiedział, schodząc z powrotem na peron.

– Przecież tu masz lepszy zasięg! – krzyknął za nim chłopak.

– Żółty telefon! – odparł tamten, znikając z pola widzenia.

Max skarcił się w myślach za swoją głupotę. Spojrzał raz jeszcze na zagrodzone wyjście, po czym ruszył po schodach w ślad za towarzyszem.

Dobiegł do Pawła, gdy tamten odkładał słuchawkę na widełki.

– I co? – zapytał.

– Nic. Cisza. Nie ma sygnału.

Przez chwilę mężczyźni patrzyli na siebie. Paweł nie zdradzał najmniejszych oznak zdenerwowania. Co innego Max, który pomimo najszczerzych chęci i ogromnego wysiłku, czuł, że sytuacja zaczyna go powoli przerastać. Najpierw katastrofa pociągu, potem ta szalona kobieta i teraz to. Odczuwał ogromną potrzebę wydostania się na świeże powietrze.

– Co robimy? – chłopak przerwał ciszę.

Paweł rozejrzał się po stacji, zatrzymując wzrok na tunelu, z którego wyszli.

– Idziemy dalej.

– Co? – zapytał zdumiony Max. – Przecież to bez sensu! Musimy tu poczekać, na pewno ktoś zaraz przyjdzie. Musimy pomachać do kamery, poczekać na ochroniarza, ratowników, albo na... – chłopak zaczął wykonywać nieskoordynowane ruchy, miotając się w panice po peronie.

Paweł popatrzył na niego z politowaniem. W końcu miał chwilę, żeby mu się przyjrzeć. Średniego wzrostu, ewidentny miłośnik ciężkiego brzmienia. Glany, bojówki i czarna koszulka z napisem, który nie sposób było przeczytać. Kudłata głowa i krzaczaste brwi skrywały ciekawe świata, brązowe oczy.

– Słuchaj. Możesz robić, co chcesz, nie będę ciągnął cię ze sobą na siłę. Wiedz jednak, że mamy zaledwie dwa wyjścia z tej posranej sytuacji – albo pójdziemy dalej z nadzieją, że na kolejnej stacji uda nam się wydostać na powierzchnię, albo zostaniemy tutaj, czekając na pomoc, najpewniej do usranej śmierci. Problem polega na tym, że nie wiem, co przyjdzie do nas pierwsze – służby ratownicze czy ta popieprzona babka, którą spotkaliśmy w tunelu. Widziałeś, jak potraktowała ranną dziewczynę. Jesteś gotowy na podobne spotkanie?

Max doskonale to pamiętał. Teraz odwrócił się w stronę zwłok i... zamarł.

Peron był pusty. Oczywiście nie licząc ich dwóch i przeciągu.

Spojrzał na Pawła z paniką w oczach. Mężczyzna odwzajemnił spojrzenie, nieświadomie zaciskając przy tym zęby. „A jednak on też się denerwuje” – stwierdził z pewną ulgą Max. Paweł jako pierwszy ruszył w stronę miejsca, w którym jeszcze pięć minut temu pozostawił martwą dziewczynę.

– Co jest, do cholery? – wyszeptał, bardziej do siebie niż do Maxa. – Przecież położyłem ją daleko od torów. Nie mogła się przeczołgać i spaść.

Max ruszył w ślad za Pawłem, jednocześnie włączając latarkę i świecąc w miejsce, gdzie przed chwilą leżała dziewczyna. Światło odbiło się od kilku świeżych plam krwi, ciągnących się w stronę torów. Kilka metrów od krawędzi peronu Paweł odwrócił się w stronę Maxa.

– Podaj mi latarkę – powiedział, wyciągając rękę.

Chłopak uczynił to bez wahania, równocześnie nie spuszczając wzroku z plam krwi. Mężczyzna podszedł do krawędzi, wychylił się i poświecił wzdłuż torów. Jego źrenice wyraźnie się rozszerzyły.

W świetle latarki Paweł zobaczył, że kobieta, którą skopał w ciemnym tunelu, wróciła, żeby dokończyć dzieła, które zaczęła podczas szamotaniny. Trafiona snopem światła uniosła głowę. Cała jej

twarz była skąpana we krwi rozszarpanej dziewczyny, którą ściągnęła z peronu z powrotem pomiędzy tory. Prawdopodobnie nie dała rady się wspiąć, więc poradziła sobie tak, jak potrafiła. Z jej rąk zwisały ochłapy mięsa, wyrwane z trzewi ofiary. Popatrzyła na Pawła, lecz już po sekundzie wróciła do posiłku. Dopiero teraz w nozdrza mężczyzny uderzył ciężki zapach krwi i smród ludzkich wnętrzności. Zasłonił usta dłonią, ale dalej wpatrywał się w scenę rzezi, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Sądził, że po misji w Afganistanie i Somalii już nic go nie zaskoczy – naoglądał się wystarczająco dużo śmierci i zła, siedząc na widowni w pierwszym rzędzie. Nie raz był świadkiem okrucieństwa ludzi wobec ludzi. Widział, jak podrzynają sobie gardła, jak wciskają palce w oczodoły. Jak duszą się, zaciskając jednocześnie wściekle zęby. Jednak to, co obserwował teraz, wykraczało poza jego zdolności rozumowania. To nie było normalne. Nie tutaj, nie w Warszawie, nie w chłodnym tunelu metra. Nie w środku jego pieprzonego urlopu.

Usłyszał hałas i automatycznie podniósł latarkę, oświetlając tunel, z którego wcześniej wyszli. Ujrzał w nim dziesiątki ludzi idących mozolnie w stronę peronu. „Ocaleni” – pomyślał automatycznie w pierwszej chwili. Jednak wszyscy oni byli jacyś dziwni. Szli chaotycznie, nieskładnie, jak dzieci, które dopiero stawiają pierwsze kroki, lub jak ludzie, którzy dopiero co wyszli poturbowani z wypadku. „No bo wyszli z wypadku, kretynie” – skarcił się w myślach. Nagle mężczyzna, który znalazł się najbliżej rozszarpywanej kobiety, wyraźnie przyspieszył. Zaczął jęczeć, powłócząc nogami i wyciągając przed siebie spaloną rękę. Jego ubranie kleiło się od zakrzepłej krwi i kurzu. Po kilku krokach podszedł do zwłok, opadł ciężko na ziemię i zagłębił ręce w rozdartym ciele bestialsko zamordowanej dziewczyny. Uniósł fragment jej wnętrzności i łapczywie wsadził sobie do ust.

Obserwujący całą scenę zza pleców Pawła Max zwymiotował. Na Pawła ten bardzo ludzki odruch podziałał wyjątkowo trzeźwiąco. Złapał chłopaka za ramię, pomógł mu się podnieść i zapytał:

– Na pewno dalej chcesz tu zostać i czekać na pomoc?

Max szybko pokręcił głową. Przerazenie bijące z jego bladej twarzy stanowiło najlepszą odpowiedź.

## BIELANY, GODZINA 13:30.

Tomek wpadł do mieszkania niczym torpeda i zatrzasnął za sobą drzwi. Sprawdził dwukrotnie zamki i gdy stwierdził, że bardziej zamknięte już być nie mogą, zrzucił plecak, oparł się plecami o ścianę i osunął powoli na ziemię. Schował głowę w dłoniach i wziął kilka głębokich oddechów. Starał się uspokoić.

Ale nie mógł. To, co zobaczył, zdecydowanie go przerastało. Myśli przeskakiwały w głowie niczym agresywnie zmontowane ujęcia w zwiastunie filmu akcji – nocny wypadek, pokrwawiony mężczyzna atakujący dresiarza, krótki, acz treściwy kontakt wzrokowy i teraz to – ponowne spotkanie. Czyżby tamten gość go śledził? „To niemożliwe, przecież nie mógł wiedzieć, gdzie mieszkam” – pomyślał Tomek. Wszystko to jest bez sensu. Zaczął nerwowo stukać stopą w starą, wysłużoną szafkę na buty. „Muszę zadzwonić do Długiego, bo zwariuję”.

Wsadził rękę do kieszeni, ale nie znalazł w niej telefonu.

– Kurwa – wycedził przez zaciśnięte zęby, uderzając dłonią w szafkę. Przypomniało mu się, że przecież komórkę niedawno mu ukradziono. Mógłby co prawda skorzystać ze stacjonarnego, ale nie pamiętał numeru żadnego z kumpli. Wszystkie dane były zapisane na karcie pamięci, więc nie musiał się ich uczyć. Ale zostało jeszcze jedno wyjście.

Wstał i ruszył w stronę swojego pokoju. Włączył komputer. Czekał, aż system operacyjny się załaduje, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Na początku nieśmiało, nie przysuwając twarzy do szyby. Gdy upewnił się, że nikt nie wpatruje się obłąkanym wzrokiem w jego okno, przysunął się bliżej.

Na ulicy panował zgiełk. Tomek mieszkał tak blisko stacji metra, że był przyzwyczajony do dużego ruchu. Ale teraz było inaczej, ludzie byli wyraźnie zdenerwowani i biegali w kółko, zupełnie jakby znajdowali się w szale przedświątecznych zakupów. Kilka osób chodziło wolniej z wyciągniętymi przed siebie rękami. Inni uciekali, co chwila zmieniając kierunek. Ktoś krzyknął. Odgłos był stłumiony, więc Tomek otworzył okno. I nagle wszystko zrozumiał.

Ludzie zachowywali się jak zwierzęta. Atakowali się nawzajem, gryząc się i drapiąc. Na chodniku wiła się jakaś kobieta, a nad nią klęczały cztery osoby – jedna z nich wgryzała się w jej nogę, kolejna w rękę, a pozostałe dwie w brzuch. Kobieta krzyczała rozpaczliwie. Chłopak w wieku Tomka zdecydował się podbiec i pomóc – odciągnął jednego z atakujących, uderzył w twarz i odwrócił się, aby złapać kolejnego. Niestety, znalazł się w pułapce i po chwili chaotycznej walki leżał obok kobiety, wrzeszcząc wniebogłosy. Do uczty przyłączyły się trzy nowe osoby, wietrząc łatwy łup. Nadjechał radiowóz. Dwaj policjanci wybiegli z samochodu, zostawiając otwarte drzwi i nie gasząc silnika. Jak na filmach, jeden był gruby i niski, a drugi szczupły i wysoki. Pierwszy wyciągnął broń, wycelował i krzyknął coś w stronę zgromadzonych. Strzał ostrzegawczy przeszył powietrze i poszybował ku

palącemu, lipcowemu słońcu. Jedna z osób uniosła zakrwawioną twarz, warknęła i po chwili wróciła do konsumpcji. W tym czasie drugi policjant podbiegł i zrobił to samo, co wcześniej starał się uczynić młody chłopak – odciągnął atakującą osobę od ofiary, odrzucając ją na chodnik.

Niestety – potknął się, padł na ziemię i został błyskawicznie zaatakowany przez trzech napastników. Walczył, próbował sięgnąć po broń, ale nie miał najmniejszych szans. Widząc to, grubszy funkcjonariusz strzelił w kolano mężczyzny idącego wprost na niego. Siła pocisku roztrzaskała mu rzepekę, przewracając atakującego na ziemię. Po chwili ranny zaczął się mozolnie czołgać w stronę policjanta. Ten, najwyraźniej zdezorientowany, ruszył szerokim łukiem w stronę kolegi, cały czas celując do mężczyzny na chodniku.

Tomek przyglądał się temu wszystkiemu z narastającą paniką. Odsunął się od okna i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Nagle usłyszał serię wystrzałów z pistoletu i długi, przeciągły krzyk. Nie chciał podchodzić z powrotem do okna, bo wiedział, co tam ujrzy. Ale i tak podszedł.

Gruby policjant, którego jeszcze parę sekund temu obserwował, teraz zniknął przykryty wijącymi się ciałami. Przed nim leżały dwa trupy – każdemu z nich spod głowy wyciekała długa, czerwona wstęga krwi. „Musiał strzelać w głowę, żeby w końcu je zabić” – stwierdził chłopak. „Co to ma być, jacyś cholerni zombie?” – dodał w myślach.

Rozmyślenia przerwał krzyk dochodzący z klatki schodowej. Tomek wybiegł z pokoju i zbliżył się do drzwi wejściowych. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, odsunął zasuwę, otworzył je i wybiegł na korytarz.

Już wiedział – zombie dostali się do środka. Ujrzał swoją sąsiadkę, starszą panią, która bezskutecznie starała się odpędzić od siebie dwie atakujące ją osoby. Tomek wiedział, że nie może już jej pomóc. Jeden z napastników wgryzł się swojej ofierze w szyję, rozszarpując tętnicę. Po kilku sekundach walki cała klatka schodowa była dosłownie skąpana we krwi. Do chłopaka dotarł ciężki, metaliczny zapach, od którego aż zakręciło mu się w głowie. W tym momencie zakrwawiony, obszarpany mężczyzna spojrzał w jego stronę. Puścił rękę ofiary, która bezwładnie osunęła się na ziemię, i ruszył powoli schodami, kierując się wprost do Tomka. Mimo półmroku panującego na klatce, chłopak doskonale widział jego oczy – dwa ciemne, bezdenne punkty świdrujące go na wylot. Przez pierwszych kilka sekund stał niczym sparaliżowany. Serce, oszalałe z przerażenia i nadmiaru adrenaliny, prawie wyskoczyło mu z piersi. Mężczyzna pokonał kolejny stopień. Nie wiedzieć czemu, Tomek nagle przypomniał sobie, jak kilka lat temu był z rodzicami na Mazurach. Mógł mieć wtedy siedem, osiem lat. Ojciec zabrał go na spacer po wsi, gdy w pewnym momencie przez dziurę w płocie wyskoczył na nich pies. Potwór ujadł wściekle i toczył pianę z pyska. Na szczęście był na łańcuchu. Ojciec powiedział wtedy do wystraszonego syna: „Tomek, uważaj, bo cię dziabnie”. Mężczyzna nieubłaganie zbliżał się do drzwi – kolejny stopień, kolejne kilka centymetrów.

„Uważaj, bo cię dziabnie” – rozbrzmiało echo w głowie Tomka. Nagle chłopak oprzytomniał. Jak w zwolnionym tempie zobaczył, że mężczyzna wyciąga rękę w jego stronę – dzieliły ich już tylko trzy stopnie. Tomek odruchowo uchylił się i jednocześnie kopnął napastnika, który swobodnym, aczkolwiek krótkim lotem powrócił na początek schodów. Sekundę później chłopak był już we wła-

snym mieszkaniu, za zamkniętymi drzwiami, przysuwając do nich szafkę z butami i inne graty, aby tylko jak najskuteczniej zabarykadować wejście.



## MOKOTÓW, GODZINA 14:00.

co? – zapytała Karolina, siedząca w kucki pod oknem.

Jacek podniósł się spod drzwi. Próbował wyrzeć przez szparę na korytarz, bo samo nasłuchiwanie było niewystarczające.

– Sam nie wiem – odpowiedział niepewnie. – Wygląda na to, że sobie poszli.

Karolina pokiwała w ciszy głową, wpatrując się w kolegę.

– Ale pewny nie jesteś... – raczej stwierdziła, niż spytała.

– Nie – odpowiedział krótko.

Podszedł do koleżanki i kucnął obok.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Słabo – odpowiedziała dziewczyna. – Ręka ciągle boli i pulsuje, a na dodatek zaczyna mi się kręcić w głowie.

Jacek dotknął jej czoła i stwierdził, że jest rozpalone. Rozejrzał się po raz kolejny po zamkniętej łazience, szukając czegoś, co mogłoby być w tym momencie do czegokolwiek przydatne. Zupełnie nic. „Marność nad marnościami i wszystko marność” – biblijna sentencja rozbrzmiała mu echem w głowie. Nawet nie był pewien, czy dokładnie tak to szło. I niezbyt go to w tym momencie obchodziło. Poczul się zmęczony całą tą sytuacją – niczego nie pragnął bardziej, niż tylko położyć się, zwinąć w kłębek i usnąć. Tak by było zdecydowanie najprościej. Niestety wiedział, że nie ma na to najmniejszych szans. Przynajmniej nie w tej chwili.

– Ile czasu tu już siedzimy? – Karolina spojrzała nań pytająco.

Chłopak rzucił okiem na swoje srebrne Casio zapięte ciasno na nadgarstku. Kiedy kupił ten zegarek parę lat temu, był taki dumny i pewny siebie. A teraz, spoglądając na ten nic niewarty zlepek metalu, kół zębatych i śrubek, poczul się totalnie beznadziejnie. Nagle zalala go fala wściekłości – już sięgał, żeby zdjąć zegarek i cisnąć go przez okno, gdy nagle usłyszał:

– Jacek? Ej, jesteś tam?

Spojrzał nieprzytomnym wzrokiem na Karolinę.

– Tak – odpowiedział, starając się stłumić targające nim negatywne uczucia.

– Możesz mi powiedzieć, która jest godzina?

– A jaką ci to zrobi różnicę? – zapytał, podwijając jednocześnie mankiet koszuli. Cała wściekłość powoli zeń ulatywała.

– Żadną, po prostu chciałabym wiedzieć.

– Druga – odparł i przeciągnął ręką po zmęczonej twarzy. Ze świstem wypuścił powietrze z płuc i podszedł do okna. Ulica, na którą patrzył, była pusta jak zawsze. Stało parę zaparkowanych samochodów, nikogo nie było widać.

– Jak się czujesz? – zapytała po chwili milczenia dziewczyna.

Jacek nie odpowiadał. Zastanawiał się, skąd u niego taki nagły atak wściekłości i agresji. Był przecież raczej osobą spokojną, bezkonfliktową – ale też nie dawał sobie w kaszę dmuchać. „Może tak na mnie działa ekstremalny stres?” – pomyślał.

Odwrócił się w stronę Karoliny.

– Okej. Bywało lepiej, ale jakoś daję radę – uśmiechnął się przy tym, świadomy, jak błady był to uśmiech.

– Nie wyglądasz „okej” – odparła zupełnie poważnie Karolina. – Ale skoro tak twierdzisz...

Oparła głowę o ścianę. Z minuty na minutę robiła się bledsza.

– To ile my już tu siedzimy, ze trzy godziny? – zapytała po chwili.

– Nie, raptem około godziny – odpowiedział.

– I co dalej?

– Co masz na myśli?

– No, czy będziemy tu siedzieć do usranej śmierci, czy w końcu stąd wyjdziemy.

Nie spodziewał się tak konkretnego pytania z jej ust – mile go zaskoczyła. Jednak sam nie był w stanie dać jej równie konkretnej odpowiedzi. Oczywiście, że chciał stąd wyjść, nie było to jednak tak proste, jak mogłoby się wydawać. Najpierw ktoś dobijał się do łazienki, ale Jacek nie otworzył. Może dlatego, że ten ktoś nie odpowiadał na jego pytania, tylko uparcie walił w drzwi, wydając przy tym nieartykułowane dźwięki niczym dzikie zwierzę.

– Powinniśmy chyba pójść do szpitala – stwierdził.

– Nie lepiej byłoby zadzwonić po lekarza? – usłyszał w odpowiedzi.

Jacek popatrzył na nią, unosząc brwi z niedowierzaniem.

– A masz telefon...?

Karolina posłała mu mętne, nieobecne spojrzenie z rodzaju: „Czy ja, kurwa, lubię poziomki?”. Ostatnie w miarę trzeźwe, gdyż w tym momencie pokój zalała mgła, delikatnie, acz nieubłaganie pochłaniając wszelkie kształty i zaburzając percepcję. Po wieczności spędzonej na wpatrywaniu się w bliżej nieokreślone coś, dziewczyna poczuła, jak jej ciało rzuca się bezwładnie w torsjach – do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu... „Pewnie umieram” – pomyślała. Nagle podłoga zapadła się, a Karolina przez ułamek sekundy lewitowała, po czym została dosłownie wciągnięta w czarną otchłań, która ukazała się tuż pod nią. Zaczęła spadać, nabierając coraz większej prędkości. Miała wrażenie, że środek Ziemi jest coraz bliżej, niemalże czuła już ciepło jądra planety. Zupełnie niespodziewanie wypadła z dziury i znalazła się w kosmosie. Unosiła się bezwładnie w próżni. Jej wzrok przykuła malutka kula światła, zataczająca powolny łuk na wschodzie. Kula nabierała prędkości, rosła i zmierzała prosto w jej kierunku. Karolina chciała krzyknąć, lecz nie była w stanie wydobyć z siebie najmniejszego dźwięku – kometa trafiła ją prosto w twarz.

Do uszu dziewczyny dotarło głośnie plaśnięcie. Policzek zapłonął żywym ogniem. Spojrzała przed siebie i ujrzała Jacka. Ten głośno westchnął i rozmasował czerwoną dłoń.

– Jesteś znów ze mną? – zapytał. – Słyszysz mnie, słyszysz cokolwiek?

Kiwnęła głową.

– Ile widzisz palców? – Kolejne pytanie.

Karolina popatrzyła przed siebie i skupiła wzrok.

– Trzy.

– Dobra – powiedział Jacek i usiadł przed nią na podłodze.

– Dlaczego mnie uderzyłeś?

Jacek popatrzył jej głęboko w oczy.

– Bo odleciałaś – odparł po chwili milczenia. – Zapytałem, czy masz telefon, a ty jakbyś straciła kontakt z rzeczywistością. Mówiłem do ciebie, pstrykałem palcami, próbowałem cię szczypać i tobą potrząsać, ale to nic nie dawało. Gdy źrenice powędrowały ci do góry, pomyślałem, że muszę coś zrobić, bo to nie wygląda dobrze. No to cię spoliczkowałem. I udało mi się sprowadzić cię na ziemię. – Mężczyzna był wyraźnie z siebie dumny.

Karolina patrzyła na kolegę w milczeniu. Pamiętała dokładnie każdą sekundę swojego „odlotu”, jak to określił. Ale nie potrafiła powiedzieć, ile czasu to trwało. Czowała się coraz dziwniej.

– Dziękuję. Chyba... – powiedziała słabym głosem, by po chwili dodać nieco pewniej: – Może spróbujemy stąd wyjść, bo chyba faktycznie przydałby mi się lekarz.

Jacek kiwnął głową, wstał i podszedł do drzwi. Nadstawił ucha, odczekał parę sekund, po czym delikatnie, bardzo cicho i powoli przekręcił zamek. Wyrzwał na korytarz.

Na drodze prowadzącej w kierunku głównego biura panował spokój. Nie zobaczył nikogo, do jego uszu nie doleciał najmniejszy nawet dźwięk. Poza krwią wsiąkającą w wykładzinę i spływającą po ścianach, poza ciężkim, metalicznym zapachem przyprawiającym o mdłości, wszystko wydawało się być po staremu. Niepewnie zrobił krok do przodu, starając się poruszać jak najciszej i omijając plamy krwi. Czuł się jak na planie jakiegoś horroru. Od paru godzin jego umysł uparcie odrzucał możliwość zaakceptowania faktu, że to, co się dzieje, nie jest fikcją, że wszystko, czego doświadcza, dzieje się naprawdę. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał pogodzić się z sytuacją. Niemniej starał się odwlec ten moment jak najdłużej mógł.

Po dojściu do skrzyżowania korytarzy powoli wysunął głowę i zerknął w stronę kuchni. Korytarz w porównaniu do pomieszczenia, które zobaczył, był sterylnie czysty. Przedśionek przed kuchnią wyglądał jak rzeźnia – krew była dosłownie wszędzie, nawet na suficie. Na podłodze leżały ciała czterech osób. Były kolega-karierowicz zastygł pod ścianą z na wpół rozszarpaną twarzą i jednym okiem wpatrującym się martwo przed siebie. Przełożony Jacka, Przemek, leżał na wznak w kałuży krwi. Jego koszula była rozdarta na plecach, ukazując nagi kręgosłup. Były tam jeszcze dwie osoby, których Jacek nie znał. Nagle złapał się za brzuch, zgiął w pół i zwymiotował. Przez głowę przeleciała mu myśl, że jest to najbardziej ludzkie zachowanie, najbardziej ludzka rzecz, z jaką się spotkał w ostatnim czasie. Reszta była zbyt abstrakcyjna.

Po chwili wyprostował się, odwrócił i machnął ręką w stronę Karoliny, która zerkała na niego przez uchylone drzwi łazienki. Ta odczytała sygnał i zaczęła powoli iść w jego stronę. Zdrową rękę

unosła do twarzy, zakrywając dłonią usta, zarówno z obrzydzenia, jak i z powodu zapachu, który unosił się w korytarzu.

Gdy dotarła do Jacka, chciała wychylić głowę i zobaczyć, co się stało, jednak kolega powstrzymał ją ruchem dłoni.

– Nie chcesz tego oglądać – powiedział.

Karolina spojrzała mu prosto w oczy i przytaknęła. Jacek wiedział, jak bardzo była wrażliwa, i miał nadzieję oszczędzić jej zbędnych doznań.

– Poczekaj tu – powiedział, ruszając w stronę głównego biura. Karolina nawet nie drgnęła. Kusiło ją, żeby wyrzeć za róg i przekonać się na własne oczy, co tak bardzo zszokowało Jacka, jednak coraz wyższa gorączka skutecznie ją zniechęcała do podejmowania jakichkolwiek działań. Oparła się ręką o ścianę i obserwowała powolne, ostrożne ruchy kolegi. Przez chwilę myślała, że wygląda trochę jak Indiana Jones, skradający się przez starożytną świątynię. Nagle świat zalała ciemność, a Karolina poczuła, jak ulatują z niej wszystkie siły.

Jacek nie słyszał, jak Karolina powoli osuwa się po ścianie na ziemię. Był maksymalnie skoncentrowany na terenie, który znajdował się przed nim – dziesiątki boksów pracowniczych z wysokimi ściankami działowymi. Setki miejsc, w których można się ukryć, lub co gorsze, w których można przygotować zasadzkę.

Wziął głęboki wdech i ruszył przed siebie. Powietrze pachniało inaczej, wyraźnie wyczuwał woń krwi, z którą spotkał się już na korytarzu. Z pozoru wszystko wyglądało normalnie. Pierwszą rzeczą, która kazała na siebie zwrócić uwagę, była cisza – w sali, gdzie pracuje setka osób, cisza jest spotykana tylko wtedy, gdy wszyscy wyjdą. Jego nerwy były napięte do granic możliwości. Starał się ogarniać cały pokój wzrokiem, jednocześnie uważnie nasłuchując. Zapuszczał się coraz głębiej między kolejne boksy. Klimatyzatory cicho buczały w tle, pompując do pomieszczenia masy chłodnego powietrza, uparcie starając się usunąć wszechobecny odór krwi. Jacek przez chwilę naprawdę wierzył, że to, czego doświadczył w korytarzu przy kuchni, było jednorazowym wypadkiem – on i Karolina zamknęli się wystraszeni w łazience, a tu pewnie przyjechała policja oraz pogotowie i wszystkich ewakuowała.

Tak, pomysł wydał mu się bardzo fajny i taki oczywisty – jednak w kolejnej sekundzie dotarło do niego, że sanitariusze zabraliby zwłoki, a policja oznaczyłaby teren tymi swoimi słynnymi żółtymi taśmami. Słyszeliby syreny, krzątanie, a przede wszystkim wszędzie kręciliby się funkcjonariusze. Gdy sobie to uświadomił, bańka złudzeń pękła, a on sam musiał po raz kolejny zmierzyć się z rzeczywistością.

Jacek nieustępliwie kierował się w stronę swojego boksu. Celem wyprawy było zdobycie telefonu komórkowego i nawiązanie kontaktu z kimś żywym. Jeszcze tylko dojdzie do drugiej alejki, skręci w prawo i po przejściu trzech kolejnych w lewo. Boks przy samym skrzyżowaniu był przeznaczony dla niego.

Skręcił w prawo i zastygł w bezruchu.

Przed nim znajdowały się dwa ciała. Młoda dziewczyna, której nigdy wcześniej nie widział, leżała na wykładzinie z rozszarpanym brzuchem, cała skąpana we krwi. Tuż obok niej, oparty o ściankę działową, siedział mężczyzna, którego Jacek znał z widzenia, a nawet zamienił z nim kiedyś kilka słów. Przypomniawszy sobie, jak parę tygodni wcześniej ten pochwalił się, że jego żona jest w ciąży, i mówił, czego to on nie zrobi, kiedy już zostanie ojcem. Cóż, wygląda na to, że jego plany uległy delikatnej zmianie – martwy ojciec na niewiele się zda. Dopiero po sekundzie wpatrywania się w zwłoki Jacek poczuł smród krwi tak silny, że aż zasłonił twarz ręką i zrobił krok do tyłu.

Naraz uderzył plecami w osobę stojącą za nim i błyskawicznie odskoczył, jednocześnie odwracając się przodem do napastnika. Ten zgrabny ruch postawił go w pozycji ni to defensywnej, ni to ofensywnej – wyglądał jak kucająca małpa, przyłapaną na kradzieży banana.

Tymczasem tajemniczy i groźny napastnik, którym okazała się być Karolina, również odskoczył, zdziwiony gwałtowną reakcją Jacka.

– Spokojnie, to tylko ja – powiedziała dziewczyna, unosząc zdrową rękę w pojednawczym geście.

Jacek wpatrywał się w nią wzrokiem szaleńca, który resztkami woli stara się utrzymać nerwy na wodzy. Karolina, pomimo trawiącej jej ciało gorączki, próbowała zachować trzeźwość umysłu. W głębi ducha odnosiła wrażenie, że radzi sobie lepiej niż Jacek, i była na siebie wściekła, że zachowała się tak głupio i dała się ugryźć. Mężczyzna patrzył chwilę na koleżankę, po czym przeniósł wzrok na ciało leżące na korytarzu.

– Wystraszyłaś mnie – powiedział usprawiedliwiającym tonem.

– Wiem, sorry – odparła Karolina. – Nie chciałam. Gdzie ty właściwie szedłeś?

– Do swojego biurka, po telefon – odpowiedział już normalniejszym głosem Jacek.

– Moje jest bliżej. Może tam?

Jacek popatrzył na nią, wyraźnie podbudowany myślą, że nie będzie musiał przechodzić obok leżących na ziemi ciał.

– Niegłupia myśl. Prowadź – odparł, wyraźnie już rozluźniony.

Karolina popatrzyła chwilę na zwłoki, po czym przeniosła pytające spojrzenie na kolegę. Ten tylko pokręcił w milczeniu głową, dając jej do zrozumienia, że nic tu po nich. Milczeniem wyraziła zgodę.

Nagle doleciał do nich krzyk.

– Jest tu kto? Ludzie! Pomóżcie!

Oczy Karoliny rozbłysły nadzieją.

– Tak! Tutaj! – krzyknęła i zaczęła iść w stronę, z której, jak jej się wydawało, dobiegło wołanie.

– Bogu dzięki! – padła odpowiedź. – Gdzie jesteście?

Karolina nabrała powietrza w płuca żeby odkrzyknąć, jednak nie zdążyła, bo usłyszała kolejne zdanie.

– Dobra, już was widzę – odparł ten sam, wciąż niezidentyfikowany głos.

Karolina i Jacek zaczęli się rozglądać wokół siebie, ale nikogo nie dostrzegli. Spojrzeli na siebie zdziwieni.

– Gdzie on jest? – pierwszy spytał Jacek.

– Nie wiem, nie widzę go – odpowiedziała Karolina.

– Jezu, co wam się stało? – doleciał do nich znajomy już głos.

Ponownie rozejrzeli się, ale nadal nikogo nie widzieli. „Ktoś albo się z nami bawi w kotka i myszkę, albo majstruje przy kamerach i mikrofonie” – pomyślał Jacek.

– Gdzie jesteście?! – krzyknęła Karolina.

Przez parę sekund panowała głucha, pełna napięcia cisza. Po chwili usłyszeli głośnie łupnięcie, jakby ktoś rzucił ciężkim i bezwładnym przedmiotem o kruchą ściankę działową.

– Co jest, do jasnej... – padło pytanie, z początku ciche, potem przeszło we wrzask. – Nie! Prze-  
stańcie! Puśćcie mnie! Co robicie?!

– Poczekaj tu – powiedział Jacek, po czym pędem rzucił się przed siebie, mknąc labiryntem korytarzy w stronę źródła dźwięku. Osłabiona gorączką Karolina została sam na sam ze zwłokami kobiety i mężczyzny. Zwłokami, które właśnie zaczęły się podnosić.

## CENTRUM, GODZINA 14:00.

Kaja kierowała się w stronę umówionego miejsca spotkania z Adamem. Z powodu dużego ruchu przebiecie się przez aleję Jana Pawła II zajęło jej więcej czasu, niż zakładała. Z drugiej strony zyskała parę minut na ochłonięcie po biegu. Nastąpiła akurat pora dnia, kiedy słońce niemiłosiernie praży ziemię, jednocześnie wysysając prawie całe powietrze. Jedna jej część dalej cieszyła się, że jest coraz bliżej chłodnego metra, jednak druga zdecydowanie wątpiła w to, że plany, które sobie założyła na dzisiejszy dzień, w ogóle dojdą do skutku. Telefon komórkowy Adama ciągle milczał. Najgorsze było to, że nie był wyłączony, co można by wytłumaczyć rozładowaną baterią czy zniszczeniem – telefon był włączony, a chłopak po prostu go nie odbierał. Dziewczynie wyraźnie się to nie podobało. Dla niej niepewność była zawsze gorsza od złych wiadomości – czekanie na wyklarowanie sytuacji doprowadzało ją do szewskiej pasji.

Wkroczyła teraz do małego parku otaczającego Pałac Kultury i Nauki. Nie napotkała zbyt wielu ludzi na swojej drodze – pomyślała, że pewnie byli w pracy albo wyjechali na wakacje. Jednak park nie był całkiem opuszczony. W krzakach nieopodal dostrzegła leżącego mężczyznę. Specjalnie jej to nie zaskoczyło, ponieważ była przyzwyczajona do takich widoków – w warszawskich parkach często, zwłaszcza wieczorami, można było trafić na bezdomnych, szukających choćby odrobiny schronienia pod rozłożystymi gałęziami drzew czy krzewów. Po przejściu kilkunastu metrów zobaczyła kolejnego, także leżącego bez ruchu na ziemi – lecz on już nie wyglądał na bezdomnego. Miał na sobie jasną koszulę i spodnie od garnituru. Kaja zwolniła kroku, przyglądając mu się uważnie. Coś było nie do końca tak, jak być powinno. Przeszła parę kroków i zatrzymała się. Pomyślała, że może jest mu potrzebna pomoc. Może zasłabł z powodu upału, może miał zawał serca albo Bóg wie co jeszcze. Rozejrzała się wokół. Liczyła, że zobaczy kogoś jeszcze i zwróci się do niego o wsparcie.

Jednak zobaczyła coś zupełnie innego. Pomimo doskwierającego upału poczuła, że włoski na jej rękach stają dęba. Żołądek skurczył się w małą, twardą kulkę, a serce zaczęło uderzać z częstotliwością młota pneumatycznego.

Wokół niej, w promieniu około pięćdziesięciu metrów, leżało ponad dwadzieścia osób. Nie policzyła ich dokładnie, bo w jej głowie zaczęło miarowo pulsować olbrzymie czerwone światło ostrzegawcze, wyraźny sygnał, że czas się stąd zbierać. Jednak Kaja nie mogła się ruszyć. Miała wrażenie, że znajduje się na polu minowym i każdy, nawet najmniejszy ruch niechybnie zakończy jej młody żywot.

Jak się okazało, mężczyzna w garniturowych spodniach wcale nie wyglądał najdziwniej. Zauważyła młodego chłopaka w krótkich bojówkach i dużych czarnych słuchawkach, przewieszonych przez szyję – leżał na wznak, wpatrując się martwym wzrokiem w niebo nad głową. Całe ubranie miał obszarpane i umazane krwią. Kawalek dalej leżała dziewczyna – Kaja automatycznie oszacowa-

ła, że mogłaby być jej koleżanką z klasy. Leżała na brzuchu, a w jej boku zionęła dziura, jakby wewnątrz ciała eksplodował mały ładunek wybuchowy.

Naraz usłyszała wystrzał. Po ułamku sekundy następny. Wszystko wydawało się tak cholernie nie na miejscu. Środek pięknego polskiego lata, centrum Warszawy i takie rzeczy dziejące się wokół niej. Trupy, strzały, pewnie policja i czort wie, co jeszcze. Kaja nie do końca była świadoma sytuacji, w której się znalazła – nie odbierała jej jeszcze jako bezpośredniego zagrożenia dla własnego życia. Pewnie za chwilę zza drzewa wyskoczy prezenter telewizyjny z przyklejonym na stałe do twarzy kretyńskim uśmiechem i pogratuluje jej wygrania dwustu złotych w najnowszym *TV show*. Wtedy właśnie przypomniała sobie o chłopaku, do którego jechała – niewiele myśląc, rzuciła się biegiem w stronę „patelni”, ku samej paszczy lwa.

Zatrzymała się na szczycie schodów. Pod nią roztaczała się tak zwana „patelnia” – betonowy plac, łączący przejścia podziemne i wejście do centralnej stacji metra. Gdyby nie złapała się barierki, z pewnością upadłaby z powodu tego, co zobaczyła.

Ciała. Dziesiątki zmasakrowanych, jęczących i wijących się ludzi. Część z nich chodziła ogłuszona jak po wybuchu, inni trzymali się za otwarte rany i wołali o pomoc. Dostrzegła nawet, że ktoś klęczy pod ścianą i się modli. Ale przeważająca większość leżała bez ruchu. Martwa.

Nagle wszystko stało się jasne.

Zamach bombowy. Terrorysty. Al-Kaida, pewnie nawet sam Osama. Pan od WOS-u miał rację, mówiąc, że Polacy niepotrzebnie się pchają do Afganistanu. To nie nasza wojna, ale jak już się wsadziło kij w mrowisko, to mrówki się wkurzyły, mówił. I słusznie, miały ku temu powody. A i bliżej im do nas niż do Wielkiego Brata zza oceanu.

Kaja nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Miała wrażenie, że zapomniała też o oddychaniu i że zaraz zemdleje – co nie było tak dalekie od prawdy. Intuicja dziewczyny wariowała, wysyłając jasny przekaz – albo zaraz stąd wiejmy, albo zostajemy tu na zawsze.

Jednak Kaja wiedziała, że nie może po prostu uciec – musiała odnaleźć Adama, chociaż w głębi duszy przeczuwała, że przybyła za późno. Zacisnęła zęby i ruszyła niepewnie przed siebie.

Wszystko wokół niej było tak nierealne, że dziewczyna czuła się jak w filmie. Przypomniała jej się scena z którejś części *Egzorcysty*, gdy kapłan kroczy przez pole bitwy usiane trupami żołnierzy – w powietrzu krążą setki kruków, co chwila pikując i rozszarpując coraz to nowe truchła. Poza tym, że Kaja nie była kapłanem, ptaki nie rozrywały trupów, a leżący ludzie nie zginęli w walce, wszystko było podobne. To znaczy, de facto było zupełnie inne, ale Kaja i tak czuła się jak w filmie.

Młoda kobieta wyciągnęła rękę w jej stronę. Włosy opadały jej na twarz, więc Kaja tylko mogła sobie wyobrazić grymas bólu, jaki się na niej malował. Postąpiła krok naprzód, wyciągając również swoją dłoń na spotkanie. „Jezu, nie dam rady im wszystkim pomóc” – pomyślała. Nagle ręka kobiety zacisnęła się kurczowo na nadgarstku dziewczyny. Kaja odruchowo wyrwała się i zrobiła krok w tył. Zachowanie nieznanego było dla niej ogromnym zaskoczeniem – żadnego wołania o pomoc, informacji, gdzie i co boli – po prostu zacisnęła rękę, jakby od tego zależało jej życie.



Kaja stwierdziła, że kobieta najpewniej jest w szoku. Musiała jednak iść dalej, bo inaczej nie znajdzie Adama. Ruszyła przed siebie, starannie omijając leżące na betonie ciała, zarówno te martwe, jak i te jeszcze się ruszające. Nigdzie nie mogła dostrzec swojego chłopaka. Modliła się w duchu, żeby udało mu się uciec i żeby go tutaj nie znalazła – jednak z każdym krokiem, z każdym kolejnym zmasakrowanym ciałem, które mijala, jej nadzieja kurczyła się, a umysł podsuwał coraz czarniejsze wizje. W pewnym momencie usłyszała jęk wyraźniejszy niż pozostałe. Odwróciła się i zobaczyła czołgającą się w jej stronę kobietę, tę samą, która wcześniej wyciągała ku niej rękę. Teraz przesuwała się mozolnie, co chwila zatrzymując się i – jak poprzednio – wyciągając dłoń w stronę dziewczyny. Jęczała przy tym tak, jakby opłakiwała całą swoją zmarłą rodzinę.

Kaja patrzyła na nią z niedowierzaniem. Kątem oka zauważyła, że w ślad kobiety poszło jeszcze parę osób – wszystkie czołgały się powoli w jej stronę. Dziewczyna poczuła zimny dreszcz prześlizgujący się po karku.

Nagle jeden z mężczyzn zatrzymał się, spojrzał pod nogi i dostrzegł na ziemi małego chłopca. Dziecko żyło i właśnie starało się wydostać spod leżącej na nim martwej kobiety. Kaja widziała, jak mężczyzna pochyła się w stronę dziecka. „Chce mu pomóc” – pomyślała. Jednak ten zrobił coś zgoła innego – złapał malca za rękę, pociągnął ku sobie i wgryzł się w nią niczym wygłodniały wilk. Chłopiec wrzasnął z bólu i przerażenia. Niewiele myśląc, Kaja podbiegła i z rozbiegu kopnęła mężczyznę w twarz. Ten upadł, puszczając dzieciaka. Dziewczyna przesunęła zwłoki kobiety i uwolniła chłopca.

W tym momencie była już pewna, że to nie atak bombowy. Może chemiczny, może rozpylili jakiś gaz, który pomieszał ludziom w głowach? Nie miała czasu zastanawiać się, co spowodowało taką agresję w ludziach – musiała szybko znaleźć wyjście z tej ponurej sytuacji. Ludzie zaczęli zacierać krąg wokół niej. Kaja kazała chłopcu się skulić i sama zaczęła odpędzać od siebie coraz większe ilości łapczywie wyciągniętych rąk. Uderzyła stojącego za nią mężczyznę łokciem w twarz. Odchylił się, tracąc równowagę, jednak po sekundzie ruszył z powrotem w jej kierunku. Bez słowa, bez zbędnego komentarza. Nie poleciały w jej stronę żadne: „Ty szmato, zabiję cię, rozwalisz mi nos, teraz to ja ci pokażę”. Nie, nic. Cisza. I dla Kai było to chyba gorsze niż potok przekleństw. Gorsze, bo zaczęło jej się wydawać, że nie otaczają jej ludzie, tylko coś zupełnie innego.

Alarm w jej głowie szalał w najlepsze, chłopiec skulony u jej stóp krzyczał i płakał. Nagle czas jakby zwolnił. Kaja zaczęła taniec *kata* – treningową sekwencję karate, w której każdy ruch miał swój początek w poprzednim – eliminując coraz większą liczbę atakujących osób. Wieloletnie treningi nauczyły ją kontrolować strach i używać go jako narzędzia w walce. Przestała myśleć o czymkolwiek, co znajdowało się w odległości większej niż dziesięć metrów od niej. Liczyła się tylko ona i bezbronny chłopiec, którego musiała ochraniać. To dodało jej siłę, wskazało cel, do którego musiała dążyć. Kopnęła kogoś w twarz; ktoś inny otrzymał cios pięścią w splot słoneczny, kolejna osoba została podcięta i popchnięta na ludzi stojących z tyłu. Ale kątem oka dostrzegła następnych agresorów, mozolnie zmierzających w ich stronę. Decyzja o ucieczce została podjęta w ułamku sekundy –

Kaja złapała za nadgarstki kobietę stojącą przed nią, wykręciła je, blokując przedramiona, i użyła jej niczym żywego tarana, przebijając się przez narastający tłum.

– Biegiem! – krzyknęła do chłopca, który posłusznie ruszył za nią. Jego oczy błyszczały z podziwu dla dziewczyny.

Gdy wyrwali się z sieci przeciwników, Kaja kopnęła kobietę w kolano, tym samym ją przewracając. Następnie odwróciła się, złapała chłopca za rękę i pociągnęła mocno w stronę schodów wiodących na stację kolejową.

Po chwili znaleźli się na górze, a ich oczom ukazała się najczystsza postać chaosu.

Setki ludzi walczyły o życie wszelkimi dostępnymi środkami. Jak się szybko okazało, najskuteczniejszą metodą była po prostu ucieczka. Samochodem nie dało się przebić – z jednej strony stały inne pojazdy, z drugiej słupki blokujące wjazd na chodnik. Część aut była pusta, w niektórych pasażerowie pozamykali drzwi i okna, tworząc sobie w ten sposób śmiertelną pułapkę – wokół takich pojazdów błyskawicznie gromadziło się kilkanaście osób, waląc weń rękami.

Nigdy wcześniej Kaja tak bardzo nie pragnęła, żeby jej ojciec był przy niej. Doświadczony żołnierz na pewno wiedziałby, co robić i jak się zachować w takiej sytuacji. Starła się myśleć tak jak on, albo przynajmniej próbować myśleć tak jak on. Szukała luk w szeregach przeciwników, miejsc, którymi mogliby się precyzyjnie przesuwać lub w których mogliby się schować. Błyskawicznie lustrowała otoczenie, gdy nagle poczuła szarpnięcie za rękę. Odwróciła się i zobaczyła chłopca, który wpatrywał się w nią zaszklonymi i pełnymi przerażenia oczami.

Nic nie mówił, po prostu patrzył.

Kaja uświadomiła sobie dopiero teraz, że jego rodzic został tam na dole. Może kobieta, która na nim leżała, to jego matka? Może ojcem był mężczyzna, któremu Kaja złamała nos? Chłopak musiał teraz przeżywać prawdziwy koszmar. Ile mógł mieć lat? Siedem, osiem... a może raptem sześć? Kaja nie znała się na dzieciach, nie miała rodzeństwa ani żadnego berbecia w rodzinie. Tak czy inaczej wiedziała, że bez niej chłopiec zginie.

Usłyszała dochodzące zza pleców jęki. Trupy z patelni gramoliły się na schody, odcinając im drogę ucieczki. Kaja zwróciła uwagę, jak ciężko im koordynowanie ruchów. Pokonanie jednego schodka wiązało się z kilkoma próbami uniesienia nogi. I to był element układanki, który umożliwił dziewczynie znalezienie odpowiedniej kryjówki.

– Chodź mały, idziemy na kiosk – powiedziała do chłopca, po czym pociągnęła go za rękę w stronę nieodległego budyneczku.

Po kilkunastu sekundach Kaja już podsadzała chłopca. Okazał się być cięższy, niż myślała, jednak na szczęście pomagał jej, podciągając się własnymi małymi rączkami. Następnie wsadziła nogę w kratę, złapała się górnego rantu i błyskawicznie znalazła obok niego.

– Czemu nie weszliśmy do środka? – cicho zapytał chłopiec, moszcząc się na niedużym daszku.

Kaja patrzyła na niego, zastanawiając się nad tak oczywistą rzeczą. W środku kiosku byłoby bezpieczniej, mogłaby opuścić kraty na zewnątrz i zaryglować drzwi. Poza tym, znaleźliby też coś do jedzenia, gdyby musieli spędzić w ukryciu więcej czasu. Wołała jednak o tym teraz nie myśleć.

– Bo... – zaczęła niepewnie – bo stąd nas będzie lepiej widać. I nie dosięgną nas tu one – powiedziała, wymownie patrząc na trupy gromadzące się wokół kiosku. Część z nich wyciągała już ręce ku górze, żeby dosięgnąć kolejnych ofiar.

– Aha... – odpowiedział nie do końca przekonany dzieciak.

Kaja czuła, że mały chce coś jeszcze powiedzieć, jednak nie zmuszała go do tego.

Wstała i zaczęła krążyć wzdłuż krawędzi kiosku, co w praktyce oznaczało wykonanie dosłownie sześciu kroków. Chciała mieć stuprocentową pewność, że tym kreaturom nie uda się dostać na górę. Spojrzała na chłopca, który w milczeniu wpatrywał się w gromadzący się tłum. Dopiero teraz dostrzegła, że lewą ręką trzyma się mocno za prawą.

– Jesteś ranny? – zapytała, podchodząc do niego i kucając.

– Tamten pan mnie ugryzł – odpowiedział malec, patrząc na Kaję.

Pokazał jej rękę z przegryzioną skórą. Rana wyglądała tak, jakby zadał ją pies. Dziewczyna zdziwiła się, że chłopiec nie płacze ani nie histeryzuje. „Pewnie po prostu jest jeszcze w szoku” – pomyślała.

– Cholera, nie mam czym cię opatrzyć – powiedziała cicho pod nosem.

Po chwili zdjęła plecak, wyciągnęła z niego koszulkę przeznaczoną na tenisa i zawiązała ją wokół krwawiącego przedramienia dziecka.

– To trochę pomoże – powiedziała pocieszającym tonem. Dzieciak chyba nie uwierzył, bo zaserwował jej spojrzenie w stylu: „Mam już dziewięć lat i wiem, że to i tak nic nie da”.

Rozejrzała się. Nie dostrzegła policji, nie było też karettek ani wojska. Dziwne, zawsze myślała, że w takich sytuacjach służby państwowe pojawiają się błyskawicznie. Jeżeli jeszcze nikt się nie zjawił, oznaczało to jedno z dwojga – albo nikt ich jeszcze nie powiadomił, co było raczej nieprawdopodobne, albo... nie tylko tutaj dzieją się takie rzeczy i aktualnie wszyscy ratują ludzi gdzieś indziej. Pomimo intuicji, która podpowiadała jej to drugie rozwiązanie, Kaja kurczowo trzymała się pierwszej opcji.

Wyciągnęła komórkę i wybrała numer 112. Usłyszała sygnał, ale nikt nie podniósł słuchawki. Spróbowała pod 997. To samo. Na 998 też nikt się nie zgłaszał. Niedobrze, pomyślała. Wybrała numer swojego ojca.

Brak zasięgu.

– Kurwa – zaklęła, zupełnie zapominając o towarzyszącym jej chłopczyku.

Malec spojrzał na nią z lekko zniesmaczoną miną i zapytał:

– To zombie, prawda?

Kaja nie bardzo wiedziała, co powinna mu odpowiedzieć.

– Nie wiem – wykrztusiła w końcu. – Dlaczego myślisz, że to zombie?

– Bo widziałem kiedyś taki film i tam ludzie też chodzili i zjadali innych – odparł ze znanstwem. – Tak samo jak tutaj – wykonał gest ręką, wskazując na przestrzeń dookoła kiosku

Kaja patrzyła na niego dłuższą chwilę w milczeniu.

– Umrzemy? – zapytał znowu malec. Tym razem w jego głosie dało się wyczuć trwogę.

– Nie, nie umrzemy – odpowiedziała błyskawicznie dziewczyna, patrząc przy tym na owinięte ramię dzieciaka. Też oglądała filmy o zombie. Tam ugryzienie było równoznaczne z infekcją. – Niedługo po nas przyjadą i nas stąd zabiorą – dodała, chociaż nie do końca w to wierzyła.

Chłopiec przytulił się do niej, a Kaja poczuła, że zaraz się rozpłacze.

## METRO, GODZINA 14:05.

Paweł położył dłoń na ustach chłopaka.  
Ciii... – wyszeptał mu do ucha.

Max w milczeniu skinął głową. Pomimo egipskich ciemności, jakie panowały w tunelu, Paweł dostrzegł jego gest. Wcześniej udało im się dotrzeć do kolejnej stacji metra. Niestety ona również była zamknięta na cztery spusty. Na dodatek w pewnym momencie światło zamigotało kilkukrotnie, po czym zgasło, a wszystko zalał mrok. Po ponad godzinie spędzonej pod ziemią ich wzrok przyzwyczał się do ciemności, więc było im odrobinę łatwiej się poruszać. A przy okazji odpowiednio wcześniej zauważać jakikolwiek ruch. Gdy czterdzieści minut wcześniej Paweł włączył latarkę, o mało nie skończyło się to ich śmiercią – zwabiony światłem zombie rzucił się na nich niczym ćma ku latarni. Stoczyli krótką, zażartą, ale zwycięską walkę. Niestety, nie napawali się długo wiktoria, bo w ślad za pierwszą ruszyło w ich stronę kilkadziesiąt kolejnych osób, najprawdopodobniej zwabionych hałasem, który błyskawicznie rozchodził się po tunelu. Wtedy właśnie Paweł podjął decyzję, żeby wyłączyć latarkę i maksymalnie wykorzystać środowisko, w którym się znaleźli. W tym przypadku mieli skorzystać z wszechobecnej ciemności niczym z peleryny, czyniącej niewidzialnym tego, kto ją nosi. Tej sztuki żołnierza nauczyło wojsko i odbyte misje, podczas których niejednokrotnie musiał walczyć o życie.

Teraz w milczeniu wpatrywał się przed siebie. Wyciszył oddech i maksymalnie wyostrzył wszystkie zmysły. Mógłby przysiąc, że usłyszał kogoś idącego w ich stronę. Stali od kilku minut i łapali oddech ukryci we wnęce technicznej usytuowanej bezpośrednio przy torach metra. Mężczyzna miał nadzieję, że znajdą w niej drzwi do jakiegoś korytarza, drabiny czy czegokolwiek innego prowadzącego na powierzchnię – niestety wnęka okazała się pusta, nie licząc jednej łopaty i opróżnionej butelki po wódce. Teraz modlił się w duchu, żeby nie szło ich zbyt wielu. Wtedy wnęka okazała się pułapką, z której cholernie ciężko będzie im się wydostać.

Kontur człowieka powoli wypełnił wejście. Max instynktownie się napiął, jednak nie był do końca pewien, czy na pewno ktoś przed nimi stoi, czy to tylko umysł płata mu figle. W tak stresujących sytuacjach nietrudno o omamy, ciężko natomiast utrzymać nerwy na wodzy. Chłopak miał tylko nadzieję, że nie zsika się z nerwów – co by powiedzieli koledzy, gdyby się dowiedzieli! „Twoi koledzy nie żyją” – usłyszał mroczny głos wewnątrz głowy i po raz pierwszy w życiu poczuł ostre uczucie strachu o kogoś innego, niemalże fizyczny ból w klatce piersiowej, przyniatający i utrudniający oddychanie. „A może to strach przed samotnością?” – zapytał sam siebie.

Poczuł, że jego ciało mimowolnie drży, zarówno ze strachu, jak i z podniecenia. Przez chwilę miał ochotę odepchnąć rękę Pawła i wybiec, uciec jak najdalej stąd. Biegłby tak przez ciemny tunel

choćby do końca linii metra. W końcu któraś stacja będzie otwarta, jakoś uda mu się wydostać. Na szczęście zrezygnował z zamiaru, którego realizacja niechybnie skończyłaby się jego śmiercią.

Nagle zombie przestał się poruszać. Do uszu Pawła i Maxa doleciał charakterystyczny odgłos węszenia – zanim uświadomili sobie, co on oznacza, potwór rzucił się z okrzykiem w ich kierunku, wyciągając jednocześnie przed siebie obie ręce.

Paweł zareagował błyskawicznie. Lewą ręką odepchnął Maxa, a prawą, rozwartą niczym szczypce, wyciągnął przed siebie w nadziei, że uda mu się trafić w szyję i utrzymać napastnika odległości na dystans.

Udało mu się.

Niestety, zombie wpadł na ten sam pomysł, ale Paweł i na to był przygotowany – wolną ręką założył dźwignię i błyskawicznie oswobodził się z uchwytu, cały czas trzymając atakującego za szyję. Ruszył przed siebie, przypierając przeciwnika do ściany. Nagle pomieszczenie zaalało światło – to Max zaświecił latarkę. Paweł mimowolnie zmrużył oczy, jednak nie rozluźnił chwytu.

Mężczyzna wykorzystał oświetlenie i błyskawicznym, idealnie wymierzonym kopniakiem złamał napastnikowi kolano. Zombie zaczął opadać na zimną, betonową posadzkę, jednak Paweł nie znał litości – wprost bombardował go krótkimi, zabójczo bolesnymi kopnięciami kolanem. Coraz bardziej zmasakrowany mężczyzna podskakiwał, odbijając się to od kolana Pawła, to od ściany. Naraz ten zmienił pozycję, pozwalając ofierze opaść na podłogę. Następnie w mgnieniu oka stanął jej za plecami i jednym sprawnym ruchem złamał kark. Głośne chrupnięcie obwieściło koniec walki.

– O kurwa – zaklął Max, patrząc na leżące bezwładnie zwłoki.

– Daj mi latarkę – rozkazał Paweł, dysząc ciężko, po czym wyszedł przed wnękę i zaświecił w głąb tunelu, w kierunku z którego przyszli.

Jego oczom ukazało się kilkadziesiąt osób, włączających się niby bez celu. Najbliźsi od razu odwrócili głowy w jego stronę, zwabieni światłem. Stado powoli ruszyło w ich kierunku.

Paweł poczuł, jak skóra na nim cierpnie. Oddał latarkę chłopakowi i stwierdził, że czas spierdalać.

Max wyjrzał za nim, oczy rozszerzyły mu się z przerażenia. Nie czekając na sygnał, rzucił się biegiem za towarzyszem. Rozbujane światło latarki wesoło skakało po ciemnych ścianach martwego metra.

– Max, wyłącz to światło – powiedział Paweł, biegnąc tuż za chłopakiem.

– Ale wtedy nie będziemy już niczego widzieć!

– Będziemy! Poczekaj! – wydyszał wyraźnie wkurzony żołnierz.

Max nie chciał czekać. Wiedział, że Paweł i tak dogoni go bez większego problemu. Aktualnie chciał jednego – jak najszybciej i jak najbardziej oddalić się od zombie. Wtem poczuł na ramieniu silny uścisk. Zatrzymał się i spojrzał na Pawła.

– Wyłącz latarkę – wycedził rosły mężczyzna, łapiąc oddech. – Będziemy szli, trzymając się ściany. Światło je przyciąga. No i musimy oszczędzać baterię.

Max, choć niechętnie, po raz kolejny musiał przyznać Pawłowi rację. Wataha wariatów została daleko w tyle, mieli więc trochę czasu na zebranie myśli.

– Jak ty to zrobiłeś? – zapytał cicho, wyłączając światło.

Paweł popatrzył w ciemność, gdzie przed chwilą znajdowała się głowa chłopaka.

– Co?

– No jak zabiłeś to „coś”? Do tej pory takie rzeczy widziałem tylko w filmach.

Nastąpiła chwila ciszy. Paweł zbierał się w sobie.

– Jestem żołnierzem – powiedział. W jego głosie nie było dumy, tylko suche stwierdzenie faktu.

– Właściwie to można powiedzieć, że służę w GROM-ie.

Max zaniemówił. „Cholera, nie mogłem lepiej trafić” – pomyślał z zachwytem.

– Serio? – zapytał po sekundzie milczenia.

– Tak – odpowiedział Paweł poważnie. – Rób więc, co będę mówił, a mamy szansę wyjść z tego cało.

– Okej. Prowadź zatem, Panie Komandosie – słyszalnie raźniej rzucił wielbiciel heavy metalu.

Paweł uśmiechnął się pod nosem. To dobrze, że pomimo gówna, w jakie wdepnęli, chłopakowi udało się zachować poczucie humoru. Może to tylko forma odreagowania stresu, może jego mózg nie chce zaakceptować tego, co widzi – to nie miało aż takiego znaczenia.

Zaczęli powoli, po omacku poruszać się przed siebie. Tym razem to Paweł prowadził, a Max szedł tuż za nim. Początkowe kilkanaście metrów pokonali w milczeniu z wielkim trudem. Jednak kolejne przychodziły łatwiej – szybko przystosowali się do sytuacji i każdy z nich wypracował indywidualny system marszu. Mimo to po kilkunastu minutach marszu Max wpadł na plecy Pawła.

– Co jest? – wyszeptał wytrącony z rytmu chłopak.

– To chyba kolejna stacja – odpowiedział cicho Paweł. – Czujesz? Powietrze jest jakieś inne. Poza tym, o tam, widać poświatę od wejścia. – Mężczyzna machnął ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. Max rozejrzał się, wyraźnie skołowany.

– To znaczy, że najprawdopodobniej dotarliśmy do Wierzbna – powiedział.

– To daleko?

– Przeszliśmy pod ziemią trzy stacje. Właściwie to więcej, bo pociąg rozbił się przed Ursynowem – odpowiedział. Po chwili dodał: – Jezu, mam wrażenie, że to było wieki temu.

– Ja też – powiedział Paweł i spojrzął na zegarek. Nacisnął guzik wydający ciche „pip” i zielone światełko wesoło rozświetliło mrok. – Piętnaście po drugiej, więc nie takie znowu wieki.

Max spojrzął w jego stronę, ale nie odezwał się ani słowem.

– Dobra, chodźmy – kontynuował GROM-owiec. – Im szybciej się stąd wydostaniemy, tym lepiej.

– A masz jakiś pomysł? – chłopak zwrócił się do niego z nadzieją w głosie.

– Na razie stacje są pozamykane – zaczął z wolna mężczyzna. – Stać na którejś z nich i czekać, aż ktoś się po nas łaskawie zjawi, to raczej słaby pomysł. Te pojeby z tunelu dopadną nas szybciej. Wobec tego musimy iść, aż znajdziemy czynną.

– A jeżeli wszystkie będą zamknięte? Jeżeli odcięli całe metro, bo wybuchła jakaś zaraza i boją się, żeby się nie rozprzestrzeniła?

Paweł wydał z siebie ciche westchnienie.

– Racja. Młody jesteś, ale dobrze kombinujesz. Jeżeli jest tak, jak mówisz, to znajdziemy jakiś kanał serwisowy czy ewakuacyjny i nim wyjdziemy.

Maxa taki plan wyraźnie podniósł na duchu. Fakt, że jest ktoś, kto się nim opiekuje i mówi mu, co ma robić, był rozwiązaniem znacznie bezpieczniejszym i lepszym niż samodzielne podejmowanie decyzji.

Ruszyli dalej.



## BIELANY, GODZINA 14:07.

Tomek nie wiedział, co ze sobą zrobić. Chodził nerwowo po mieszkaniu, to zerkając na zawalone niezliczoną ilością gratów drzwi, to podchodząc do okien i monitorując sytuację na zewnątrz. Czuł się jak tygrys zamknięty w klatce, chociaż porównanie Tomka do tygrysa to, delikatnie mówiąc, lekka przesada. Dobrze, czuł się więc jak domowy kot zamknięty w klatce.

Na szczęście uporczywe walenie do drzwi ustało w momencie, w którym sąsiad zwabiony hałasem otworzył swoje. Chłopak słyszał krzyki i odgłosy szarpaniny, ale nie miał odwagi podejść do wizjera, nie mówiąc już o odkopaniu barykady i ruszeniu sąsiadowi z pomocą. Po paru minutach zapanowała błoga cisza. Cisza, która tak naprawdę była straszniejsza od wszystkiego, co Tomek słyszał w swoim życiu. Niemalże czuł jej fizyczną gęstość, która rosła z każdą minutą, skutecznie pozabawiając oddechu. Wiedział, że mordercy sąsiada czekają za drzwiami.

– Myśl, myśl, myśl... – powtarzał szeptem niczym mantrę.

Podszedł do okna i ponownie wyjrzał nieśmiało na ulicę. Zobaczył jeszcze więcej ciał i jeszcze więcej krwi. I o wiele mniej zwykłych ludzi. Szczerze mówiąc, prawie w ogóle ich już nie widział, pozostali tylko ci upiorni kanibale, uparcie odmawiający przewidywalnych reakcji. Przecież gdy się dostanie strzał w klatkę piersiową i to z odległości paru metrów, to nie wypada dalej się normalnie poruszać i w dodatku upiornie jęczeć. Należy się grzecznie położyć i wykrwawić, ewentualnie od razu wyzionąć ducha. Jakiś porządek powinien zostać zachowany, chociaż niezbędne minimum. Tomkowi cała ta sytuacja coraz mniej się podobała.

Nagle poczuł złość. Złość na rodziców, że akurat teraz wyjechali, zostawiając go samego z siostrą, która aktualnie też gdzieś sobie poszła. Że też wszyscy musieli go opuścić w ten jeden feralny dzień. Akurat dzisiaj. Nie mogli jutro czy pojutrze. Nie, musieli dzisiaj.

Banda samolubnych dupków.

Do jego uszu doleciało ciche „bip”, wydobywające się z komputerowych głośników. Chłopak już zapomniał o włączonym urządzeniu, ale na szczęście ono o nim nie zapomniało. „Dobry komputer” – pomyślał czule.

Tomek usiadł przed monitorem, ale tylko jedną nogę wsunął pod biurko – drugą, na wszelki wypadek, zostawił wystawioną poza meblem, żeby w razie niebezpieczeństwa móc szybciej zareagować.

Połączył się z internetem. Sam nie był do końca przekonany, dlaczego to robi – czy chciał po prostu znaleźć informacje na temat tego, co się działo od kilkunastu godzin, czy też podświadomie szukał złudnego poczucia bezpieczeństwa i normalności, jakie dawał mrugający monitor i automatyka rytuału, któremu zapamiętałe oddawał się od tak dawna.

Zaczął jak zwykle. Najpierw sprawdził pocztę, następnie portale społecznościowe i komunikatory. Na poczcie spam; w komunikatorach cisza i pustka. Nikogo aktywnego, wszyskich gdzieś wywiało. „No dobra, jest środek dnia, ale bez przesady” – pomyślał. „W sieci przecież zawsze ktoś jest”.

Widać, jednak nie zawsze. Powoli do Tomka docierało, że sytuacja może być poważniejsza, niż mu się do tej pory wydawało. Zaczął się zastanawiać, co się dzieje z jego siostrą. Czy jest bezpieczna? Miał nadzieję, że ta cała farsa z ludźmi zjadającymi się nawzajem nie sięga zbyt daleko... „Może to jakiś wirus czy coś?” – pomyślał. „Może choróbsko rozprzestrzeniło się na małym terenie, który wojsko błyskawicznie odizolowało i tyle. Wystarczy przeczekać. Siostra jest pewnie bezpieczna poza obszarem objętym kwarantanną” – przekonywał sam siebie. Widział takie rzeczy dziesiątki razy w filmach. Wszędzie kręcą się naukowcy, wojsko zakłada kombinezony ochrony przeciwchemicznej, odcina teren i pali zwłoki w starych szopach. Tych, którzy przeżyli, dokładnie się bada i podaje się im wynalezione w ostatniej chwili antidotum. „Dokładnie tak” – stwierdził po namyśle. Wstał i znowu podszedł do okna. Ruch był znikomy, ale trzeba przyznać, że parę osób się kręciło. Wszyscy wyglądali tak samo, zakrwawione ubrania i wzrok tęskniący za rozumem.

Podrapał się po krótko ostrzyżonej głowie. Może już zaczęli odcinać Bielany, pomyślał. Albo i nawet całą Warszawę, to by dopiero było.

– No dobra. Do roboty – powiedział sam do siebie.

Wrócił do komputera i zapytał „wujka Google”, co robić w przypadku wybuchu epidemii. Po kilkudziesięciu minutach i kilkunastu przejranych stronach stwierdził, że dalsze poszukiwania nie mają sensu. Nie skontaktuje się ze służbami ratowniczymi, co zdecydowanie było najczęściej rekomendowanym rozwiązaniem, bo nie miał telefonu komórkowego, a aparat stacjonarny, owszem, był, ale od czterech lat niepodłączony.

Niestety na maila pewnie szybko nie odpowiedzą. Wygląda na to, że został pozostawiony sam sobie. Znalazł kartkę, długopis i zaczął pisać, podsumowując to, co znalazł w sieci – do przeżycia w ekstremalnej sytuacji potrzebna będzie mu latarka, zapasowe baterie, zapas wody pitnej i jedzenia. Dodatkowo należy zabezpieczyć okna, ale wcześniej wywiesić w nich informację, że w mieszkaniu jest ktoś żywy i zdrowy.

Tomek poszedł do łazienki i napełnił wannę wodą. Potem spojrział na swoje odbicie w lustrze. Zobaczył dobrze odżywionego siedemnastolatka o bladej, wystraszonej twarzy. Wokół ciekawych świata zielonych oczu pojawiły się głębokie cienie, świadczące o stresie, którego doświadczył. Przejechał ręką po krótkich włosach, gładząc jednocześnie całą okrągłą twarz. Następnie sprawdził stan apteczki i przejrzał szafki kuchenne w poszukiwaniu jedzenia. Po kilkunastu minutach stwierdził, że może przeżyć około trzech dni, a oszczędzając, może nawet i więcej. Dumny z siebie zabrał się do uszczelniania okien watą i taśmą klejącą. Nagle zamarł, pozwalając taśmie owinać się wokół palca.

– Jestem debilem – obwieścił życiową prawdę meblom w sypialni rodziców.

Ruszył do dużego pokoju i włączył telewizor, szukając jakiegoś kanału informacyjnego. Dopiero teraz pomyślał, że może trochę za bardzo się nakręcił, zbyt gwałtownie zareagował i ta cała szopka z przygotowaniami nie jest potrzebna. Za chwilę wróci Ewa i będzie musiał się ze wszystkiego tłumaczyć. Epidemia? Może po prostu znalazł się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiednim czasie? Chociaż z drugiej strony, wydawało się to mało prawdopodobne. Najpierw wypadek w środku nocy, nie do końca martwy, ale też nie całkowicie żywy kanibal, pożerający w ramach zemsty przypadkowego dresiarza, potem ten sam gość na stacji metra, policja, strzały i chaos. Może ma zwidy? Może jest psychicznie chory i żadna z tych rzeczy nigdy nie miała miejsca? Nagle przestał przełączać dalej. Znalazł kanał informacyjny. „Cholera” – pomyślał. „Albo jestem zdrowy i to się dzieje naprawdę albo już do reszty mi odbiło”.

Chaotycznie zmontowany obraz pokazywał różne części miasta – centrum, Mokotów, Żoliborz, Pragę. Oko kamery zarejestrowało w różnych dzielnicach podobne zdarzenia – ludzie atakujący się wzajemnie, wszędzie krew i ogień. Problemy pojawiły się nawet w metrze, gdzie wykoleił się pociąg, raniąc i zabijając nikomu nieznaną liczbę osób. Nie ma dokładnych danych, ponieważ zarazę wykryto również pod ziemią i zdecydowano, że należy zamknąć oraz zabezpieczyć wszystkie stacje. Media donosiły, że funkcjonariusze policji zostali postawieni w stan najwyższej gotowości; to samo dotyczyło straży pożarnej i służb medycznych. Wszędzie brakowało ludzi, którzy mogliby zapanaować nad rozprzestrzeniającym się zamętem. Oficjalny komunikat głosił, że w stronę stolicy zostały skierowane oddziały Armii Wojska Polskiego. Garnizon w Warszawie ogłosił alarm bojowy, a w miasto wyjechały bojowe transportery opancerzone, wyładowane uzbrojonymi żołnierzami. Prezydent nie zwlekał z decyzją po ataku, który nastąpił w samym Pałacu Prezydenckim. Głowie państwa na szczęście nic się nie stało, agenci BOR-u zareagowali błyskawicznie i zneutralizowali zagrożenie, jednak sam fakt, że do zdarzenia doszło, ujawnił powagę sytuacji i wskazał, jak wielką może mieć ona skalę. Eksperci nie są w stanie jednogłośnie określić ani sklasyfikować problemu. Wiadomo jedynie, że nieznaną dotychczas wirus powoduje nadmierną agresję oraz obdarza swojego nosiciela ponadprzeciętną odpornością na ból. Pojawiły się też informacje dotyczące stwierdzonego kanibalizmu.

Tomek czytał pojawiające się komunikaty, podświadomie śledząc błyskawicznie zmieniający się obraz. „A więc to prawda” – pomyślał. „Epidemia, apokalipsa, nazywajcie to, jak chcecie. Mnie jest wszystko jedno. Jestem sam i mam przesrane, jak Żyd za Niemca”.

Nie był w stanie oderwać wzroku od telewizora.

## MOKOTÓW, GODZINA 14:23.

Jacek pędził między znajomymi boksami, kierując się w stronę źródła hałasu. A przynajmniej taką miał nadzieję. Starał się zdążyć na czas, choć w głębi duszy wiedział, że jest już za późno. Przeczutował, że to, co zastanie, będzie powtórką ze sceny, którą miał nieprzyjemność oglądać przy wejściu do kuchni, i że już w niczym nie pomoże. Mimo wszystko biegł. Tak nakazywał mu instynkt i zanim zorientował się, co robi, był już w połowie drogi.

Wypadł na ostatnią prostą, prowadzącą do sal konferencyjnych, skąd – jak mu się wydawało – dobiegał hałas. Naraz nastąpiła cisza, a on stanął jak wryty.

Biała koszula na piersi unosiła się i opadała w rytm jego przyspieszonego oddechu. Poczł ostry zapach własnego potu, po czym obejrzał się, żeby się upewnić, czy nikt nie czai się za plecami, a to wszystko nie jest tylko zastawioną nań pułapką. Było pusto, więc zaczął iść dalej. Człł się jak Neo uciekający przed Agentami. Z tym, że jego ruchy były jakieś trzydzieści razy wolniejsze. Starłł się oddychać cicho, chociaż i tak miał wrażenie, że słycać go na drugim końcu wielkiej sali. Po chwili dotarł do ostatniego skrzyżowania i biorąc dwa głęboke wdechy, wyjrzał za róg.

Metr od miejsca, w którym stał, rozciągała się olbrzymia kałuża świeżej krwi. W nozdra uderzył go intensywny zapach, wypełniający wąskie przejście. Ślad na ziemi wskazywał, że osoba, której owej krwi pozbawiono, została zaciągnięta albo sama się doczołgała do sali znajdującej się na przeciwległym końcu korytarza. Pobrudzone były również śnieżnobiałe dotąd ściany. „Nie idź tam, kretynie” – skarcił się w duchu, robiąc niepewny krok w przód. W jego głowie toczyła się zażarta bitwa między zdrowym rozsądkiem, który nakazywał ucieczkę, a chęcią niesienia pomocy. Zrobił kolejny, cichy krok. Wyszedł na ostatnią prostą. Świat skurczył się do rozmiaru odpowiadającego swojej wielkością maleńkim drzwiom, za którymi znajdowało się rozwiązanie zagadki. Stąpał uważnie, starając się nie nadepnąć na wszechobecne plamy krwi, co chwila oglądając się za siebie. „Altruista, myślałby kto. Cholerny kretyn, który zakłada sobie pętlę na szyję” – nieprzerwanie karcilł się w myślach. Zamiast ratować swoje własne chude dupsko, pakuje się w jeszcze większe bagno. Z drugiej strony, czy na tym etapie ma jeszcze możliwość wycofania się? Klepnąć w matę, podnieść rękę i powiedzieć: „Raz dwa trzy, odpadam z głupiej gry”? Bał się, że życie, które do tej pory znał, bezpowrotnie odeszło.

Dotarł do klamki. Wylał spoconą rękę o nogawkę garnituru i wyciągnął ją przed siebie, delikatnie otwierając drzwi do sali konferencyjnej.

– Jaaaacek! – nagle usłyszał krzyk, dobiegający z oddali. Głos należał do Karoliny.

Już miał ruszyć z powrotem, gdy nagle kątem oka dostrzegł ruch w otwartej sali. Odwrócił się powoli, czując, jak jego ciało przenika chłód. Przed nim zmaterializowała się Monika. Wyglądała zdecydowanie gorzej niż rano, gdy przyszła z gorączką i skarżyła się na zawroty głowy. Jej twarz

była teraz sina, a ubranie wyglądało tak, jakby ktoś ją przywiązał do samochodu i przeciągnął po torze przeszkód. Jednak dla Jacka najgorsze były jej oczy – małe, przekrwione punkciki wpatrujące się w niego wściekle, niemalże przewiercające go na wskroś. I smród. Dziewczyna cuchnęła krwią, fekaliami i... mięsem. Wiedział, że stojąca przed nim postać nie jest tą samą, z którą codziennie miał przyjemność współpracować. Sterczał przed nim ktoś zupełnie inny, a jakiś pierwotny, głęboko zakorzeniony instynkt podpowiadał mu, że ten ktoś z pewnością nie ma przyjaznych zamiarów. A to znaczy, że generalnie rzecz biorąc, należy spierdalać.

– Monika...? – spytał jednak nieśmiało, a jego słowo rozdarło ciszę niczym piorun nieboskłon w środku nocy. Serce waliło mu jak oszalałe. Jej reakcja była błyskawiczna – wzrok nabrał ostrości i ich spojrzenia się spotkały. Przez ułamek sekundy Jacek zauważył w nich przerażenie, niczym przebłysk resztek świadomości. Następnie na powrót zalała je fala krwi i szaleństwa. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Dziewczyna rzuciła się na niego z wyciągniętymi rękami. W pierwszej sekundzie Jacek nie wiedział, jak zareagować, a gdy podjął decyzję o ucieczce, było już za późno – niby-Monika złapała go za koszulę i przysunęła do siebie, jednocześnie celując rozwartą szczęką w jego szyję. Mężczyzna w ostatniej chwili odepchnął ją, w wyniku czego potknęła się i prawie przewróciła, ale gdy tylko odzyskała równowagę, ruszyła ponownie w jego kierunku.

– Hej, przestań! Uspokój się, to ja! – krzyczał, wyciągając przed siebie ręce w odruchu obrony. Wiedział, że nie ma to najmniejszego sensu, lecz zarazem miał nieodparte przekonanie, że nie zaszkodzi spróbować. Tak jak się spodziewał, nie przyniosło to najmniejszego efektu i dziewczyna dalej przemieszczała się w jego stronę.

Nagle w sali konferencyjnej pojawiła się druga kobieta. Tej Jacek nie miał okazji wcześniej poznać i w innych okolicznościach zdecydowanie by tego żałował – dopasowana spódniczka, żakiet, buty na siedmiocentymetrowym obcasie. Do tego długie, czarne i proste włosy, nienaganna sylwetka i śliczna buzia. Jego ideał. Niestety – żakiet był podarty, w udzie zionęła wygryziona dziura wielkości Nebraski, a twarz czarnowłosej piękności była cała skąpana we krwi. W prawej dłoni dzierżyła ciemny, krwisty organ nieszczęśnika leżącego nieopodal pod ścianą. Jacek zrozumiał, że to właśnie on parę minut temu wołał o pomoc i że to jego krew widniała na korytarzu, prowadząc go aż tutaj. Raczej nie był mu już do niczego potrzebny.

Był sam kontra dwie zakrwawione zombie-laski. Idealna sceneria filmu dla dorosłych. Jednak to wszystko rozgrywało się naprawdę, a nie na ekranie telewizora. Szybko ocenił swoje szanse i doszedł do wniosku, że walka nie ma sensu – nim dziewczyny zdążyły go pochwycić, chyłkiem się wycofał, zamykając za sobą drzwi i przekręcając klucz w zamku.

Karolina. Teraz przypomniał sobie o jej wołaniu o pomoc. Rzucił się pędem z powrotem, ale przy skrzyżowaniu korytarzy zwolnił. Obejrzał się niepewnie za siebie i zobaczył, jak drzwi, które przed chwilą zamknął, całe się trzęsą. Kobiety napierały na nie od wewnątrz, wściekle waląc w nie pięściami.

Karolina nie słyszała napastnika cicho powstającego z podłogi. Poza tym, kto by się spodziewał, że zwłoki nagle ożyją? Była tak osłabiona postępującą gorączką, że gdy tylko Jacek rzucił się biegiem

na pomoc nieznanemu, usiadła na najbliższym fotelu i schowała głowę w dłoniach. Znajdowała się na skraju wytrzymałości – fizycznej i psychicznej. Wiedziała, że wewnątrz jej ciała dzieje się coś niedobrego. Czuła to, ale nie potrafiła tego wytłumaczyć, a co gorsza nie miała pojęcia, jak temu zapobiec. Tak czy inaczej, podświadomie rozumiała, że jej życie dobiega końca. Z drugiej strony, może nie będzie tak źle. Nie raz już gorączkowała i to bardziej niż teraz. Kiedyś nawet wylądowała w szpitalu, bo rodzice nie byli w stanie zbić temperatury domowymi sposobami. Pamiętała to, jakby wydarzyło się wczoraj. Zaczęła myśleć o rodzicach. Czy będzie jej dane kiedyś jeszcze ich zobaczyć? Może tylko majaczy z powodu wysokiej temperatury, może wszystko będzie dobrze? Jednak wydarzenia ostatnich paru godzin nie pozostawiały złudzeń – przyszłość rysowała się w ciemnych barwach. Nigdy do tej pory nie widziała ani nie słyszała, żeby ludzie atakowali się tak zaciekle – a już na pewno, żeby rzucali się na siebie z pazurami i zębami jak dzikie zwierzęta. Może to jakaś nowa broń biologiczna, może jakiś wirus wywołujący agresję? Dziewczyna przeczuwała, że i ją to dopadło. W sumie zawsze tak było na filmach: kiedy ktoś lub coś dziwnego i dotychczas nieznanego cię ugryzie, zamieniasz się w takie samo paskudztwo.

Nagle poczuła nagły ból w szyi, jakby ukąsił ją komar lub pająk. Wyjątkowo wielki pająk, gwoli ścisłości. W pierwszej sekundzie nie do końca zrozumiała, co się dzieje – dopiero gdy napastnik złapał ją jedną ręką za gęste, czarne włosy, a drugą przytrzymał ramię, Karolina uświadomiła sobie, że ktoś ją gryzie. I że to nie sen. Na początku wydało jej się to absolutnie niedorzeczne i nieprawdopodobne. Spowolniona reakcja wywołana była rosnącą gorączką i zanim podjęła decyzję o jakimkolwiek przeciwdziałaniu, fragment jej ciała zniknął w ustach człowieka, z którym niegdyś pracowała. „On był chyba handlowcem” – zdążyła pomyśleć. W tym momencie odwróciła się, wrzeszcząc z bólu i machając rękami.

– Jaaaaacek! – dosłownie zawyla z przerażenia, odzyskawszy pełnię świadomości.

Wiedziała jednak, że to tylko chwilowy przebłysk. Nie poznawała swojego ciała – czuła się słaba jak niemowlę, a na dodatek całe pomieszczenie zdawało się wirować dookoła, jakby siedziała na karuzeli. Nie mogła skupić wzroku na mężczyźnie, który stał przed nią. Na mężczyźnie, który przed chwilą wyrwał jej zębami kawałek mięsa z ciała i który wyraźnie nie zamierzał na tym poprzestać. Zaczęła szukać jakiejś broni, chociaż nic konkretnego nie przychodziło jej do głowy. Pusty blat, myszka, klawiatura i parę długopisów. Kalendarz z pozapisywanymi spotkaniami. Nie, terminarzem raczej go nie odpędzi, chyba że mu wpisze spotkania na najbliższe dziesięć lat – to się chłopczyzna zniechęci i sobie pójdzie. Nie, odpada. Resztką świadomości stwierdziła, że najlepszą obroną będzie atak.

Szybko, jak na swój stan, wstała i odepchnęła mężczyznę, który zatoczył się i wpadł z impetem do boksów znajdującego się za nim. Przy okazji rozbił łokciem monitor, a z klawiatury posypały się na wszystkie strony klawisze, niczym klocki Lego rozrzucone przez kapryśne dziecko. Karolina zyskała sekundę przewagi i odbijając się od ścian, rzuciła się biegiem przed siebie, nie myśląc, w którą stronę ucieka. Nie miało to dla niej w tym momencie najmniejszego znaczenia.

Na skrzyżowaniu korytarzy wpadła na Jacka. Przewróciła się, odbiwszy się od kolegi jak od muru. Chłopak w pierwszej chwili jej nie poznał. Nie widział Karoliny zaledwie kilka minut, ale jej twarz zdążyła już przybrać piękny, zgniłozielony odcień. Dodatkowo z rany na szyi sączyła się ciemna, gęsta krew. Wyglądała, jakby przepracowała non stop kilka dni, a w drodze powrotnej do domu została zaatakowana przez wygłodniałe psy.

– Jezu! – zdołał wydusić Jacek. – Co ci się stało?

Dziewczyna wyciągnęła w jego kierunku dłoń z wyraźną, niemą prośbą o pomoc.

– Nie pytaj. Wiejemy – odpowiedziała krótko, stając chwiejnie.

## STARE MIASTO, GODZINA 14:37.

Pierwsze piętnaście minut ucieczki z mostu było prawdziwym koszmarem, lecz teraz, z perspektywy czasu i w odniesieniu do zdarzeń, które miały miejsce jakiś czas później, wydawało się dziecinną igraszką. Przed schodami prowadzącymi wprost na plac Zamkowy zaatakowało ich dwoje ludzi. Na szczęście Kuba szybko ich obezwładnił, chociaż nie przyszło mu to łatwo – jednemu z nich musiał nawet przestrzelić kolano, a ten i tak w dalszym ciągu czołgał się w ich kierunku. Wtedy to razem z Natalią stwierdzili, że muszą się jak najszybciej dostać do najbliższego komisariatu. Niestety sforsowanie tunelu okazało się niemożliwe – płonące samochody i dziesiątki wściekłych osób zmusiły ich do wybrania innej drogi.

Wbiegli na górę. Ich oczom ukazała się wysoka Kolumna Zygmunta oraz potężne mury Zamku Królewskiego. Wszystko było skąpane w majestatycznym, ciepłym blasku lipcowego słońca. Idealna sceneria do pocztówkowego zdjęcia lub romantycznego spaceru po Starówce. Niestety, nie tym razem. Sceny rozgrywające się przed ich oczami nie sprzyjały robieniu jakichkolwiek zdjęć ani spacerowaniu. No chyba że jest się samobójczym fotografem wojennym albo kozakiem bez wyobraźni, szukającym mocnych wrażeń.

Ludzie wyglądali, jakby brali udział w organizowanej na wielką skalę zabawie w berka. Tylko dziwny był ten berek – nie dość, że „chodzony”, to jeszcze gryzło się, a nie, jak się powszechnie przyjęło, klepało złapaną osobę.

Przypatrywali się tej scenie z przerażeniem w oczach. Natalia przywarła mocno do męża. Chociaż oboje byli spoceni, to ciepło jej ciała podniosło morale Kuby. Nie mieli innego wyjścia, musieli kontynuować ucieczkę. Dla Kuby oczywistym było, że pozostanie w tym miejscu oznacza pewną śmierć. Natalia się dostosuje – zapewne będzie jej ciężko biec po kocich łbach w japonkach, ale innej opcji nie było. Wóz albo przewóz.

Ruszyli.

Wtedy ujrzeni rzeczy, których woleliby nigdy nie oglądać. Ciemny strumień posoki spływał brukiem wprost do rynsztoka, meandrując pomiędzy otoczakami ludzkich wnętrzności, walającymi się bezpiecznie po bruku. Cuchnęło stęchlizną, zgniłym, rozkładającym się mięsem i... strachem. W odległości słychać było wystrzały i krzyki; na horyzoncie unosił się olbrzymi i ciężki słup dymu. Zewsząd słychać było zawodzące syreny. Ludzie byli dosłownie rozrywani na strzępy przez innych ludzi. W pewnym momencie ciężko było odgadnąć, kto jest kim – wszyscy bowiem byli jednakowo skąpani we krwi, a w ich oczach widniało szaleństwo. Wilki mieszały się z owcami, nie dając bezradnemu pasterzowi najmniejszej szansy niesienia pomocy.

Małżonkowie starali się przebić do ulicy Miodowej i stamtąd dalej w kierunku ratusza, ale tłum był zbyt gęsty. Za dużo musieliby zaryzykować. Mieli dwa wyjścia – uciekać i spróbować okrężnej



drogi lub schować się gdzieś i postarać się przeczekać bitwę. Chociaż wszystko to bardziej przywodziło na myśl rzeź niewiniątek niż walkę. Nie mogli się wycofać, nie mogli też kontynuować wędrówki we wcześniej obranym kierunku. Podjęli decyzję, że przebiją się przez Stare Miasto, idąc przez Barbakan do placu Bankowego, skąd już będzie widać komendę policji. Kuba wiedział, że na Starówce również na pewno znajdzie komisariat, ale przypuszczał, że był on znacznie gorzej wyposażony od tego mieszczącego się przy dawnym Arsenale.

Chociaż może się okazać, że będzie musiał im wystarczyć niewielki komisariat, który mają pod ręką.

Dotarli do ściany gęstych budynków. Wkroczyli pewnie w wąskie uliczki, w których bez problemu błyskawicznie można było stracić orientację. Wszystkie wydawały się takie same. Kuba starał się nie tracić wiary, wiedząc, że jeżeli się teraz zgubią, to będzie po nich. W magazynku zostało mu piętnaście naboji, zdecydowanie za mało, jeżeli wziąć pod uwagę najgorszą ewentualność – czyli to, że prędzej czy później stworzy ich zauważą. Z drugiej strony dobrze, że w ogóle zdecydował się zabrać broń.

Przez dwadzieścia minut krążyli w labiryncie uliczek, bawiąc się z powolnymi zombie w kotka i myszkę.

Wyszli cicho zza rogu, a ich oczom ukazała się pokaźna grupa nieumarłych, idąca prosto w ich kierunku. Dokładnie tak samo liczebna grupa nadchodziła od drugiej strony ulicy. Znaleźli się w pułapce.

– Kurwa mać – wycedził przez zaciśnięte zęby Kuba. Złapał się ręką za głowę i zaczął przeczesać nerwowo ciemne, krótkie włosy. – Mamy totalnie przesrane...

– I co teraz? – zapytała przerażona Natalia.

– Nie mam pojęcia. – odwarknął, nerwowo rozglądając się dookoła.

Żona tylko popatrzyła na niego w milczeniu.

Z początku policjant nie dostrzegł ich jedynej szansy, był zbyt skupiony na obserwowaniu powoli zbliżającej się ściany śmierci. Czas na fochy będzie później, o ile Bóg da. Nagle niebiosa się rozstały i Kuba doznał objawienia. Dokładnie tak – objawienia. Kościół, do tego sanktuarium Matki Bożej Łaskawej. Tam się schowają. Zdecydowanie łaska Boża im się teraz przyda. Co prawda niektóre żywe trupy już zaczęły się zrównywać ze ścianą kościoła, ale jeżeli zaraz ruszą tyłki, mają szansę dostać się do środka przed całą watahą. Plan miał tylko jeden minus – jeżeli nie uda im się wejść do środka, nie będą mieli dokąd wrócić. A to oznacza, że zginą marnie.

Jak to mawiali kumple Kuby z roboty: jest ryzyko, jest zabawa.

Rzucili się biegiem w stronę świątyni, by po paru sekundach dopaść do okutych żelazem, ciężkich wrót.

– O Boże, zamknięte! – krzyknęła z rozpaczą w głosie Natalia. – Kuba, te pieprzone drzwi są zamknięte!

Mąż spojrzał na nią wzrokiem pełnym przerażenia i niedowierzania. Musiał podejść i samemu przekonać się, że jego małżonka się nie myli, a zombie byli coraz bliżej. Dotknął zimnej kłamki

i przeklął w myślach swój los. Za co go to spotkało? Wytarł spoczone ręce w wybrudzony, szary T-shirt. Starał się uspokoić myśli.

Nigdy nie przypuszczał, że przyjdzie mu paść trupem w tak oryginalny sposób i w tak uroczym miejscu.

Złapał Natalię wpół i przesunął za siebie.

– Stań za mną – powiedział, starając się przygotować do walki.

– Kuba... – tyle tylko zdołała z siebie wykrztusić Natka.

W jej głosie słyhać było przerażenie i coś, co i do niego zaczynało powoli docierać – całkowita rezygnacja. Monstra były coraz bliżej. Przez ułamek sekundy przez głowę mężczyzny przeleciała cu-downie naiwna myśl – może jak nie będą się ruszać, pozostaną niezauważeni i ta banda zwyrodnialców po prostu sobie pójdzie? Niestety, jego nadzieja prysła, gdy tylko jeden z zombie ich dostrzegł – w tym momencie bowiem monstrum wydało z siebie dziwny, gardłowy odgłos, jakby zasyłało powietrze albo za chwilę miało implodować, i ruszyło chwiejnie w ich stronę. Kilku najbliższych osobników poszło w jego ślady, ciągnąc za sobą następnych i następnych. W rezultacie Kuba zorientował się, że wszyscy idą w kierunku kościoła.

Szybkim, sprawnym ruchem wyjął magazynek i przeliczył pociski. Piętnaście. Cudnie. Dwa trzeba będzie zostawić. Nie zamierza dać się zjeść ani pozwolić, żeby coś zjadło jego żonę.

Oddał pierwszy strzał. Bynajmniej nie ostrzegawczy. Wyszedł z założenia, że lepiej dla nich będzie, gdy zrezygnuje z tej całej szopki związanej z przewencyjnym krzykiem, potem kolejnym, informacją o wydobyciu broni, strzałem ostrzegawczym przeszywający niebo... Na tym ostatnim zazwyczaj się kończy, bo gliniarz pada trupem w połowie scenki. Nie. Tym razem Kuba wycelował w sam środek klatki piersiowej najbliższego napastnika i pociągnął za spust. Huk wystrzału odbił się echem od wąskich uliczek, pozostawiając po sobie oszałamiającą ciszę. Ochłap czasu podarowany ku refleksji nad tym, co właśnie zaszło.

Trafiony w samo serce potwór cofnął się o krok, wyraźnie zaskoczony. Spojrzał niepewnie w dół, dostrzegając wyrwę we własnym ciele. Kuba nie był do końca pewien, czy stojąca przed nim postać jest w pełni świadoma. Jego przecucie potwierdziło się, gdy zombie wsadził rękę w otwór we własnym ciele, wyciągnął ją całą skąpaną we krwi i oblizał.

Stwór mimo postrzału kontynuował swój marsz. Natalia kurczowo przywarła do pleców męża, jej strach był teraz niemal namacalny.

Kuba przekrzywił głowę na bok i ściągnął brwi.

– Co jest... – wycedził przez zaciśnięte zęby, totalnie zaskoczony.

Nigdy w życiu nie był tak przerażony, jak w tym momencie. Bał się o życie swoje i Natalii, jednak największy strach budziło w nim to nowe doświadczenie. Stał naprzeciwko czegoś, co przeczyło wszelkim ludzkim prawom. Czegoś zupełnie nowego i nieznanego, z czym on – zupełnie niczym się niewyróżniający, młody policjant z wydziału kryminalnego – musi się teraz zmierzyć. „Dlaczego to zawsze mnie musi przypadać najbardziej gówniana robota?” – pomyślał.

Dla dodania sobie animuszu zrobił krok do przodu, wychodząc naprzeciw zbliżającemu się monstrum. Wycelował w jego prawe kolano i bez wahania pociągnął za spust. Pocisk rozerwał jeansy i ciało, odłupując kawałek kości i posyłając go kilka metrów dalej. Bestia padła na bruk, rycząc przy tym niemiłosiernie. Ale i ten strzał nie pomógł. Zupełnie nie zważając na odniesione rany, potwór zaczął się czołgać w ich stronę, wyciągając przy tym wysoko ręce i zawodząc żałośnie.

– Uparty z ciebie sukinsyn – powiedział Kuba, zrobił kolejny krok do przodu i z odległości dwóch metrów wystrzelił prosto w łeb zombie. Pocisk przeszył czaszkę, rozchlapując jednocześnie wokół różową, miękką tkankę mózgową.

Ręka Kubie nie zadrżała, jednak serce o mało nie wyskoczyło z klatki piersiowej. Cały był spoczony z emocji i strachu. Co innego brać udział w ulicznej strzelaninie... Ale to była egzekucja. Na dodatek wykonana z zimną krwią. Jeżeli sąd orzeknie jego winę, spędzi on kilka ładnych lat za kratkami. Jednak szczerze mówiąc, wątpił w taki obrót spraw.

– Kuba! – krzyknęła Natalia.

Mężczyzna błyskawicznie odwrócił się i zobaczył, jak jeden z potworów znalazł się niebezpiecznie blisko jego żony. Dzieliło ich mniej niż dwa metry. Doskoczył do niego, odepchnął go nogą i zastrzelił. „Cholera, zbyt łatwo mi to przychodzi” – pomyślał.

Spojrzał na Natalię. Miała bladą twarz, a po policzkach spływały jej smugi rozmazanego tuszu do rzęs. Kuba wiedział, że to od niego zależy, czy wyjdą z tego cało, czy raczej nie. Ale wiedział też, jak mało miał możliwości. Znaleźli się w ślepych zaułku, z zaryglowanymi drzwiami za plecami i watahą mięsożernych potworów tuż przed sobą. Zdecydował, że bez walki się nie podda. Odwrócił się na pięcie i zaczął opróżniać magazynek, każdym strzałem kładąc jednego z przeciwników. Miał nadzieję, że zyska tym odrobinę czasu do namysłu. Wiedział, że ma za mało amunicji.

Zostało mu pięć pocisków i dopiero wtedy wpadł na pomysł.

– Odsuń się i stań za mną! – krzyknął do Natalii.

Ta posłusznie wykonała jego polecenie.

Kuba wycelował w zamek drzwi i pociągnął za spust, zasłaniając twarz ręką przed ewentualnym odpryskiem czy rykoszetem. Zwodnicze, ale poprawiało poczucie bezpieczeństwa.

Pociski roztrzaskały zamek. Mężczyzna z impetem naparł całym ciałem na drzwi. Ustąpiły dopiero za trzecim razem. Nigdy nie doświadczył aż takiej ulgi. Czuł na karku oddech śmierci, ale na razie udało mu się ją oszukać.

Dwójkę ocalałych przywitało mroczne i zimne wnętrze jednego z najstarszych kościołów w Warszawie.

## CENTRUM, GODZINA 16:43.

Leżeli we dwójkę na dachu kiosku, smażąc się nań jak na stalowej patelni porzuconej pośrodku pustyni. Kaja bezsilnie przypatrywała się masakrze, podczas gdy chłopczyk spał, wtulony w jej bok. Zasnął prawie dwie godziny temu – wysoka gorączka najpierw go osłabiła, by chwilę później dosłownie zwalić z nóg. Dookoła nich poniewierały się zmasakrowane ciała, dymiły rozbite samochody i płynęła krew. Przede wszystkim wszędzie pełno było krwi. Odczuwalne było także wszechobecne cierpienie, unoszące się cicho wokół nich. Namacalna, gęsta kotara bólu opadła na centrum miasta, przykrywając wszystko szczelnie, niczym gruby koc otulający stopy podczas mroźnej zimy. W powietrzu unosił się odór śmierci. I strachu. Czegoś łączącego zapach potu, łez i krwi, uczucie przerażenia oraz nutkę niedowierzania. Kaja nigdy wcześniej czegoś podobnego nie doświadczyła, jednak była pewna, że to właśnie taka, a nie inna woń. Z początku myślała, że zemdleje albo wymiotuje, jednak z czasem się przyzwyczaiła. Przywykła również do krzyków, które w miarę upływającego czasu cichły, ustępując pojękiwaniu mordowanych. Nawet do pragnienia się przyzwyczaiła. Do piekącego słońca i braku powietrza, którym można by oddychać, także. Oswoiła się też z brakiem telefonu czy niemożliwością ruszenia się z dachu śmierdzącego kiosku. Podobnie jak i z wysoce niekomfortową sytuacją, w jakiej się znalazła. Na końcu przyzwyczaiła się też do zawodzących w oddali syren, do słupów dymu wykwitających w coraz to nowych miejscach. Człowiek z czasem do wszystkiego jest się w stanie przyzwyczaić. No – prawie wszystkiego.

Nie przyzwyczaiła się bowiem do dziesiątek rąk wyciągniętych w jej stronę. Ani do setek oczu, łapczywie śledzących najmniejszy jej ruch. Nie, do tego nie zamierzała się przyzwyczajać. Tak samo jak do powoli kielkującego w niej uczucia, że przyjdzie jej zostać w tym zaprzyjaźnym, betonowym centrum stolicy już na zawsze.

Jakiś czas temu nadjechało kilkanaście radiowozów, z których wybiegli dzielni policjanci, aby zapanować nad sytuacją. Niestety, to sytuacja zapanowała nad nimi – część radiowozów płonęła, niektórzy funkcjonariusze zostali zabici. Reszcie udało się uciec. Na początku Kaja miała nadzieję, że wrócą z posiłkami, ale w miarę upływu czasu coraz mniej w to wierzyła.

Nagle chłopczyk zaczął się poruszać. Do tej pory leżał nieruchomo, tak że Kaja kilkakrotnie sprawdzała, czy w ogóle jeszcze żyje. Żył, ale gorączka była bardzo silna i nieprzerwanie rosła, a dziewczyna nie miała czym jej zbić. Koszulka zawiązana wokół jego rannego ramienia już dawno przesiąkła krwią. Teraz zaczął się delikatnie wiercić i majaczyć przez sen. Wiedziała, że nie jest z nim za dobrze, ale była na przegranej pozycji. Sama nie da rady dziesiątkom kanibali, czatujących na nią pod kioskiem. Nie można ich ani przeskoczyć, ani obejść. Wcześniej intensywnie szukała jakiegoś sposobu, żeby się dostać do środka kiosku. Pewnie było tam gorąco i duszno jak w piecu, ale zapewne znalazłaby wodę i jedzenie. Same batoniki i słodczyce, ale dobre i to.

Tymczasem znalazła się w położeniu, jakiego najbardziej nie lubiła – totalnie zależna od innych, od jakiegokolwiek, nawet najmniejszej pomocy z zewnątrz. Mogła tylko bezczynnie siedzieć i czekać. Zastanawiała się, czy gdyby udało się jej w jakiś sposób odciągnąć uwagę zombie, dałaby radę zeskoczyć i uciec. Stwory poruszały się dość wolno, więc biegnącej by jej nie dogoniły, lecz ich przewagą była liczebność. Na domiar złego, rosła z każdą chwilą. Poza tym zaobserwowała, że gdy jeden znajdzie ofiarę, reszta natychmiast to wyczuwa. Nawet jeśli ktoś chce uciekać, inne osobniki zacieśniają wokół niego krąg, nieubłaganie idąc w kierunku nieszczęśnika i doprowadzając do sytuacji, w której ten nie ma jak się między nimi przecisnąć. Przypominało to polowania, jakie kiedyś oglądała na Discovery. Lwice otaczały biedną zwierzynę, skradając się powoli w wysokiej trawie, żeby po pełnej dramatyzmu i napięcia chwili rzucić się na nią ze wszystkich stron i zadusić.

Chłopak coraz gwałtowniej się poruszał. Wydawał nieartykułowane dźwięki, majaczył. Kaja położyła rękę na jego czole, głaszcząc je i szepcząc mu do ucha słowa pociechy. Nagle jego ruchy nabrały gwałtowności. Wił się coraz mocniej, tańczył, wyginając się na wszystkie możliwe i niemożliwe strony jak rażony prądem i... krzyczał. Krzyczał, jakby coś rozdzierało go od środka. Kaja złapała go ręką w pasie, chcąc unieruchomić. Bała się, że malec odgryzie sobie język i się nim udławi, jak mieli to w zwyczaju choćby epileptycy. Wyraźnie gorączka przechylała szalę zwycięstwa na swoją stronę.

Naraz chłopiec znieruchomiał i otworzył oczy, świdrując nieobecny wzrokiem bezkresną przestrzeń nad głową.

Dziewczyna wpatrywała się w niego przerażona, pierwszy raz w życiu będąc świadkiem podobnego zachowania. Po sekundzie niepewności, która dla Kai wydawała się wiecznością, chłopiec zaczął szybciej oddychać. Klatka piersiowa miarowo unosiła się i opadała w coraz szybszym tempie, jakby ktoś niewidzialny go reanimował. „Anioły” – pomyślała dziewczyna. No bo któż inny, niewidzialny, przybyłby na pomoc małemu chłopcu, umierającemu w samym centrum miasta w piękne, lipcowe popołudnie?

Nieoczekiwanie chłopiec nabrał głęboko powietrza i wypuszczając je powoli, w jednostajnym wydechu, skonał. Kaja poczuła, jak małe ciało wiotczeje w jej ramionach. Serce dziewczyny niemalże pękło, zabierając ją w ostatnią podróż razem z małym, nieznanym chłopcem. Spotkała go kilka godzin wcześniej, a czuła się z nim bardzo silnie związana. Obiecała mu, że wszystko zakończy się dobrze. Przypuszczała, że gdzieś w tym kłębiącym tłumie stoi jego matka, z żądzą mordu w oczach i z krwią na ustach. Nic jej to nie obchodziło. Od momentu, kiedy go uratowała, wzięła na siebie całkowitą odpowiedzialność za jego życie. A jednak zawiodła. Chciała krzyknąć, rzucić się w zemście na grasujące poniżej stada potworów.

Delikatnie ujęła małe ciało i ułożyła je na płasko. Zamknęła oczy chłopca i przykryła twarz małym ręcznikiem, który wyciągnęła z plecaka. Poczuła, jak po policzkach spływają jej słone, ciężkie łzy. „To niesprawiedliwe” – pomyślała. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać bezbronnym, Bogu ducha winnym istotom. Przecież ten dzieciak nie mógł nikomu zależeć za skórę, nie w ciągu tak krótkiego życia!

Podczas gdy rozmyślała nad niesprawiedliwością tego świata, do kiosku zbliżył się znany jej człowiek. Osoba, będąca de facto powodem, dla którego Kaja w ogóle zjawiała się w centrum. Parę metrów od niej stał Adam. A właściwie coś, co go przypominało.

Wpatrywał się w nią tępym, wściekłym wzrokiem. Jego prawe ramię zakończone było sterczącym, krwawiącym kikutem. Brakowało mu też jednego ucha, a wygryziona w policzku dziura ukazywała szczękę. Biały T-shirt był podarty i poplamiony krwią, na lewej stopie brakowało buta, ale skarpetka dzielnie tkwiła na posterunku. Kaja patrzyła na ten strzęp człowieka i czuła, jak po raz kolejny w ciągu ostatnich paru minut pęka jej serce. „To niemożliwe” – pomyślała. „To wszystko jest ponad ludzkie siły. Powinna dostać zawału i byłoby po sprawie. Za jakie grzechy muszę się męczyć i oglądać te wszystkie rzeczy?”. Wiedziała, że to nie jest ten sam człowiek, którego знаła. Związek zaczynał fajnie się układać, jak to niektórzy mówią – zaczynał mieć ręce i nogi. Teraz nie dość, że jednej ręki brakowało, to i perspektywy na przyszłość wydawały się średnio obiecujące. Ech, umrze jako stara panna. Ale przynajmniej nie jako dziewica. Zawsze to jakieś pocieszenie.

Wpatrywała się w oczy swojego niedawnego chłopaka i zastanawiała się, jak wygląda sytuacja poza centrum. Jeżeli tu nie pojawiły się żadne służby porządkowe, nie licząc kilku dogasających obecnie radiowozów, to sytuacja musiała być naprawdę poważna. Pomyślała o swoim ojcu. Pan porucznik dobrze by wiedział, jak się teraz zachować. Pewnie został już poinformowany o tym całym cyrku. On, jego przełożeni, sztab kryzysowy, pani Halinka ze sklepu osiedlowego i wszyscy święci. Pewnie się o nią martwi. I słusznie, cholera. Niech się bardzo martwi i niech zorganizuje jakiś ratunek. Powinni namierzyć jej telefon, nieważne, że bezużyteczny gadżet nie ma zasięgu. Oni potrafią, nie takie zabawki mają. Tylko coś się chłopaki długo ogarniają. Kurczę, gdyby chociaż mogła się połączyć z internetem. Mogłaby wysłać SMS-a, e-maila albo wrzucić coś na Facebooka. O tak, Kaja Petelicka jest w miejscu: Centrum, na: Kiosk Kolporter, z: Zombie, bierze udział w wydarzeniu: Apokalipsa. Kilkudziesięciu czyhających na jej życie zombie z pewnością by kliknęło „Lubię to!”.

Niestety, nic z tego. Musi czekać.

„Cóż, nigdzie mi się nie spieszy” – pomyślała. „Mogę grzecznie czekać na ratunek. Jakbym miała jakieś inne wyjście”.

Nagle poczuła za sobą ruch. Wiedziała, że to na dachu kiosku. Odwróciła się gwałtownie i zerwała się na równe nogi, gotowa do odparcia ataku. Zacisnęła drobne dłonie w pięści, robiąc jednocześnie wykrok i unosząc ręce do gardy. Spod spodenek spływał jej pot, którego nie czuła, leżąc, a który nadawał jej szczupłym nogom blasku.

Dziecko, które parę minut wcześniej skonało w jej ramionach, teraz podnosiło się do pozycji siedzącej. Kaja patrzyła na tę scenę z fascynacją, jakby pierwszy raz widziała egzotyczne zwierzę czy pokaz sztucznych ogni. Delikatnie przekrzywiła głowę, jak zdziwiony pies nie do końca rozumiejący, co się do niego mówi. Bo ona też nie rozumiała tego, co się przed nią rozgrywało. Nie rozumiała i nie chciała rozumieć.

Z twarzy chłopca opadł ręcznik. Wpierw myślała, że wszystko z nim okej – że gorączka minęła, że wcale nie umarł. Miała nadzieję, że zdarzył się cud i malec ozdrowiał. Cud może i się zdarzył,

ale nie do końca taki, jakiego oczekiwałyby dziewczyna. Zrozumiała to w momencie, gdy chłopiec otworzył oczy. Dwa małe, czarne punkciki wpatrywały się w nią, przeszywając na wylot i zagładając prosto do jej duszy. Kaja wiedziała, że dzieciak stał się jednym z nich.

W tym momencie czas nagle jakby przyspieszył. Chłopiec wyciągnął ręce w stronę swojej przyszłej, acz, jak miał pokazać czas, niedosłej ofiary, otwierając usta i sycząc dziwacznie, niczym wściekły kot prezentujący swoje uzębienie. Kaja wiedziona instynktem i na przekór wszelkiemu poczuciu moralności i współczucia, błyskawicznie kopnęła go w sam środek twarzy. Głowa mu co prawda nie odpadła, ale całe ciało poleciało ładny metr do tyłu i spadło wprost w gąszcz wyciągniętych w górę rąk.

Kaja ciężko oddychała, czując, jak w jej ciele szaleje adrenalina. Wiedziała, że zrobiła dobrze. Albo ona, albo ta mała gnida. Prosty rachunek. Co nie zmienia faktu, że została teraz zupełnie sama.

## METRO, GODZINA 16:50.

le czasu tu już siedzimy? – zapytał Max zmęczonym głosem.

Paweł podniósł głowę znad kolan i odpowiedział:

– Będą ze trzy godziny.

Max milcząco kiwnął głową. Po raz setny rozejrzał się po klitce, w której aktualnie przyszło im gnić. Pomieszczenie techniczne, pełne wilgoci na ścianach i gratów nieznanego przeznaczenia. Z sufitu zwisała naga żarówka, spowijając wszystko mdłym, żółtym światłem. Pod ścianą stał regał wypełniony wszelkiej maści narzędziami i podzespołami. Obok niego usytuowany był stół oraz szafka pracownicza, zamykana na zamek. Na szczęście pomieszczenie również można było zamknąć. Odkąd tu wskoczyli, jakiś zombie stał i maniakalnie walił w drzwi, za wszelką cenę starając się wejść do środka. Chociaż zdaniem Pawła działania przeciwnika były niezbyt skuteczne, chłopak przygotował się na najgorsze. Wejdzie pierwszy potwór, wpuści pozostałe i będzie pozamiatane. Na szczęście przez ostatnie kilkadziesiąt minut nic podobnego się nie zdarzyło. Co wcale niekoniecznie poprawiało ich sytuację – owszem, byli teraz względnie bezpieczni, ale też uwięzieni w pułapce. Żaden z nich nie miał pojęcia, przy której stacji metra się aktualnie znajdują.

– Nie sądzisz, że powinni byli już zacząć nas szukać? – zapytał chłopak, szukając choćby promyka nadziei w tej beznadziejnej sytuacji.

– A dlaczego myślisz, że powinni? – odpowiedział pytaniem Paweł.

Max popatrzył na niego zaskoczony. Po chwili zastanowienia odparł:

– To znaczy nie nas osobiście, tylko jakichkolwiek ocalałych ludzi. Z tego całego bałaganu, w sensie.

– Może zaczęli. Tylko my dotarliśmy w takie miejsce, gdzie nikt się nie zapuszcza.

Max zmarszczył brwi, przekrzywiając delikatnie głowę. Po raz kolejny popatrzył pytająco na Pawła, który dodał:

– Chodzi mi o to, że jesteśmy daleko od miejsca wypadku. Jeżeli nawet do tunelu zeszła jakaś ekipa ratunkowa, to ocalałych szukali przy pociągu, a nie na całej linii metra – wyjaśnił.

– No tak... – skwitował chłopak. – I pewnie do tej pory wszystkich już znaleźli. Może niepotrzebnie stamtąd odeszliśmy?

Paweł westchnął ciężko, zerkając na swoje czarne adidas.

– Już nie pamiętasz, co się tam działo? – zapytał, spoglądając gniewnie na Maxa. – I co dalej się dzieje, tuż za tymi drzwiami? Jak myślisz, co by z nas zostało, gdybyśmy nie wydostali się z pociągu? Bo ja mam wrażenie, że nie za wiele.

Max popatrzył na Pawła, zszokowany jego niespodziewaną agresją. Co go ugryzło? Jezu, żeby tylko nie dziabnął go żaden zombie, bo jeszcze za chwilę się zmieni w jednego z nich. Chłopak za-



czał uważnie przyglądać się barczystemu mężczyźnie. W bezpośrednim starciu nie miały z nim najmniejszych szans.

– Nie, masz rację – odpowiedział ugodowo. – Dobrze, że się stamtąd zabraliśmy.

Mężczyzna spojrział na chłopaka, zmarszczył brwi i przekrzywił głowę. W tym momencie po plecach Maxa przebiegł dreszcz przerażenia. „Patrzy się na mnie jak głodny pies na swojego pana jedzącego kolację” – pomyślał. „Powstrzymuje się, ale pewnie za chwilę wirus przejmie kontrolę i...”.

– Nie, nie ugryźli mnie – powiedział nagle Paweł. – Widzę, jak na mnie patrzysz. Nie bój się, nie zamierzam ci zrobić krzywdy.

Max wypuścił z ulgą powietrze.

– O ile nie będziesz zadawał durnych pytań – dodał Paweł, uśmiechając się pod nosem.

Twarz Maxa natychmiast się rozpromieniła. Odpowiedział uśmiechem.

– Masz jeszcze coś do jedzenia? – zapytał poważnie mężczyzna.

– Nie.

Paweł kiwnął głową w milczeniu. Max po raz kolejny w życiu poczuł się lepszy od tych wszystkich mięśniaków, z którymi miał do czynienia w szkole. Był chudszy, więc mniej jadł. Poza tym czasami miał wrażenie, że mózgi wielkich sztangistów i gości pakujących maniakalnie na siłowni nastawione są tylko na dwie rzeczy, czyli jedzenie i ćwiczenia. Co w sumie sprowadzało się do jednego – rośnięcia. Jednocześnie dopadła go refleksja, że bez mięśniaka, z którym aktualnie przebywał, nie zaszedłby daleko. Poza tym, Paweł nie był „mięśniakiem” w dosłownym tego słowa znaczeniu. Ćwiczył regularnie, aby utrzymać dobrą formę, ale do Pudziana było mu daleko. Cóż, dla wysuszonego chłystka spędzającego całe dnie przed komputerem każdy inny samiec, któremu nie wiadać kości, będzie mięśniakiem. „Co za różnica” – pomyślał Max. „Pewnie sam też bym sobie jakoś poradził”. I weź takiemu przetłumacz.

– Szkoda – westchnął Paweł, wspominając dwie kanapki, jakie znaleźli w plecaku chłopaka.

– Powinniśmy coś wymyślić – stwierdził błyskotliwie chłopak.

Paweł spojrział w jego kierunku z ironicznym uśmiechem.

– Słucham, jakie masz pomysły, kierowniku? – zapytał.

Max delikatnie się zaczerwienił, zbity z tropu. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Po kilkunastu sekundach zaczął mówić:

– To znaczy, no wiesz... Chodziło mi tylko o to, że chyba nie powinniśmy tu zbyt długo zostać. Wiesz, nie mamy jedzenia, niby siedzimy tu dopiero dwie godziny...

– Trzy.

– Dobra, trzy, ale nie wiadomo, ile czasu minie, nim jakaś ekipa ratunkowa nas tu namierzy. Siedzenie tutaj nic nie da.

– Brawo – przerwał mu Paweł. – A teraz, proszę, powiedz coś, czego nie wiemy.

W tonie żołnierza nie było grama sarkazmu, jednak chłopak odniósł wrażenie, że mężczyzna jest świadomy czegoś, o czym ten nie ma pojęcia. Ta niewiedza spowodowała, że poczuł lekki nie-

pokój, ale paradoksalnie jakaś jego część czuła się z tym bezpiecznie. Jak z osobą, której można zaufać i powierzyć swój los.

– O Jezu, nie wiem. Po prostu kombinuję – chłopak wzruszył ramionami, nabzdyczając się po raz kolejny.

– Dobra, dobra, już spokojnie – Paweł starał się załagodzić sytuację. – Powiem ci tak... Tylko nie wpadaj w panikę, okej? Przestań liczyć na jakąkolwiek pomoc z zewnątrz. Po pierwsze dlatego, że po drodze trafiliśmy na zamkniętą stację. Sam ją widziałeś. Spotkałeś się kiedykolwiek z tak zamkniętą stacją w środku dnia? – Max niechętnie pokręcił przecząco głową. – No właśnie. To raz – kontynuował Paweł, wystawiając palec. – Do tej pory nie trafiła tu żadna ekipa ratunkowa, żadni medycy, służba ochrony metra, nic, zero. Mógłbyś stwierdzić, że nikt nie wie, gdzie jesteśmy, ale nie jest to zgodne z prawdą. Bo widzisz, chłopaku, każdy pojedynczy kawałek podziemnego tunelu, włącznie z tym pomieszczeniem, jest monitorowany. To dwa.

Max rozejrzał się po rogach salki i faktycznie, po przeciwległej stronie od wejścia, tuż pod sufitem przychepione było czarne, błyszczące oko kamery. Jak mógł wcześniej tego nie zauważyć?

– Wobec czego, jeżeli kogokolwiek interesowałby nasz los, znalazłby nas bez najmniejszego problemu – kontynuował Paweł. – Dotychczasowy brak reakcji świadczy o dwóch rzeczach: albo boją się otworzyć kraty i zejść na dół, a nas mają w dupie, albo skala zjawiska jest tak duża, że muszą ratować to, co się jeszcze da, a nas mają... w dupie. Tak czy inaczej, mamy przesrane jak w ruskim czołgu.

Chłopak patrzył na swojego towarzysza wybaluszonymi oczami. Jeżeli prawda czasem boli, to on dostał właśnie żelazną pięścią objawienia w sam nos.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zdołał wydusić z siebie.

Paweł westchnął, zbierając myśli.

– Byłem na misji w Afganistanie – zaczął swoją opowieść. – Dostaliśmy namiary na takie jedno miejsce. Szczegóły nie są ważne. Wszystko miało być zrobione po cichu, delikatnie i niezauważalnie, czyli tak jak zawsze działaliśmy. Dotarliśmy do celu i nasz pluton został podzielony na trzy mniejsze pododdziały. Pierwszy miał zabezpieczać wejście, drugi spenetrować jaskinię, a trzeci obstawiać wyższe rejony góry. Mnie się trafił pierwszy. – Wzrok Pawła nabrał dziwnego blasku. – Wywiad doniósł, że z dużym prawdopodobieństwem w pieczarach kryje się jeden z ważniejszych członków ruchu oporu. Rozkaz był jednoznaczny. Mieliśmy przytargać bydlaka za brodę do bazy, martwego lub żywego, bez znaczenia. Wszystko szło gładko – ciągnął – aż do momentu, gdy zostaliśmy zaatakowani. Sukinsyny zastawiły na nas pułapkę. Zdalnie wysadzili wejście do jaskini, jednocześnie atakując zarówno mój pododdział, jak i ten zabezpieczający górę. Rozdzielili nas w kilkanaście minut, strzelając jak do kaczek. Okazało się, że moich kumpli wewnątrz jaskini potraktowali gazem. Oczywiście wszyscy mieliśmy maski, jednak one nie gwarantują stuprocentowego bezpieczeństwa. Wszystko zależy od czasu, który spędzasz w zagazowanym miejscu i od jego lokalizacji. W grocie nie było przeciągu, więc moi kumple mieli przesrane. Nie mieliśmy wyboru. Jakimś cu-

dem udało się nam przegrupować i dotrzeć do rosomaków, które pozostawiliśmy kilka kilometrów dalej.

Paweł przerwał opowieść, żeby zaczerpnąć powietrza. Zamyślony patrzył w podłogę. Max wyobrażał sobie, że tamten pewnie przeżywał wszystko, co się wydarzyło daleko poza granicami kraju, po raz kolejny.

– Musieliśmy ich zostawić – wydusił z siebie żołnierz. Chłopak widział, z jakim trudem przyszło mu to wyznanie. – Jednak po paru dniach trzech z nich wróciło do bazy. Żaden z nas nie odważył się spojrzeć któremukolwiek z nich w oczy.

– No, ale gdybyście zostali, to by was wszystkich wystrzelali – chłopak starał się usprawiedliwić Pawła.

– Może tak, a może nie. Może udałoby się nam utrzymać pozycje na tyle długo, żeby się do nich dokopać. Tak czy inaczej, podjęliśmy decyzję o ratowaniu własnych dup.

Nastąpiła niezręczna cisza.

– Chyba rozumiem – westchnął Max. – Chcesz przez to wszystko powiedzieć, że odcięli metro, żeby ratować resztę miasta? Że szaleje tu jakaś zaraza i postanowili nas poświęcić?

– Najwyraźniej. A przynajmniej wszystko na to wskazuje – Paweł pokiwał głową.

– Super...

– Spokojnie. Jeżeli udało się moim kolegom, nam też się uda – powiedział, niezbyt wierząc w to, co mówił. Miał jednak nadzieję, że te słowa podniosą morale chłopaka.

– No proszę cię! – zachnął się Max. – Nie jestem idiotą. Przecież to byli żołnierze! Komandos! GROM! A ja? Jestem zwykłym uczniem. W czym ja ci pomogę? Jeżeli to miał być żart, to wyjątkowo słaby, sorry.

Paweł patrzył na niego w milczeniu. Chłopak był świadomy własnej siły. To dobrze, zdecydowanie lepiej, niż gdyby był kretynem pozbawionym wyobraźni, za to z wybujałym ego. Nie skomentował jego uwag, zaczął natomiast rozglądać się po pomieszczeniu. Wstał, podszedł do zamkniętej szafki i zaczął szarpać za drzwiczki. Miał nadzieję, że stary i pewnie zardzewiały zamek ustąpi.

Nic z tego. Mężczyzna odwrócił się i ponownie rozejrzał się po pomieszczeniu. Nagle w jego szarych oczach pojawił się błysk świadczący o tym, że dostrzegł to, czego szukał.

Po paru sekundach za pomocą młotka pokazał szafce, kto jest górą. Otworzył drzwiczki i wsadził krótko ostrzyżoną głowę do środka, wyjątkowo dumny z siebie.

Ze środka dobiegały dźwięki świadczące o niezbyt delikatnym penetrowaniu zawartości. Kilkanaście sekund później Paweł wystawił głowę zza drzwiczek, trzymając w jednym ręku jakieś zwinięte papiery, a w drugim dwie duże, żółte latarki budowlane.

– Co tam znalazłeś? – zapytał Max, wskazując gestem zwinięte papierzyska.

– Wszystko, co chciałbyś wiedzieć o warszawskim metrze, a o co boisz się zapytać – odparł triumfalnie komandos, szczerząc beczelnie zęby.

## BIELANY, GODZINA 16:47.

Tomek od paru godzin siedział przed telewizorem. Czuł się bardzo zmęczony. Tak zmęczony, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Wydarzenia ostatnich kilku godzin oraz informacje, które w tym czasie zdołał przetworzyć, postarzyły go zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Dosłownie przygniotły go swoim ciężarem i treścią. Ze stuprocentową pewnością uświadomił sobie, że nie jest wariatem i to wszystko, co widzi dookoła, dzieje się naprawdę. Ludziom odbiło i zgotowali sobie małą, lokalną epidemię. Ot tak, dla złamania rutyny szarego, nudnego życia.

Im dłużej siedział przed ekranem telewizora, tym częściej pojawiały się na nim coraz to gorsze wiadomości. Wszystko działo się bardzo szybko. Przesłanki o tajemniczej zarazie przenoszonej najprawdopodobniej drogą kropelkową, docierały z kolejnych dzielnic – Bielany, Ursynowa, Targówka, a nawet z Wilanowa. Wszędzie tłem do informacji były zdjęcia atakujących się ludzi.

Chłopak wstał i podeszedł do drzwi. Przytknął do nich ucho, ale nie usłyszał żadnego dźwięku. Trochę go to uspokoiło, chociaż i tak miał wrażenie, że na korytarzu czai się masa potworów czyhających na jego życie. Doszedł do wniosku, że należy zacząć działać.

Gdzieś z oddali doleciało do niego zawroźnienie syreny, ale nie potrafił rozpoznać, czy to wylała policja, straż pożarna czy karetka. Podreptał do kuchni i wyjrzał na ulicę. Była jeszcze bardziej wyludniona niż ostatnio – naliczył mniej niż tuzin poruszających się obiektów. Istniała nikła szansa, że przed zmrokiem będzie ich jeszcze mniej.

– I co niby miałoby mi to dać? – zapytał na głos sam siebie. Czasem dobrze jest się usłyszeć, ot, choćby dla dodania sobie otuchy. Lub żeby po prostu nie zwariować.

I wtedy jego wzrok zatrzymał się na radiowozie. Wciąż otwarte drzwi od strony kierowcy zapraszały do środka, obiecując skarby, jakich Tomek nie znajdzie w dusznym, zamkniętym na cztery spusty mieszkaniu. „Przecież tam musi być broń” – aż westchnął z radości.

Na okrągłej twarzy chłopaka zagościł chytry uśmiech, a w zielonych oczach zawadiacko zamigotały iskierki. „Tak, to jest to” – pomyślał. „Zdobędę broń i będę mógł się... bronić”. Iskierki przygasły, ustępując miejsca szarej mgłę spowijającej oczy chłopaka. Tomek intensywnie myślał, analizując wszelkie możliwe scenariusze. Jeżeli wyjdzie teraz z domu i skieruje się w stronę radiowozu, ma szansę dostać się do niego bez przechodzenia blisko zombie. Bo chyba najwyższy czas je tak nazwać. Zjadają ludzi, szwendają się po okolicy niczym zmasakrowani całonocnym melanzem licealiści, poszukujący jakiegokolwiek płynu, i prawdopodobnie tak samo, jeśli nie bardziej, śmierdzą.

„Dobra, uda mi się dotrzeć do środka, ale czy to wystarczy?” – zaczął myśleć nieco bardziej racjonalnie. „Jeżeli broń jest jakoś przymocowana i zabezpieczona, a zapewne jest, to będę potrzebował trochę czasu, żeby ją wyciągnąć”.

Z drugiej strony zawsze mógł zamknąć się w środku auta, a gdy już zdobędzie karabiny – czy co tam znajdzie – utorować sobie dzięki nim drogę na zewnątrz. Nie mógł jednak wiedzieć, ile kreatur się zleci i czy najzwyczajniej na świecie starczy mu amunicji.

Poza tym nie mógł być pewien, czy w ogóle jest tam broń. To znaczy, broń palna. Pałki i paralizatory raczej się nie przydadzą. Nie chciał ryzykować tak niebezpiecznej wyprawy bez chociaż minimum pewności, że się opłaci.

– *First things first...* – powiedział do siebie.

W myślach starał się odtworzyć wydarzenia ostatnich paru godzin. Gdy przyjechał radiowóz – zombie okrążyli i zaatakowali policjantów. Ci się oczywiście bronili, ale czy Tomek na pewno słyszał strzały? Po tej całej masie wiadomości, które obejrzał w telewizji, tych wszystkich ujęciach z różnych części stolicy, przypominających bardziej korespondencję z działań wojennych niż relację z miasta, po którym codziennie się przechadzał – już nie był pewien, czego doświadczył osobiście, a co jego umysł przyswoił sobie z ekranu.

Zaryzykował otwarcie okna. W jego nozdrza uderzył zapach świeżego, letniego powietrza. Powietrza napelniającego człowieka nadzieją, optymizmem i chęcią do życia. Lepiej pachnie chyba tylko powietrze zaraz po letnim deszczu. Owszem, to co innego niż powietrze w lesie czy na wsi, ale i tak zawsze miła odmiana od smogu, którym oddycha się na co dzień.

Szybko wyjrzał zza parapetu, sprawdzając, czy żadna poczwara nie wdrapuje się na górę z zamiarem odebrania mu życia, po czym błyskawicznie schował głowę. Mieszkał na drugim piętrze, ale i tak nie był do końca pewien, czy wysokość jest wystarczająca. Na szczęście było pusto, nikt nawet nie kręcił się pod oknem. Odetchnął z ulgą. Oparł ręce na ciepłym kawałku blachy i skupił wzrok. Do wnętrza radiowozu raczej nie zajrzy, bo rentgena w oczach nie ma, ale starał się dostrzec możliwie wiele szczegółów. Parę trupów leżało w całkowitym bezruchu, wliczając w to rozszarpanych policjantów. Jednak mimo dobrego wzroku i niezłej przejrzystości powietrza, Tomek nie był w stanie dowiedzieć się tego, czego chciał. Odległość była zbyt duża. Odwrócił się od parapetu i zamyślił.

Lornetka!

Wybiegł z kuchni jak oparzony. Po paru minutach wariackiego buszowania we wszystkich możliwych skrytkach znalazł to, czego szukał. Wrócił do kuchni, dumnie dzierżąc w ręku połyskującą zdobycz.

Teraz mógł się dokładniej przyjrzeć okolicy. W tak dużym przybliżeniu trupy wyglądały paskudnie. Ślady po ugryzieniach były wszędzie, nie wyłączając twarzy. Wokół ofiar wały się wnętrzności i fragmenty skóry, tworząc groteskowy street art. Po paru sekundach Tomek oderwał lornetkę od oczu i przyłożył pięść do ust. Czuł, że zaraz zwymiotuje.

– O kurwa... – wyszeptał.

Pomysł wyjścia z domu i przejścia między ciałami – tymi leżącymi i tymi jeszcze chodzącymi – już nie wydawał mu się tak atrakcyjny.

Na razie ma co jeść. Jest też dach nad głową, prąd i wszelkie inne zdobycze cywilizacji, tak bardzo umiłujące beczynne ślęczenie godzinami w domu. Da sobie radę. Może za kilka godzin nadjedzie reszta policji, może do gry włączy się wojsko... Według informacji już się włączyło, tylko jakoś go tu nie widać. Ale to pewnie tylko kwestia czasu.

Przeczeka.

Zostawił okno otwarte, by przewietrzyć pomieszczenie, wyszedł z kuchni i skierował swoje kroki do salonu. Zatrzymał się przed starym regałem, pamiętającym jeszcze czasy Gierka. Na wysokości piersi klasycznie umieszczone były drzwi, za którymi znajdował się niezbędny w każdym domu barek.

Skoro dorośli sobie pomagają w takich sytuacjach alkoholem, to on też może. Poza tym, bądźmy szczerzy – palcem nie był robiony i już nie raz raczył się wysokoprocentowymi trunkami. Ale samemu to jakoś inaczej. No nic, może będzie lżej to wszystko znieść. Zresztą, jak mawia ciocia Gosia, lufa jest dobra na wszystko.

Nalał sobie kieliszek wódki i po chwili namysłu wlał zawartość wprost do gardła. Błyskawicznie połknął i dopiero wtedy, niemiłosiernie się krzywiąc, uświadomił sobie, że nie wziął popitki. „I dobrze” – pomyślał. „Prawdziwi twardziele piją bez popity!”. A sytuacja, w której się znalazł, nie toleruje mięczaków. Przetrwają tylko najsilniejsi, mawiają. Przyjmijmy picie wódki bez popitki za pierwszy etap w utwardzaniu swojego jestestwa i hartowaniu ducha.

Tomek zamknął barek i powędrował na kanapę. Przez chwilę trzymał w ręku pilota, ale nie włączył telewizora. Bał się tego, co w nim zobaczy. Siedział i tępo wpatrywał się w regał przed sobą. Gardło dalej paliło, ale kula w żołądku jakby się rozpuściła, robiąc miejsce przyjemnemu ciepłu.

Znowu poczuł się zmęczony. Spojrzał na barek, mierząc go wzrokiem. Po chwili wstał, otworzył go i wrócił na kanapę, niosąc w ręku butelkę wódki.

## MOKOTÓW, GODZINA 16:57.

Jacek wpatrywał się w koleżankę leżącą na dwóch olbrzymich pufach połączonych ze sobą w prowizoryczne posłanie. Karolina umierała. Nie wiedział, skąd ta pewność, ale był o tym stuprocentowo przekonany.

Po ostatnim ataku, który miał miejsce w dużej sali konferencyjnej, udało im się zabarykadować w oddzielnym skrzydle biura. Plus był taki, że na „ich” sektor składały się teraz dwa pomieszczenia – mała salka konferencyjna i druga sala, w której były poustawiane biurka z komputerami i telefonami. Na szczęście w pomieszczeniach nie było zombie – Jacek sprawdził je dwukrotnie, bardzo dokładnie. Potem dobrał się do automatu z przekąskami i zimnymi napojami. Miał mały problem z pleksiglasową szybą, jednak po paru uderzeniach gaśnicą ustąpiła.

– Mogą mi wystawić rachunek – stwierdził zawadiacko.

Karolina twardo spała od ponad godziny. Na początku jej oddech był przyśpieszony, jednak od pewnego czasu zdawał się zwalniać, jakby z minuty na minutę gasła. Jackowi wydało się to strasznie niesprawiedliwe. Młoda, inteligenta dziewczyna, z ambicjami i pomysłami na życie. Chciała tylko pomóc. Jak się okazało – nieodpowiedniej osobie. Może takie było jej przeznaczenie? „Gównno, a nie przeznaczenie” – pomyślał. W głowie zabrzmiał mu stary kawałek: „Nikt nie mówił, że będzie łatwo...”. Już nawet nie pamiętał, kto to nagrał. Autor miał rację, ciekawe, jak teraz sobie radzi? Otworzył kolejną puszkę coli. „Przynajmniej mam co włożyć do ust, nie to co w łazience” – pocieszał się. I dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że mimo upływu czasu nadal nie pojawiły się żadne ekipy ratunkowe: ani policja, ani straż, nie wspominając w ogóle o ochronie budynku...

Nagle Karolina uniosła się na łokciach i otworzyła szeroko oczy, odnajdując zaskoczone spojrzenie kolegi.

– Już zaczynałem tracić nadzieję – powiedział i dopiero wtedy ugryzł się w język. W sumie mógł powiedzieć coś miłszego, a nie utwierdzać ją w przekonaniu, jak fatalnie i słabo wygląda.

Patrzyła na niego w milczeniu. Naraz wzrok jej zmętniał i opadł na szarą, biurową wykładzinę. Jednocześnie zaczęła delikatnie wyginać się na boki, w rytm coraz słabszego oddechu, jakby wpadła w trans. Jacek obserwował ją bezradnie z puszką gazowanego napoju w ręku. Jej piersi unosiły się coraz dłużej i wolniej, gdy nagle zaczerpnęła gwałtownie powietrza i uniosła głowę.

– Jaceek! – krzyknęła rozdzierająco, otwierając szeroko oczy i patrząc niewidzącym spojrzeniem w przestrzeń przed sobą.

Wypuścił puszkę z ręki, zalewając ciemnym płynem wykładzinę. Podbiegł do Karoliny i złapał ją za ramiona, nie pozwalając, aby upadła. W spojrzeniu, które mu przed chwilą posłała, było więcej bólu i przerażenia, niż mężczyzna widział przez całe swoje życie. Bał się tak bardzo, ale musiał jej jakoś pomóc. Coś mu po prostu kazało tak uczynić, jakiś wewnętrzny instynkt. Inny natomiast

podpowiadał mu, że należy czym prędzej brać nogi za pas i spierniczać stąd w podskokach. Pierwszy jednak okazał się silniejszy.

Trzymał dziewczynę w ramionach, szepcząc do ucha uspokajające frazesy, gdy nagle poczuł jak jej ciało wiotczeje. Położył ją delikatnie na fotelu, przytrzymując głowę ręką.

– Karolina, hej, słyszysz mnie? – powiedział drżącym głosem. – Ej, laska, nie rób mi tego, proszę.

Wiedział, że nie doczeka się odpowiedzi. Karolina umarła.

Siedział, trzymając ją przez ładne kilka minut. Nie wiedział, jak ma się zachować. Nigdy nie miał do czynienia ze zmarłym, a przynajmniej nie w tak bezpośredni sposób.

Wreszcie wstał i odszedł od ciała koleżanki, wcześniej łagodnie zasuważąc jej powieki. Nie odwracając się, podszedł do drzwi i uderzył w nie mocno pięścią. Z drugiej strony odpowiedziało mu takie samo uderzenie, poparte paskudnym jęczeniem.

Odskoczył od drzwi, jakby znajdowały się pod napięciem. Nie słyszał, żeby ktoś do nich podchodził, a siedział w ciszy przez ostatnie kilkadziesiąt minut, uparcie kontemplując sens życia. A jednak ktoś tam stał. Uderzenie powtórzyło się. Jacek ponownie odskoczył spod drzwi, odwrócił się zdezorientowany i rozejrzał się po pomieszczeniu. Brak okien, brak drugiego wyjścia – to po prostu idealne miejsce na... grobowiec.

Przeklął cicho pod nosem. Odsunął się od wciąż bombardowanych mozolnymi ciosami drzwi. „Czas rozejrzeć się za czymś, co może posłużyć jako broń” – stwierdził. Przeszedł obok ciała Karoliny, nie spoglądając na nie, i wkroczył do niewielkiej salki konferencyjnej.

Na środku stał duży stół o jajowatym kształcie, otoczony piętnastoma krzesłami. Dumnie i samotnie sterczał na nim mały rzutnik; poza tym w pomieszczeniu nie było dosłownie żadnego wyposażenia. Zrobił krok w tył, ponownie wchodząc do pomieszczenia biurowego. Baczynym okiem zlustrował wszystkie sprzęty, zastanawiając się, co może chociaż częściowo rozmontować i wykorzystać jako broń. MacGyver by się przydał. Zaraz by zmontował jakieś małe działko samobieżne albo helikopter i po kłopotcie.

– Myśl, chłopie, myśl... – motywował się, szepcząc pod nosem. – Potrzebuję czegoś długiego. Pogryźli Karolinę i się wykrwawiła, więc trzeba ich trzymać na dystans...

Mówiąc to spojrzął na pufy i zamarł.

Obie stały puste.

Poczuł, jak jego całe ciało sztywnieje, a plecy pieści mu ohydny jęczor przerażenia. Wszystkie jego zmysły osiągnęły poziom koncentracji, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczył. Na miękkich nogach podszedł do puf, nie mogąc wprost oderwać wzroku od wgłębień, które jeszcze kilkanaście sekund temu wypełniała jego świeżo zmarła koleżanka.

– To niemożliwe, niemożliwe... – powtarzał, jakby chciał w ten sposób zaprzeczyć temu, co widział.

Podszedł bliżej do puf i spojrzął za nie. Były wysokie na pół metra, więc może dziewczyna stoczyła się za nie i teraz leży na podłodze. Niestety, ta była pusta. Dopiero teraz obejrzał się za sie-



bie, skrupulatnie taksując wzrokiem całe pomieszczenie. I wtedy ją zobaczył.

Stała tyłem kilka metrów dalej, nerwowo kręcąc głową to w lewo, to w prawo. Wyglądała, jakby weszła pomiędzy boksy pracownicze i nie wiedziała, co dalej z sobą począć. W pierwszej sekundzie poczuł ulgę – widocznie pomylił się w ocenie i Karolina tylko zemdląła, a teraz po prostu wstała i nie bardzo rozumie, co się wkoło dzieje. Fajnie, bo to znaczy, że żyje i wszystko będzie...

W tym momencie dziewczyna odwróciła głowę i spojrzała Jackowi w oczy.

– Kurwa! Niemożliwe! – krzyknął, cofając się o krok i wpadając na pufy.

Nie pomylił się. Karolina nie żyła. Jej wyraz twarzy zmienił się nie do poznania. Może nie uległa fizycznemu przeobrażeniu, ponieważ od momentu zgonu nie minęło jeszcze zbyt wiele czasu, ale w jej postaci zmieniło się coś innego. Puste spojrzenie ciemnych oczu przeszywało teraz Jacka na wylot, jakby w ogóle nie istniał. Wokół byłej koleżanki roztaczała się tajemnicza aura śmierci i chęci zniszczenia wszystkiego, co żywe, której mężczyzna nie rozumiał i której nie chciał zrozumieć. Może w chwili tak skrajnego przerażenia wyolbrzymiał pewne fakty, ale był stuprocentowo pewien, że stoi przed nim kostucha we własnej osobie i właśnie rozpoczęła się – kolejna w dniu dzisiejszym – walka o „być albo nie być”.

Nagle coś w Jacku pękło. Niemalże dosłownie, mógłby nawet przysiąc, że słyszał ciche trzaśnięcie. Poczuł, że rośnie. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak ekstremalnie wkurzony i nie czuł w sobie tak potężnej żądzы mordy. Miał dość. Najpierw gość w holu, od którego ten cały syf się zaczął, potem trupy w dużej sali i jeszcze dwie nieumarłe laski, które ewidentnie chciały go zeżreć. Wezbrała w nim frustracja, którą miał zamiar teraz wyładować. Wiedział, jak ci popaprańcy są powolni, więc rozumiał też, jaką ma nad nimi przewagę.

Ruszył przed siebie, pochylając głowę niczym rozwścieczony byk. Karolina zrobiła to samo, z tym że zdecydowanie wolniej i mniej składnie. Sekundę później, poczęstowana mocarnym kopniakiem kolegi, odbiła się od ściany i upadła bezwładnie na podłogę. Jacek dyszał z wściekłości. Zrobił kolejny krok w jej stronę i zatrzymał się, przypomniawszy sobie, że nie należy wchodzić z nimi w bezpośredni kontakt. Potrzebuje broni. Narzędzia mordy. Mały geniusz zbrodni, siedzący w jego głowie, podpowiedział mu, żeby przewrócił stół z IKEA, na którym stał komputer, i wykręcił zeń jedną nogę. Mebel wyprodukowano z tandetnej sklejkі, rozpadającej się po jednym sezonie, ale jego nogi były wykonane z metalu. Idealnie. Zaskakujące, jak szybko ludzie potrafią zmienić się z ofiary w kata.

Po paru chwilach dzierzył już w rękach białą, grubą pałkę. Zdecydowanie lepiej się poczuł, mając w posiadaniu broń. W międzyczasie Karolinie udało się wstać i ponownie obrać kurs na Jacka. Ten znów postąpił parę kroków w jej stronę, trzymając wysoko uniesioną pałkę niczym kij baseballowy, gotów zadać cios. Co chwila poprawiał uścisk spoconych dłoni, czekając, aż dziewczyna wejdzie w zasięg gwarantujący skuteczny cios.

Karolina weszła weń czterokrotnie, za każdym razem zmuszając Jacka do cofnięcia.

– No że kurwa, nie mogę – westchnął z rezygnacją, opuszczając nogę od stołu.

Dziewczyna wydawała się być tego świadoma, bo cały czas uparcie kroczyła w jego stronę. Walenie w drzwi przybrało na sile, jakby motywując ją do skuteczniejszego działania. Ta naraz przyśpieszyła, wyciągając przed siebie ręce i wyjąc tak żałośnie, że włosy chłopaka stanęły dęba. Jacek zareagował błyskawicznie, nie zastanawiając się nad tym, co robi – wziął potężny zamach i uderzył byłą koleżankę prosto w skroń. Do jego uszu doleciał niedający się pomylić z niczym innym, ohydny odgłos pękającej czaszki. Karolina bezwładnie upadła na wykładzinę. Jacek stał, patrząc na swoje dzieło.

Nie było mu dane długo stać beczynn timer. Dziewczyna zaczęła się bowiem znowu ruszać i wbrew wszelkiej logice podnosić z podłogi. Chłopak nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Kontrolę nad jego ciałem przejęła panika. Zadziałał wrodzony system obronny.

Biała pałka miarowo wznosiła się i opadała. To było jedyne rozwiązanie. Trzeba pozwolić sobie na chwilę zwariować, żeby roztrzaskać głowę komuś znajomemu nogą od stołu.

A potem nastąpiła cisza. Po pałce skapywała krew, pomieszana z włosami i resztkami mózgu Karoliny. Wszystko wokół było zbroczone jasnym, czerwonym płynem. Nie wyłączając sufitu ani Jacek. Ten dyszał ciężko, ale był pewien, że dziewczyna już nie wstanie. Gdyby okazało się inaczej, znacznie walić pałką we własny łeb, bo więcej nie znieś. Zrobił parę kroków w tył i opadł ciężko na pufę. Powoli uspokajał oddech, jednak przez ciało dalej przechodziły mu fale niemalże elektrycznych wyładowań, przygotowując go o mimowolne dreszcze. Umysł powoli wracał do normy.

Walenie w drzwi nie ustawało. Jacek, wsłuchując się w jego rytm, stwierdził, że znajduje się za nimi jedna osoba. Oczywiście kolejna mogła stać beczynn timer obok, ale wołał liczyć na łut szczęścia. Na razie jest jedna, ale hałas może zwabić następne, więc jeżeli ma się stąd wydostać, to musi działać szybko. Starał się przypomnieć sobie rozkład pomieszczeń na piętrze. Mała salka konferencyjna, kilkanaście metrów korytarzami i znajdzie się w holu. Stamtąd do wind i... nie, windy to słaby pomysł. Mogą się zaciąć, wolno działają i nie wiadomo, co za diabelstwo siedzi w środku. Na tym etapie był już bowiem pewien, że cały budynek jest zaatakowany. Zatem schody. Są przy windach, więc i tak musi się kierować we wcześniej obranym kierunku.

– Dobra. Mówisz, masz – powiedział do siebie, wstając i ruszając w stronę szarych drzwi. – Raz zombie śmierć – dodał, wrednie się uśmiechając.

## STARE MIASTO, GODZINA 16:58.

Kuba czujnie obserwował drzwi. Parę godzin temu przestrzelił zamek i jak się później zorientował, nie mógł ich przez to zamknąć. W sumie logiczne, jednak wtedy nie zaprzętał sobie głowy tak oczywistymi kwestiami. Najważniejsze było znalezienie wyjścia z podbramkowej sytuacji.

W środku sanktuarium panował przyjemny chłód. Pachniało wilgocią i kadzidłem, a w powietrzu unosiły się echa tysięcy modlitw, wzniesionych na przestrzeni wieków ku pokrzepieniu serc. Po wejściu do pogrążonego w półmroku holu, zaryglowali drzwi ciężkimi dębowymi ławami, których na szczęście stało tu na pęczki. Z początku myśleli, że nie dadzą rady ich ruszyć, ale adrenalina zrobiła swoje. Dla pewności zabezpieczyli też środkowe wrota i wszystkie nawy boczne. Po skończonej robocie z Kuby lał się pot. Gdy upewnili się, że maskary nie sforsują barykady, udali się do centralnej części kościoła, żeby odpocząć i zebrać myśli.

Szybko sprawdzili, czy żadne z nich nie było ranne – na szczęście, pomimo wejścia w bardzo bliski kontakt z wesołkami wyraźnie lubującymi się w ludzkim mięsie, obyło się bez obrażeń. Przy najmniej po ich stronie. Przed oczami Kuby bowiem nieustannie eksplodowała czaszka pierwszego z zabitych zombie. Jednocześnie odnosił dziwne wrażenie, że to nie ostatni człowiek, którego będzie musiał potraktować w taki sposób. Policyjna intuicja, a może zwykłe przeczucie? Niezbyt go to obchodziło. Liczyło się tylko przetrwanie.

Postanowili zwiedzić swoje schronienie. Ich entuzjazm wyraźnie opadł, gdy okazało się, że wszystkie drzwi są pozamykane na klucz. Pukali, walili w nie pięściami, krzyczeli – nic to jednak nie dało. Natalia zaproponowała, żeby i te zamki przestrzelić, ale Kuba wołał nie podejmować tak drastycznych kroków. Po pierwsze, nie wiedział, co znajduje się za drzwiami. Choć nie dochodziły stamtąd żadne dźwięki, wołał jednak dmuchać na zimne. Po drugie, nie chciał niepotrzebnie marnować amunicji, której i tak niewiele zostało.

Zdecydowali się przeczekać. Jeżeli wszystkie drzwi są pozamykane, mogą tu bezpiecznie siedzieć do momentu, w którym sytuacja się ustabilizuje. Wtedy będą mogli wyjść.

Jakże krucha okazała się ich cierpliwość.

Już pół godziny po podjęciu decyzji o czekaniu na pomoc, Natalia zaczęła wariować. Stwierdziła, że nikt po nich nie przyjdzie. Że te potwory wejdą tu, znajdą jakiś sposób, żeby dostać się do środka i zagryzą ich na śmierć. Zjedzą. Wypatroszą, zbezczeszczą, a truchła pozostawią na pastwę kruków i wron, które co prawda po kościele nie latają, ale dla spanikowanej dziewczyny nie miało to najmniejszego znaczenia. Najpewniej przyjdą podstępnie, jak tylko Natalia z Kubą padną ze zmęczenia. Na nic zdały się zapewnienia męża o tym, że będzie czuwał. Nawet wpadł na pomysł, że zaryglują się w konfesjonale albo zbudują piramidę z ławek i wejdą po niej na balkon, gdzie

znajdują się organy. Nic to nie dało. Kobieta zaczęła dramatyzować, bić pięściami w pierś Kuby i wyplakiwać się w jego zmęczone ramię.

A potem padła i tak śpi do tej pory. Za dużo emocji, przeciążenie systemu i twardy reset. Kuba nawet był za to wdzięczny. Może to i wredne z jego strony, ale przynajmniej miał chwilę, żeby na spokojnie zebrać myśli. Tylko, cholera, jakoś w ogóle mu to nie szło.

W akcie desperacji sięgnął po Pismo Święte leżące dumnie na bogato zdobionej mównicy. Zanim je podniósł, przez chwilę bał się, że kościół zacznie się przez to walić. „Chyba w dzieciństwie naoglądałem się za dużo Indiany Jonesa” – pomyślał. Nie liczył specjalnie, że w księdze odnajdzie odpowiedzi na nurtujące go pytania czy plan działania w wypadku ataku zombie. Jednak w miarę przeglądania tej najczęściej tłumaczonej książki świata, zaczął się głęboko zastanawiać nad jej treścią. Nie był osobą wierzącą, ba, nawet uparcie nie dawał się zaklasyfikować jako popularny „wierzący, niepraktykujący”. Szczerze powiedziawszy, w kościele był pierwszy raz od swojej komunii. Biorąc pod uwagę okoliczności towarzyszące tym dwóm wizytom, pierwsza była zdecydowanie bardziej udana. Z Natalią łączył go tylko ślub cywilny. Przez głowę przebiegła mu myśl, że jeżeli Bóg istnieje, to Kuba ma cholernie dużo do nadrobienia, bo zostało strasznie niewiele czasu, żeby wkuścić się w jego łaski.

„Co za ironia losu” – pomyślał. On, twardy pan policjant w skórzanej kurtce i z petem w zębach trafia do kościoła, uciekając przed bandą napalonych trupów.

– Phi – obwieścił na głos swoje stanowisko w tej kwestii Jezusowi, nonszalancko przypatrującemu się mu z krzyża.

Następnie zważył w dłoni pistolet. Światło, wpadające przez witraże, odbijało się od ciemnego, wypolerowanego metalu, przywołując u Kuby uczucie spokoju i dodając mu otuchy. Tak, z gnatem było mu zdecydowanie łatwiej na sercu.

Jednak coś było inaczej. Czuł dziwny spokój i był bardzo rad, że Natalia usnęła i nie musiał zgrywać przed nią twardziela. Wszystkie problemy zostały zamknięte za starymi, ciężkimi wrotami świątyni. I waliły teraz w te wrota, uparcie starając się wejść do środka. Ale nie tylko o to chodziło. Kuba, rozglądając się po wysokim sklepieniu, zadał sobie pytanie – czy przypadkiem właśnie tak to się nie miało skończyć? Może coś go pchało wprost do tego dusznego kościoła, może to jakaś forma odkupienia za wszystkie grzechy, których zdążył się dopuścić w swoim niezbyt długim życiu? A może ktoś tam na górze daje mu bardzo dobitnie do zrozumienia, że czas najwyższy się nawrócić? „Hm, pewnie już wcześniej dawał, ale mój zakuty łeb nie rejestrował tych znaków” – stwierdził.

Nagle usłyszał szcęk klucza obracającego się w zamku. W pustym kościele dźwięk był tak donośny, że Kuba natychmiast poderwał się na równe nogi i zaczął rozglądać wokół, z bronią wyciągniętą przed siebie. Parę sekund później drzwi do zakrystii stanęły otworem, a ze środka, jak gdyby nigdy nic, wyszedł niski ksiądz. Pod habitem rysowała się elegancka linia wydatnego brzucha.

– Stój! Kim jesteś? – krzyknął policjant, a echo jego słów rozeszło się po budowli gromkim echem niczym uderzenie pioruna. Natalia zerwała się na równe nogi.

– Co?! Weszli?! – zaczęła wrzeszczeć i rozglądać się wokół jak opętana. Wtedy dostrzegła księdza.

Ten natomiast zdawał się zupełnie nie przejmować napięciem wyraźnie bijącym od przybyszów. Uniósł obie dłonie i zaczął się powoli do nich zbliżać:

– Spokojnie. Nic wam nie zrobię – powiedział kapłan uspokajającym tonem.

– Cholera, prawie księdza zastrzeliłem – zakomunikował Kuba. Opuścił broń i wolną ręką przetarł spocone czoło. – Myślałem, że to jeden z nich.

Ksiądz podszedł do nich. Z jego pomarszczonej twarzy i głęboko osadzonych, szarych oczu bił spokój, pomimo chaosu panującego na zewnątrz. Kuba ocenił, że miał około siedemdziesięciu lat, więc zdecydowanie przeżył już swoje. Chociaż policjant wątpił, żeby kapłan miał okazję stawić czoła czemuś podobnemu do tego, co aktualnie rozgrywało się poza murami kościoła. Może w ogóle o tym nie wiedział? Przebudził się z drzemki i wyszedł odprawić, jak gdyby nigdy nic, wieczorne nabożeństwo. Tak, to jest całkiem prawdopodobne.

– Nie, nie jestem jednym z nich, jak to określiłeś – powiedział ksiądz, starannie dobierając słowa.

Kuba popatrzył na niego przez chwilę w milczeniu, zastanawiając się, jak ma to wszystko rozumieć.

– Czyli ksiądz wie, co się dzieje? – zapytał w końcu, uważnie przyglądając się starej, pomarszczonej twarzy.

– Oczywiście. Może i jestem stary, ale na pewno nie ślepy i głuchy – odpowiedział. Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– To dlaczego ksiądz nam nie otworzył? – do rozmowy włączyła się Natalia. W jej głosie wyraźnie można było usłyszeć zaczepny ton. – Przecież mogliśmy tam zginąć!

– Ach, no tak. Nie słyszałem waszego pukania. Drzemałem po porannym nabożeństwie, obudził mnie dopiero huk wystrzału – odparł sędziwy kapłan, wyraźnie nie biorąc na siebie nawet grama winy za to, co zaszło. – Nigdy nie lubiłem tego porannego wstawania – dodał ciszej, kierując wzrok na podłogę.

Kuba i Natalia wymienili zdziwione spojrzenia. Wszystkie lata spędzone razem wytworzyły między nimi niewidzialną więź, umożliwiającą komunikowanie się bez słów. Bez znaczenia było, czy układało się im lepiej, czy też gorzej. Więź i tak powstała. W tym momencie bez wątpienia zastanawiali się, dlaczego akurat musieli trafić na starego, w dodatku najwyraźniej nie do końca normalnego duchownego. Bo kto normalny ucina sobie drzemkę w czasie, gdy za ścianą rozgrywa się apokalipsa?

– No dobrze, ale ksiądz powiedział, że wiedział, co się dzieje na zewnątrz – zaczął Kuba, zmieniając nieco tembr głosu. Przybrał teraz głęboki, niemalże dudniący ton, którego zawsze używał podczas przesłuchiwania podejrzanych.

– Tak, wiedziałem – odparł. – Musiałem się jednak naradzić, zanim podjąłem jakiegokolwiek działania.

– Z kim się ksiądz naradzał? Są tam jeszcze inni ludzie? – zapytał Kuba, mimowolnie zerkając w stronę drzwi, zza których wyszedł kapłan.

– Z Bogiem, synu. Z Bogiem.

– Nie jestem pańskim synem – zripostował błyskawicznie Kuba. Dopiero pod koniec zdania uświadomił sobie, że taka odpowiedź może wywołać wyjątkowo niepotrzebny w tej chwili konflikt. Kapłan zdawał się jednak być niewzruszonym atakiem młodego mężczyzny.

– Oczywiście, że nie – odrzekł, cały czas zachowując niezmałony spokój. Zaczynało to powoli drażnić Kubę. – Moim nie, ale jesteś synem Bożym. Jak my wszyscy.

Policjant westchnął głęboko. Pięknie, jedyne, czego mu teraz do szczęścia brakowało, to lekcja religii. Stwierdził, że nie ma sensu dalej ciągnąć tematu.

– No dobrze, tak, hmm... wszyscy jesteśmy owieczkami Boga. Zbłąkanymi, zapewne – zaczął ironicznie, jednocześnie karcąc się w myślach. – Mówił ksiądz, że się z Nim naradzał. Powiedział coś ciekawego?

Natalia posłała mu pytające spojrzenie. Zastanawiała się, skąd taka agresywna postawa Kuby wobec duchownego? Przecież nigdy taki nie był, nigdy o tym nie rozmawiali... Może właśnie w tym leżał problem. Może jest coś, o czym ona nie wie? A może po prostu jest bardzo zmęczony i zestresowany aktualnie rozgrywającą się gehenną i po prostu nie ma ochoty tracić czasu na czcze pogaduszki i umoralnianie.

– Może, tak przykładowo rzecz jasna, dlaczego ludzie nagle powariowali i zaczęli się zjadać? – kontynuował złośliwości Kuba.

Ksiądz spojrział na Pismo Święte leżące na ławce, pozostawione tam przez policjanta. Wzrok Kuby również powędrował w tamtą stronę. „Cholera, ale wpadka. Najpierw go cisnę, a teraz okazuje się, że wcześniej szukałem w jego zabawkach pomocy. Świetnie” – pomyślał.

– Nie znalazłeś tam odpowiedzi? – zapytał kapłan, prostując się odrobinę. Speszony policjant oblizwał wyschnięte wargi.

– Nie – odpowiedział zgodnie z prawdą. Nie spojrział jednak na rozmówcę, duma mu na to nie pozwalała. Natalia przypatrywała się obu w milczeniu.

– Może źle szukałeś – stwierdził ksiądz.

Kuba posłał mu pełne nienawiści spojrzenie.

– Panie... księdku – zaczął nieporadnie. Odchrząknął. – Proszę księdza. Tkwimy w tym kościele od ładnych paru godzin, zabarykadowani, ze średnią perspektywą wydostania się na zewnątrz, bo tam wszędzie, jakkolwiek nedorzecznie to brzmi, czają się żywe trupy. Potem wychodzi ksiądz i pyta mnie, czy znalazłem w Biblii odpowiedź na to, co się dzieje na zewnątrz. Nie cholera, nie znalazłem. I szczerze wątpię, żeby ta stara książka wносиła cokolwiek do sprawy.

Musiał wyrzucić to z siebie. Nie mógł dalej tłamsić swojej frustracji. W przeciwnym wypadku rozsadziłaby go od wewnątrz, jak na jednym ze skeczy Monty Pythona.

– Dlaczego uważacie za nieprawdopodobne, że Bóg wskrzesza umarłych? – zapytał niewzruszony kapłan, krzyżując dłonie rękawach sutanny, na wysokości podbrzusza.

– Słucham? – odparł Kuba z niedowierzaniem, delikatnie pochylając głowę ku przodowi.

– Dzieje Apostolskie, rozdział dwudziesty szósty, werset ósmy – dodał ksiądz, na powrót przywołując delikatny uśmiech na swoje wargi. Kuba miał szczerą ochotę wyjaśnić mu pięścią, że nie moment na zabawę w zgadywanki. Cwaniak. Całe życie siedzi w zamkniętej klitce i czyta jedną książkę, nic dziwnego, że zna cytaty na każdą ewentualność.

– Bardzo fajnie – stwierdził w końcu policjant, dając za wygraną. – Dobrze, może zapytam nieco inaczej. Czy może nam ksiądz w jakikolwiek sposób pomóc? Macie tu telefon?

– Tak, chodźcie za mną.

Kuba przypatrywał mu się z niedowierzaniem. No tak, oczywiście. Ma telefon, ale nie mógł nigdzie zadzwonić, bo naradzał się z Bogiem. Cudnie.

Ruszyli gęsiego w stronę drzwi, prowadzących do zakrystii. Naraz za plecami usłyszeli wrzask. Głośną, spotęgowaną strukturą budowli kakofonię dźwięków wydobywającą się z dziesiątek gardeł. Przedarli się. Umarli sforsowali barykadę i dostali się do środka.

– Szybko! – rzucił pośpiesznie ksiądz, przechodząc do truchtu, który w jego wykonaniu wyglądał dość żałośnie.

– Natalia! – krzyknął Kuba, czekając, aż żona się z nim zrówna. Dopiero gdy to nastąpiło, podjął dalszą ucieczkę.

Dopadli do drzwi. Mężczyzna odwrócił głowę i zobaczył, jak po kościele rozbiegły się dziesiątki zombie. Rozbiegli się! Jeszcze parę godzin temu ledwo powłóczyli nogami, teraz jak gdyby nigdy nic sobie biegają. Co prawda gubią się w labiryncie ławek, ale na prostych odcinkach potrafią biegać – analityczny umysł Kuby pracował na maksymalnych obrotach. To nie było śledztwo prowadzone z za bezpiecznego biurka, ustawionego w dusznym pomieszczeniu, przy leniwym trzepotaniu totalnie bezużytecznego wiatraka. Tym razem błędna analiza wniosków niosła za sobą nieodwracalne konsekwencje. Chociaż, może i odwracalne? W sumie oni umarli, a teraz są jakby trochę mniej... martwi.

Tracenie czasu na zbędne dywagacje przerwało głośne uderzenie drzwi o framugę. Tak mocne, że aż zatrzęsała się ściana. Ksiądz błyskawicznie przekręcił klucz w zamku.

– Macie tu coś ciężkiego? Ławkę? Cokolwiek? – zapytał policjant, nerwowo rozglądając się dookoła.

– Spokojnie... wytrzymają – odpowiedział ksiądz. Przebiegli zaledwie kilkadziesiąt metrów, ale i tak ledwo łapał oddech.

– Te na zewnątrz nie wytrzymały – odezwała się Natalia ździebko sceptycznym tonem, wpatrując się pełnym lęku wzrokiem w drzwi. Czekwała, kiedy do nich dopadną i zaczną w nie walić pięściami.

– Tak... ale w tych, dla odmiany, nie przestreliliście zamka – wykrztusił z siebie kapłan.

Kuba posłał żonie porozumiewawcze spojrzenie. Bez chwili zwłoki ruszyli ku środkowi pomieszczenia, gdzie stał niewielki stół. Lepszy rydz niż nic.

Zombie zaczęli walić w drzwi. Kuba i Natalia dosunęli do nich stół, potem powrzućali na niego, co tylko się dało – krzesła, szafki ministrantów wraz z zawartością, nawet mały, bogato zdobiony klęcznik. Kiedy Kuba wziął go do rąk, spojrzał księdzu w twarz – spodziewał się jakiegoś sprzeciwu, wykładu o bezczeszczeniu świętej relikwii czy czegoś w tym stylu. Jednak blade przerażenie na starej twarzy mówiło samo za siebie – duchowny nie był w stanie w jakikolwiek sposób zareagować.

Walenie w drzwi przybrało na sile. Zawalony gratami stół zaczynał się powoli od nich odbijać. Cała trójka wymieniła porozumiewawcze spojrzenie.

– Macie tu gdzieś nieco bardziej wytrzymałe drzwi? – zapytał policjant.

– Tak – odparł ksiądz. Kuba dostrzegł w jego oczach dziwny błysk. Stary lis coś pewnie kombinuje. – W piwnicy.

– Nie, nie idźmy tam! – zaprotestowała nagle Natalia. – Z piwnicy jest tylko jedno wyjście.

„Mądra dziewczyna” – stwierdził w myślach Kuba.

– Natalia ma rację. To nie jest dobre rozwiązanie. Co ty kombinujesz, u diabła? – rzucił w stronę księdza.

– Spokojnie. Zaufajcie mi – odparł duchowny. Na jego twarzy ponownie zagościł chytry uśmiešek.



## CENTRUM, GODZINA 20:13.

Dziewczyna leżała wyciągnięta na wznak na blaszanym, rozgrzanym do granic możliwości dachu kiosku. Otumaniona upałem z obojętnością obserwowała coraz to nowe słupy dymu, unoszące się ku niebu, wiedząc, że straż pożarna i tak nie nadejdzie szybko z pomocą. Teraz bez wahania odpowiedziałaby na pytanie, czemu „patelnia” ma taką a nie inną nazwę – na niebie nie widać było nawet jednej chmurki, wobec czego słońce, pomimo późnej godziny, dawało się mocno we znaki. Kaja w pewnym momencie zaczęła się zastanawiać, czy ratunek kiedykolwiek nadejdzie. Tkwiła uwięziona na dachu od kilku godzin, bez najmniejszej możliwości ucieczki. Chęci też powoli się ulatniały.

Natomiast monstrów pod kioskiem przybywało z każdą godziną. W pewnym momencie zabici wcześniej policjanci wstali i dołączyli do watahy dybiącej na życie młodej kobiety. Wszyscy mieli tak samo puste oczy i tak samo wyciągnięte w górę ręce, czekające na jej najmniejszy błąd.

– Walcie się! – krzyknęła, chwilowo odzyskawszy wolę walki. Wiedziała, że bez pomocy z zewnątrz sobie nie poradzi, ale nie miała zamiaru dać się zeżreć żywcem. Stwierdziła, że sama woli paść z głodu, niż stać się czymś posiłkiem. Nie mogliby sobie pójść poszukać łatwiejszego łupu? Przecież tyle tu gołębi, psów, tyłu... bezdomnych. Chociaż oni śmierdzą, więc może dlatego nie pojawili się w menu zombie. Skarciła się za takie myślenie. Z drugiej strony prawda jest taka, że nikt nie zauważyłby ich zniknięcia. W tym momencie Kaja uświadomiła sobie, że od paru godzin nie widziała żywej duszy. Tak prawdziwie żywej, nie tej „sztucznie” ożywionej.

Natomiast brak zwykłych obywateli zaczął ją bardzo martwić. Co, jeśli wszyscy zostali pożarci i przemienieni? Albo jakoś zarażeni? Popatrzyła w bezmyślne oczy najbliższego zombie.

– Jesteś zarażony czy może raczej martwy i wskrzeszony? – zapytała szeptem, bardziej po to, żeby usłyszeć swój głos niż jego, niemożliwą do uzyskania, odpowiedź.

Opalony brunet o wyżartej połowie twarzy i podartych spodniach przekrzywił głowę i wyciągnąwszy ręce w jej stronę, jęknął żałośnie.

Dla dziewczyny była to zasadnicza różnica. Jeżeli oni są zainfekowani, to znaczy, że zarazę można powstrzymać i leczyć. Oczywiście teoretycznie. Jeżeli natomiast są to umarli, cudem wskrzeszeni to... to jeszcze nie wie, co można. Och, mogą jeszcze być zainfekowani, nieżywi, a następnie cudem wskrzeszeni, ale wtedy to ma już pozamiatane po całości.

Wtem usłyszała warkot silników. Nie osobowych samochodów, tylko czegoś zdecydowanie większego i cięższego. Serce zabiło jej szybciej w piersi, wstała i zaczęła się uważnie rozglądać wokół. Kilkadziesiąt metrów od kiosku, zza budynku banku wyjechał zielony, wojskowy mercedes. Samochód zatrzymał się na środku ulicy, kłapa na dachu otworzyła się i z otworu wyłonił się żołnierz w hełmie i z jakimś niewielkim przedmiotem w rękach. Parę sekund później do pojazdu dołączyły dwa kolejne oraz dodatkowo dwa opancerzone, czteroosiowe SKOT-y. Kaja poczuła olbrzymią ulgę

– dosłownie usłyszała huk kamienia spadającego jej z serca. Oto nadjechał jej rycerz w zbroi moro i na ubłoconym koniu. Jest uratowana!

Ciężkie SKOT-y ustawiły się bokiem w równej odległości od pierwszego mercedesa, tworząc potężną barierę. Wieżyczki strzelnicze zostały skierowane w stronę tłumu, otaczającego kiosk. Pozostałe dwie terenówki osłaniały flanki. Wszystkie pojazdy zostały błyskawicznie otoczone przez żołnierzy licznie wyplutych z transporterów. W ich rękach dumnie błyszcząły czarne beryle, najnowsze karabinki rodzimej produkcji, strzelające amunicją 5,56 milimetra. Dowódca, wystawiwszy małą główkę, niczym piesek preriowy, z jednego ze SKOT-ów wykrzykiwał rozkazy do swoich ludzi tak głośno, że słyszała je nawet Kaja. Niestety, część zombie również zareagowała i odwróciła głowy w stronę nowo przybyłych. Rozległ się trzask megafonu.

– Uwaga! Mówi porucznik Skowron. Teren został otoczony i poddany wojskowej jurysdykcji. Prosimy o ustawienie się w kolejce do punktu kontrolnego celem zbadania. Prosimy o podchodzenie pojedynczo i powoli, co najmniej w pięciometrowych odstępach.

Pierwszy zombie ruszył posłusznie w stronę żołnierzy. „Grzeczny piesek” – pomyślała Kaja. Nagle inny rzucił się biegiem w stronę konwoju. Biegiem. Kaja nie wierzyła własnym oczom. Przecież parę godzin temu ten człowiek był martwy, potem ożył i ledwo powłóczył nogami, a teraz biegnie jak opętany. W jego ślad poszło kilkanaście kolejnych osób, przeplatając się z tymi, którzy woleli praktykować spokojne, niemalże niedzielne tempo przechadzki.

– Stop! Pojedynczo! – krzyczał porucznik. – Stać, bo otworzymy ogień!

Nic to nie dało. Monstra nie zamierzała się zatrzymać, groźby wojskowego nie robiły na nich najmniejszego wrażenia. Natomiast odległość pomiędzy nimi a żołnierzami z każdą chwilą malała. Kaja z przerażeniem patrzyła, jak fala zombie cały czas wzbiera. Rozciągnięci na tak dużym terenie, zdecydowanie przewyższali liczebnością żołnierzy. Nigdy by nie powiedziała, że pod jej kioskiem koczowało tak wiele stworów.

Tymczasem porucznik odsunął megafon od ust i krzyczał coś do żołnierzy, energicznie wymachując rękoma. Kaja zauważyła, jak każdy z nich wykonuje ten sam gest – odbezpiecza broń i przyjmuje pozycję strzelecką. Część się położyła, część uklękła, inni pozostali na stojąco, ukrywając się za pojazdami. Na SKOT-ach pojawili się operatorzy ciężkich karabinów maszynowych, dosiadając wielkokalibrowych działek. Wszystko trwało krócej niż trzy sekundy.

– Stać! – powtórzył stanowczo porucznik, jednak efekt był taki sam jak za poprzednim razem. Kaja, stojąc na dachu kiosku i przyglądając się bezradnie rozgrywanej scenie, przeczuwała, co się szykuje. Tylko dlaczego wojsko nie zaczęło jeszcze strzelać, przecież to nie są już ludzie, tylko jakieś bestie. Wtedy pierwszy z biegających zombie znalazł się parę metrów od najbliższego mu mercedesa. Żołnierze skierowali karabiny w jego stronę, jednak w dalszym ciągu nie strzelali. Po pierwsze, nie mieli takiego rozkazu, po drugie, żaden z nich nie był pewien, z czym mają do czynienia. Co innego walczyć z równym sobie, uzbrojonym przeciwnikiem, a co innego strzelać do bezbronnych ludzi, w dodatku we własnym mieście.

Zombie wpadł między żołnierzy, kierując swoje wyciągnięte ręce i rozwartą paszczę w kierunku tego, który stał najbliżej. Młody chłopak zachował trzeźwość umysłu i wprawnym ruchem odwrócił broń, żeby zdzielić przeciwnika kolbą w twarz. Trysnęła krew, poczwara zatoczyła się i odsunęła parę metrów.

– Stój, bo strzelam! – krzyknął żołnierz, tym razem celując końcem lufy w korpus zombie. Przeciwnik ponownie ruszył w jego stronę.

– Stój, bo...

Żołnierz nie zdążył dokończyć zdania, gdy staranował go kolejny zombie. W trakcie uderzenia omsknął mu się palec na spuście i wystrzelił w powietrze. Upadł na beton, gdzie błyskawicznie dopadły go dwie kolejne bestie.

Pozostali żołnierze zachęceni pierwszym wystrzałem, otworzyli ogień. Wiszące nieruchomo, ciepłe powietrze zaczął przeszywać jednostajny terkot ciężkich karabinów umieszczonych na SKOT-ach. Kule i fragmenty oderwanych ciał świstały wokół nacierającej nawałnicy przeciwników. Niektórzy zostali trafieni w korpus, inni w nogi, jeszcze kolejni w ręce. Dziewczynie przypominało to scenę z *Szeregowca Ryana*, z drobną tylko różnicą – tutaj na polu bitwy padali tylko ci, którzy dostali kulę prosto w swój durny, żądny mordy łeb. Inni, nic sobie nie robiąc z odniesionych ran, wstawali, czołgali się czy też w inny, nieomal magiczny sposób wlekli się, uparcie i systematycznie zmniejszając dzielący ich od żołnierzy dystans. Piechurzy również otworzyli ogień, zasypując zombie gradem pocisków.

Lecz było już za późno. Karabiny sprawdzały się doskonale, jednak w odpowiednich warunkach – gdyby rozpoczęli ostrzał wcześniej, mieliby szansę utrzymać przeciwników na dystans. Niestety, w momencie, w którym pozwolili zombie złamać swój szyk i doprowadzić do walki w zwarciu, znaleźli się na przegranej pozycji. Stracili czas, jaki potrzeba na przeładowanie broni, stracili morale, zaglądając śmierci prosto w bezdenne i bezmyślne oczy, czując jej cuchnący oddech na karku. Kaja widziała, jak kilku żołnierzy bierze nogi za pas i ucieka w stronę pobliskich budynków. Nawet ciężko opancerzony transporter bojowy nie do końca się sprawdził – dzika wataha rzuciła się na niego niczym wygłodniałe psy na znaleziony ochłap mięsa. Operator karabinu nie zdążył zamknąć włazu, tym samym zapraszając zombie do środka. Drugi ze SKOT-ów również został zalany falą nieprzyjaciół.

Kaja poczuła, że robi jej się zimno. Żołnierze nie dali rady. A jeżeli nie oni, to kto? „Chcesz, żeby coś było dobrze zrobione, zrób to sam” – w głowie usłyszała głos Freda z Limp Bizkit. Jasne, łatwo mu to mówić. Ciekawe, czy kiedyś stał na dachu kiosku, bez żadnej broni, otoczony zgryzającymi kanibali, czyhających na kawałek jego mięsa.

– Jezu... – powiedziała cicho, patrząc bezradnie na rzeź rozgrywającą się kilkadziesiąt metrów dalej.

Nagle jakiś zabłąkany pocisk trafił w kiosk, rozbijając szybę. Kaja podskoczyła i krzyknęła ze strachu, totalnie zaskoczona. W pierwszej sekundzie pomyślała, że skoro zombie nauczyli się biegać, to może przejęły też broń od zabitych wojaków. Nie, no to by było już przegięcie. Wyteżyła

wzrok i stwierdziła, że jednak nie. To była po prostu jedna, zabłąkana kula. Co nie zmienia faktu, że kolejna może trafić prosto w nią. Czas się zbierać.

Wychyliła głowę zza krawędzi kiosku, zerkając uważnie na chodnik. Obszar kilkunastu metrów wokół kiosku umazany był krwią i walającymi się niedużymi fragmentami ludzkich ciał. Większość monstrów zajęła się walką z wojskiem, jednak kilka pozostało pod kioskiem. Część z nich nie miała nóg lub była tak okaleczona, że nie mogła się sprawnie poruszać. Z tymi sobie poradzi, po prostu przechodząc obok. Wygląda na to, że ma szansę.

– Dobra, tylko spokojnie – powiedziała na głos. – Potrzebna mi jakaś broń.

Zacząła rozglądać się po najbliższym otoczeniu w poszukiwaniu czegokolwiek, co broń mogłoby jej posłużyć do walki. Nie może uciekać w stronę konwoju, który nadjechał, bo nic ciekawego tam nie zastanie. Dobra, mają karabiny, ale pewnie i tak nie zdąży do nich dobiec. Musi uciekać w drugą stronę. Do Pałacu Kultury? Do przejść podziemnych? Do metra? Nie, tam łatwo będzie wpaść w pułapkę, w ślepy zaułek. Nieważne. Aby tylko zejść z dachu i bieć. Po prostu wiać, gdzie nogi poniosą. Później coś się z pewnością znajdzie. Tak czy siak – na pewno będzie to lepsze niż bierne czekanie na ratunek, który, jak się okazało, nie do końca się sprawdził. Mimo uważnej lustracji terenu nie znalazła niczego, co mogłoby posłużyć jej za broń. Trudno. Będzie musiała zaufać swoim nogom i liczyć na łut szczęścia. Poprawiła kucyk, zapięła plecak, potem położyła się na dachu i przysunęła do jego krawędzi. Następnie cicho opuściła się na rękach i wisząc rozciągnięta tak maksymalnie, jak tylko mogła, puściła się. Zeskoczyła miękko na betonową płytę, błyskawicznie kucając. Rozglądała się chwilę szeroko otwartymi oczami, nadstawiając uszu, ale wyglądało na to, że żaden z zombie nie zarejestrował jej zejścia. To dobrze, ale im dłużej tu będzie siedzieć, tym większe szanse, że to się zmieni. Teraz!

Rzuciła się biegiem w stronę Złotych Tarasów. Wiatr szumiał jej w uszach, a każdy podejrzany ruch przyprawiał o stan przedzawałowy. Słabo oceniała swoje szanse. Przecież za rogiem może czekać kolejna zgraja tych popaprańców, ba, nawet nie musi to być zgraja – bez broni w ręku wystarczy, że będzie ich kilkoro. Jednak musiała spróbować, jakaś wewnętrzna siła jej tak kazała. Minęła pędem budkę z kebabem. Cuchnące mięso obsiadły setki much, głośno bzyząc. Część z nich latała również za ladą, ale dziewczyna wołała nie wiedzieć, gdzie jest Turek sprzedający tu wcześniej rodzime przysmaki. Nie zatrzymywała się. Podjęła decyzję, że skieruje się do centrum handlowego. Może się tam roić od zombie, ale z drugiej strony, jest tam pełno miejsc, w których da się schować, i sporo sklepów, których wyposażenie może wykorzystać jako broń. Musi spróbować, a Złote Tarasy zdawały się być najlepszym rozwiązaniem. Poczła przyływ nadziei.

I równie szybko go straciła. Dobiegła do ulicy Emilii Plater i stanęła jak wryta. Na asfalcie stało kilkadziesiąt zombie. Błąkali się bez celu, obijając się od siebie i pojękując cicho. Nie zauważyli jej, a Kaja czuła, jak serce próbuje przecisnąć się przez jej przetyk. Zrobiła krok w tył. Naraz usłyszała krzyk. Odwróciła się i z jeszcze większą trwogą zauważyła, że maszeruje w jej stronę kilkanaście postaci. Wśród nich, a jakże, zeżarty Turek od kebabów. Kilkoro z prześladowców wyciągało

ręce w jej stronę, jakby nie byli w stanie dokładnie ocenić odległości, w jakiej się od nich znajduje. Jedni ledwo powłóczyli nogami, inni szli pewnym i szybkim krokiem.

Młody chłopak, podążający na czele grupy, przeszedł w trucht, aby po chwili rzucić się biegiem, ile tylko miał sił w martwych nogach, w stronę Kai. Ta poczuła nagły zastrzyk adrenaliny, chociaż jeszcze kilka minut temu była przekonana, że nie zostało jej w organizmie nawet grama tego hormonu. Odwróciła się spanikowana i zaczęła pędzić przed siebie. Wprost na stado zombie, które zaalarmowane również zaczynało kierować się w jej stronę.

Biegając, rozglądała się jak szalona. Nigdzie nie było miejsca, w którym mogłaby się schować. Zejście do podziemi kusiło, ale widziała, jak maskary wygramoliły się również stamtąd. Nie chciała sprawdzać, co jeszcze kryło się pod powierzchnią ziemi.

Umrze. W ten cholernie piękny, lipcowy wieczór padnie na beton i zostanie zagryziona na śmierć. Zjedzona. Była tego absolutnie pewna, ale i tak nie zamierzała się poddać bez walki. Przebiegła obok pierwszych kilku zombie, skutecznie unikając wyciągniętych rąk i kłapiących szczęk. „Nie jest źle” – pomyślała. „Jakby i ci biegali, byłabym bez najmniejszych szans”.

Ścieżka, którą sobie obrała między przeciwnikami, zaczynała się niebezpiecznie zwężać. Było ich zbyt wielu na zbyt małej przestrzeni. W końcu któryś ją złapie, muśnie, przytrzyma czy spowolni w jakikolwiek inny sposób. Nieważne, co zrobi, dystans między nią a biegnącymi z tyłu zombie zmniejszał się z każdym uderzeniem serca.

Naraz usłyszała grzmot, potem kolejny i zaraz po nim następne. Zombie zaczęli tańczyć, ale zupełnie nie przypominało to układu z piosenki *Thriller* Michaela Jacksona – ich ruchy były krótkie, ale bardzo gwałtowne i kompletnie nieskładne. Jeden zgiął się wpół, potem bardzo szybko wyprostował, a następnie jego głowa eksplodowała. Dziewczyna domyśliła się, że eksplodowała od pocisku. Kaja była zbyt wystraszona, żeby wykonać jakikolwiek ruch. Gdy ciała wokół niej zaczęły podrygiwać, zatrzymała się. Wołała stać i modlić się, żeby nikt jej nie trafił, niż dać się zabić, precinając tor lecącego pocisku. Odwróciła się w stronę Alei Jerozolimskich i ujrzała sunącego nimi powoli potężnego rosomaka – najnowszą zabawkę polskiego wojska, postrach afgańskich talibów, którzy ochrzcili go mianem „Diabła, który widzi w nocy”.

Na szczycie „Diabła” siedział żołnierz obsługujący karabin maszynowy UKM-2000, które to cudo potrafiło wypluwać z siebie pociski grubości męskiego małego palca z prędkością ponad dwustu pięćdziesięciu sztuk na minutę. To w rytm tego beatu tańczyli zombie. Wokół transportera opancerzonego szło siedmiu żołnierzy, rozsypawszy się wcześniej w zgrabną tyralierę. Prowadzili równy ostrzał, dzieląc ogień na dwie grupy – jedna eliminowała zombie zagrażających bezpośrednio Kai, druga postawiła zaporę ogniową i odcięła bandę nacierającą od strony zejścia do Dworca Śródmieście.

Nagle jedno z monstrów złapało Kaję za rękę. Dziewczyna odwróciła się, ale wiedziała, że stoi na linii ognia. Instynkt zadziałał błyskawicznie – ugięła kolana, pozwalając grawitacji pociągnąć jej ciało na ziemię. Ułamek sekundy później głowa starszego mężczyzny o zakrwawionych ustach i niewidzących oczach eksplodowała.

Kaja ledwo mogła oddychać. Zerknęła w stronę nadchodzącego zbawienia i dostrzegła ósmego żołnierza. Klęczał na chodniku, opierając broń o betonowy kosz na śmieci. Snajper posyłający ołów o średnicy 12,7 milimetra prosto do czaszek zombie. Można by rzec, że wybijał im głupie pomysły z głowy, tak jak temu przed chwilą. Naraz wstał, w rękach trzymając ciężki karabin wyborowy typu TOR.

Nastąpiła cisza zmałowana tylko przez warkot silnika rosomaka, który zatrzymał się kilkadziesiąt metrów od dziewczyny. Kaja rzuciła się biegiem w jego stronę.

## METRO, GODZINA 20:15.

Przez ostatnie parę godzin siedzieli przy biurku i dokładnie analizowali plany metra znalezione przez Pawła w robotniczej szafce. Sieć podziemnych tuneli rozrastała się do niewyobrażalnych rozmiarów, tworząc labirynt, który ewidentnie nie wybaczał pomyłek – spora część korytarzy kończyła się ślepyimi zaułkami – więc jeżeli weszliby w zły, straciliby możliwość bezpiecznego wycofania się. Musieli wobec tego bardzo dokładnie zaplanować trasę ucieczki, a do tego potrzebowali przede wszystkim dokładnej informacji dotyczącej ich aktualnego miejsca pobytu. I tu pojawiał się problem. Max sądził, że znajdują się gdzieś pomiędzy Wilanowską a Wierzbnem, jednak Paweł uważał, że dotarli znacznie dalej. Stawiał bardziej na Politechnikę, ale nie mógł być tego stuprocentowo pewien. Błąkali się po ciemnych korytarzach dość długo, minęli też kilka opuszczonych i zamkniętych stacji, cały czas licząc, że uda się im znaleźć jakieś otwarte przejście. Dopiero chłopak, w przyływie geniuszu, połączył numer kamery umieszczonej pod sufitem z planem instalacji elektrycznej i wyszło na jaw, że znajdują się niecałe trzysta metrów od stacji Raławicka. W pierwszej chwili Paweł nie uwierzył i musiał wszystko sprawdzić samemu, dwukrotnie. Wyszło na to, że Max miał jednak rację.

Popatrzyli na siebie w milczeniu. Max przeciągnął szczupłą dłońią po długich, kręconych włosach, odgarniając je z czoła.

– Cholera, kawał drogi żeśmy pokonali – stwierdził nieco zdziwiony.

– W sumie racja... – odpowiedział Paweł. – Znasz Mokotów?

– Szczerze mówiąc, to raczej średnio – powiedział chłopak i skierował wzrok na betonową posadzkę, jakby czuł się winnym tego, że nie zna dokładnie topografii całego miasta.

– Szkoda, bo ja też nie – odpowiedź Pawła podniosła Maxa odrobinę na duchu. Przynajmniej w tej jednej rzeczy mógł się z nim równać.

– Ale w sumie to i dobrze, bo za Polami Mokotowskimi jest jednostka wojskowa – dodał mężczyzna. Złudzenie równości prysło. Max patrzył na niego z zainteresowaniem, wyraźnie oczekując dalszej części wypowiedzi. Kiedy po paru minutach stało się jasne, że ten nie zamierza dalej ciągnąć tematu, chłopak zapytał nieco ironicznie, unosząc krzaczaste brwi:

– Aha... I co, idziemy tam?

Paweł popatrzył na niego w milczeniu. Max domyślał się, że tamten analizuje różne możliwości.

– Tak, chyba powinniśmy spróbować. Tak myślę.

Powiedział to, marszcząc wysokie czoło. Coś mu chodziło po głowie, ale wyraźnie nie chciał powiedzieć co.

– Masz co do tego jakieś wątpliwości? – zapytał chłopak.

– Nie jestem do końca pewien. Znasz takie uczucie, gdy intuicja kompletnie wariuje? Gdy pod czaszką widzisz czerwone, pulsujące światło i słyszysz wycie syreny alarmowej, ale nie masz zielonego pojęcia dlaczego. Masz tak czasem?

– Eeee... – wybąkał delikatnie zbity z tropu chłopak.

– No dobra, chyba mogę być z tobą szczerzy – powiedział Paweł, pochylając się konfidencjonalnie w stronę chłopaka. Max winien był odebrać to jako komplement, ale jakaś część jego mózgu podpowiadała mu, że to nie o to chodzi. Paweł powiedział tak nie dlatego, że stali się nagle superprzyjaciółmi, tylko raczej dlatego że prawdopodobieństwo wydostania się stąd żywym było, delikatnie mówiąc, dość nikłe. Swoim milczeniem utwierdził Pawła w przekonaniu, że ten dobrze robi.

– Okej. Wiesz, jako żołnierz GROM-u mam trochę inną świadomość i sposób postrzegania pewnych rzeczy niż ty. Że to w metrze nie było zwyczajnym wypadkiem, już chyba ustaliliśmy. Mogła to być katastrofa, jakiej polskie metro jeszcze nigdy nie doświadczyło – zginęły dziesiątki ludzi, wydarzyła się megatragedia. To się może zdarzyć – wypadki takie jak ten mają czasem miejsce. Rzadko, ale mają. Jednak tak naprawdę nie to mnie martwi. Bardziej niepokojący jest brak jakichkolwiek służb ratunkowych.

– No wiem, mnie też to dziwi – przerwał mu Max. – Ale przecież już o tym rozmawialiśmy.

– Tak, ale pójdźmy dalej tym tropem. Zobacz, jeżeli skala tego... zjawiska – zarazy, wirusa – nazywaj to, jak chcesz, jest tak duża, jak nam się na podstawie przeprowadzonej obserwacji i analizy wydaje, to władze nie pozwolą na dalsze skażenia. Rozumiesz?

Max patrzył na niego ledwie przytomnym wzrokiem. Był już tym wszystkim cholernie zmęczony i zagadki to ostatnia rzecz, na jaką miał aktualnie ochotę.

– Jezu, kurwa, przestań! Powiedz wprost, o co chodzi – ściągnął brwi i popatrzył dziwnie na Pawła. W oczach żołnierza wyglądał jak obrażony dzieciak, któremu zabrano zabawkę.

– Kwarantanna – powiedział Paweł bez krzty emocji w głosie. Wzrok chłopaka nie zrobił na nim specjalnego wrażenia, ale szkoda mu było tracić czasu na jałowe gadanie. Tylko, cienie pod oczami jakby się pogłębiły. Świadomość tego, co może nadejść, odbiła widoczne piętno na jego twarzy. Ciągnął jednak po chwili dalej:

– Odciecie skażonego terenu i poddanie go kwarantannie. Oczyszczeniu, a jeżeli to okaże się nieskuteczne – odkażeniu. Odkażeniu wszelkimi możliwymi sposobami.

– Rozumiem, że dla nas to źle...? – zapytał niepewnie chłopak. – Ale dlaczego? Przecież jeżeli zamkną teren i wejdą tu ze specjalnym sprzętem, to szybciej nas znajdą.

– Niekoniecznie – powiedział mężczyzna, pochylając się w stronę Maxa. – Jeżeli skala zatrucia jest duża, czyli to coś rozprzestrzeniło się poza metro, powiedzmy w okolicy poszczególnych stacji czy nawet po jakiejś części Warszawy, to nie będą mieć czasu na szukanie ocalałych ludzi.

– To znaczy co, że nas tak po prostu zabijają? – zapytał Max, nie wierząc w to, co słyszy.

Paweł wpatrywał się w niego, nie mówiąc niczego. Jednak to milczenie przeniosło więcej treści niż jakiegokolwiek słowa.



– Gówno. Nie wierzę ci. Nie mogą nas zabić. Przecież żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku! Mamy telefony, internet, Youtube'a! Wszędzie błyskawicznie się to rozniesie.

– Wątpię. Pewnie już założyli na miasto płaszc.

– Płaszc? – zapytał zdziwiony chłopak.

– Komunikacyjny, coś na kształt pola elektromagnetycznego, odcinającego wszystkie kanały danych. Zasięg w telefonach, modemy, internet. Pozostaje tylko specjalnie kodowana częstotliwość wojskowa i porozumiewanie się na krótkich falach CB. – Opanowanie w głosie Pawła było przerażające. On doskonale wiedział, o czym mówi.

– Ehe, jasne. W Polsce nie mamy takich rzeczy, co najwyżej mogą rozłożyć olbrzymią pałatkę – wtrącił Max, krzyżując ręce na piersi.

– Musisz zrozumieć, że pozwolenie, aby, nazwijmy go roboczo „wirus”, się rozprzestrzenił na inne obszary miejskie, w konsekwencji czego więcej osób może ulec skażeniu, wygląda w raporcie znacznie gorzej niż zatuszowanie śmierci paru niewinnych osób – kontynuował Paweł, nie zwracając uwagi na komentarz chłopaka.

– To co możemy zrobić? – w głosie Maxa wyraźnie było słycać rezygnację. To za dużo jak na niego. Chciałby się po prostu obudzić, pójść do szkoły i opowiedzieć kumplom, jaki to miał posrane sen. Że też akurat ten dzień sobie musiał wybrać na wagary.

– Spokojnie, przedstawiłem ci najgorszy scenariusz z możliwych.

Chłopak nie odpowiedział.

– Na początek musimy wydostać się z podziemi. Zorientujemy się, jak sytuacja wygląda na powierzchni i będziemy wiedzieć, na czym stoimy.

Pochylili się nad rozłożoną stertą papierów, gdzie każda karta była gęsto usiana nic im niemówiącymi liniami. Ciągi wentylacyjne, przewody, instalacje wodne i elektryczne... Dla laika to wszystko wyglądało tak, jakby dziecko z linijką i ołówkiem usiadło sobie i w bardzo twórczy sposób spędziło kilkanaście minut. Po kwadransie wiedzieli już, która linia co oznacza, jakimi ścieżkami mogą się poruszać i co najważniejsze – jak się wydostać na powierzchnię.

– Dobra, to jeszcze raz, od początku – powiedział Max, nie odrywając skupionego wzroku od mapy.

– Okej. Jesteśmy w tym miejscu – odparł Paweł, przykładając palec do kwadracika na mapie. – Wychodzimy i kierujemy się na północ. Po przejściu dwustu metrów powinniśmy trafić na małe stalowe drzwi i za nimi skręcić na wschód. Idziemy wąskim korytarzem, mijamy dwie pary drzwi po lewej stronie i skręcamy za nimi w lewo. Potem idziemy jakieś piętnaście metrów i po prawej stronie powinniśmy trafić na wąską wnękę z drabiną w środku. Drabina wyprowadzi nas na sam środek ulicy... – mężczyzna zaczął wodzić wzrokiem po mapie – nie, nie ma podanej nazwy. Zobaczmy. Grunt, że wyjdziemy.

Max powoli kiwnął głową, ponownie analizując cały plan.

– Brzmi nieźle. Jest blisko, więc powinno się udać – stwierdził, a jego oczy błysnęły odrobiną nadziei.

– Powinno – odparł spokojnym, stonowanym głosem Paweł. Nie zdradzał emocji, ale to już chyba była cecha nabyta przez te wszystkie lata służby. Chłopak zaczynał się do niej powoli przyzwyczajać.

– Poczekaj, a jeśli drzwi będą zamknięte na klucz? – zapytał.

Paweł popatrzył na niego w milczeniu.

– Racja. O tym nie pomyślałem. Jakies propozycje?

– Zobacz, mamy tu narzędzia, możemy je wyważyć, czy coś – powiedział Max, wskazując ręką kilofy i łopaty ustawione w kącie.

– Tak, ale z drugiej strony nie wiemy, czy będzie czas na zabawę w wyważanie drzwi – stwierdził żołnierz. – Nie wiesz, ilu zombie tam jest, a gdy wyjdziemy, to z pewnością wszystkie rzucają się na nas niczym wygłodniałe psy.

– To co, mamy tu siedzieć do usranej śmierci? – odparował coraz bardziej zdenerwowany chłopak. Męczyła go już ta bezcelowa wymiana zdań. – Albo wyjdziemy teraz, albo zostaniemy tu na zawsze.

– No dobra, to bierzmy się do roboty. Co mamy? – Paweł przejął inicjatywę.

– Dwie latarki, na szczęście działające. Dwa kilofy, łopatę i inne narzędzia.

– Jakie?

– Nie wiem, młotek, jakieś śruby i inne dziwne rzeczy – powiedział Max, grzebiąc w dużej skrzyni i wyciągając co chwila przedmioty nieznanego mu pochodzenia i zastosowania.

Paweł zastanowił się przez chwilę.

– Dobra, to ty weźmiesz łopatę, młotek i kilka dużych śrub. Ja wezmę oba kilofy.

– Po co śruby? – zaskoczony takim pomysłem chłopak zaczął pakować je do kieszeni.

– Będziemy się skradać, śrub możemy użyć do odwrócenia uwagi, wystarczy, jak rzucimy jedną gdzieś daleko od nas, na tory.

– Sprytne – powiedział z uznaniem. – Ale latarki i tak bierzemy, nie?

– Jasne, że tak. Ale nie powinniśmy ich używać zbyt często – powiedział Paweł, ważąc w dłoni jeden z kilofów. Był ciut przydługi i ciężki, ale dobrze leżał. Max schował za pasek młotek, a do ręki wziął łopatę.

– Przewieś sobie latarkę przez ramię – zasugerował żołnierz, biorąc do ręki drugi kilof.

Po minucie stali już gotowi do akcji. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia i ruszyli na palcach w stronę drzwi. Umarlak, który tak uparcie się do nich dobijał przez ostatnie kilka godzin, gdzieś sobie najwyraźniej poszedł, a z korytarza nie docierały żadne dźwięki. Paweł położył palec na ustach, dając tym samym chłopakowi znak, że muszą zachować bezwzględną ciszę. Max przekreślił delikatnie klucz w zamku, po czym bardzo ostrożnie zaczął otwierać drzwi.

– Psst! – usłyszał chłopak i odwrócił się w stronę Pawła. Ten wskazał głową włącznik światła. Max skinął głową, po czym go wcisnął. Pochłonęła ich ciemność.

## BIELANY, GODZINA 20:20.

Kapeć. Taki stary, skórzany i dokumentnie znoszony. Tomek z obrzydzeniem głośno mlasnął. Musiał usnąć naprawdę głęboko. Uniósł się na łokciach i po sekundzie opadł z powrotem na wznak. W głowie mu huczało, jakby w środku odbywała się dzika impreza, z rodzaju tych wiejskich potańcówek, gdzie prędzej czy później w ruch idą sztachety i goście wzajemnie rozbijają sobie łby. Spojrzał na ławę, na której stała do połowy opróżniona butelka Wyborowej. „Pięknie” – pomyślał. Nie dość, że pił sam, to jeszcze sporo. Tylko sobie pogratulować, zwłaszcza w takiej chwili. Ponownie podjął się próby zmiany pozycji, co ku jego uciesze, tym razem zakończyło się sukcesem. Usiadł na kanapie i ze świstem wypuścił powietrze. Następnie pochylił się i wtulił głowę w ręce wsparte na kolanach, błędząc palcami w krótkiej, ciemnej szczecinie, gęsto porastającej czaszkę. Pomieszczenie uparcie wirowało. Starał się skoncentrować wzrok na telewizorze i na obrazach, które się w nim przewijały, jednak średnio mu to wychodziło. Jacyś ludzie ganiali się po ulicach, strzelali do siebie, podpalali budynki i samochody. I to wszystko w Warszawie. Dziwny film. I wtedy wszystko mu się przypomniało, wydarzenia ostatnich kilkunastu godzin uderzyły w niego niczym lewy sierpowy Tysona. Stwierdził, że trzeba wytrzeźwieć i to szybko. W końcu nie mógł być pewien, czy jego drzwi i usypana za nimi blokada długo wytrzymają, a głupio by było tak umierać na kacu.

Dwadzieścia minut później stał w kuchni, ubrany w ulubione jeansy i niebieski T-shirt z House'a. Wziął zimny prysznic i z kubkiem gorącej herbaty z cytryną w ręku okłamywał się, że kac jest dużo mniejszy. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak samotny, głupi i bezradny. Kac normalny i moralny naraz. Myślał o siostrze, rodzicach przebywających na wyjeździe, czasie, jaki bezsensownie zmarnował. Czy wiedzą, co się dzieje? Czy poza Warszawą też tak jest? A jeszcze dalej, poza Polską? Może to koniec świata, może Bóg zesłał na ludzi apokalipsę. „Kiedy w piekle nie będzie już miejsca, zmarli wyjdą na ziemię” – przypomniał mu się fragment z pewnego filmu o zombie. Wtedy go to śmieszyło, było tylko niegroźną rozrywką. Nigdy by nie przypuszczał, że przyjdzie mu stanąć oko w oko z jedną z takich kreatur. Zresztą, kto by coś takiego przypuszczał. Takich rzeczy zwyczajnie nie bierze się pod uwagę. Film się obejrzy, zapomni, sięgnie po następny.

Zastanawiał się, co z Ewą. Mógł mieć tylko nadzieję, że schowała się w jakimś bezpiecznym miejscu, że nikt jej nie zaraził, że jest cała i zdrowa. Nie sądził, że będzie się kiedykolwiek aż tak o nią martwił, jednak więzy krwi okazały się silniejsze, niż przypuszczał.

Pomaszerował z kubkiem do swojego pokoju i znowu włączył komputer. Po paru minutach stwierdził z rozczarowaniem, że nie może się połączyć z internetem. Zresetował modem, posprawdzał kable, ale nic to nie dało. „Nie jest dobrze” – pomyślał chłopak. „Jeżeli nie ma sieci, to odcięcie energii elektrycznej jest tylko kwestią czasu. Wprost cudnie”.

Najbardziej bolało go to, że nie zauważył nikogo normalnego. Ani na ulicy, ani w oknach sąsiadów. „Zostałem sam?”. Odpowiedzi na to niezadane głośno pytanie od razu pożałował. Ciężar smutku i samotności, jakie były z nią związane, zdawał się być nie do zniesienia. „Jeżeli tak jest, to po prostu się zabiję. Wymyślę jakiś sposób, żeby moje ciało nie powstało z martwych i nie błąkało się bez powodu” – przysięgł sobie w myślach. Wstał od biurka i zrezygnowany podreptał do salonu.

Głowa nie przestawała go boleć. Sięgnął po dwa proszki przeciwbólowe, które przyniósł ze sobą z kuchni. Zanim poszedł pod prysznic, łyknął już jedną aspirynę, ale nic to nie dało. Czuł się tylko bardziej skołowany. Wyłączył głos w telewizorze. Jeżeli miał zebrać myśli, potrzebował do tego ciszy. Nieme, nierealne obrazy uparcie przewijały się po ekranie, przypominając film zmontowany przez jakiegoś społecznego psychopatę. Ale przynajmniej nie było słychać krzyków, wycia syren ani strzałów. Nagle obraz znikł i na ekranie pojawiła się tablica techniczna.

Chłopak uświadomił sobie, że w jego mieszkaniu też jest przeraźliwie cicho. Ciszej nawet niż w środku nocy. Po ulicy nie jeździły samochody, sąsiedzi nie oglądali głośno tasiemcowych seriali, nie robili imprez. Nie rozmawiali, nie kochali się, nie kłócili, a to wszystko dlatego, że ich po prostu nie było. Przypomniawszy mu się kawałek Dezertera o tym, że nie ma ciszy w bloku. Mylił się. Wystarczy wyróżnić wszystkich w pień, a cisza nastanie. Nawet w bloku.

Co robić? Nikt go nie uczył, jak zachowywać się w takich sytuacjach. Miał dość spore zapasy, wobec tego szanse, że przetrzyma cały ten rozgardiasz w domu, są całkiem realne. No bo co innego miałby robić? Wyjść na ulicę i narażając własne życie, ratować innych? Wątpił, żeby oni tak postąpili względem niego. Wygląda na to, że spędzi tu dość dużo czasu. „Cholera, odmalowałbym ściany, ale farb nie mam” – pomyślał ironicznie.

Nagle usłyszał ryk silnika. Wybiegł z salonu i popędził prosto do kuchni, ledwo zatrzymując się przed oknem. Serce waliło mu jak oszalałe. Otworzył je na oścież i wystawił głowę. Nie obchodziło go, czy jakiś zombie go zobaczy, czy nie. Lub czy jakiś ożywiony trup alpinisty rzuci się na niego z góry. Miał jedną szansę na milion i zamierzał ją wykorzystać.

Ulicą sunęła policyjna furgonetka. Tomka od razu uderzyły dwie rzeczy. Po pierwsze, furgonetka była tylko jedna. Zawsze myślał, że jak się jedzie z odsieczą, to wsparcie powinno być nieco bardziej konkretne. Nie to, żeby nie wierzył w możliwości zamkniętych z tyłu samochodu policjantów, ale... swoje już widział. Po drugie, nie dostrzegł żadnego zombie. Nie licząc niewielkiej ilości ciał gnijących sobie wesoło na asfalcie, ulica była pusta. Co z resztą? Padła z głodu, uciekła? Może wszystkich pozamienianych wybili. Tak czy inaczej, nie zamierzał tracić czasu na bezsensowne rozważania.

– Hej! Tutaj! – krzyknął w kierunku furgonetki, machając rękami.

Samochód sunął dalej, jakby nigdy nic. Tomek wiedział, że musi jakoś zwrócić uwagę policjantów. Jeżeli tego nie zrobi, odjadą, a on zostanie sam. Zrobił pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy – nie było czasu na zbędne myślenie, trzeba było działać. Wziął najbliższy przedmiot i cisnął nim w dach samochodu. Trafił idealnie. Dopiero po wypuszczeniu go z ręki uświadomił sobie, że wyrzucił swój ulubiony kubek. W sumie szkoda, ale cóż zrobić. Jeżeli zginie, i tak nie będzie z nie-

go korzystał. Poświęcenie jednak było warte swej ceny – zobaczył bowiem, że samochód się zatrzymuje. Błyskawicznie otworzyły się drzwi, a z wnętrza pojazdu wysypało się na ulicę kilkunastu sklonowanych policjantów z prewencji. Na głowach mieli hełmy balistyczne, w rękach połyskujące giwery. Paru wyskoczyło z krótkimi pistoletami maszynowymi typu Glauberyt, paru trzymało ciężkie strzelby samopowtarzalne Mossberg. Wszyscy sprawnie ustawili się wokół furgonetki; każdy zabezpieczał inny odcinek ulicy. Dwóch identycznie wyglądających funkcjonariuszy podbiegło do radiowozu. No tak, pomyślał chłopak. Nie przyjechali po niego, chcieli tylko zobaczyć, co się stało z porzuconymi kolegami. Tym bardziej musi działać.

– Ej, wy tam! – wydarł się wniebogłosy. Nie bardzo wiedział, co krzyczeć. Pomocy? Ratunku? Nie no, to takie słabe i mało męskie. Takie wyrazy nie chciały mu przejść przez gardło. Jeden z funkcjonariuszy pokręcił głową na boki, jakby coś usłyszał, i rozejrzał się, poszukując wzrokiem źródła dźwięku. „Do góry, cholera, spójrz do góry!” – naprowadzał go mentalnie chłopak.

Wtedy wydarzyło się kilka rzeczy dosłownie równocześnie.

Zza rogu przeciwległego budynku wygramolił się zombie. Wyglądał brudniej i bardziej plugawo niż osobniki krążące po okolicy jeszcze parę godzin temu. Chłopak miał wrażenie, że lada chwila dosłownie rozpadnie się na kawałki. Mężczyzna w pokrzwawionym i brudnym ubraniu nie miał lewej ręki. Sunął w stronę najbliższego policjanta z prawą wyciągniętą przed siebie.

W tym samym czasie drzwi do mieszkania Tomka zaczęły dosłownie tańczyć. Słyszał wściekłe charczenie, dobiegające z korytarza i łomot pięści w kruchą barierę, odgradzającą go od śmierci. Miał nieodparte wrażenie, że ta długo nie wytrzyma. Błyskawicznie uznał, że dłużej mu już nie przeszkadza wydawanie z siebie mało męskich dźwięków.

– Aaa...! – krzyknął piskliwie. – Pomocy! Tutaj, na górze, ratunku! – darł się, młócąc rękami powietrze, jakby rozgarniał niewidzialne krzaki. Chciał wyskoczyć na bruk, ale bał się, że skończy się to skręceniem kostki lub nawet karku. Zombie na korytarzu zdawali się wyczuwać jego strach, bo atak na drzwi przybrał na intensywności. Zaczynamy wyścig z czasem! Na miejsca, gotowi, start!

W międzyczasie zombie na ulicy zbliżył się do policjanta. Na szczęście ten zauważył go odpowiednio wcześniej i wycelował strzelbę prosto w pierś kreatury. Bez ceregieli zrobił krok w przód i pociągnął za spust. Huk wystrzału był wręcz niewyobrażalny. Spotęgowany ciszą panującą wokół, odbił się echem od budynków, wprawiając szyby okienne w drżenie. Zombie dosłownie pofrunął w tył, jakby oberwał gigantyczną, niewidzialną pięścią. Policjant w ułamku sekundy przeładował broń, ale nie podszedł do ciała. Po prostu nie było takiej możliwości. Nie z takiej odległości. „Przynajmniej nie było strzałów ostrzegawczych ani słownych pierdółek. Widać szybko się uczyli na błędach” – pomyślał chłopak.

Naraz drzwi mieszkania Tomka zostały wyrwane z zawiasów, a do środka wparowała horda krwiożerczych kreatur. Ten błyskawicznie wskoczył na parapet i trzymając się rękami za ramy okienne, intensywnie wpatrywał się w drzwi kuchenne. Po ułamku sekundy pojawiła się w nich paskudna morda, po niej kilka następnych. Wszystkie były takie same – tak samo szare, z tak samo

obojętnym wzrokiem i zmasakrowaną twarzą. Identyczne w swojej bezmózgiej parodii życia. Ruszyły z wyciągniętymi rękami prosto po chłopaka.

Tomek skoczył.

Jeżeli komuś się wydaje, że skok z drugiego piętra to nic specjalnie bohaterского, to niech spróbuje skoczyć z tej wysokości na beton, w samych skarpetkach i z pełną świadomością, że jeżeli cokolwiek sobie zrobi, to grasujący w okolicy zombie nie zawahają się tego przeciw niemu wykorzystać. Tomek się bał. Chociaż powiedzieć „bał się” to tak, jakby stwierdzić, że w polską zimę tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku trochę posypało śniegiem. Z drugiej strony, zanim uświadomił sobie poziom swojego lęku, wylądował się na zimnym, twardym betonie. Żywy i przede wszystkim, cały. Żadna kość nie wystawała, żadne ścięgno nie uległo zerwaniu. I taki stan chciał utrzymać najdłużej, jak się da.

Błyskawicznie znalazł się przy nim policjant, przystawiając mu karabin wprost do twarzy. W pierwszej sekundzie Tomek nie był w stanie się ruszyć. Bezdenna, mroczna czeluść gorącej lufy hipnotyzowała niczym flet fakira. Gwarantowała spokój, bilet w jedną stronę do krainy marzeń, mlekiem i miodem płynącej. Chłopak nie wiedział, ile czasu tak się weń wpatrywał. Pewnie ułamek sekundy, ale w życiu bywają takie momenty, w których czas nam udowadnia, jak bardzo potrafi być względny.

– Nie strzelaj! – wrzasnął Tomek. – Nie jestem zarażony!

Policjant wpatrywał się w niego nieufnie, cały czas mierząc z karabinu. Jak się po chwili okazało, wpatrywał się zbyt intensywnie, gdyż nie zauważył nacierających od flanki przeciwników. Dwie kreatury rzuciły się na funkcjonariusza, który zdążył jeszcze w ostatnim odruchu obronnym, pociągnąć za spust. Salwa przeorała ścianę bloku Tomka, mijając jego głowę zaledwie o centymetry. Chłopak odskoczył, przeturlał się i ukucnął na chodniku parę metrów dalej. Odwrócił się i z niedowierzaniem, ale i z pewną dozą fascynacji, wpatrywał się w patroszonego policjanta. „Rusz się, do jasnej cholery!” – usłyszał w głowie. Błyskawicznie poderwał się na równe nogi i rozejrzał dookoła.

Policjanci padali jak muchy. Walczyli bohatersko, ale kolejne strzały przywoływały następne potwory, na które po prostu nie mogło wystarczyć amunicji. Nie było czasu na przeładowywanie, nie było czasu na przegrupowanie. Nie było też czasu na myślenie. W powietrzu unosił się ostry zapach prochu, pomieszany ze słoną wonią potu i słodkim zapachem krwi. W miarę jak cichły strzały, wzrastał poziom krzyku masakrowanych funkcjonariuszy. A to drastycznie obniżało szanse Tomka na przeżycie.

Był uwięziony. Każda droga wyjścia była zastawiona przez zombie.

– Kurwa, ale się wpięprzyłem! – krzyknął bardziej do siebie niż do prześladowców.

Nagle w jego oku pojawił się błysk nadziei, zwiastun planu, który mógłby uratować mu życie. „Może też okazać się totalną klapą, ale co mi tam” – pomyślał zdesperowany.

– Jebcie się! Tak łatwo mnie nie dostaniecie – krzyczał do maszkar, biegnąc w stronę tylnych drzwi policyjnej furgonetki. Wskoczył do środka i błyskawicznie zatrzaskał za sobą drzwi, blokując ich zamek. Gruba blacha, kraty w oknach i wzmacniane szyby powinny wszelkich napastników sku-

tecznie zatrzymać, ale zombie nie zamierzali tak łatwo rezygnować z łupu. Wnętrze samochodu wypełniło się dudnieniem dziesiątek rąk, nacierających na auto z każdej strony. Chłopak czuł się jak konserwa turystyczna, do której ktoś próbuje się dostać za pomocą kamienia.

Nie zmieniało to faktu, że był bezpieczny. Przynajmniej na chwilę obecną, bo jego plan przewidywał uzbrojenie się i odjechanie w bezpieczne miejsce, gdzieś, gdzie jeszcze nie dotarła zaraza i gdzie nikt nie będzie go łączyć z pierwszym zarejestrowanym atakiem na człowie...

– Noż kurwa, nie wierzę – powiedział chłopak, patrząc na blachę oddzielającą go od szoferki. W ścianie było jedno małe okienko, nie większe niż prostokąt o wymiarach piętnaście na trzydzieści centymetrów.

Tego Tomek nie przewidział.

## MOKOTÓW, GODZINA 20:21.

Jacek bezradnie wpatrywał się w przeszklone drzwi. Ostatnie dwie godziny spędził za biurkiem recepcji na parterze, tuż przed głównym wejściem do biurowca. Skrupulatnie analizował wydarzenia, jakie do tej pory miały miejsce. Godzinę zajęło mu dostanie się na dół budynku. Pokonując schody, musiał być bardzo ostrożny, ale ostatecznie udało mu się zejść bez większych problemów. Schodził z duszą na ramieniu. Kiedy opuścił klatkę schodową, popędził w stronę głównego wejścia i wybiegł na chodnik. Ciepłe i świeże powietrze wypełniło jego nozdrza, przesiąknięte zapachem krwi. Niestety nie miał zbyt wiele czasu na radowanie się odzyskaną wolnością, ponieważ gdy tylko pojawił się na chodniku, kilkunastu zombie błyskawicznie rzuciło się w jego stronę. Zrobił wtedy jedyną słuszną rzecz, jaka przyszła mu na myśl – wycofał się do biurowca i zamknął za sobą drzwi.

Następnie, kiedy odrobinę ochłonął i odzyskał zdolność racjonalnego myślenia, zabezpieczył parter, przynajmniej w części, w której aktualnie się znajdował, dokładnie sprawdzając wszystkie zakamarki i drzwi, prowadzące do toalet bądź innych pomieszczeń. Przy okazji zabił też dwóch zombie. Poszło mu łatwiej niż z Karoliną. Raz, że ich nie znał, a dwa, że jak sam stwierdził, stosunkowo szybko odnalazł się w nowej roli. Biała koszula już dawno zmieniła barwę na czerwoną, a spodnie pokryły się szkarłatną, zaschniętą teraz posoką. Od zapachu unoszącego się w powietrzu było mdło, jednak Jacek wolał zostać w nawet tak uświnionym ubraniu, niż zupełnie z niego zrezygnować i walczyć dalej nago. Umył ręce i twarz w łazience, ale nie mógł nigdzie znaleźć nowego ubrania.

Spojrzał na monitory, które pokazywały widok z kamer porozmieszczanych po całym budynku. Nie był w stanie zliczyć zombie wałęsających się po korytarzach i wyludnionych salach. Nie zauważył też nikogo żywego. Możliwe, że ktoś ukrył się poza zasięgiem monitoringu, jednak tego akurat nie mógł być pewien. Na dole, tak samo jak w biurze, z którego udało mu się uciec, nie było internetu ani sygnału w linii telefonicznej. Czuł się jak głodny i brudny szczur w pułapce, otoczony z każdej strony przez wygłodniałe kocury. I śmiertelnie przerażony. Czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie, nie był w stanie określić, co robił przez ostatnie godziny i kiedy po raz ostatni coś jadł. Wszystko zlało się w jedną, bardzo nieskładną całość. I Jacek czuł, jak ta całość pochłania go coraz bardziej, jakby we śnie wchodził coraz dalej między ciemne i schowane za mgłą drzewa. Coś wisiało w powietrzu. Instykt go ostrzegał przed tym, co może się jeszcze wydarzyć, ale go nie słuchał. Nie potrafił.

Schował głowę w dłoniach. Za każdym razem, kiedy zamykał oczy, widział przed sobą opętaną twarz Karoliny. Zacisnął pięści. „Weź się chłopie w garść” – pomyślał. Był na skraju wyczerpania nerwowego – nie wiedział, co myśleć ani co robić. Nikt nie przyszedł go uratować, nie widział policji, straży czy służb specjalnych, a przecież minęło już tyle godzin. Ludzie zostali pozostawieni



sami sobie. Siedział za panelem tak długo, aż zombie na ulicy przestali się nim interesować i poszli szukać łatwiejszego łupu.

Wziął kilka głębokich oddechów. Wstał i powoli podszedł do drzwi, cały czas trzymając się blisko ściany. Światła były pogaszone, ale na zewnątrz było jeszcze jasno. Szedł powoli, zastygając za każdym razem, gdy na ulicy pojawiała się jakaś postać.

Podszedł maksymalnie blisko samej szyby i ukucnął za olbrzymim rododendronem, kryjąc się w cieniu jego liści. Obserwował chodnik i ulicę Juliana Bruna, przy której znajdowało się jego biuro. Nie był zbyt zachwycony tym, co ujrzał.

Z dziwnym spokojem uświadomił sobie, że koszmar, jakiego musiał doświadczyć, nie zakończy się, kiedy wyjdzie poza przeklęty biurowiec. Na ulicy panował taki sam chaos, jeśli nawet nie większy. Płonęło kilka samochodów, a kwestią czasu było, kiedy ogień prześlizgnie się na sąsiadujące z nimi budynki. Gdzieś leżały ciała, wokół których widział czarne plamy krwi. Był świadkiem, jak jedno z nich podniosło się i po omacku zaczęło iść przed siebie. Przypomniało mu to dość makabryczną wersję starej zabawy z dzieciństwa, gdzie jedno z uczestników miało zawiązane oczy i z wyciągniętymi rękami szukało pozostałych.

Nie dostrzegł nikogo normalnego. Dopadły go najczarniejsze myśli, jego umysł podsuwał najgorsze scenariusze. Oczami wyobraźni widział, jak krążący wokół ludzie się z niego śmieją. Szydzą. Wskazują go palcami i wytykają tchórzostwo, bo boi się wyjść i stanąć do walki.

Naraz wziął parę głębokich oddechów i skupił wzrok na jednym z ciał.

– Pieprzyć to – powiedział szeptem, ledwo rozchylając usta.

Miał dość. Czuł, że coś w nim bezpowrotnie pękło. Odnosił dziwne wrażenie, że stało się tak już bardzo dawno temu, ale dopiero teraz to sobie uświadomił. Całe jego życie sprowadzało się do rutynowych zajęć, powtarzanych z niemalże szwajcarską precyzją. Po prostu w nieskończoność powtórzał te same czynności i schematy, starając się nie wychodzić przed szereg. Poczul, jak robi się czerwony ze złości. Wszystko przepadło. Tyle bezpowrotnie zmarnowanego czasu... Przed oczami przeleciały mu ostatnie lata życia i z żalem stwierdził, że jedyne wspomnienia, jakie ma, związane są z pracą.

Wstał z podłogi i spokojnie podszedł do panelu administracyjnego, znajdującego się za biurkiem ochrony. Nie obchodziło go, czy ktoś go z ulicy go zobaczy, czy nie. Zaczął metodycznie przeszukiwać szuflady. Wątpił, że znajdzie jakąkolwiek broń. Szukał za to kluczy, które otworzą mu drogę do zamkniętych pomieszczeń, do zamkniętych szafek i sam Bóg jeden wie, co tam znajdzie. Oby cokolwiek, co będzie mogło mu posłużyć za broń, a będzie lepsze od stołowej nogi. Chociaż osobiście przekonał się, że ta ostatnia całkiem nieźle się sprawdza.

Po paru sekundach dzierzył już w dłoni pęk brzęczących kluczy i szedł w kierunku drzwi, na których widniała tabliczka z napisem „ochrona”. Chwilę mu zajęło znalezienie odpowiedniego, ale ostatecznie udało mu się przekroczyć próg pomieszczenia. Uderzył go zapach potu, stęchlizny i taniej wody po goleniu. Uśmiechnął się pod nosem. Podobało mu się to. Podobało mu się, że śmierdziało, że całe jego ubranie było poplamione krwią i że miał okazję roztrzaskać paru osobom głowy

nogą od stołu. Przyjął tę świadomość ze spokojem, nie czuł się winny. Nie było policji, sądów, innych ludzi. Nie było już przed kim czuć się winnym, a jego własne sumienie opuściło go parę godzin temu, ustępując miejsca nadciągającemu szaleństwu.

Stał w progu, upajając się nową siłą. Uczuciem spokoju i totalnej bezkarności. Jego własną, spaczoną definicją wolności. Czuł się, jakby znalazł się w grze komputerowej, gdzie może robić, co chce i komu chce, i nikt go za to nie ukarze. Nigdy nie podejrzewał siebie o takie podejście. Człowiek uczy się samego siebie przez całe życie.

– Co my tu mamy... – szepnął pod nosem, zapalając światło.

Jego oczom ukazały się trzy stojące szafki, tandetny stolik z jeszcze tandetniejszym czajnikiem i paroma brudnymi kubkami, nad którym wisiał kalendarz z gołą babką. Do tego pusty wieszak na mundury i para wojskowych butów. Słowem, mnóstwo rzeczy, które zupełnie nie nadają się do walki.

– Niech to cholera – przeklął pod nosem.

Podszedł do szafek, na szczęście otwartych, ale ich zawartość była równie interesująca i przydatna co zawartość samego pomieszczenia. Zastanowił się przez chwilę, rozglądając jeszcze raz po klitce. Może coś przeoczył? Niestety musiał pogodzić się z faktem, że nic nie umknęło jego uwadze.

„No trudno, trzeba będzie poszukać gdzie indziej” – pomyślał i wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi. Spojrzał na zegarek – było parę minut po dwudziestej pierwszej. Czas się zbierać.

Wrócił do recepcji, wziął wcześniej już wypróbowaną nogę od stołu i zważył ją w rękę. Sprawdziła się do tej pory, więc będzie dzielnie służyła dalej. Przez chwilę myślał, czy nie wrócić na górę po drugą nogę, żeby mieć broń w obu rękach, ale stwierdził, że jedna trzymana naraz będzie skuteczniejsza. Odwrócił się i zaczął powoli kroczyć w stronę drzwi. Jego skórzane lakierki z głośnym echem uderzały o marmurową podłogę. Nie śpieszył się. Wiedział co go czeka po przekroczeniu progu i wyjściu na ulicę. Jakaś głęboko schowana, racjonalnie myśląca część jego świadomości wiła się i krzyczała, próbując oswobodzić się z oków szaleństwa, jakimi została spętana. Jednak to działanie z góry było skazane na niepowodzenie. Gdzieś na samym dnie duszy Jacek wiedział, co robi. Miał świadomość tego, co się dzieje i na co się godzi. Po prostu stwierdził, że zanim zginie, to się odrobinę zabawi.

Złapał za klamkę, otworzył drzwi i po raz ostatni w życiu wyszedł ze swojego miejsca pracy.

## STARE MIASTO, GODZINA 20:22.

Zaufajcie mi – parsknęła Natalia, przedrzeźniając księdza. – Wyszliśmy na tym gorzej niż Zabłoc-ki na mydle!

Kuba spojrział zmęczonym wzrokiem na żonę. Wyjął paczkę czerwonych lucky strike'ów i odpalił papierosa.

– Proszę tutaj... – zaczął duchowny, ale policjant posłał mu spojrzenie pod tytułem „zmuś mnie”, więc ten nie skończył zdania.

– Kochanie, przestań biadolić. Marudzisz, odkąd tu weszliśmy – powiedział Kuba, głęboko zaciągając się dymem.

– A pewnie! I dalej będę biadolić! Zobacz, gdzie przez niego wylądowaliśmy! – odkrzyknęła, wskazując palcem na księdza, który skulił się pod jej nienawistnym spojrzeniem.

– Fakt, ale gdyby nie on, to już byśmy nie żyli – odparł Kuba, ostentacyjnie wypuszczając dym w jej stronę. Natalia zrobiła się purpurowa ze złości, ale nie odpowiedziała.

Zapadła niezręczna cisza. W głębi ducha Kuba rozumiał żonę. Tkwili od paru godzin w zatęchłej, wilgotnej piwnicy. W powietrzu unosił się zapach starego drewna i mokrej cegły. Po północnej ścianie nieustannie sączyła się jakaś bliżej nieokreślona ciecz, na szczęście znikając w podłodze i nie zalewając całego pomieszczenia. Inaczej już dawno by się potopili. Kompleks piwniczny był ogromny, przypominał bardziej katakumby niż małą kościelną piwniczkę, w której przechowuje się mszalne wino. Sklepienie i korytarze były wykończone średniowiecznymi, ceglanyimi łukami i aż dziw brał, że tyle czasu zdołały wytrzymać. Ksiądz zapewnił ich, że wejście, którym się tu dostali, jest jedynym, a stalowe drzwi wyglądały bardzo solidnie. Policjant zapytał go, po co aż takie zabezpieczenia w starym kościele. W odpowiedzi usłyszał, że wcześniej bezdomni wykradali zapasy, jakie były tu składowane, i że z datków udało się im drzwi zakupić właśnie takie. Dodał też, że nie tylko wino jest tu przechowywane, ale Kuba nie ciągnął dalej tematu.

– No dobrze... jest ksiądz stuprocentowo pewien, że nie ma stąd żadnego innego wyjścia? – zapytał Kuba, spoglądając w stronę kapłana.

– Tak – odparł, ale w jego głosie słyhać było niepewność. Widać, sam zorientował zauważył, bo błyskawicznie dodał znacznie pewniejszym tonem – Tak, jestem tego absolutnie pewien.

Policyjny instynkt podpowiedział Kubie, że ksiądz kłamie. Zdecydował się jednak poczekać, aż ten się wygada, choćby przypadkiem.

– No to świetnie – stwierdziła Natalia, ostentacyjnie krzyżując ręce na piersi.

– Nati! – krzyknął Kuba. – Nie pomagasz – dodał nieco łagodniejszym tonem.

Ta tylko z fochem wypuściła powietrze i uciekła spojrzeniem w kierunku ściany.

– Może jeszcze nie wszystko stracone – powiedział delikatnie ksiądz.

Małżeństwo popatrzyło na niego czujnie, a policjant w duchu się uśmiechnął. Poszło łatwiej, niż myślał. Obrażona Natalia nie zamierzała się odzywać, a Kuba swym milczeniem chciał dać księdzu nieco czasu. Może sam zacznie mówić i nie trzeba będzie go ciągnąć za język? Kapłan jednak zdawał się odpłynąć myślami gdzieś daleko, jak już wielokrotnie mu się to wcześniej zdarzało. „Ciekawe, czy ja też będę łapał takie zawieszki, gdy będę w jego wieku” – zastanawiał się policjant. Po chwili dotarło do niego, że w świetle ostatnich wydarzeń jest raczej mało prawdopodobne, że pożyje na tyle długo. Mimo to na twarzy Kuby zagościł delikatny, ledwo zauważalny uśmiech. Pogodził się ze śmiercią. Oczywiście na tyle, na ile wydawało się to możliwe. Przerazenie, które wcześniej trawiło go od środka, gdzieś się ulotniło, ustępując miejsca spokojowi. Czyżby wpływ na to miał uświęcony charakter kościoła?

– Co ma ksiądz na myśli? – zapytała Natalia. Jej głos nieco się uspokoił i stał się niezwykle czujny, jakby znalazła cień szansy na wydostanie się stąd żywa i nie chciała tego zaprzepaścić niesnaskami powstałymi między nią a kapłanem. Takim zachowaniem zaskoczyła nawet Kubę.

Stary człowiek popatrzył w jej stronę i uśmiechnął się życzliwie. Wiedział, że zdobył punkt przewagi.

– Chyba mógłbym wam pomóc stąd się wydostać – odparł dumnie.

– Jak...? – zapytał Kuba, opuszczając czujnie głowę. Kapłan trzymał asa w rękawie, a policjant miał dziwne przeczucie, że tak łatwo nie odkryje przed nimi wszystkich kart.

– Jest jeszcze jedno wyjście – stary tunel łączący katedrę z Barbakanem. Zbudowali go powstańcy w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku. Może go wam pokażę, ale nie jestem jeszcze pewien – odpowiedział.

– Pewien czego? – Natalia zadała pytanie, jeszcze zanim ksiądz skończył odpowiadać na poprzednie.

– Pewien tego, że na to zasłużyliście – mówiąc to, spojrzał Kubie prosto w oczy. Jego spojrzenie było zadziwiająco silne i wyraziste, ale było w nim coś jeszcze, coś, co policjant widywał wielokrotnie na sali przesłuchań. I wcale mu się to nie podobało. Wcześniej duchowny zdawał się błędzić nieobecny wzrokiem po piwnicy, a teraz jego szare oczy niemalże błyszczały. Policjant, mimo zalewającej go złości, pozostał niewzruszony. Wiedział, że siłą nie przekona go do wyjawienia tajemnicy. Musiał go zrozumieć i zagrać w jego grę, inaczej mogą mieć z żoną spore kłopoty. Wolno wypuścić powietrze, starając się opanować nerwy.

– Nie rozumiem. Na co nie zasłużyliśmy? – ponownie zapytała Natalia. W jej głosie było słychać tylko panikę, po wcześniejszym spokoju nie został najmniejszy ślad.

– Na to, żeby się stąd wydostać i żyć – powiedział ksiądz, nie ruszając się z miejsca.

Kuba nie uwierzył w to, co przed chwilą usłyszał. Już nieraz był świadkiem gróźb skierowanych pod swoim adresem, także tych wieszczących rychły zgon, ale nigdy żadna z nich nie została wypowiedziana z taką pewnością i obojętnością. Ksiądz miał nad nimi druzgocącą przewagę, co zdemontował swoją niewzruszoną postawą. Mężczyzna odniósł wrażenie, że ksiądz lada moment zamieni się w jakieś mitologiczne stworzenie, może nawet w samego diabła, szyderczo się zaśmieje

i wyfrunie z piwnicy Bóg wie gdzie. Kuba wstał i zaczął chodzić po ciasnym i zimnym pomieszczeniu. Wyglądał teraz jak zwierzę szykujące się do ataku – brakowało tylko piany kapiącej z pyska i czerwonych ślepi. Natalia siedziała nieruchomo z wybałuszonymi oczami, jakby ktoś wbił jej sztylet w brzuch. Przez kilkadziesiąt ciągnących się niczym guma sekund nikt nie odezwał się nawet jednym słowem. W końcu Kuba nie wytrzymał. Ruszył w kierunku księdza, zatrzymując się tuż przed nim.

– Jak to, kurwa, nie zasłużyliśmy na to, żeby żyć?! Cośmy ci zrobili? – wrzasnął, trzęsąc się ze złości. Zrobił się czerwony na twarzy.

– No?! Mów, starcze! – poganiał księdza.

Duchowny wstał i stanął przed policjantem, nie pokazując po sobie nawet cienia strachu. Patrzył natomiast na Kubę z politowaniem, jak na dziecko, które pomimo wielokrotnych upomnień znowu ufajdało się zupą. Wziął głęboki oddech i powiedział:

– Czy naprawdę nie widzisz, co się dzieje na zewnątrz?

– Widzę. Bardzo, kurwa, dobrze widzę. Musiałem strzelić młodemu gościowi w łeb z odległości metra, wcześniej moja żona prawie zginęła na moście, zbombardowana odłamkami wysadzonego w powietrze centrum stomatologicznego, a potem bawiliśmy się w berka na naszej zasranej, kurwa jej mać, Starówce, po której ganiały nas hordy żywych trupów. Wobec tego cholernie dobrze widzę, co się dzieje na zewnątrz! – Kuba aż dyszał z wściekłości. Miał ochotę złapać klechę za głowę i roztrzaskać ją o ścianę. Właściwie to poważnie zaczął się zastanawiać, dlaczego jeszcze tego nie zrobił.

– Jesteś głupcem – odpowiedział ksiądz. Po tonie jego głosu było słychać, że niemalże brzydzi się Kubą i Natalią. – To nastał Dzień Sądu.

„Oho, pięknie” – pomyślał Kuba, unosząc brwi i mimowolnie kiwając głową. Trafił się prorok i teraz będzie prawil swoje morały. Jednak pierwsze wrażenie było słuszne – ksiądz nie jest do końca normalny.

– Jeżeli tak, to nie ksiądz powinien nas osądzać. Bóg to zrobi – zauważyła przytomnie Natalia. Kuba odwrócił się i skinął jej głową z uznaniem. Nieźle.

Księdzu drgnęła powieka. Widać, nie spodziewał się tak błyskotliwej riposty. Jednak nie pozostał dłużny.

– Jesteście zbyt plugawi, żeby stanąć przed Jego obliczem – obwieścił, zaczepnie wypinając swoją starą, żalną pierś.

– A czym to niby się splugawiliśmy? Nic o nas nie wiesz – stwierdził Kuba, robiąc krok w stronę księdza, co jeszcze bardziej zmniejszyło dzielący ich dystans.

– Dzień Sądu! – odparł natychmiast ksiądz, lekko nawiedzonym tonem. – Przetrwają tylko najczystszy, żeby mogli zacząć wszystko od nowa. Bóg się rozgniewał za grzechy, takich jak wy i dlatego zesłał apokalipsę. I dobrze – mówiąc to, wytykał Kubę i Natalię małym, tłustym palcem. – Nie będzie więcej aborcji, wojen, pornografii, czczenia innych bóstw! Koniec klonowania! Precz z in vitro! Chcieliście bawić się w Stworzyciela...? Grzeszyliście od dwóch tysięcy lat, ale oto przebrała się

miarka. Dostaliście szansę, której nie wykorzystaliście, więc poniesiecie teraz karę. Choć to zrobicie z godnością.

Ksiądz dosłownie się trząsł, ale trudno było stwierdzić czy ze złości, czy z podniecenia wywołanego kazaniem. Pewnie czuł się teraz jak prawdziwy boży wojownik, który trzyma w ręku narzędzie, mogące naprawić świat. „Smutne” – pomyślał policjant, cały czas zbliżając się do starego człowieka. Nic nie jest tak proste, jakby się mogło wydawać. Zatrzymawszy się, policjant wyszeptał w ucho duchownego:

– Jeżeli jest stąd inne wyjście, pokażesz nam je – mówiąc to, klepnął delikatnie kaburę z bronią. Mogło się wydawać, że przemówienie księdza nie zrobiło na nim większego wrażenia. W pracy spotkał już paru Napoleonów, kilku Elvisów i kilkunastu fanatyków religijnych.

Ksiądz nie mógł tego przeoczyć. Podniósł wzrok i spojrzał prosto w oczy Kuby.

– Nie – powiedział tylko jedno słowo.

Kuba poczuł, jak całe życie przelatuje mu przed oczami. Dzieciństwo, huśtanie się przy zachodzącym słońcu na oponie zawieszanej na drzewie za domem, pierwsza miłość w podstawówce i pierwszy pocałunek z tą, oczywiście najpiękniejszą, dziewczyną w klasie. Pierwszy papieros w środku lasu ze starym już teraz kumplem i strach po powrocie do domu, że rodzice wyczują smród dymu i spuszczą mu manto. A teraz to wszystko miało pójść w diabły przez jednego starego pierdziela w habicie, który poczuł się prawą ręką Pana. Problem polega na tym, że ten stary gość ma jego i Natalii życie w swoich rękach. Kuba zastanowił się, czy aby na pewno?

– Nie wystraszysz mnie – ciągnął ksiądz, jednak policjant wylapał w jego głosie drżenie. – Możesz mnie zabić, ale nic ci to nie da.

– W sumie to niezła myśl – odpowiedział Kuba, wyciągając pistolet z kabury. Wycelował w twarz księdza. – Gdzie jest drugie wyjście? – powiedziawszy to, odbezpieczył broń.

Ksiądz, zgodnie ze wcześniejszą deklaracją, stał niewzruszony. Nie był nawet łaskaw spojrzeć na pistolet, cały czas wpatrywał się w bliżej nieokreśloną przestrzeń za policjantem.

– Już mówiłem. Dla was nie ma drugiego wyjścia.

– Gówno! – krzyknął Kuba, pociągając za spust.

Huk wystrzału wprawił w drżenie betonową posadzkę. Natalia krzyknęła, przykładając ręce do uszu. Pocisk przeleciał parę centymetrów obok głowy księdza i wbił się w ścianę tuż za jego plecami. Pomarańczowe odłamki zasypały kapłana, który mimowolnie skulił się ze strachu, chowając głowę w ramionach. Tylko Kuba pozostał niewzruszony. Ciężko oddychał, serce waliło mu jak oszałałe, ale jako jedyny z całej trójki nie dawał tego po sobie poznać. Złapał przerażonego księdza za kark i brutalnie podniósł. Ponownie przystawił mu broń do twarzy, zaglądając jednocześnie w oszałałe ze strachu oczy.

– Po pierwsze, patrz na mnie, jak do ciebie mówię – zaczął spokojnie – po drugie, kolejny pocisk również zatrzyma się w ścianie, ale przechodząc przez twoją starą, durną czaszkę. Po trzecie, teraz grzecznie pokażesz nam, gdzie jest to cholerne wyjście.

Kapłan patrzył na niego w milczeniu, pocąc się ze strachu. Kuba poczuł także ostry zapach moczu, ale wołał nie spoglądać w dół.

Mierzyli się wzrokiem, gdy usłyszeli krzyki i kroki. Mnóstwo kroków, zbliżających się do nich wąskim korytarzem, którym zeszli do piwnicy. Po paru sekundach pierwsi zombie naparli na drzwi. Potem kolejni i kolejni. Dudnienie w kawał stali, który akurat ratował im życie, narastało z każdą sekundą. Małżeństwo wymieniło porozumiewawcze spojrzenia. Kuba wiedział, że Natalia nie była zachwycona jego zachowaniem, ale powinna to zrozumieć. Musiał przejąć kontrolę nad sytuacją.

– Radzę ci się pośpieszyć – powiedział Kuba, dla dodania efektu przyciskając gorącą lufę do czoła księdza tak, że tamten musiał zrobić krok w tył.

– Dobrze już, dobrze... Pokażę wam – powiedział w końcu, patrząc spode łba na swojego oprawcę. – Chodźcie za mną – rzekł i ruszył przed siebie, omijając Kubę szerokim łukiem.

Zmierzał w stronę Natalii. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie dopadł do drzwi, odsunął zasuwę i otworzył je na oścież.

Małżeństwo zareagowało błyskawicznie, rzucając się w kierunku przełamanej barykady, niczym kupujący, którzy polują na ostatni telewizor z wyprzedaży w supermarkecie, ale i tak mieli wrażenie, że poruszają się przeraźliwie wolno.

– Wypchnij go! – krzyknął Kuba, biegnąc do drzwi.

Natalia dopadała do pleców księdza i napała na nie całym swoim smukłym ciałem. Starła się wypchnąć go na korytarz, ale z drugiej strony kilkunastu zombie za wszelką cenę chciało się dostać do środka. W tym czasie Kuba zablokował drzwi, nie pozwalając im bardziej się uchylić. Od śmierci dzieliły ich sekundy.

– Nie... mogę! – wydusiła Natalia, starając się przekrzyczeć wrzaski i powarkiwania potworów z korytarza.

Kuba panicznie szukał wyjścia z sytuacji. Ręce mu drżały, tak samo jak nogi, które ledwo wytrzymywały napór przeważającej liczby przeciwników. W międzyczasie zombie zaczęli dobierać się do księdza. Widać ten fan apokalipsy nie spodziewał się takiego obrotu spraw, bo jego wrzask był nawet głośniejszy od krzyku oprawców. Lewa ręka duchownego zniknęła wciągnięta w tłum, gdzie dobrały się do niej co najmniej trzy pary złaknionych krwi szczęk. Kapłan ostatkiem sił trzymał się drzwi drugą ręką, ale najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że długo tak nie pociągnie. Zombie, który stał najbliżej drzwi, wgryzł mu się w szyję, obejmując go rękami, niczym dawno niewidzianego kochanka.

Wtedy Kuba doznał olśnienia. Oni nie przyszli po nich. Oni przyszli po mięso, po kogokolwiek. Są durni jak kilo gwoździ, usłyszeli strzał, więc zleźli na dół. Nie wiedzą jednak, ile osób jest w środku piwnicy. Wezmą księdza i istnieją duże szanse, że dadzą im spokój.

– Natalia – powiedział cicho, pochylając się ku żonie – odsuń się od księdza, stań za mną i pchaj drzwi.

Natalia uniosła wymuszkane brwi, ale ostatecznie, z niemałym wahaniem, posłuchała męża. Gdy już stała obok, Kuba zwolnił jedną rękę, przełożył broń i zaczął tłuc księdza w palce trzymające drzwi. Jednak wola życia duchownego była bardzo silna. Pomimo bólu, jakiego doświadczał, nie zamierzał ich puścić. Była to ostatnia rzecz, jaka łączyła go z doczesnym życiem.

– Pieprz się – powiedział Kuba, przełożył broń i strzelił księdzu w sam środek dłoni.

„Masz teraz nawet własny stygmat, popaprańcu” – pomyślał. Kapłan wrzasnął z bólu i z zaskoczenia, puścił drzwi i zniknął wciągnięty w tłum. Kuba i Natalia wykorzystali jedyną daną im szansę i dopchnęli drzwi, zatrzasnąwszy je i zamykając ponownie zasuwę. Oparli się o nie plecami. Oboje ciężko dyszeli.

– Szybki skurwiel – wysapał Kuba po kilkunastu sekundach. Zza kawałka stali docierały do nich odgłosy makabrycznej uczyty. Zombie zdawali się zapomnieć o tym, że przecież widzieli Natalię. Kuba przyłożył palec do ust.

– Musimy być bardzo cicho – wyszeptał.

Natalia kiwnęła głową, wprawiając długie blond włosy w lekkie drżenie. Jej mąż kiwnął ręką w stronę jednego ze sklepień, sugerując, że powinni się tam udać. Natalia ponownie przytaknęła, cicho wstała i na palcach podreptała we wcześniej wskazanym kierunku. Przypomniała teraz Leeloo z *Piątego elementu* – taka krucha, wystraszona i niepewna. Po chwili, upewniwszy się, że drzwi nie są atakowane, dołączył do niej Kuba.

– Jak tam? – zapytał, przytulając dziewczynę.

Natalia drżała. Chciała się rozplakać, ale wiedziała, że wtedy ją usłyszą. Musiała zebrać się w sobie i nie dać się złamać.

– Ciii... Już wszystko dobrze – mówił mężczyzna, głaszcząc ją po włosach. Miał nadzieję, że z tonu jego głosu nie da się wychwycić, jak bardzo nie wierzy w to, co sam mówi.

– Znajdziemy ten tunel i wydostaniemy się stąd – dodał.

– Ile zostało ci naboji? – zapytała cicho Natalia, nie komentując deklaracji męża.

Kuba doskonale zrozumiał podtekst pytania. Zwlekał chwilę z odpowiedzią. Zastanawiał się, na co Natalia zareaguje gorzej – czy na prawdę, że nie został mu nawet jeden pocisk, czy na kłamstwo i stwierdzenie, że zostało mu jeszcze parę sztuk? Może wtedy łatwiej będzie jej to wszystko przełknąć, może wykrzesze dzięki temu odrobinę więcej woli walki.

– Mam jeszcze pół magazynka – stwierdził w końcu, zachowując pokerową twarz.

Natalia spojrzała na niego swoimi wielkimi, niebieskimi oczami, które teraz były pełne łez.

– To dobrze. Nie chcę skończyć jak one. Jeżeli do tego dojdzie, zastrzel mnie – powiedziała bez cienia strachu w głosie.

Kubę przeraziło to bardziej niż wszystkie dotychczasowe wydarzenia razem wzięte. Jego Natalia, jego własna żona prosi go teraz o to, żeby ją zastrzelił. Świat zszedł na psy. Wygląda na to, że szurnięty ksiądz miał jednak trochę racji.

– Nawet tak nie myśl – powiedział, chwytając jej dłoń w swoje ręce. Przysunął głowę tak, że stykali się czołami. – Nic takiego nie będzie miało miejsca. Wyjdziemy stąd razem, jako normalni lu-



dzie. Potem znajdziemy jakiś samochód i podjedziemy do komisariatu. Tam dowiemy się, skąd bierze się ten burdel, znajdziemy innych ludzi i pomyślimy, co dalej. Ale najpierw musimy znaleźć tunel, o którym mówił nasz księżulo.

– Okej – wykrztusiła z siebie Natalia. Na nic więcej nie było ją stać.

– Zostań tu, ja się trochę rozejrzę. Odpocznij, może spróbuj na moment zmrużyć oczy – powiedział czule Kuba, wstając z klęczek.

– Nie! Nie ma mowy. Idę z tobą, nie zostanę tu sama – błyskawicznie odparła Natalia, zrywając się na równe nogi. – Poza tym, we dwójkę szybciej coś znajdziemy.

Kuba mimowolnie się uśmiechnął. Ludzie są w stanie znieść więcej, niż im się wydaje.

– Dobra – powiedział i pocałował żonę.

## BIELANY, GODZINA 21:45.

**K**urwa! – krzyknął Tomek po kolejnej bezowocnej próbie sięgnięcia do policyjnego radia i cisnął paskiem na drugi koniec furgonetki. Sytuacja stawała się powoli beznadziejna. Zamienił wygodny areszt domowy na ciasną, klaustrofobiczną policyjną furgonetkę, w której, jak ten ostatni debil, na własne życzenie się zatrzasnął. „Tak, to bardzo w moim stylu” – pomyślał.

Łomot dziesiątek żądnych krwi rąk przybrał na sile. Chłopak rozszerzył z przerażenia oczy. Spędził już prawie godzinę w samochodzie, ale do takiego hałasu po prostu nie szło się przyzwyczaić. No dobra, może jakimś fanowi ostrego techno to by się udało, ale jemu na chwilę obecną było do tego stanu bardzo daleko. Usiadł na ławce pod jedną ze ścian i zaczął ponownie analizować swoje położenie.

Plus był taki, że zgodnie z oczekiwaniami w furgonetce znalazł broń i trochę innego sprzętu policyjnego – hełm balistyczny, tarczę, o kilka rozmiarów za duże rękawice. Niestety, butów nie było. Może samej broni nie było tak dużo, jak się spodziewał, ale zawsze coś – trafił na jeden pistolet maszynowy i dwie strzelby. Wszystkie trzy sztuki były załadowane, ale nie odkrył doń zapasowej amunicji. Ta duża i ciężka, srebrna skrzynia znajdująca się pod przeciwległą ławką coś mu mówiła w tej materii, ale była zamknięta na klucz. Swoją drogą tak jak i on sam. Drugi plus był taki, że w furgonetce był bezpieczny. Wzmacniana blacha i wzmacniane szkło dodatkowo zabezpieczone kratami. Brakowało w niej tylko działa na dachu albo komory teleportacyjnej do kwatery głównej – ale jak widać, wszystkiego mieć nie można.

Niestety, były też minusy aktualnej sytuacji Tomka. Pierwszy był taki, że z bezpiecznej klitki nie mógł się ruszyć, a drugi polegał na tym, że za cholerę nie miał pojęcia, jak wybrnąć z tej sytuacji. Głowił się, chodził w kółko, zaglądał w każdy dostępny zakamarek i nic mu nie przychodziło do głowy. Próbował się też przecisnąć się przez wąskie okno prowadzące do szoferki, ale mu odrobinę nie wyszło. To znaczy przeszła ręka i głowa, ale jakby nie patrzeć, to ciut za mało. W pewnym momencie stwierdził, że otworzy drzwi i zrobi „wyjście smoka” – w dwóch rękach strzelby, glauberyt przewieszony na plecach. Będzie rzeź, trochę sobie postrzela i przy odrobinie szczęścia uda mu się przeżyć... parę minut. Bo na więcej nie liczył. Nie, tu trzeba było działać spokojnie. Nie iść na żywioł.

Przejechał ręką po włosach i głośno wypuścił powietrze. Co za syf... I nagle wpadł na pomysł. Ryzykowny, głupi i nieprzemyślany – ale jak powszechnie wiadomo, takie są najlepsze.

– Okej, to do dzieła! – powiedział na głos.

Wstał i podniósł jedną ze strzelb. Przeładował. Podeszedł do tylnych drzwi i wyjrzał przez szybę. Za kratą stało kilkunastu zombie. Rozejrzał się i zobaczył, że z boku samochodu też ich trochę stoi – w sumie będzie około dwudziestu sztuk. Jeżeli uda mu się zabić tych, zanim nadejdą kolejni, to

ma szansę. Policjanci leżeli martwi na ulicy i jeszcze nie zdążyli się przemienić. To dobrze, łatwiej będzie zrealizować plan. Przystawił lufę strzelby do szyby, tak żeby kula przeszła między kratami i zatrzymała się w głowie stojącej kilkanaście centymetrów dalej kreatury. Tomek wziął głęboki oddech, przeładował i wymawiając słowa: *Come get some* głosem Duke'a Nukema, pociągnął za spust.

Głowa zombie eksplodowała, rozrzucając wszędzie wokół fragmenty czaszki, włosów i zawartości durnego, krwiożerczego łba. Chłopak nie spodziewał się aż takiej mocy ani tego, że rozbryzg krwi pomaże szybę, co nieco ograniczy mu widoczność. Nie spodziewał się również tego, że od huku jego własny mózg też prawie eksploduje. Poczul się, jakby wsadził głowę między głośniki estradowe na koncercie Slayera.

Wypuścił strzelbę z rąk i złapał się za uszy. Otworzył usta i ukucnął.

– Aaa... kurwa! – krzyknął, chociaż nie było mu dane usłyszeć własnego głosu. Ból w uszach, wściekłość na zombie za to, że chcieli go zjeść, oraz odrobina pretensji do samego siebie spowodowały, że chłopaczyna wściekł się jak jeszcze nigdy w życiu. Jego oczy zaczęły świecić mrocznym blaskiem, a że były zielone, to Tomek wyglądał teraz jak napromieniowany. Musiał dać ujście frustracji, bo inaczej ta rozsądziłaby go od środka. A nic tak skutecznie nie uwalnia od stresu, jak wyplucie paru serii z broni palnej w tłum zombie.

Wstał, odwrócił się na pięcie odzianej tylko w skarpetkę i poszedł po hełm balistyczny. Założył go na głowę, mając nadzieję, że chociaż trochę wytłumi w ten sposób dźwięki. Nie obchodziło go, jak kretyńsko musiał teraz wyglądać – w ciężkim policyjnym hełmie, wytartych jeansach i niebieskim T-shircie z logo deski windsurfingowej na płaskiej kłacie. Do tego na bosaka, a właściwie to w białych skarpetkach. Przez ułamek sekundy był rad, że jednak nikt go teraz nie widzi.

Zrobił rundę wokół okien, rozbijając wszystkie lufą strzelby. Kakofonia dźwięków była teraz znacznie lepiej słyszalna, a zombie, zachęceni aktywnością swojego posiłku, zaczęli napierać na furgonetkę jeszcze energiczniej. Tomek ponownie przystawił lufę do okna i tym razem z otwartymi ustami pociągnął za spust. Uszy zaboląły, ale nie tak mocno jak wcześniej. Przeładował i ponownie wystrzelił. Zombie zaczęli szaleć. Żaden z nich nie wpadł na pomysł, żeby uciekać, każdy natomiast jeszcze łapczywiej sięgał palcami do wnętrza wozu policyjnego, wciskając je uparcie między kraty.

Po kilkudziesięciu sekundach obie strzelby były puste, a w środku samochodu było aż duszno od zapachu prochu. Tomek rzucił je na podłogę i sięgnął po glauberyta, odbezpieczył i pojedynczymi strzałami eliminował zombie. Miał olbrzymią ochotę wyjść i pociągnąć po nich serią, ale wiedział, że amunicja skończyłaby mu się w ułamku sekundy. Zauważył, że „przy życiu” pozostało tylko parę sztuk i to tych ledwo łączących. Nie wiedział, dlaczego jedne biegały, a inne nie. Wiedział natomiast, że tych biegających należy za wszelką cenę unikać, obok wolnych można po prostu przejść i łatwiej do nich oddać celny strzał. Opuścił szybką w hełmie, przystawił lufę do zamka w drzwiach i pociągnął za spust. Ku jego nieukrywanemu zaskoczeniu udało mu się nie tylko otworzyć drzwi, ale też nie oberwać rykoszetem. Pchnął blachę i wyskoczył na górę ciała. Jak bardzo

teraz żałował, że nie założył tych pieprzonych butów. Chociaż japonki, cokolwiek, byleby tylko nie czuć mokrej, kleistej papki pod stopami...

Ruszył biegiem w stronę przodu samochodu, gdzie leżało kilku policjantów. Po drodze zabił jeszcze jakiegoś zombie. Cały czas rozglądał się, czy nie nadciągają kolejni. Bo to, że w końcu przyjdą, było tylko kwestią czasu. Zaczął w popłochu przeszukiwać funkcjonariuszy. Zdjął hełm, włożył do niego dwa znalezione pistolety i parę magazynków do broni krótkiej. Sięgnął po drugiego glauberyta, tkwiącego jeszcze w ręku policjanta. „Musi mieć zapasowe magazynki” – pomyślał chłopak i przewrócił zwłoki na plecy. Czuł się jak hiena cmentarna, ale albo zignoruje swoją moralność, albo podzieli los funkcjonariusza. Decyzja była prosta. Znalazł parę długich magazynków, które powinny pasować do karabinka. Nie miał czasu teraz tego sprawdzać. Wstał i podbiegł do szoferki, otworzył drzwi i wskoczył do środka. Rzucił hełm na siedzenie pasażera i sięgnął do stacyjki, aby odpalić samochód. Nie wierzył we własne szczęście, kiedy okazało się, że kluczyk tkwi na swoim miejscu.

Zatrzasnął drzwi i włączył silnik.

– Tak, kurwa, tak! – krzyknął, ze szczęścia uderzając rękami w kierownicę i podskakując na fotelu. – Jeeeeest!

Wrzucił jedynekę i... przestał się cieszyć. Spojrzał na swoje stopy. Potem szybko rozejrzał się po okolicy, spoglądając w oba lusterka. Wydawało się, że jest względnie pusto. Chyba ma chwilę, na zrobienie jeszcze jednej rzeczy. Zerknął podstępny wzrokiem na ciała policjantów i złapał klamkę u drzwi.

Minutę później ponownie wrzucił jedynekę i naciskając pedał gazu już ubraną w policyjny but stopą, ruszył przed siebie.

## MOKOTÓW, GODZINA 21:30.

W twarz uderzyło go świeże i ciepłe powietrze. Jacek wziął głęboki oddech i rozkoszował się jego smakiem. Rozejrzał się spokojnie wokół siebie. Było gorzej, niż przypuszczał. Ulica wyglądała jak ruina, płonęły już niektóre budynki. Gdzieś w tle słychać było wystrzały z broni palnej, pojedyncze krzyki. Kakofonia dźwięków, odbijająca się gromkim echem od ciasno zabudowanych biurowców, wprawiała korporacyjne szyby w drżenie. Tego maklerzy nie przewidzieli. Parę razy usłyszał głośnie tąpnięcie, co świadczyło o odpaleniu pocisku większego kalibru. Śmigłowiec lub wóz opancerzony. Kto wie, może nawet do stolicy znowu zawitały czołgi. „Fajnie by było takim się przejechać i sobie postrzelać” – stwierdził. „Trzeba to koniecznie umieścić na liście rzeczy do zrobienia przed śmiercią”.

Samochody stały bezpańsko na ulicy. Część z otwartymi drzwiami i pozapalonymi światłami; niektóre były pomazane krwią na zewnątrz, inne nosiły ślady walki w środku. Poza tym wszędzie syf, kiła i mogiła. Pozostawione w pośpiechu torebki, plecaki, damskie pantofle lub inne rzeczy, które mogły opóźnić ucieczkę. Zerknął w stronę Pól Mokotowskich i zobaczył nad nimi łunę pożaru, trawiącego centrum miasta. O dziwo, żadna z kreatur nie zarejestrowała jeszcze jego obecności. Albo są tak ekstremalnie durne, albo przez obłąkanie wypisane na jego twarzy uważają go za jednego ze swoich. Cóż, łatwiej będzie mu się wtopić w tłum.

Brak zainteresowania odrobinę go zmartwił. Wyobrażał sobie, że jak wyjdzie, to rzucą się na niego niczym wściekłe harpie i po paru minutach będzie po wszystkim. A tu taka niespodzianka. Gwizdnął pod nosem, zarzucił nogę od stołu na ramię i zaczął iść przed siebie, stawiając długie i powolne kroki. Gdyby ktoś założył mu na głowę melonik, wyglądałby identycznie jak Alex z *Mechanicznej pomarańczy*. Kroczył dumnie i pewnie niczym stary generał podczas przeglądu niedoświadczonego wojska.

Rozglądał się leniwie wokół i napawał widokiem zniszczenia, jakiego dopuścili się zombie. Podobało mu się. Ta jego własna apokalipsa zdecydowanie przypadła mu do gustu. Warto było żyć, żeby zobaczyć coś takiego.

Naraz zza rogu wybiegła kobieta i natychmiast rzuciła się w stronę Jacka. Mężczyzna odruchowo złapał nogę od stołu i wymierzył jej potężny cios prosto w rozwartą szczękę. Wraz z rozbryzgiem krwi z wnętrza czaszki wyleciało też parę zębów, ale denatka nawet się nie przewróciła, tylko cofnęła o parę kroków. I spojrzała z wściekłością.

– No chodź! – wrzasnął mężczyzna z szaleństwem w oczach, unosząc pałkę nad głowę. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, ukazujący rząd zaciśniętych zębów.

Kobieta odpowiedziała mu warknięciem i ponownie rzuciła się na niego z wściekłością. Wszystko działo się błyskawicznie. Czas tym razem nie stanął w miejscu, tylko odwrotnie – przyspieszył.

Jacek przestał się zastanawiać nad tym, gdzie trafić, jak uderzać. Po prostu walił, gdzie popadnie, niczym berserker, minimalną część uwagi poświęcając na baczenie, żeby samemu nie zostać ranym. Tłukł w głowę zombie do momentu, aż nie pozostało z niej praktycznie nic.

Gdy broń, nie znajdując oporu, zaczęła uderzać o asfalt, przestał. Koszula, teraz poplamiona gęstą juchą, unosiła się gwałtownie i opadała w rytm przyśpieszonego oddechu Jacka. Po paru sekundach zza rogu wyszedł drugi zombie, prawdopodobnie zwabiony odgłosami walki. Jacek po raz kolejny uniósł swoją maczugę, gdy zorientował się, że przeciwnik nie naciera. Opuścił zakrwawioną nogę od stołu i dokładnie przyjrzał się kreaturze.

Za życia zombie był mężczyzną w podeszłym wieku. Mógł mieć około sześćdziesięciu lat, może trochę mniej. Staruszek wyraźnie utykał na lewą nogę, jednak nie było wiadomo, czy spowodowała to potyczka z innym zombie, czy może miał tak już wcześniej. Z drugiej strony, jakie to miało znaczenie? Jacek podszedł do trupa, który wyciągał teraz rękę w jego stronę i rozchyliwszy paszczę, przeciągle zawył. Jacek natomiast wyciągnął przed siebie nogę do stołu i szturchnął nią kreaturę w tors. Maszkara zrobiła krok w tył.

– Wyglądasz jak gówno, wiesz? – zapytał spokojnie.

Nie doczekał się odpowiedzi. Zombie ponownie zrobił krok w jego stronę.

– Nie, nie, poczekaj – powiedział Jacek, utrzymując bezpieczny dystans za pomocą białej, zakrwawionej nogi. – Spokojnie. Musimy pogadać. Bo widzisz... – przerwał na chwilę, rozglądając się wokół siebie. Nie dostrzegł nikogo, więc mógł kontynuować monolog. – ...Franek. Nazwę cię Franek. Nie masz nic przeciw temu? Fajnie. Bo widzisz, Franek, chciałbym ci podziękować. Tobie i wszystkim...

Zombie skoczył nagle na Jacka, niemalże łapiąc go za ręce. Zęby kłapnęły łapczywie w powietrzu, ale mężczyzna zdążył odskoczyć. Odruchowo zdzielił trupa maczugą w twarz. Następnie uderzył w kolano tak mocno, że poczwara się przewróciła.

– Stój, kurwa! Rozmawiamy, zjebie jeden. Ogarnij się trochę – uderzył ponownie, ale już jakby tak od niechcienia i dla zaakcentowania ostatniej prośby. – Dzięki takim jak ty przejrzałem na oczy. I za to chciałem ci podziękować, a ty nie dajesz mi dojść do słowa. Do tej pory wszystko było takie... nudne. Szare i martwe. Zresztą, tak jak i teraz. Różnica jednak, mój drogi Franku, polega na tym, że teraz nikt nie musi niczego udawać. Rozumiesz?

Franek zawarczał, podnosząc się z asfaltu. Jacek nie do końca wiedział, jak zinterpretować jego odpowiedź.

– Zakładam, że nie rozumiesz, bo jesteś martwą kupą gówna. Ale to nic. I tak fajnie mi się z tobą gada – powiedział i pociągnął nosem. Dopiero teraz poczuł silny fetor zgnilizny, potu i ekskrementów. – Jezu, jak ty śmierdzisz, Franiu.

Powiedziawszy to, ponownie uderzył zombie w głowę. Kreatura upadła i od razu niezdarnie zaczęła się ponownie gramolić na nogi. Jacek się zaśmiał. Bawiła go ta cała sytuacja. Ta bezkarność i poczucie władzy, jakiej nie zaznał nigdy wcześniej. Nie ma zakazów. Zniknęły bariery ograniczające wolność, nie trzeba było nosić tych pieprzonych kart magnetycznych, bez których nie dało się

wejść do żadnego pomieszczenia. Nie trzeba było nosić telefonu, bo sieć i tak nie działała. Jak chciał coś zjeść, to mógł po prostu wejść do sklepu i sobie to wziąć. Jak chciał komuś dać w mordę, to mógł to zrobić bez żadnych konsekwencji.

Jak mu się znudzi, to palnie sobie w łeb. Ale do tego czasu był panem swojego losu i zamierzał zostawić po sobie jakikolwiek ślad, zanim odejdzie z tego łoża padła.

Zombie w końcu wstał i ponownie ruszył na mężczyznę.

– Nie znudzi ci się, co? – zapytał Jacek, robiąc krok do tyłu. – Bo mi się już trochę znudziło.

Powiedziawszy to, wziął potężny zamach i uderzył od góry w głowę przeciwnika. Ta otworzyła się niczym pęk róży, rozlewając wokół jasną krew i ukazując tkwiącą w środku tkankę mózgu.

Zombie opadł bezwładnie na ulicę. Jacek stał i patrzył na szkarłat powoli wypływający z otwartej czaszki. Nagle usłyszał warkot silnika. Odwrócił się i zobaczył wyjeżdżającego z rogów ulicy brązowego nissana Navara w wersji pick-up. Na pace stało parę osób, trzymając się wystających relingów. Samochód wziął ostro zakręt i z piskiem opon zatrzymał się kilkadziesiąt metrów przed Jakiem. Ten wiedział, że został zauważony. Spojrzał w parę reflektorów, prześwietlających go ostrym blaskiem i stał nieruchomo, czekając na dalszy rozwój wydarzeń. Krew z maczugi skapywała głośno na asfalt, systematycznie powiększając powstałą już kałużę. Samochód burczał miarowo, niczym byk gotujący się do natarcia na torreadora. Jacek tak też się poczuł, dlatego po chwili zastanowienia podniósł maczugę niczym kij baseballowy, gotów do odparcia nacierającej bestii. Navara ruszyła z piskiem opon wprost na mężczyznę, który stał nieruchomo i czekał. „W ten czy inny sposób, co za różnica?” – pomyślał Jacek. „Skutek będzie ten sam. Może jak mi rozwałą łeb, to nie podniosę się jako zombie?”.

Reflektory były coraz bliżej. Nagle, nie wiadomo dlaczego, Jacek zaczął biec w stronę światła. Uniósł broń jeszcze wyżej i darł się wniebogłosy, niczym William Wallace nacierający na angielską piechotę.

Ku jego rozczarowaniu, samochód w ostatniej chwili zahamował i zatrzymał się miejscu tak blisko, że Jacek dotknął ręką jego maski.

– Pojebało cię?! – usłyszał niski męski głos. Zza uchylonej szyby kierowcy wychyliła się krótko ostrzyżona głowa.

Od nadmiaru adrenaliny i podniecenia Jacek nie był w stanie nic odpowiedzieć. Tylko uśmiechał się szaleńczo, szczerząc zęby i dysząc, jakby właśnie przebiegł maraton. Po chwili usłyszał śmiech drugiego mężczyzny, tego stojącego na pace. Dołączył do nich kolejny, aż w końcu wszyscy stali i śmiali się wniebogłosy, jakby usłyszeli najlepszy kawał w swoim życiu.

– Co za koleś – powiedział krępy mężczyzna w czerwonej kamizelce, przecierając twarz mokrą od łez. – Grzesiek, on wygląda na nieźle popierdolonego. Nada się – dodał, triumfalnie prezentując uzębienie, którego prawdopodobnie nigdy nie widział stomatolog.

– Ano, pewnie się przyjmie – dodał pewnie kierowca samochodu, nazwany Grzegorzem. Głos miał głęboki i dudniący, jakby dochodził z dna studni. Jacek słusznie domyślił się, że facet musi

być naprawdę olbrzymi. Co potwierdziło się chwilę po tym, gdy otworzył drzwi i wyszedł na ulicę. Amortyzatory odetchnęły z ulgą, unosząc auto o parę centymetrów.

Grzesio podszedł do Jacka. Stał metr przed nim i uważnie zlustrował go wzrokiem. Szczupły mężczyzna, pracujący w biurze, sądząc po ubiorze. Po cerze zresztą też. Błądą twarz wyróżniały głębokie sińce pod oczami, pogłębione jeszcze przez wydarzenia ostatnich godzin. W ręku dzierżył białą niegdyś nogę od stołu, teraz w całości pokrytą na przemian zaschniętą i świeżą krwią oraz fragmentami czyjegoś mózgu.

Jacek natomiast ujrzał zupełne przeciwieństwo siebie. Wielki, krępy mężczyzna, który na pierwszy rzut oka bardziej przypominał górskiego olbrzyma z fantastycznych baśni niż normalnego człowieka. Ręka, chociaż trafniej byłoby rzec – łapa, była wielkości całej klatki piersiowej Jacka, którą pewnie mogłaby zgnieść bez większego wysiłku. Kwadratowa, niczym wyciosana z zimnego głazu twarz, chowała głęboko osadzone czarne oczy, przeszywające mężczyznę na wylot swym spojrzeniem. Kierowca wysiadł bez broni, bo i tak żadna nie była mu w zasadzie potrzebna. Wpatrywał się milcząco całą wieczność w Jacka, aż w końcu otworzył usta i zadudnił:

– Racja. Nada się. Wsiadaj – rzucił do Jacka, po czym zawrócił i usiadł za kierownicą.

Jacek posłusznie podreptał za samochód, gdzie czekała już na niego wyciągnięta ręka. Złapał ją i po chwili znalazł się na pace, w towarzystwie dwóch innych, już normalniej wyglądających, ale także potężnych, mężczyzn. „Górale czy co?” – pomyślał.

– Cześć – rzucił od niechcienia. Nie doczekał się odpowiedzi, poza jednym szyderyczym parsknięciem.

Nie bał się. Nie zastanawiał się też, co zamierzają zrobić. Jednak czuł, że z tymi facetami będzie można całkiem nieźle pójść w tango.

Samochód ruszył.



## POLA MOKOTOWSKIE, GODZINA 21:58.

Kaja usiadła na pryczy, przy głośnym jęku sprzeciwu starych sprężyn. Dotknęła rękami zimnej, metalowej konstrukcji łóżka. Nie mogła usnąć, chociaż tak bardzo się starała. Gdy tylko zamykała oczy, widziała przed sobą małego chłopca z kiosku, zmianę, jaka w nim nastąpiła w tak krótkim czasie. Oprócz tego przypominała sobie wszystkie te wykrzywione, głodne twarze czekające na jej najmniejszy błąd. Wściekłe spojrzenia niewidzących oczu. Cały czas czuła też wiatr we włosach, towarzyszący jej przy ucieczce w stronę Żłotyh Tarasów. Przez zmęczone, drobne ciało przeszedł dreszcz. Martwiła się też o ojca – od rana nie miała z nim żadnego kontaktu, chociaż... w głębi duszy była pewna, że kto jak kto, ale on z pewnością sobie poradzi. Jej tatuś łatwo nie dawał za wygraną. Tego jednego była pewna. Z lekkim poczuciem winy przyjęła fakt, że zupełnie nie myślała o Adamie. Co prawda nie spotykali się zbyt długo, ale znała go, lubiła, może nawet coś więcej... Jednak wszystkie zdarzenia skutecznie przyćmiły jego postać. Odrzuciła szybko te myśli i skupiła się na swojej aktualnej sytuacji, ponownie rozglądając się po miejscu, do którego trafiła.

Ciemna zieleń przytaczała ją z każdej strony. Ciężki wojskowy namiot pomimo znacznych prześwitów był niezbyt przewiewny. Pachniało w nim wilgocią, stęchlizną i czymś, czego dziewczyna nie potrafiła nazwać. Może służbami mundurowymi? Tak, to chyba było najlepsze określenie. Tania woda po goleniu, dużo potu i mydło służące za jedyny produkt piorący. Pomnożone razy wszyscy żołnierze, zamieszkujący tak niewielką przestrzeń, dawało taki właśnie zapach, który pomimo wszechogarniającej woni traw i drzew rosnących na Polach Mokotowskich był dominujący. Jednak nie zamierzała narzekać. Raz, że była oswojona ze specyficzną wonią wojskowych, a dwa, że gdyby nie żołnierze, to już by nie żyła.

Nagle poły namiotu rozchyliły się i do środka wkroczyła sanitariuszka w białym fartuchu i brezentowej masce na twarzy. Za nią wszedł żołnierz z karabinem maszynowym. Zatrzymał się parę metrów od Kai, nie spuszczać z niej wzroku. Sanitariuszka usiadła na pryczy obok dziewczyny.

– Jak się czujesz? – zapytała. Miała ciepły i miły głos, jednak podkrążone oczy świadczyły o tym, że ostatnio czas spędzała bardzo intensywnie.

– Lepiej, dziękuję – odpowiedziała dziewczyna.

– To dobrze. Pokaż ucho – poprosiła i delikatnie nakierowała twarz dziewczyny w swoją stronę. Następnie wsadziła jej elektroniczny termometr do ucha i poczekała, aż urządzenie zapiszczy. Po paru sekundach wyjęła go i odczytała wynik.

– Trzydzieści sześć i dwa. Nieźle. Jesteś trochę osłabiona, zestresowana, no i pewnie nic nie jadłaś przez ostatnie kilkanaście godzin. Grunt, że nie masz gorączki – powiedziała wyraźnie zadowolona.

– A jakbym miała gorączkę, to...? – zapytała Kaja, choć chyba znała odpowiedź.

– To nic – powiedziała sanitariuszka, odwracając wzrok. W jej głosie słyhać było niepewność, ale błyskawicznie się poprawiła. – Najważniejsze, że jej nie masz. Za chwilę przyniesiemy ci coś ciepłego do jedzenia.

Powiedziawszy to, wyszła, nie dając Kai możliwości zadania dodatkowych pytań. Żołnierz poczekał i wyszedł zaraz za nią. Kaja zastanawiała się, czego tym razem będą od niej chcieli. Była tu już od jakiegoś czasu, jednak wszystko, co pamiętała, było całkowicie nieskładne i nie po kolei. Pewnie było to spowodowane szokiem. Trudno było ułożyć jej ostatnie wydarzenia w jedną, logiczną całość. Zza ścian namiotu słyszała, że ktoś biegnie i coś krzyczy. Prawdopodobnie to żołnierze. Nie wiedziała jednak, czy to jawa, czy sen. Rejestrowała też odgłosy wydawane przez jeżdżące samochody, jakieś pracujące, ciężkie silniki i parę razy nawet się jej wydawało, że słyszy śmigłowiec. Ale nie była tego stuprocentowo pewna. Ostatnie godziny bardzo dobitnie udowodniły, że niczego nie można być już pewnym.

Do namiotu wkroczyło paru mężczyzn. Każdy z nich był postawny i odziany w moro. Część trzymała karabiny, ale tylko jeden miał kaburę z pistoletem. Wyglądał najpoważniej ze wszystkich i pewnie był najwyższy stopniem. Na oko mógł mieć niecałe czterdzieści lat. Pomimo autorytetu wojskowego, jaki bił z całej jego postaci, Kaja stwierdziła, że wygląda dość sympatycznie. Dziewczyna automatycznie zerknęła na pagony i stwierdziła, że ma do czynienia z kapitanem. „Nieźle, przynajmniej traktują mnie poważnie” – pomyślała. „Inaczej by przysłali jakiegoś nędznego chorążego albo kapralinę, uch”.

Mężczyzna wziął krzesło i usiadł naprzeciwko Kai. Mierzył ją chwilę wzrokiem, po czym odwrócił się i powiedział do swoich ludzi.

– Dziękuję, możecie nas teraz zostawić – miał zdecydowany głos, nietolerujący sprzeciwu. Żołnierze posłusznie, jeden za drugim opuścili namiot. Oficer odczekał jeszcze chwilę, po czym przedstawił się:

– Porucznik Bartłomiej Skowron, Oddział Zabezpieczenia Dowództwa Garnizonu Warszawa.

Kaja popatrzyła na niego niepewnie. Oddział Zabezpieczenia... brzmi poważnie. „I, cholera, jest poważne, skoro w centrum miasta strzelali do cywili” – skarciła się w myślach.

– Kaja Petelicka – odpowiedziała. – Miło mi... chyba. Tak myślę – dodała, by rozluźnić nieco atmosferę.

Porucznik uśmiechnął się pod nosem i kiwnął głową.

– Tak, mi również. Powiedz mi, czy możemy już porozmawiać? – zapytał.

– Już? – zdziwiła się dziewczyna, przekrzywiając lekko głowę.

– Tak. Patrol przywiózł cię tu parę godzin temu, ale nie byłeś w stanie opowiedzieć, co się wydarzyło – zaczął porucznik. – Błądziłaś nieobecny wzrokiem po moich żołnierzach, majaczyłaś. Pielęgniarki cię opatrzyły, a potem usnęłaś. Chwilowa blokada mózgu, jak mniemam. Częsta reakcja na stres. Zdecydowaliśmy się dać ci trochę czasu. Na szczęście ocknęłaś się szybciej, niż myśleliśmy.

Kaja patrzyła na niego z niedowierzaniem. Fajnie to brzmiało, ale było średnio prawdopodobne. Przecież przyjechała tu przed chwilą.

– Kiedy mnie przywieźliście? – zapytała powoli, jakby chciała przeciągnąć czas otrzymania odpowiedzi, której wyraźnie się bała, ale która też ją niezwykle intrygowała.

– Jakies dwie godziny temu, może trochę mniej – odpowiedział spokojnie porucznik i wyprostował się na krzeselku. Założył nogę na nogę, co odjęło mu trochę punktów u dziewczyny.

Odetchnęła z ulgą. Bała się usłyszeć, że przyjechała parę dni temu, może nawet tydzień. Choć z drugiej strony, w głębi duszy właśnie na to liczyła. Miło byłoby się dowiedzieć, że przespała ten cały koszmar, bezpieczna w bazie wojskowej. Odpowie na parę pytań, ogarnie się, wyjdzie z namiotu i wypuszczą ją do domu. Będzie szła skąpaną w słońcu ulicą, pełną normalnych, przeraźliwie nudnych i zwyczajnych ludzi. Trywialna wizja, ale bardzo kojąca.

– Co się tam wydarzyło? – zapytał oficer, sprowadzając Kają na ziemię. Bańka marzeń pękła.

Dziewczyna wpatrywała się długo w ciemne oczy porucznika. Starła się zebrać myśli. Kim był ten człowiek? Czy jego rodzina jest w Warszawie, a on nie może z nimi teraz przebywać, bo jest po prostu w pracy? Choć bycie wojskowym to nie praca, to służba. Wojskowym się jest permanentnie. Z drugiej strony, trochę niezbyt fajnie być rodziną takiego wojaka. Tak, Kaja aż za dużo wiedziała w tym temacie. Próbowwała się skupić i poukładać minione zdarzenia w jakąś, logiczną całość, ale nie wiedziała, jak to zrobić.

– Nie wiesz, od czego zacząć? – ciągnął dalej porucznik. – Przypomnij sobie, kiedy pierwszy raz zauważyłaś „innych”.

– „Innych”? – zapytała Kaja, unosząc brwi.

– Tak. Roboczo musimy tak ich nazywać, dopóki nie dowiemy się, co im dolega. Wtedy łatwiej nam będzie ich zaklasyfikować. Mam dziwne przeczucie, że nie muszę ci dokładnie tłumaczyć, kogo mam na myśli.

Kaja posłała mu jednoznaczne spojrzenie. Zamknęła na chwilę oczy, następnie zaczęła opowiadać:

– Hm... to na pewno było w centrum. Pamiętam, że był straszny korek, jechałam tramwajem, który nagle się zatrzymał i drzwi otworzyły się na środku ulicy. Wszystkie samochody stały, tramwaje też. Wysiadłam i pobiegłam w stronę „patelni”, bo tam umówiłam się z chłopakiem – powiedziała.

„Jestem zimna i nieczułą suką” – stwierdziła w myślach. „Wypowiadając ostatnie zdanie, nie zdarzał mi głos, serce nie zabiło szybciej, nic. W środku jestem tak samo martwa jak ci nieumarli”. Do pierwszego głosu dołączył drugi: – „Nie karć się. Dużo przeszedłeś, nie dobijaj się jeszcze bardziej” – starał się ją pocieszyć. Jednak aktualnie rozstrój emocjonalny był ostatnią rzeczą, na jaką dziewczyna miała ochotę.

– Czemu pobiegłaś? – kolejne pytanie padło z ust oficera. W międzyczasie wyjął notatnik i zaczął coś mozolnie pisać.

– Rozmawiałam z Adamem przez telefon i coś przerwało połączenie. Zabroniłmi przychodzić, ale słyszałam wiele krzyków, więc się zaniepokoiłam – powiedziała. Teraz zabolalo. Imię przyniosło za sobą twarz, ta osoba, a ona wspomnienia. Niewielkie, ale zawsze jakieś. Kaja poczuła, jak w gardle rośnie jej wielka, niemożliwa do połknięcia gula. Wydłużyła oddech, żeby się uspokoić i postarać skupić na przesłuchaniu. Czas na płacz będzie później.

– No dobrze. I co było dalej?

– Dobiegłam pod Pałac Kultury... – zaczęła, jednocześnie błędząc wzrokiem po podłodze – tak, pamiętam, że wydało mi się dziwne to, że wokół mnie było bardzo pusto. To znaczy ulica Emilii Plater była pusta, nie było na niej żadnych samochodów. No i ludzi też mało było widać. Pierwszych „innych”, jak ich nazywacie, zobaczyłam pod Pałacem. To znaczy wtedy wyglądali po prostu jak martwi ludzie, chociaż teraz wiem, że nimi nie byli... Tak czy inaczej, zdecydowałam, że muszę iść dalej do miejsca, gdzie się umówiliśmy.

– Czyli?

– Mówiłam – na „patelnię”. Tam, gdzie łączą się wyjścia do metra i... – zaczęła tłumaczyć, ale porucznik jej przerwał.

– Wiem, o czym mówisz. Możesz kontynuować.

Kaja była odrobinę zaskoczona jego wiedzą na temat miasta. Chociaż, będąc w garnizonie, którego zadaniem jest zabezpieczenie stolicy, chyba powinien znać nazwy funkcjonujące w jej społeczności...

– Okej. Po paru minutach dotarłam na „patelnię”. I tam...

Przed oczami dziewczyny zaczęły przewijać się liczne obrazy. Czowała się, jakby jechała kolejką górską, a wokół niej były porozwieszane setki monitorów wyświetlających stare, tandetne horrory o zombie. Wszystko działo się bardzo szybko, było nieskładne i niewyobrażalnie odrażające. Wszechobecna krew, ból i cierpienie, oraz przenikający na wskroś zapach strachu, którego nie zapomni do końca życia. Nie chciała wracać myślami do tego miejsca, ale jak już wsiadła do wagonika, to musiała przejechać nim do samego końca trasy. Innego wyjścia nie było.

Porucznik milczał, dając jej czas na odpowiedź. Kaja ze świstem wypuściła powietrze.

– Chaos. Tyle pamiętam. Ludzie atakowali się wzajemnie, gryzli, drapali, wyrywali sobie nogi, rozrywali brzuchy. To było totalnie... popierdolone. I wtedy, w samym środku tej rzezi, zobaczyłam małego chłopca. Musiałam go uratować. A później on i tak okazał się jednym z nich – oczy zaszyły jej łzami. Nie tyle z powodu malucha, co z powodu nadmiaru emocji, jakich dostarczyły jej ostatnie godziny. To wszystko wydawało się jej zbyt abstrakcyjne, żeby mogło zdarzyć się naprawdę. Okej, było śmiesznie, fajnie i nietypowo, ale teraz już chciałaby się obudzić. – Potem wylądowaliśmy na kiosku, gdzie siedziałam aż do momentu, w którym pojawiliście się wy.

Porucznik skrzętnie notował każde jej słowo. Dziewczyna wątpiła, żeby z jej raportu wyszło cokolwiek sensownego i pożytecznego, ale odpowiedziała na pytania najlepiej, jak potrafiła.

– Czy miałaś bezpośredni kontakt z zainfekowanymi? – zapytał oficer, nie unosząc głowy znad notatnika.

– Zaraz, to z „innymi” czy „zainfekowanymi”? – odparła przytomnie Kaja. – Wiecie już coś na ich temat? Skąd to się w ogóle wzięło?

Oficer spojrział na nią surowym wzrokiem.

– Odpowiedz na pytanie. Czy miałaś bezpośredni kontakt? – powiedział, a jego usta zacisnęły się w dwie wąskie kreski.

Kaja milczała, nie spuszczać wzroku z mężczyzny. Sporo wiedział i nie zamierzała wypuścić go, zanim ten się swą wiedzą nie podzieli. W końcu ona się dzieli swoją, więc coś za coś.

– Proszę mi powiedzieć, co o nich wiecie – zaczęła delikatnie.

– Nie mogę. To ściśle tajne.

– Proszę.

– Nie.

Zapadło niezręczne milczenie. Jednak, jak się bardzo szybko okazało, niezręczne tylko dla dziewczyny.

– Pytam po raz ostatni. Czy miałaś bezpośredni kontakt z zainfekowanymi osobami?

– A jeżeli nie odpowiem, to co mi zrobicie? – zapytała buńczucznie, zawadiacko unosząc noski do góry, co tylko dodało jej uroku.

– Wtedy, domyślnie zakładając, że miałaś bezpośredni kontakt, poddamy cię kwarantannie bez twojej zgody – odparł oficer. W jego głosie słychać było delikatnie znużenie.

– Czy teraz nie jestem poddana kwarantannie? – zapytała.

– Są różne rodzaje kwarantanny – powiedział nowy, mocny głos. Jego właściciel, mężczyzna w średnim wieku, właśnie wszedł do namiotu. Był ubrany w czarny garnitur i eleganckie pantofle, choć już odrobinę zabrudzone. Na pewno był młodszy od porucznika. Na szczupłej, lekko wydłużonej twarzy brakowało tylko czarnych okularów przeciwsłonecznych. Podeszedł pewnym krokiem do oficera i powiedział:

– Nie, ta dziewczyna nie weszła w bezpośredni kontakt z zainfekowanymi.

– Skąd ta pewność? – zapytał oficer, wstając z miejsca.

– Przywieziono ją tu dwie godziny temu. Jeżeli zostałaby zainfekowana, to teraz byłaby już na etapie majaczeń i bardzo wysokiej gorączki. Wkrótce po tym nastąpiłby zgon, a następnie przywrócenie funkcji życiowych, chociaż to ostatnie to mocno nieścisły termin. Wobec tego, dziękuję, poruczniku Skowron, możecie odejść.

Było to bardziej stwierdzenie niż prośba. Porucznik jednak posłusznie wstał i wyszedł bez słowa pożegnania. Kaja poczuła się teraz mocno nieswojo. Człowiek, posiadający tak silny autorytet, musiał piastować jakieś bardzo wysokie stanowisko. Z drugiej strony, jej strach był odrobinę irracjonalny. W końcu byli tu po to, żeby jej pomóc, prawda?

– Powiedz mi, gdzie nauczyłaś się tak walczyć wręcz? – zaczął mężczyzna, zajmując miejsce po poruczniku. Usiadł wyprostowany, kładąc obie ręce na kolanach. Nie wyjął żadnego notatnika. Kaja poczuła nieprzyjemne mrowienie na karku. Skąd wiedzieli o tym, że umie walczyć?

– Oglądaliśmy nagrania z miejskiego monitoringu. Ładnie sobie poradziłaś tam w Centrum – powiedział mężczyzna.

– Ach, dziękuję – odparła. – Od ojca. Uczył mnie, odkąd skończyłam pięć lat.

– Od porucznika Pawła Petelickiego? Tak, ten człowiek mógł wiele cię nauczyć.

– Zna pan mojego ojca? – zapytała entuzjastycznie, poprawiając się na łóżku. Serce zaczęło jej szybciej bić z nadzieją, że może wreszcie trafiła na kogoś fajnego, a nie kolejnego bezmyślnego trepa.

– Tak, znam go. Służyliśmy jakiś czas razem – powiedział mężczyzna, uśmiechając się na wspomnienie starego przyjaciela. – Możesz go ode mnie pozdrowić.

Entuzjazm dziewczyny wyraźnie osłabł.

– Odkąd to wszystko się zaczęło, nie mam z nim kontaktu – powiedziała cicho, nie chcąc się pogodzić z ewentualnymi konsekwencjami tego faktu.

– Rozumiem... Kiedy ostatni raz dał znać, gdzie jest i co robi? – pytanie było zadane w sposób niezwykle dyplomatyczny.

– Gdzieś w południe, pisał mi, że wchodzi do metra. Jechał coś załatwić na Kabatach. Od tamtej pory cisza, próbowałam dzwonić, ale nie ma sygnału.

– Rozumiem. Pewnie dalej jest pod ziemią. I w tym momencie muszę cię zmartwić – powiedział i zrobił pauzę, która przyprawiła Kaję o palpitacje serca. – Wiemy, że na trasie metra miało miejsce kilka wypadków. Parę pociągów zderzyło się ze sobą. Szczegółów ci oszczędzę. Wiemy też, że zarazeni pojawili się również pod ziemią. Wtedy myśleliśmy, że dotyczy to tylko linii metra, więc odizolowaliśmy wszystkie stacje, szczelnie je zamykając. Mieliśmy wysłać tam odpowiednie ekipy, ale na powierzchni rozpętało się piekło i zabrakło nam ludzi – mężczyzna oparł dłonie na kolanach, łącząc je koniuszkami smukłych palców.

Kaja potrzebowała chwili, żeby wszystko sobie ułożyć. Jej ojciec był w metrze, gdzie nastąpiły wypadki pociągów, po czym odcięto stacje, bo zabrakło personelu, żeby go uratować. Cudnie. Wzięła głęboki oddech.

– Kiedy możecie tam kogoś wysłać? I... dlaczego pan mi to wszystko mówi?

Mężczyzna zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią, patrząc na dziewczynę łagodnym wzrokiem. Naraz zmarszczył czoło, co spowodowało pojawienie się gęstej siateczki spękań w kącikach jego oczu.

– Nie wiem. Trudno mi cokolwiek obiecać. Na chwilę obecną brakuje nam ludzi do utrzymania porządku na powierzchni. Wiem, że to dla ciebie trudne, ale szczerze wątpię, żebyśmy tam kogoś wysłali. Jednak uwierz mi, twój ojciec jest twardym facetem. Zresztą, sama pewnie wiesz to najlepiej. Poradzi sobie. A mówię ci to dlatego, że... jestem mu coś winien. Jednak reszta pozostaje między Pawłem a mną.

Do namiotu ponownie wkroczyła pielęgniarka, z którą Kaja miała już wcześniej do czynienia. Na tacy niosła małą miskę, kubek z parującym napojem i parę kromek chleba. Postawiła wszystko

na łóżku. Dziewczyna dopiero teraz poczuła, jak bardzo burczy jej w brzuchu. Zerknęła ukradkiem na tajemniczego mężczyznę, ale ten już podnosił się z krzesła.

– Zjedz, wypocznij. Należy ci się – powiedział, uśmiechając się delikatnie. – Porozmawiamy rano. I nie martw się – z nami jesteś bezpieczna.

Powiedziawszy to odwrócił się na pięcie i wyszedł razem z pielęgniarką. Kaja błyskawicznie rzucała się na ciepłą, prawdziwie wojskową grochówkę.

## METRO, GODZINA 22:15.

To było najdłuższe kilkadziesiąt metrów w ich życiu. Próba przejścia z pomieszczenia kontrolnego do korytarza łączącego mroczny i wilgotny tunel metra z powierzchnią, okazała się jednym z najcięższych doznań, jakich było im dane doświadczyć. Mozolnie pokonywane metry zdawały się nie mieć końca. Poruszali się powoli, nierzadko zastygając w bezruchu na długie minuty, niczym złodzieje próbujący sforsować najlepiej strzeżony sejf świata. Trzymali się blisko siebie i chyba tylko to pozwalało im zachować resztki zdrowego rozsądku i zwyczajnie nie zwariować.

Wokół nich roztaczała się woń potu i strachu. Słodki zapach, klejący oczy i przyprawiający o gęsią skórę na plecach, ale poza nim było coś jeszcze – wszechobecny smród krwi i z wolna rozkładającego się mięsa. Chociaż ten ostatni dokuczał mniej, bo jakby nie było pod ziemią temperatura była znacznie niższa niż na powierzchni, to jednak Paweł zdecydowanie czuł charakterystyczną woń. Zapachu zgnilizny nie dało się pomylić z niczym innym.

Sztuczka, którą wymyślił, okazała się dla nich niemalże zgubna. Rzut śrubą na tory najdalej jak się da i owszem, odciągał zombie, który podszedł zbyt blisko. Problem polegał na tym, że hałas i wzmożona aktywność jednych przyciągała ich pobratymców. W efekcie błądzili w ciemności, cudem unikając zetknięcia się z maskarami, uważając na każdy, najmniejszy nawet ruch. Zahaczenie łopata lub kilofem o tory oznaczałoby pewną śmierć. Pozytywne jednak było to, że po kilkunastu minutach wzrok mężczyzny i chłopaka przyzwyczyli się do ciemności i nie musieli używać latarek. Przerażony Max chciał wracać do bezpiecznej klitki, którą opuścili, jednak Paweł stanowczo wyperswadował mu ten pomysł. Jeżeli by tam wrócili, zombie na dwieście procent odciąłoby ich od możliwości wydostania się na powierzchnię. Na domiar złego widmem wiszącym nad ich głowami była jeszcze ta nieszczęsna kwarantanna, o której Max tyle dobrego usłyszał od Pawła. Wobec powyższego nie mieli innego wyboru, jak tylko kontynuować wcześniej obrany kurs i modlić się, co do chwili obecnej było całkiem skuteczne, żeby nie związać się walką z tak przeważającym liczebnie przeciwnikiem.

– Psst...! – syknął Max, pociągając jednocześnie Pawła za rękaw. Mężczyzna błyskawicznie zatrzymał się i napiął wszystkie mięśnie, gotów do reakcji.

Kiwnął pytająco głową. Max odpowiedział mu również kiwnięciem, jednak jego ruch wskazywał ścianę. Paweł wyciągnął rękę i z olbrzymią ulgą dotknął zimnych, stalowych drzwi. Od trzech godzin nie marzył o niczym innym. Mógł teraz umrzeć szczęśliwy. Wziął głęboki oddech, niestety, niezbyt świeżego powietrza. Stał tak, trzymając rękę na wrotach i delektując się chłodem stali. Wiele razy w swoim życiu ocierał się o śmierć, jednak nigdy nie był tego tak świadomy jak w tym momencie. Refleksja zawsze przychodziła już po danym wydarzeniu. Teraz jednak miało ono dopiero nastąpić i to, w jaki sposób się skończy, będzie decydowało o jego dalszym losie. Jego i tego



młodego chłopaka, którego przypadkowo poznał, a którego już zdążył polubić. Wychodzi na to, że takie tragiczne wydarzenia naprawdę zbliżają ludzi, nawet jeżeli są oni sobie totalnie obcy.

Mężczyzna zaczął delikatnie macać drzwi, kierując rękę w stronę, gdzie powinna znajdować się klamka. Po chwili znalazł ją i bardzo powoli nacisnął, uważając, żeby zrobić to bez najmniejszego skrzypnięcia, które w ciemnym i cichym tunelu rozniosłoby się niczym potępieńczy jazgot. Niestety drzwi nie ustąpiły. Potrzeba było klucza, którego nie posiadali. „Jasne, to by było zbyt proste” – pomyślał żołnierz. Zważył w dłoni łom i zastanowił się chwilę. Czuł na sobie błagalne spojrzenie Maxa i wiedział, że musi coś zrobić. I to szybko, bo im dłużej tu stoją, tym większe szanse, że jeden z tych popaprańców na nich wpadnie, choćby przypadkiem, i skończy się ich bohaterska walka o przetrwanie. Musi znaleźć sposób, żeby otworzyć drzwi, inaczej obaj zginą w tym przeklętym metrze, a później z kretyńskim wyrazem twarzy będą się błąkać w ciemnościach aż do końca świata. Nie, taki finał niezbyt mu się podobał. Wsunął kilof między framugę, najciszej jak się dało, tuż przy samym zamku. Subtelnie napał na narzędzie, wykorzystując siłę przeciwwagi.

Drzwi delikatnie skrzypnęły, a Paweł zamarł w połowie ruchu. Cisza, jaka teraz zapanowała, była, najprościej rzecz ujmując, przerażająca. Obaj wiedzieli, że ich usłyszano, a ich przeczucie darło się spanikowane wniebogłosy. Jakaś część ich świadomości starała się to wszystko wyprzeć. „Będzie dobrze” – szeptały głosy w ich głowach. „Tak, stoicie w przedsionku piekła, wokół was krząta się kilkunastu nieumarłych chcących skosztować waszego mięsa, nie macie broni i w ogóle macie dość marne perspektywy wybrnięcia z tego gówna. Ale będzie dobrze. Tak, wprost kwitnąco”.

Nagle do ich uszu dotarło jęknięcie jednego z umarlaków.

Paweł zareagował błyskawicznie, niczym chart zrywający się do pościgu za królikiem.

– Max! Świeć! – krzyknął do chłopaka.

Tunel rozświetlił blask, niemalże zwiastujący nadejście Królestwa Niebieskiego. Brakowało tylko trąb i małego baranka z czerwoną wstęgą. Snop światła trafił najbliższego zombie prosto w twarz, a jego reakcja była błyskawiczna – rzucił się na chłopaka z wyciągniętymi łapami i rozwartą szczęką. Paweł odwrócił się i jednym idealnie wymierzonym ruchem wbił kilof prosto w czaszkę masz-kary. Wokół trysnęła krew, a zwłoki osunęły się na tory. Na reakcję reszty towarzystwa nie trzeba było długo czekać. Wąski tunel wypełniły jęki i wrzaski potworów, pędzących w stronę kolacji. Żołnierz, nauczony pracy w ekstremalnie stresujących sytuacjach, zachował zimną krew. Błyskawicznie wyciągnął drugi kilof, wsadził między drzwi a framugę i wyważył zamek. Ich oczom ukazał się ciemny i wąski korytarz. W sumie nic, czego by nie znali.

Max wskoczył pierwszy do środka, Paweł zrobił to tuż za nim. Zdążył w ostatniej sekundzie, dosłownie wyrywając się śmierci z rąk. Zatrzasnął drzwi z hukiem, nie zdejmując jednak ręki z klamki. Obaj ciężko dyszeli, ale byli żywi. Przynajmniej na razie.

– Max. Sprawdź, czy jest drabina, ta, którą widzieliśmy na planach – powiedział Paweł, nie tracąc ani sekundy cennego czasu.

– Dobra – wydyszał z siebie chłopak i było to wszystko, na co mógł sobie w tym momencie pozwolić. Ze słabo oświetlonej twarzy biło przerażenie, ale i duma, że udało się im przeżyć kolejny

raz. Dawało to nadzieję na najbliższy czas, delikatne światełko w mrocznym tunelu metra, mówiące, że może faktycznie uda się im z tej kabały wydostać. Poza tym, dopóki żyją, dopóty jest nadzieja. Każda dodatkowa minuta to ich małe, osobiste święto.

Max popędził w głąb tunelu, odganiając mrok latarką. Paweł został na posterunku, trzymając drzwi i zastanawiając się, w jaki sposób mógłby je zablokować. Jeżeli nie uda mu się zrobić sprawnego i działającego klina, to zombie, w momencie w którym mężczyzna puści klamkę, wparują do środka. A to oznacza spory problem.

– Max! – zawołał, starając się przekrzyczeć maskary z tunelu. Kakofonia demonicznych dźwięków, jakie z siebie wydawały, przyprawiała o dreszcze bardziej niż słuchanie koncertu Enrique na żywo. Niestety, Paweł nie doczekał się odpowiedzi chłopaka. Przez umysł mężczyzny przeleciała okropna wizja – Max zaatakowany w środku tunelu przez zombie, którzy znaleźli się tu przed nimi. Oznaczałoby to niechybną śmierć Pawła i koniec ich dzielnej walki o przetrwanie. Dość marny koniec. Paweł błyskawicznie wyrzucił tę myśl z głowy, poprawił chwyt na klamce i ponownie zawołał chłopaka.

W odpowiedzi tunel rozświetlił blask latarki. Max podbiegł do Pawła, a ten nie musiał już o nic pytać – chłopak miał wszystko wypisane na twarzy.

– Jest – powiedział, uśmiechając się jakby odkrył Świętego Graala. – Tam, gdzie myśleliśmy, drabina prowadzi na samą górę. Właz jest zakryty, ale przebija się światło. Udało się! – krzyknął triumfalnie, jednak brak równie entuzjastycznej reakcji ze strony Pawła sprowadził Maxa na ziemię. Przyjrzał się mężczyźnie w skupieniu.

– Co...? – zapytał powoli.

Na twarzy Pawła pojawił się smutny uśmiech.

– Jak puszcze drzwi, wparują tu całą watahą – powiedział.

– Świetnie... Nie możemy ich zablokować? – zapytał chłopak, rozglądając się wokół. – Może jakaś szafka, może inne drzwi, wyjmemy je z zawiasów i coś wymyślimy.

– Nie, nie mamy jak. Ale mam pewien pomysł... – powiedział konspiracyjnie Paweł.

– Jaki?

Max nie zdążył usłyszeć odpowiedzi, ponieważ Paweł zrobił coś, co przeczyło wszelkiej logice i zdrowemu rozsądkowi. Chociaż, jeżeli sytuacja, w której się znaleźli, również przeczyła jakiegokolwiek logice, może ratunek leży właśnie w nielogicznym działaniu.

– Biegiem, jakby cię sama śmierć goniła! – krzyknął mężczyzna, puszczając klamkę i popędził przed siebie. Po drodze złapał chłopaka za rękę i ciągnąc za sobą, włókł w głąb tunelu. Po kilkunastu sekundach dotarli do wnęki z drabiną.

– Nie oglądaj się – powiedział Paweł i rozpoczął mozolną wspinaczkę. Max szedł tuż za nim, trzymając się tak blisko, jak to było tylko możliwe, jednocześnie zważając na to, żeby nie oberwać piętą w twarz.

Usłyszeli, jak wąski korytarz wypełnia się jęczeniem i innymi, bliżej nieokreślonymi dźwiękami, wydawanymi przez nacierającą hordę. Max poczuł, jak mroźny jęzor strachu muska jego ciało. Me-

talowe podbicie glanów chłopaka odbijające się głośnym echem od szczebli drabiny nabrało tempa. Przyspieszyli. Zdecydowanie nie potrzebowali lepszej motywacji. Byli tak blisko zbawienia, lecz rozumieli, że najmniejszy błąd mógł ich kosztować życie, co uważali za nie do końca sprawiedliwe. Po kilku sekundach Paweł dotarł pod włącz, zostawiając Maxa kilkanaście stopni niżej. „W końcu to komandos” – pomyślał chłopak, zazdroszcząc mu zarówno umiejętności, jak i kondycji. „Jak z tego wyjdę, zapisuję się na siłownię” – obiecał sobie w duchu.

Paweł podszedł maksymalnie blisko włączu i naparł na niego barkami, jednocześnie prostując nogi umieszczone na metalowych szczeblach. Optymalnie wykorzystał siłę całego swojego ciała i ciężka, żeliwna pokrywa ustąpiła za pierwszym razem. Gdy tylko wyskoczyła z miejsca, mężczyzna wyślizgnął się przez powstałą szczelinę i szorując pokrywą po asfalcie, odepchnął ją na bok. Po chwili był już na zewnątrz, sięgając ręką do wnętrza otworu, żeby pomóc chłopakowi wyjść.

– Dawaj, szybko – powiedział cicho. Maxa zaskoczyło, że ten był taki poważny i... zdenerwowany? Można by rzec, że szept brzmiał niemal konspiracyjnie. A przecież udało im się wydostać. Swoją drogą, żaden z nich już pewnie nigdy nie odważy się jechać metrem.

Jak tylko chłopak znalazł się na powierzchni, cała jego radość prysła niczym mydlana bańka. Nie chciał wierzyć w to, co widzi. Podobno ludzie zostają doświadczeni przez los tylko takimi wydarzeniami, jakie są w stanie psychicznie udźwignąć. Jednak dla młodego chłopaka o kręconych włosach to było już ciut za wiele. Może i fajnie, może powinien dać radę, być twardy i w ogóle, ale on miał już zwyczajnie dość. W pierwszej sekundzie, w której zobaczył, że gehenna rozgrywa się również na powierzchni, miał ochotę wrócić do tunelu i zakończyć tę całą farsę. Przy odrobinie szczęścia skręciłby sobie kark, więc bardzo by nie bolało. Jednak wiedział, że tego nie zrobi. Jakaś głupia, masochistyczna i uparta część jego świadomości rozkazywała pozostać przy życiu i bawić się dalej. *Show must go on* i nie ma, że boli.

Wieczorne powietrze owiewało ich delikatnym, acz orzeźwiającym chłodem. Zasunęli włącz, słusznie zauważając, że żadne zombie nie zdołało się wspiąć na górę. Przykucnęli obok brudnej furgonetki kurierskiej, która stała niecałe dwa metry od nich. Uchylone drzwi kierowcy świadczyły o tym, że ktoś musiał ją opuścić w dużym pośpiechu, do tego porzucając pojazd na samym środku ulicy. Wokół znajdowało się kilkanaście samochodów w podobnym stanie – pozbawionych właścicieli, pozostawionych na pastwę wszystkich zainteresowanych. Kilka aut było poobijanych; jedno audi zatrzymało się na słupie. Paweł rozglądał się czujnie, próbując wymyśleć, jak wybrnąć z kolejnego bagna, w które wdepnęli. Parę samochodów było pomazanych krwią, podobnie jak niektóre fragmenty jezdni. I chodnika. I ścian budynków także...

– Kurwa... – wyszeptał chłopak. – Co tu się stało?

Paweł spojrzał na niego pełnym powagi wzrokiem.

– Doskonale wiesz co – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Cudnie.

Max patrzył na niego szeroko rozwartymi brązowymi oczami, czekając, aż powie coś mądrego. Coś, co uratuje im życie, na przykład: „Spoko, nic się nie stało, pewnie był wypadek i wszyscy pojechali do szpitala” albo „To normalne, że ulica jest pusta i wymarła, bo jesteśmy w Polsce i jakby nie

patrzyć, po dwudziestej drugiej obowiązuje cisza nocna, więc ludzie pozostawili samochody, gdzie popadło, i poszli spać do najbliższego motelu”. A ta krew? „Nie, to pewnie pomidory. Albo ket-chup. W sumie, na jedno wychodzi”.

Jednak ten nic nie powiedział, tylko sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z nich komórkę. Po chwili jego usta rozchyliły się, wydając nieartykułowany dźwięk, którego przyczyn chłopak domyślił się bez problemu. Paweł podniósł telefon nad głowę, patrząc błagalnym wzrokiem na kolorowy wyświetlacz. Niestety, wskaźnik poziomu zasięgu był niewzruszony, uparcie pokazując brak dostępnych sieci. Wsunął więc bezużyteczne urządzenie z powrotem do kieszeni. W międzyczasie Max sprawdził swój telefon – Niestety z takim samym skutkiem.

– Musimy się stąd zwijać – powiedział Paweł, patrząc Maxowi w oczy. – Słuchaj, zrobimy tak: włamiemy się do tego sklepu na rogu i poszukamy czegoś do jedzenia. Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu, a w takim stanie nie zdziałamy zbyt wiele...

– Włamiemy się? Ale ja chyba nie jestem... – zaczął mówić chłopak, wędrując wzrokiem za wyciągniętą ręką Pawła. Jego oczom ukazał się sklep spożywczy i dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że nie miał niczego w ustach od ponad dziesięciu godzin. Stres skutecznie ścisnął mu żołądek, ale teraz włączyło mu się takie ssanie, że zjadłby konia z kopytami. Chociaż, patrząc przez pryzmat zombie biegających wokół nich, to dość słabe porównanie. Sklep. Woda, czekolada, kiełbasa, owoce, ciastka... I szczerze wątpił, żeby ktoś siedział na kasie. – Jezu, idźmy już tam! – dokończył, mając usta pełne śliny.

– A przy okazji dowiemy się, co i jak. Dobra? – dokończył swoją myśl Paweł.

Max popatrzył na niego wzrokiem uczniaka, który nie zaszczylił nauczyciela swoją uwagą podczas wykładu, a teraz został poproszony o odpowiedź na zadane pytanie.

– Eeee... oczywiście – odparł po chwili wahania. Sekunda pauzy robiła dobre wrażenie. Nauczyciele często dawali się na to nabrać – uczeń skupiał się przed udzieleniem odpowiedzi, wobec czego naprawdę słuchał. O błogosławiona naiwności.

– No dobra. To idziemy. Tylko cichutko – powiedział Paweł i wstał. Następnie pochylony pobiegł w stronę wcześniej wskazanego sklepu. Wokół nich było pusto, ale mężczyzna czuł w kościach, że muszą być uważni. Miał też nieodparte wrażenie, że ktoś ich obserwuje. Żołnierz przytulił się plecami do ściany budynku i machnął ręką na Maxa. Ten wstał i trzymając głowę pochyloną, podbiegł do Pawła. Czuł się jak żołnierz skradający się na terytorium wroga. I w sumie niewiele to odbiegało od prawdy.

– Pamiętaj – wchodzimy, sprawdzamy, czy jest bezpiecznie, i dopiero wtedy bierzemy jedzenie. Inaczej mogą nas dopaść, jak będziemy buszować między półkami, jasne? – zapytał Paweł. Max z zapalem kiwnął głową.

Otwarte drzwi zapraszały ich do środka. Paweł wszedł pierwszy, delikatnie i uważnie stawiając kroki. Szedł przyczajony niczym wojownik ninja z uniesioną nad głową kataną, którą w jego przypadku zastępowała latarka. Nie miał nic lepszego i szczerze wątpił w to, że w sklepie uda mu się znaleźć cokolwiek, co posłuży za broń. Na szczęście światło było włączone, więc nie musieli iść po

omacku. Przekroczyli granicę kas i ostrożnie wkroczyli między półki. Max raz po raz zerkał błagalnym wzrokiem na Pawła, który cały czas uważnie lustrował otoczenie. Zdawał się nie oddychać, nie emitować ciepła, dźwięku – po prostu nie istnieć. Nagle ten zatrzymał się i uniósł zaciśniętą pięść na wysokość twarzy. Chłopak wiedział z filmów i gier, co to oznaczało – należało zatrzymać się w bezruchu i czekać na dalsze instrukcje. Jak wiele życia można się nauczyć, nie wychodząc poza cztery ściany własnego, śmierdzącego pokoju.

Usłyszeli ryk silnika. Obejrzel się w stronę, z której lada chwila miał nadjechać samochód. Max ruszył z zamiarem wyjścia na ulicę. Nagle Paweł złapał go za rękę i pociągnął w dół.

– Poczekaj. Nie wychodź – powiedział do chłopaka. Ten spojrzał na niego wzrokiem wyrażającym bezbrzeżne zdumienie. Jak to? Ratunek nadjeżdża, a ten każe mu nie wychodzić???

– Pochrzaniło cię? Puść mnie! – odpowiedział Max, starając się wyrwać z uchwytu druha.

– Niżej, do cholery! – krzyknął ten i zmusił chłopaka do przyjęcia pozycji nieomal horyzontalnej. Max wiedział, że nie ma sensu się z nim szarpać, więc zdecydował się zgodzić na „propozycję” Pawła. Poza tym do tej pory jego przecucie się sprawdzało, więc może i w tym zachowaniu jest jakieś ziarno racjonalizmu.

Naraz zza rogu wyjechał brązowy pick-up z podniesionym dodatkowo podwoziem. W szoferce siedziało dwóch rosyłych mężczyzn, na pace kolejnych trzech. Każdy z nich był uzbrojony. Już na pierwszy rzut oka, wśród normalnie ubranych facetów, wyróżniał się mężczyzna w poplamionej krwią koszuli i garniturowych spodniach.

Samochód zatrzymał się i jego pasażerowie, drąc mordy wniebogłose, zeskoczyli. Co zwróciło uwagę Pawła i Maxa, to fakt, że nie zachowywali się zbyt ostrożnie, jakby wręcz chcieli, żeby ich zobaczono. Jeden z przyjezdnych podbiegł do wystawy sklepu elektronicznego i strzelbą wybił szybę. Zaraz po tym wbiegł do środka, trzymając broń gotową do strzału. Dołączył do niego drugi; pozostałych trzech zostało na czatach. Po kilkunastu sekundach mężczyźni wyszli ze środka, niosąc nowy, zapakowany jeszcze w pudełko, pięćdziesięciocalowy telewizor. Wsadzili go delikatnie na pakę, po czym wrócili do elektronicznego raję.

– Co oni robią? – wyszeptał Max.

Paweł spojrzał się na niego z politowaniem, nie racząc odpowiedzieć. Chłopak w lot zrozumiał jego milczenie. „Wiem, że kradną, kretynie. Ale tak samo mi się wymknęło” – pomyślał.

Nagle mężczyzna w koszuli spojrzał wprost na nich. Przynajmniej Maxowi tak się wydawało, bo z cichym jęknięciem błyskawicznie skulił się na podłodze. Paweł pozostał w bezruchu, wiedząc, że gwałtowny ruch łatwo zauważyć, zwłaszcza gdy wszystko wokół jest całkowicie nieruchome.

– Idzie tu, idzie tu, idzie – jak mantrę powtarzał Max.

– Tak – powiedział Paweł, powoli się schylając. Zaczął rozglądać się po sklepie. – Tam, szybko – wskazał ręką na regały z kosmetykami. Mógł co prawda pozostać i walczyć. Raczej nie miałby problemów z pokonaniem jednego przeciwnika, ale pozostałych czterech gości już mogło trochę namieszać. A dobrze im z oczu nie patrzyło.

Ruszyli pochyleni w stronę regałów z szamponami, odżywkami i balsamami do ciała ustawionymi równo niczym gwardziści Armii Czerwonej ćwiczący musztrę. Czmychnęli za ścianę kosmetyków dosłownie w momencie, w którym nowy klient wkroczył do sklepu. Paweł położył palec na ustach, a Max porozumiewawczo skinął głową. Też czuł, że z tymi gośćmi nie do końca wszystko jest w porządku. Żołnierz wychylił głowę znad lawendowych płynów do płukania tkanin i obserwował przybysza.

Mężczyzna stojący w progu sklepu z wyglądu przypominał rzeźnika. W rękach trzymał zakrwawioną, białą belkę, która przypominała nogę stołową. Przy jego pasie tkwił przypięty pistolet. Krew skapująca z maczugi ubrudziła całą nogawkę eleganckich spodni, ale facetowi o bladej twarzy zdawało się to zupełnie nie przeszkadzać. Cała niegdyś biała koszula była teraz przesiąknięta zaschniętą krwią. Głęboko osadzone oczy zdawały się świecić mrocznym blaskiem. Powoli wprowadził w ruch zmęczoną głowę, uważnie rozglądając się po sklepie. Nie opuścił narzędzia – trzymał stołową nogę przy piersi, skierowaną wyzywająco ku górze. Paweł, skrupulatnie analizując wszystkie ruchy przeciwnika, stwierdził, że mężczyzna musi być nad wyraz pewny siebie.

Przybysz zrobił krok do przodu, kierując się między półki. „Jak nas znajdzie, to zabije” – pomyślał Max. „Nie po to walczyliśmy tyle czasu, nie po to przeżyliśmy ten cały syf w metrze, żeby dać się teraz zabić jakiemuś pierwszemu lepszemu zębowi. Nie, co to, to nie!”.

Chłopak buńczucznie podniósł się z kucek, wypychając dumnie pierś do przodu. Jednak nie zdążył wyprężyć się w całej okazałości, gdy usłyszał strzał. Oczami wyobraźni zobaczył kulę, przyszywającą najpierw promocyjne buteleczki z żelem pod prysznic, a potem powoli, acz nieubłaganie, wciskającą się w środek jego czoła.

Ku zaskoczeniu stwierdził, że strzały dobiegały z ulicy, a on sam jeszcze żył. Ułamek sekundy wcześniej facet w białej koszuli odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę furgonetki. Jak się okazało, głośne zachowanie przybyszów zwróciło uwagę znajdujących się w okolicy nieumarłych, którzy teraz bezlitośnie atakowali brązową furgonetkę. Paweł i Max dobiegli do szyby, wychylając nieznacznie głowy. Musieli wiedzieć, co się dzieje.

Zombie było mniej niż dziesięciu. Paru z nich szło nieudolnie, powłócząc nogami po asfalcie, ale reszta biegła jak opętana, wrzeszcząc i wydając z siebie dźwięki, których nie powstydziliby się sam Corey Taylor. Większość z maszkar została brutalnie uświadomiona, kto ma większą siłę rażenia, a tym samym i szansę w tej bitwie. Rozległo się kilkanaście wystrzałów, po których ulica pokryła się strzępami czaszek, krwi oraz miękkiej, różowej tkanki mózgowej. Mężczyźni strzelali wyjątkowo celnie – każdy pocisk był skierowany w głowę, żadna kula nie zbladziła. Wiedzieli, co robią. Tym bardziej Paweł był rad z decyzji pozostawienia w spokoju gościa, który ich odwiedził w sklepie.

Zadowoleni z siebie użytkownicy brązowej navary wsiedli z powrotem do samochodu i odjechali, głośno się śmiejąc i oddając kilka strzałów w powietrze. „Tego nie przewidziałem” – pomyślał Paweł, odprowadzając auto wzrokiem.

– Max, wygląda na to, że mamy kolejny problem – powiedział do chłopaka, gdy tylko furgonetka zniknęła im z oczu.

– No i to chyba spory – odpowiedział Max. – Też nie wyobrażałem sobie, że w tym całym szajsie znajdą się pojeby, którym się on spodoba... – dodał smutno, ale i z nieukrywanym lękiem.

– Człowiek człowiekowi wilkiem – wyszeptał filozoficznie Paweł.

Chłopak błyskawicznie podłapał:

– A zombie zombie zombie – dopowiedział, dumnie prezentując uzębienie, jakiego nie powstydziliby się rasowy perszeron.

Paweł popatrzył na niego wzrokiem wyrażającym mieszankę niedowierzania, litości i szoku, z trudem ukrywając uśmiech, który kielkował gdzieś w kącikach jego ust. W końcu nie wytrzymał i zaśmiał się w głos. Chłopak cały czas go zaskakiwał.

– Spoko. Dawaj, musimy się streszczać, bo zaraz się tu zaroi od tych zombie – powiedział, klepnął chłopaka w ramię i wskoczył między półki z jedzeniem.

## STARE MIASTO, GODZINA 22:04.

**D**aleko jeszcze?– zapytała Natalia, odzyskując nieco rezon.

Przestali szeptać i skradać się na palcach, kiedy po prawie godzinie spędzonej w wąskim tunelu okazało się, że nikt nie podąża ich śladem. Teraz trzeba było nadgonić stracony czas i kierować się jak najszybciej w stronę wyjścia. Drobnym problemem polegał na tym, że żadne z nich nie wiedziało, w którą stronę iść i gdzie owo wyjście się znajduje. Ale co tam – ważne, że byli w ruchu. Zatrzymanie i próba zabarykadowania się w którymś z wąskich korytarzy oznaczały niechybną śmierć. Jeżeli nie z powodu przełamania barykady, to z głodu. Bo to, że prześladowcy odnajdą tunel, pozostawało tylko kwestią czasu.

Po wciągnięciu księdza w tłum nacierających zombie, Kuba z Natalią rzucili się jak opętani do poszukiwania alternatywnego wyjścia z katakumb. Ksiądz wspomniał coś na temat tunelu, który został wybudowany podczas powstania warszawskiego, ale żadne z nich nie mogło być pewne, czy ten faktycznie istnieje. Na szczęście udało się im go odnaleźć i to, o ironio, przy pomocy księdza, który chciał im to za wszelką cenę uniemożliwić. Tajne wejście znajdowało się za regałem zastawionym starymi książkami. Jedna z nich nie była tak zakurzona, jak pozostałe, a dodatkowo z boku regału zauważyli ślady dłoni. W tym miejscu zapewne ksiądz łapał go, aby szybciej odsuwać od ściany.

W środku znaleźli pełno pustych butelek po winie oraz czasopisma, których żadne z nich nie miało ochoty oglądać. Stary zboczeniec.

Jak tylko usłyszeli od księdza o tunelu, wyobrazili sobie wąski, zatechły i wilgotny podziemny korytarz z belkami podtrzymującymi strop, piaszczystą podłogą i rozwieszonymi co kilkanaście metrów nagimi żarówkami. I dokładnie tak ten tunel wyglądał. Jedyna różnica polegała na tym, że rozgałęział się co pewien czas, tworząc zgubną siatkę korytarzy. Na początku Kuba stwierdził, że powinni iść prosto, co zdawało mu się najlogiczniejszym rozwiązaniem. Jednak gdy po trzydziestu minutach wędrówki dotarli do punktu wyjścia, razem stwierdzili, że należy zmienić strategię. Dlatego też teraz, za pomocą połamanej deski rysowali znaki na piasku, mówiące im, czy przechodzili tędy wcześniej i jeżeli tak, to w którą stronę się udali. Wyglądało to trochę jak w bajce o Jasiu i Małgosi, którzy znaczyli sobie drogę w lesie. Ale tylko trochę.

– Kuba? Jestem zmęczona – Natalia po raz kolejny zwróciła się do męża, nie doczekawszy się od niego odpowiedzi na pytanie.

– Wiem, kochanie – odparł, podszedł do niej i objął ramieniem. – Ja też jestem zmęczony. I też mam tego wszystkiego serdecznie dość. Ale jeszcze chwila, znajdziemy wyjście i...

– No właśnie, i co wtedy? – przerwała mu głosem pełnym smutku. – Przecież dokładnie stamtąd przyszliśmy. Wiesz, co się dzieje na zewnątrz. Uciekaliśmy stamtąd, a teraz tam wracamy. To bez



sensu.

Jej głos drżał tak, jakby zaraz miała się rozplakać. A Kubie powoli już brakowało argumentów, żeby ją pocieszać. Bo kogo i po co dłużej okłamywać? Sytuacja stawała się gorsza z godziny na godzinę, a ponadto nie było żadnych widoków na jej poprawę.

– Natalia, spokojnie... – powiedział, ujmując delikatnie jej twarz w swoje dłonie. „Myśl, człowieku, myśl” – poganiał się w duchu. – Proszę, spójrz na mnie – dodał, zaglądając żonie głęboko w oczy. – Musimy stąd wyjść, bo jak tu zostaniemy, to prędzej czy później nas dopadną.

– Ale skąd możesz to wiedzieć? – zapytała, rozszerzając w nadziei swoje niebieskie oczy – Przecież siedzieliśmy w kościele parę godzin i nic się nie stało...

– Ale popatrz, co stało się później. Sama widziałaś, jak te stwory przebiły się przez barykadę. Okej – może i nie była najlepszej jakości, ale...

– To teraz zbudujemy mocniejszą – przerwała mu po raz kolejny, ale Kuba ją zignorował i ciągnął dalej:

– ...ale przez drzwi do zakrystii też się przebiły. A tamte miały porządny zamek.

Zapadła chwila ciszy. Tego argumentu nie mogła podważyć. Zresztą, główne wrota prowadzące do kościoła też wyglądały na bardzo solidne. A jednak tym upartym paskudom się udało.

– Niech ci będzie. Masz rację – stwierdziła ugodowo. – Założmy, że się stąd wydostaniemy. I co dalej? Przecież tam są ich setki!

– Wiem – powiedział krótko Kuba i cofnął dłonie. Wlepił wzrok w podłogę. – Ale uda nam się. Wyjdziemy stąd i wydostaniemy się z tego całego... no... Jezu, wiesz. Tego syfu, który dzieje się wokół. Znajdziemy jakieś bezpieczne miejsce. Może wyjście z tunelu zaprowadzi nas do drugiego kościoła? Może w okolice ratusza? Tam nieopodal jest komenda, w której znajdziemy pełno broni i innych, równie zajebistych rzeczy – rozchylił usta, pokazując w uśmiechu poślizgnięte od tytoniu i kawy zęby. – Niczego nie możemy być pewni oprócz tego, że nie wolno nam się poddawać.

Tego typu przemowy zawsze wydawały się Kubie tandetne i wymuszone. Brakowało tylko patetycznej muzyki i podartej flagi, powiewającej w tle. Jednak w rzeczywistości takie zdania naprawdę mogły podnieść człowieka na duchu. Natalia uśmiechnęła się delikatnie i pociągnęła nosem. Nawet w takich okolicznościach wyglądała seksownie, a to już nie lada wyczyn.

– Dobrze – powiedziała krótko i przetarła palcem oczy. Nie lubiła płakać. Zwłaszcza w czyjejs obecności. A już szczególnie jeżeli tą „obecnością” był jej mąż.

Kuba pocałował ją w czoło.

– Super. To chodźmy – powiedział i ruszyli dalej przed siebie.

Po piętnastu minutach dotarli do ciężkich, dębowych drzwi okutych dodatkowo żelazem. Drzwi, których jeszcze nie widzieli. Kuba podszedł i położył dłoń na starej, mosiężnej klamce. Nacisnął, ale zgodnie z jego oczekiwaniami, zamek nie ustąpił. Naparł ciałem, lecz to również nie przyniosło oczekiwanego rezultatu.

– Nie masz pewnie klucza? – zapytał ironicznie Natalię.

– Niestety – odpowiedziała bez cienia humoru. Spod drzwi dawało się czuć powiew świeżego powietrza.

– Nie możesz znów przestrzelić zamka? – zapytała.

Kuba rozejrzał się speszony, próbując grać na czas. Tak strasznie nie lubił jej okłamywać.

– Nie. Muszę oszczędzać amunicję – odparł, nie patrząc jej w oczy. – Poza tym hałas mógłby sprowadzić... ich.

Drugi argument zdecydowanie bardziej przemówił do dziewczyny. Kiwnęła potakująco głową.

– To co zrobimy?

– Jezu, Natalia, skąd mogę wiedzieć? Wiem tyle, co i ty. Stoimy przed tymi pieprzonymi drzwiami, nie mamy klucza i nie możemy wrócić, skąd przyszliśmy, a ty mi zdajesz jeszcze durne pytania – wyrzucił z siebie Kuba, tracąc bezpowrotnie dopiero co odzyskane opanowanie.

– Przestań się na mnie drzeć! Myślisz, że tego nie wiem? – zripostowała równie agresywnie, co wyraźnie zaskoczyło Kubę – policjant stanął jak wryty i czekał na dalszy rozwój wydarzeń. Wcześniej Natalia nie miała takich wybuchów, ale ta sytuacja mogłaby wyprowadzić z równowagi dosłownie każdego. Nawet ją.

– Wiem, bardzo dobrze wiem to wszystko – dodała po załapaniu oddechu. – I mnie też nie jest łatwo, ale to nie jest powód, żeby się na kimś wyżywać.

Kuba podrapał się po krótko obciętych, brudnych włosach. Znowu on zaczął, a to ona łagodziła konflikt. „Jezu, oddałbym wszystko za zimny prysznic” – pomyślał. Oparł się o przeciwległą ścianę i spojrzał na Natalię, która cały czas stała tyłem do drzwi.

– Przepraszam – powiedział po chwil wahania. – Ta cała sytuacja jest...

Przerwał, wyraźnie czymś zaskoczony. Podszedł do Natalii, która teraz przypatrywała mu się z mieszaniną zakłopotania i fascynacji jednocześnie. Kuba przeprosił żonę, zbliżył się do drzwi i złapał ręką za skobel wbity głęboko w betonową posadzkę. Wyciągnął go, po czym podniósł głowę i, tak jak się spodziewał, znalazł tam drugi skobel, który również odblokował. Ponownie spojrzał na Natalię, a jego wzrok mówił: „Nie mam pojęcia, jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć”. Natalia milczała. Mężczyzna nacisnął na klamkę, lecz nic się nie wydarzyło. Odczekał, nacisnął ponownie, tym razem napierając na drzwi całym ciałem i te... ustąpiły! Poczuli ogromną ulgę. Natalia niemalże krzyknęła z radości, ale Kuba błyskawicznie położył jej dłoń na ustach.

– Musimy być cicho – powiedział, psując magię chwili.

Natalii wyraźnie to nie odpowiadało. Gdzieś w głębi duszy miała nadzieję, że gdy wyjdą z katakumb, koszmar się skończy. Jak widać, to byłoby zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Tak czy inaczej kiwnęła potakująco głową.

Kuba uchylił drzwi, wpuszczając do środka świeże, wieczorne powietrze. Oboje wzięli głębokie oddechy, uśmiechając się triumfalnie. Mężczyźnie przeszła przez głowę myśl, że zdecydowanie lepiej będzie umierać na świeżym powietrzu niż w tym zatechłym, zapomnianym przez Boga i ludzi tunelu. Chciał tę myśl odrzucić, ale ta uparcie doń wracała.

Ich oczom ukazała się łąka z rzadka porośnięta drzewami. Zdziwienie Kuby było tak ogromne, że potrzebował kilkudziesięciu sekund, aby uświadomić sobie, gdzie dotarli. Starał się oszacować odległość, jaką przebyli tunelem, jednak jego niezliczona ilość zakrętów i ślepych odnóg skutecznie to uniemożliwiła. Mogli przejść jakieś dwieście metrów, ale równie dobrze to mogły być trzy kilometry. Wziął głęboki oddech, starając się wylapać wszystkie możliwe zapachy.

– Wiem – powiedział, wypuszczając powietrze. – Jesteśmy nad Wisłą. O, tam są fontanny – stwierdził, wskazując ręką południowy wschód.

– To dobrze? Znasz te tereny? – zapytała z nadzieją w głosie Natalia.

– Tak. To znaczy za nami jest mennica, stadion Polonii i w sumie mamy niedaleko do placu Bankowego. Będziemy musieli pójść ulicą Konwiktorską, potem w Andersa i do samej Komendy Stołecznej. Damy radę. Poczekaj.

Powiedziawszy to, wyszedł ostrożnie za drzwi. Rozglądał się czujnie, starając się wypatrzyć najmniejszy nawet ruch. W mroku panującym wokół nich, zmaconym tylko nikłym światłem nielicznych latarni, wszystko wyglądało tak samo.

– Okej, chodź – powiedział.

– Jezu, to dotarło też tutaj – powiedziała Natalia, ruszając za mężem.

Cała okolica była wymarła. Miejsce tak często uczęszczane wieczorami, skupiające rzesze roześmianych ludzi i zakochanych par, teraz świeciło pustkami, jakby wszyscy nagle się spakowali i wyjechali. Panująca wokół cisza sprawiała, że czuli się ekstremalnie wręcz głośni. Po paru chwilach skradania się niczym podczas podchodów, wyszli zza linii drzew i wkroczyli na chodnik. Tu było zdecydowanie jaśniej, co nie do końca było im na rękę. Owszem, mogli lepiej widzieć, ale sami również byli widoczni.

– Musimy się szybko przemieszczać. I starajmy się trzymać przy ścianie, dobrze? – zaproponował Kuba.

– Dobra – odparła żona. Wiedziała, że Kuba nie mówił od rzeczy. Jako policjanta przeszkolono go w milionie różnych taktyk i zachowań. Wątpiła, żeby mieli szkolenie na wypadek ataku zombie, ale głęboko wierzyła, że mężowi udało się zaadaptować pewne zachowania do ich obecnej sytuacji.

Dotarli do stacji benzynowej mieszczącej się naprzeciwko ogrodzonej wysokim płotem mennicy. Spojrzeli po sobie i dokładnie w tym samym momencie zaburczało im w brzuchach. Podbiegli ostrożnie do drzwi stacyjnego sklepu i Kuba jako pierwszy wkroczył do środka. Prawdopodobieństwo, że ktoś się kryje między półkami z towarami, było tak samo niewielkie, jak powierzchnia sklepu. Rzucili się do regału ze słodyczami. Kuba błyskawicznie wciągnął dwa batony, Natalia sięgnęła po crossainty. Zapili wszystko colą, cały czas uważnie się rozglądając. Już mieli wychodzić, gdy nagle usłyszeli hałas za drzwiami prowadzącymi na zaplecze. Żadne z nich nie miało zamiaru się przekonać, jak wygląda zombie w stroju pracownika stacji benzynowej, z logo w postaci czerwonego orzełka na piersi.

– Spadamy stąd – powiedział Kuba i złapał Natalię za rękę. Wybiegli ze stacji i zaczęli pędzić w stronę skrzyżowania. Przebiegli kilkanaście metrów, gdy usłyszeli:

– Poczekajcie! Hej!

Natalia zatrzymała się pierwsza, zmuszając Kubę do tego samego. Okazało się, że pracownik stacji wcale miał zamiaru ich zjeść. Wyglądał jak normalny człowiek, no, nie licząc tego, że był zgarbiony i skrajnie przerażony. Pewnie jak to wszystko się zaczęło, zaszył się gdzieś na zapleczu i wyszedł, dopiero gdy zobaczył Kubę i Natalię na ekranie monitoringu.

– Ugryźli cię? – krzyknął Kuba, zagarniając Natalię za siebie.

– Co? – zapytał ekspedient, podbiegając chyżo do małżeństwa. Teraz mogli zobaczyć, że mieli do czynienia z młodym, piegowatym chłopakiem. Pewnie to była jego pierwsza praca. Plakietka na piersi oznajmiała, że jej właściciel zwie się Daniel i faktycznie „dopiero się uczy”.

– Stój! I odpowiadaj na pytanie! – krzyknął ponownie Kuba, wyciągając zza paska spodni P-99 i celując w stronę chłopaka. Ten zatrzymał się, automatycznie unosząc ręce w pokojowym geście.

– Ej, spokojnie. Nic wam nie zrobię, chcę tylko... – zaczął.

– Zamknij się! – przerwał mu Kuba. – Pytam po raz ostatni. Czy cię ugryźli?

Chłopak wpatrywał się w mężczyznę, nie wiedząc, jak zareagować. „Jestem ostatnim chujem” – pomyślał Kuba. „Pewnie jesteśmy pierwszymi osobami, które zobaczył żywe od początku tego syfu, a teraz celuję do niego z broni. A gówno. Nie będę narażał ani siebie, ani Natalii”.

– Nie... – odpowiedział niepewnie. – Gdy zaczęli latać w kółko i zjadać ludzi, zabarykadowałem się na zapleczu i siedziałem tam aż do tej pory. Nikt mnie nawet nie drasnął.

– Dobra – powiedział Kuba, opuszczając broń. – Możesz iść z nami. Jestem policjantem.

– Bogu dzięki. Człowieku, nie wiem, co bym bez was zrobił. Pewnie siedziałbym tam do usra-nej... o nie.

Mówiąc ostatnie zdanie, spojrzął za plecy małżeństwa. Kuba już wiedział, co ujrzy, oglądając się za siebie. I niestety, jego największe obawy się potwierdziły. Zza rogu mennicy wyszło kilkunastu zombie. Kreatury dostrzegły ich i po paru chwilach rzuciły się pędem w stronę swoich ofiar. Daniel zapiszczał jak mała dziewczynka i ruszył z powrotem w kierunku bezpiecznego azylu na zapleczu stacji benzynowej. Małżeństwo zaczęło biec w tę samą stronę. Kuba złapał Natalię za rękę, ciągnąc ją za sobą, a dziewczyna prawie zabiła się przez klapiące o asfalt japonki. Po paru chwilach złapała rytm, stawiając większe kroki. Już dobiegali do stacji, gdy nagle usłyszeli przeraźliwy wrzask chłopaka, który wbiegł do sklepu tuż przed nimi. Okazało się, że jego koleżance ze zmiany nie udało się wyjść bez szwanku po spotkaniu z zombie.

Kuba wraz z Natalią musieli więc biec dalej. Mężczyzna odwrócił się na sekundę, żeby oszacować, jak wiele kreatur siedzi im na ogonie. Naliczył więcej, niż by chciał. Do tego kilka z nich biegło, a za nimi znacznie więcej powłóczyło nogami, powoli sunąc w ich stronę. Przebiegli przez park, mijając wejście do tunelu. Już mieli się w nim zagłębić, gdy nagle Natalia wysapała:

– Spójrz!

Kuba zerknął w stronę, którą wskazywała jego żona. Trasą Gdańską sunęła policyjna furgonetka. Mężczyzna poczuł olbrzymi zastrzyk adrenaliny i nadziei.

– O tak! Dawaj! – krzyknął, ciągnąc Natalię brutalnie w stronę potencjalnego źródła wybawienia.

„Jezu, uda nam się” – pomyślał. „Musi się udać”.

– Hej! Stój! – krzyczeli, biegnąc i wymachując rękami. Ścigający ich zombie byli jednak coraz bliżej...

## TRASA GDAŃSKA, GODZINA 22:35.

**N**o świetnie... I co jeszcze? – wyszeptał do pustej furgonetki Tomek. Kluczył po Bielanach między porzuconymi samochodami, szukając wyjazdu na trasę i następnie, jak tylko się uda – wyjazdu z miasta. Nie do końca był przekonany co do słuszności tej decyzji, ale i tak zamierzał to zrobić. Problemy pojawiły się, gdy po niezliczonej ilości zakrętów trafił w końcu na trasę wylotową, która okazała się być całkowicie nieprzejezdna. Postanowił zawrócić i spróbować przebić się na drugi brzeg Wisły, chociaż też nie był pewien, czy to dobra decyzja. Był natomiast pewien tego, że musi pozostać w ruchu tak długo, jak to tylko będzie możliwe – w myśl zasady, że im bardziej się będzie wiercił, tym trudniej będzie go dziabnąć.

Minął zatkany most Gdański i skierował się w głąb miasta. Na szczęście trasa w tę stronę była bardziej przejezdna, inaczej musiałby pozostawić samochód i kontynuować podróż pieszo. Perspektywa nie była zbyt zachęcająca, ale przynajmniej miał broń. Rozważał szanse, jakie by miał podczas takiej wyprawy, gdy nagle usłyszał wrzask. Nie kolejne nieartykułowane dźwięki wydawane przez zombie, tylko normalny, ludzki krzyk.

– Stój! – doleciał do jego uszu przez uchyloną szybę po stronie pasażera. Tomek odruchowo zatrzymał auto i zaczął się rozglądać. „Jedź” – usłyszał ponagląjący głos w swojej głowie. Jak ktoś jest na tyle dumny, żeby drzeć się i zwracać tym samym na siebie uwagę zombie, to nie ma sensu go ratować. Jednak chłopak zignorował tę egoistyczną część samego siebie i dalej się rozglądał. W pierwszej chwili nikogo nie zauważył, lecz po sekundzie spod ciemnych drzew znajdujących się po stronie Starego Miasta, wyskoczyły dwie postacie. Biegły z górki na złamanie karku, wymachując dziko rękami. Pomimo dużej odległości, jaka ich dzieliła, Tomek wiedział, że to na pewno oni go wołali. Kobieta i mężczyzna. Naraz poczuł, jak żołądek mu się ściska ze stresu. Uciekać samemu i walczyć o życie to jedno, ale uciekać, walczyć o życie i jeszcze ratować innych to już zupełnie inna bajka.

– O kurwa... – wydusił z siebie, sięgnął po karabinek maszynowy i wyskoczył z szoferki.

Dwójka uciekinierów biegła ile sił w nogach, trzymając się za ręce. Tuż za nimi pędziło kilkunastu zombie, cały czas zmniejszając dzielący ich dystans. Byli już kilkanaście metrów od Tomka i bezpiecznej furgonetki, gdy nagle dziewczyna potknęła się i przewróciła. Tomek ruszył w ich stronę wbrew własnemu rozsądkowi. Przez głowę przeleciała mu myśl, że będąc na jej miejscu, też by chciał, żeby ktoś mu pomógł. Nagle jego wzrok spotkał się ze wzrokiem mężczyzny, który pomagał kobiecie wstać. Pomimo dzielącej ich odległości Tomek dostrzegł w jego oczach niemą prośbę. Jednak było tam coś jeszcze, coś na kształt... zaufania? Wszystko działo się zbyt szybko, by zajmować się dokładną analizą spojrzeń. Jednocześnie to, co następnie zrobił mężczyzna w kolorowej koszuli, utwierdziło Tomka w przekonaniu, że tamten mu zaufał. Jakby nie było, nie miał innego

wyjścia. Facet wiedział, że od następnych paru sekund i zachowania chłopaka w białym T-shircie zależy jego życie. Mężczyzna rzucił się na ziemię, przygniatając swoim ciałem kobietę.

Chłopak zatrzymał się, błyskawicznie zarepetował broń i puścił serię w stronę zombie. Sporo pocisków zatrzymało się w trawie, jednak równie wiele trafiło w nacierające kreatury. Wokół nich, w rozbryzgach krwi, zaczęły fruwać fragmenty oderwanych ciał. Jeden z zombie, z przestreloną głową, upadł niecały metr od kulących się na ziemi ludzi. Chłopak słyszał krzyki kobiety i nie przestawał prowadzić ostrzału. Naciskał spust aż do wyczerpania magazynka, co nie zajęło mu specjalnie dużo czasu. Całość trwała mniej niż dziesięć sekund. Na szczęście tyle wystarczyło, żeby pozbyć się najbliższych potworów.

Wtedy dwójka uciekinierów wstała i podbiegła do chłopaka. Dziewczyna płakała. Nie wiadomo, czy dlatego, że całe jej nader zgrabne ciało było w trawie, czy też dlatego, że parę chwil temu mogła zginąć od zabłąkanej kuli wystrzelonej przez chłopaka w wojskowych glanach, krótkich spodniach i balistycznym hełmie na głowie. Tomek stawiał jednak na to drugie.

– Dzięki – powiedział mężczyzna, wyciągając rękę do chłopaka. Na oko miał trzydzieści parę lat. Był nieźle zbudowany, zakładając podział na grubych, chudych i tych nieźle zbudowanych. Na nogach miał białe adidas i spodnie z ciemnego jeansu, gdzieś ubrudzone krwią. Klatę przyozdabiała rozpinana koszula w wielką kratę i kolory dominujące w stylistyce kanadyjskiego drwala. Ze szczupłej, wysuszonej twarzy wpatrywała się w Tomka para surowych, przenikliwych oczu.

– Bez ciebie byśmy... – zaczął mężczyzna, ale chłopak mu przerwał.

– Nie ma sprawy. Podziękujesz mi później, teraz mamy inne rzeczy do roboty – przerwał mu Tomek, wskazując lufą kierunek, z którego przybyli. Między drzewami widać było kilkanaście postaci. Wszystkie ruszały się w taki sam, nieskładny i nieskoordynowany sposób, cały czas pracując przed siebie.

– Cholera – powiedział mężczyzna. – Natalia, wejdź szybko do środka.

Powiedziawszy to, otworzył drzwi szoferki i pomógł kobiecie umościć się wewnątrz pojazdu. Zobaczył leżące na siedzeniu strzelby i zabrał obie. Zamknął drzwi i odezwał się do Tomka:

– Masz amunicję? – zapytał, samemu sprawdzając stan pocisków w strzelbach.

– Nie. Chyba nie, nie jestem pewien. Może na siedzeniu – odparł zgodnie z prawdą Tomek.

– Pokaż – polecił mu mężczyzna.

Złapał glauberyta i sprawnym ruchem wyjął magazynek, który okazał się być pusty. Jednakże nie odrzucił go w krzaki, jak to dzieje się na filmach czy w grach komputerowych, ale podał go chłopakowi i kazał schować do kieszeni. Jak znajdą amunicję, to będzie w co ją załadować.

– Tym nie damy rady – powiedział, podnosząc nieznacznie obie strzelby. – Jest ich za dużo. Musimy uciekać.

– Okej – odparł Tomek i ruszył w stronę siedzenia kierowcy.

– Ja poprowadzę – powiedział władczo mężczyzna.

Tomek popatrzył na niego zaskoczony. Dopiero po chwili sobie przypomniał, jak kretyńsko wygląda i że w świetle prawa nie może prowadzić pojazdów. Zwłaszcza policyjnych. „Chociaż światło

prawa raczej za szybko nie zaświeci, a w okolicy nie znajdzie się policjant, który mógłby wlepić mi mandat” – pomyślał chłopak.

– Spokojnie, wiem, co robię. Jestem policjantem – powiedział mężczyzna, zatrzasnąwszy drzwi.

„Pięknie” – pomyślał Tomek. „Z deszczu pod rynnę”. Nie wiedzieć czemu, poczuł się nieco zagrożony. Może zrobił coś źle, może ten typ oskarży go o kradzież pojazdu policyjnego czy nieudzielenie pomocy funkcjonariuszom, czy... O Jezu, a jak on wie, że to Tomek był świadkiem pierwszego ataku zombie? Był świadkiem i nikogo nie ostrzegł. A mógł, nawet powinien. Może to by pomogło zapobiec epidemii. „Przestań gdybać” – napomniął się w myślach. „Będzie co ma być. Poza tym uratowałeś mu życie, więc jest ci coś winien”.

Najbliższy zombie był nie więcej niż pięćdziesiąt metrów od nich, gdy furgonetka ruszyła.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Tomek.

– W stronę placu Bankowego. Tam jest komenda. Znajdziemy w niej schronienie, broń i ludzi, którzy nam powiedzą, co to za gówno wylało się na ulice naszej stolicy.



## POLA MOKOTOWSKIE, GODZINA 22:45.

Kaja nie mogła usnąć. Napełniła brzuch słynną wojskową grochówką i popiła ją odrażającym napojem, który nosił tu szumne miano herbaty. Potem położyła się, ale sen uparcie nie nadchodził. Po kilkudziesięciu minutach nasłuchiwania tego, co się dzieje wokół niej, i myślenia o tym, czego doświadczyła, zdecydowała się wyjść i rozejrzeć. Zamiast bezproduktywnie leżeć, może będzie mogła w czymś pomóc, czas jej szybciej zleci, a zajęty pracą umysł przestanie wyświetlać przerażające obrazy. „Same plusy, zostaję tu co najmniej do środy” – przypomniła sobie zabawny cytat.

Wyszła nieśmiało z namiotu i rozejrzała się dookoła. Z zadowoleniem stwierdziła, że obóz wygląda na bardzo dobrze zorganizowany. Jej namiot stał po stronie wschodniej bazy, ogrodzonej grubą siatką i zasiekami. Co kilka metrów stali uzbrojeni strażnicy, wpatrując się w oświetlony potężnymi szperaczami teren. Nad obozem wznosiły się wieże obserwacyjne, skonstruowane z ruszto- wań połączonych w taki sposób, że dowolnie można było regulować wysokość budowli. Mobilność konstrukcji wojskowych zawsze fascynowała dziewczynę. Na wieżach Kaja dostrzegła stanowiska ciężkich karabinów maszynowych, takich samych jak te, które znajdowały się przy głównej bramie wjazdowej. Naliczyła też kilkanaście namiotów podobnych do jej własnego. Wokół nich krzątało się mnóstwo osób – tak wojskowych, jak i cywili, a całość wyglądała niczym wielkie mrowisko.

Przeszył ją dreszcz. Było zaskakująco chłodno, więc objęła się ramionami. Nie do końca była jednak przekonana, że to wyłącznie temperatura powodowała ciarki wędrujące po jej ciele. Baza wojskowa na środku Pól Mokotowskich, zasieki, karabiny maszynowe i wojsko w miejscu, gdzie nieraz przychodziła pobiegać. Gdzie lubiła wychodzić ze znajomymi i w gorące letnie dni grać we frisbee albo po prostu się opalać. Przecież na sobotę była umówiona w Jeffsie z koleżankami. Szaleństwo.

Obok niej przejechał potężny wojskowy star. Kierowca zatrzymał samochód kilka metrów od dziewczyny, po czym wyskoczył i podbiegł na tył ciężarówki, żeby otworzyć klapę. Z podłogi chludnęła krew – samochód przewoził rannych. Natychmiast podbiegło kilku żołnierzy, aby ich wynieść i przenieść do polowych sal operacyjnych. Kaja ze zgrozą malującą się na twarzy patrzyła na zmasakrowane ciała. Ranni, zarówno żołnierze, jak i cywile, wyglądali, jakby zaatakowały ich dzikie zwierzęta – byli pogryzieni, podrapani i skąpani we krwi. Na udręczonych twarzach malował się ból i przerażenie. Dziewczyna wołała nie myśleć, przez co przeszli, ale w głębi duszy przeczuwała, że nie zostało im zbyt wiele czasu. Nauczona doświadczeniem z małym chłopcem na dachu kiosku, spodziewała się najgorszego. Jak szybko się okazało, nie tylko ona – przez uchylone wejście do namiotu dostrzegła, że ranni są przykuwani kajdankami do łóżek. Zaskoczona, zmarszczyła brwi.

– Musimy być maksymalnie ostrożni – usłyszała za plecami. Odwróciła się i ujrzała mężczyznę w garniturze, z którym miała przyjemność rozmawiać w namiocie. Stał i przypatrywał się transportowi.

– Ale... – zaczęła, jednak zacięła się i przerwała w pół zdania. Zdecydowała się przemilczeć sytuację z dachu kiosku. Poza tym znajomy jej ojca i tak pewnie widział wszystko na monitoringu.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – zaczął. – Według mnie środki nie są wystarczające. Przywożenie zainfekowanych osób do zamkniętej strefy naraża wszystkich w jej wnętrzu na śmiertelne niebezpieczeństwo. Niestety nie mamy możliwości odizolowania ich w inny sposób, transport z zaopatrzeniem utknął gdzieś pod mostem Siekierkowskim i straciliśmy z nim łączność – powiedziawszy to, smutno się uśmiechnął.

Dopiero teraz dostrzegła ludzki pierwiastek w tej surowej twarzy. Poświata bijąca od wszechobecnego, sztucznego oświetlenia ujawniła głębokie sińce pod oczami mężczyzny w garniturze. Musiał być niehumanie wręcz zmęczony, nie tylko fizycznie, ale i psychicznie, jednak starał się trzymać fason. Niewątpliwie był wysokim rangą wojskowym, co nieodzownie wiąże się z dostępem do wielu tajnych informacji. W obecnej sytuacji Kaja wątpiła, żeby te informacje były pozytywne.

– Co możecie zrobić? – zapytała spokojnie.

– Tak naprawdę to niewiele – zaczął mężczyzna. Nieoczekiwanie w połowie zdania głęboko się nad czymś zamyślił.

– A zresztą, co mi tam – stwierdził chwilę później. – Chodź, pokażę ci obóz.

Ruszyli między namioty. Kaja trzymała się delikatnie z tyłu, jednak wystarczająco blisko, żeby słyszeć wszystko, co mówi.

– Właściwie to nie wiem, czemu obdarzam cię aż takim zaufaniem – zaczął, nie oglądając się za siebie. Szedł powoli, z rękami splecionymi za plecami. – Masz coś ze swojego ojca. Sprawiasz wrażenie godnej zaufania, poza tym jak wcześniej już ci mówiłem, jestem mu coś winien.

Kaja uśmiechnęła się. Słowa, które usłyszała, zdecydowanie podniosły jej morale. Nie dość, że została skomplementowana, to jeszcze zrozumiała, że mężczyzna w garniturze, który do tej pory nie raczył się nawet przedstawić, czuje się za nią w jakimś stopniu odpowiedzialny. „To dobrze” – pomyślała – „bardzo dobrze”.

– Wszystko zaczęło się parę godzin temu – zaczął mówić mężczyzna. – Około czternastej odebraliśmy pierwsze niepokojące sygnały. Coś o ludziach atakujących się wzajemnie i innych historyjkach, rodem z taniego horroru klasy B. Jak się wkrótce okazało, zabrakło policji, żeby wysłać ich w każde podejrzanе miejsce. Zgłoszenia napływały dosłownie z każdej części Warszawy, więc coś musiało być na rzeczy. W pewnym momencie pojawiła się teoria, że to jakaś zbiorowa akcja dywersyjna, mająca na celu rozbicie sił policyjnych na mniejsze jednostki, łatwe do spacyfikowania. Spodziewaliśmy się ataku terrorystycznego, nawet kilku równoległych, w różnych dzielnicach. Niestety, faktyczny powód alarmu przekroczył nasze najśmielsze przewidywania. Informacje donosiły, że policjanci, jak i cywile, padali jak muchy. Infolinie szybko zostały przeciążone, musieliśmy przejść na komunikację krótkofalową. Szpitale były przepełnione – nie miały możliwości położenia rannych choćby na korytarzu. Straż pożarna też pracowała na najwyższych obrotach, jednak szybko stało się jasne, że i ich przerosła sytuacja.

Mężczyzna zrobił krótką pauzę, zbierając myśli i czekając, aż minie ich patrol. Żołnierze zasalutowali mu, co tylko utwierdziło Kaję we wcześniejszych wnioskach.

– Punktem zwrotnym był atak w Pałacu Prezydenckim – zaczął ponownie, powoli cedząc słowa. – Wtedy już wiedzieliśmy, że musimy wkroczyć do akcji, gdyż wszystkie wcześniejsze możliwości zostały wyczerpane. Jesteśmy niczym ostania linia oporu. A tak szczerze, to czuliśmy się odrobinę jak powstańcy. I nie wątpię, że niedługo wszyscy się tak poczujemy. Znowu będziemy zmuszeni do walki o nasze miasto, lecz tym razem przeciwnik będzie zupełnie inny. Będziemy walczyć ze swoimi rodzinami i przyjaciółmi. Nie mam pojęcia, co jest powodem tej... zmiany. Może to atak biologiczny jakąś wyhodowaną w laboratorium bronią? Może to gniew Boży? Może trochę jednego i trochę drugiego. Nie wiem, naprawdę nie wiem. Mój sztab pracuje nad rozpoznaniem tego czegoś, ale na razie nie dowiedzieliśmy się za wiele. Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? – powiedziawszy to, zrobił chwilową pauzę, spoglądając na Kaję. – Najgorsze jest to, że tak naprawdę wiele się nie zmieniło. Wystarczy na to spojrzeć z odpowiedniej perspektywy. Jesteśmy cywilizacją wojowników. Chociaż określenie „barbarzyńców” byłoby chyba bardziej na miejscu. Ludzie od zawsze atakowali się nawzajem, wynajdując ku temu najgłupsze powody. Wojna o terytorium, o tereny łowieckie, o księżniczkę, o ropę – przyczyny konfliktów można by wymieniać do znudzenia. Dla chcącego znalezienie pretekstu to żaden problem, uwierz mi. A głupcy, którzy go podchwycą, znajdą się zawsze. Różnica w naszej aktualnej sytuacji jest tylko taka, że oni walczą wręcz, a my mamy broń, która trzyma ich na dystans. Niestety – nie mają też przywódcy, z którym można by negocjować, lub którego mógłby sprzątnąć jakiś snajper. Ach, nie zapominajmy też, że nie są już ludźmi. I mam złe przeczucie, że na to nie ma lekarstwa. Poza... oczyszczeniem. Żadne lepsze określenie nie przychodzi mi na myśl.

Ostatnie słowo bardzo nie spodobało się dziewczynie. Oczyszczenie kojarzyło się jej ono ze sterylizacją lub gorącą kąpielą. Lub z inkwizycją. Tak czy inaczej – z bardzo wysoką temperaturą. A bardzo wysokie temperatury wytwarzają na przykład bomby lub miotacze ognia. A także inne wojskowe zabawki, przeważnie średnio przyjemne dla zwykłego, szarego człowieka.

– Wie pan co, jestem bardzo zmęczona. Chciałabym pójść i się położyć na chwilę – odparła Kaja, błyskawicznie zmieniając temat. Jeszcze kilka minut wcześniej obcy mężczyzna w garniturze wydawał się jej osobistym aniołem stróżem. Teraz napawał ją lękiem. Intuicja podpowiadała jej, że nie do końca wszystko z nim w porządku.

Ten spojrział na nią, mrużąc oczy. Przez ułamek sekundy Kai wydawało się, że przez jego twarz przeszedł złośliwy cień, jednak mężczyzna tylko uśmiechnął się i odrzekł:

– Jasne. Sporo przeszłaś, musisz być ledwo żywa. A ja cię jeszcze zanudzam swoimi głupimi teoriami – powiedział spokojnym głosem. Kaja nie była pewna, czy mówi to ironicznie, czy naprawdę tak uważa.

– Chodź, odprowadzę cię. – Objął dziewczynę i ruszyli z powrotem do namiotu.

## MOKOTÓW, GODZINA 23:10.

Migrena. Chociaż nie – migrenę to może mieć królowa brytyjska, a Jacka po prostu napierdalał łeb. Tak mocno, jak jeszcze nigdy w życiu. Miał wrażenie, że gdzieś po drodze jego jestestwo rozpadło się na kawałki. Dodatkowo nie pamiętał za wiele ze swojego poprzedniego życia, to znaczy sprzed wybuchu epidemii. Tego długiego i nudnego pasma wzlotów i upadków, które w ostatecznym rozrachunku okazały się nie mieć najmniejszego znaczenia. Przed oczami przelatywały mu rozmazane sceny, przedstawiające jego samego – jak szedł do pracy, jak oglądał telewizję, jak się kochał, jak robił te marne kilka pompek miesięcznie, każdorazowo obiecując sobie, że w końcu się za siebie weźmie. Jak szykował się do pracy, poprawiając krawat i koszulę, stojąc przed lustrem i wpatrując się w bliżej nieokreślony punkt za plecami.

„Jezu, jakie to wszystko było gównie warte. Straciłem tyle czasu, że szkoda gadać” – pomyślał. „A już wtedy mogłem się tak dobrze bawić”.

Bawić się.

Przed bladą i wysuszoną twarzą Jacka zaczęły przewijać się rozmaite sceny, jednak tak naprawdę wszystkie były takie same. Krwawy kalejdoskop, przemieszane obrazy strzępów mięsa, szalonych oczu i porozrywanych ciał. Rytmicznie unoszonej nogi od stołu, jego najlepszej ostatnio przyjaciółki, którą i teraz trzymał na kolanach. Tak, ostatnie zdarzenia zdecydowanie zacieśniły ich więź.

Splądrowawszy sklep spożywczy, gdzie znaleźli pod dostatkiem zarówno jedzenia, jak i alkoholu, schowali się na ostatnim piętrze budynku biurowego mieszczącego się na ulicy Józefa i Jana Rostafińskich, skąd mieli piękny widok na Pola Mokotowskie. Chlali wodę, wesoło rozpamiętując minione godziny. Kto komu jak łeb rozwalił, jakie te poczwary są durne i jak banalnie można je unicestwić. Tak, można poczuć się prawdziwym panem sytuacji. Jacek patrzył na kompanów dziwnym wzrokiem i zastanawiał się, jakby wyglądali z poderżniętymi gardłami. Wtedy raczej nie byłoby im do śmiechu, ale jemu owszem. Ot, takie drobne odejście od tego powoli nudzącego się zabiwania zombie. No bo ile można?

## PLAC BANKOWY, GODZINA 23:15.

Trójka nowych znajomych docierała do placu Bankowego. Kuba, powoli sunąc między porzuconymi samochodami, minął Muzeum Niepodległości, skąd już było widać wielkie skrzyżowanie alei Solidarności z ulicą Marszałkowską, która później przechodziła w ulicę generała Władysława Andersa. To na niej właśnie mieściła się Komenda Stołeczna Policji, która była celem ich podróży. Kuba delikatnie nacisnął pedał hamulca, zatrzymując pojazd.

– Cholera... – burknął pod nosem, pochylając się nad kierownicą.

Pozostała dwójka zrobiła to samo. Droga przed nimi była nieprzejezdna. Niezliczona ilość samochodów blokowała zarówno drogi dojazdowe, jak i samo olbrzymie skrzyżowanie. Spora część aut była poobijana, jakby kierowcy próbowali na siłę wycofać się chaosu, który prawdopodobnie zapanował tu jakiś czas temu. Paradoksalnie, tworzyli przez to jeszcze większe zamieszanie, co błyskawicznie poskutkowało totalnym paraliżem.

– No co jest? – zapytał Tomek. – Przecież to już tutaj, nie możemy pójść z buta?

– Niekoniecznie – odpowiedział Kuba, zerkając na chłopaka. „Taki młody, tak wiele jeszcze musi się nauczyć” – pomyślał. „Szkoda, że pewnie nie będzie miał ku temu okazji”.

– Właściwie, to dlaczego nie? – wtrąciła się Natalia, widząc, że mąż nie zamierza wyjaśnić swojej decyzji.

– Popatrzcie – zaczął tłumaczyć – jesteśmy praktycznie w centrum miasta. Przy samej komendzie. W taki dzień powinno tu się roić od policji, a jeżeli nawet nie, to droga powinna być przejezdna – powiedział, zerkając na pozostałą dwójkę. – A przynajmniej trochę oczyszczona, żeby można było szybko wyjechać i odpowiedzieć na wezwanie. Jeżeli droga, tak jak na załączonym obrazku widać, jest nieprzejezdna, to znaczy, że coś jest nie tak.

Odpowiedziała mu cisza. Kuba chwilę zastanawiał się, skąd takie ponure myśli odnośnie chłopaka. Przecież uratował nam życie, więc jakoś musiał do tej pory sobie radzić. Dlaczego teraz miałoby być inaczej? Naraz wrzucił wsteczny i ruszył.

– Jak nie drzwiami, to oknem – powiedział, nie wiadomo, czy do siebie, czy do Natalii, czy do Tomka. Wycofał pojazd kilkanaście metrów, następnie wrzucił jedynkę i skręcił w ulicę Bielańską. Ku jego uciesze ta okazała się przejezdna. Co prawda na niej również stało kilka bezpieczeństwa, ale obok nich znalazł wystarczająco dużo miejsca, żeby się precyzyjnie. Następnie skręcił w lewo, w ulicę Długą, żeby po dwudziestu metrach skręcić w Bohaterów Getta. Ta króciutka uliczka prowadziła wprost do Ogrodu Krasińskich, znajdującego vis-à-vis komendy.

Minęli warsztat samochodowy i wtoczyli się na pusty parking. Policjant oszacował, że od budynku dzieli ich około trzystu metrów. „Czego tak się boisz?” – zganiał się w duchu. „Przecież do- tarliśmy”. Kuba zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Cała trójka siedziała bez ruchu, jakby czeka-

ła, aż z mroku wypadnie horda zombie i się na nich rzuci. Policjant obejrzał się na towarzyszy, szukając w nich siły, której jemu najwyraźniej zabrakło. Oczy tak Natalii, jak i Tomka świeciły w ciemności niczym ślepią dzikich, wystraszonych kotów.

Kuba nacisnął klamkę i uchylił drzwi. Do środka samochodu natychmiast wpadło świeże, wieczorne powietrze. Odetchnął nim głęboko, wpatrując się czujnie w mrok. Cisza. Pusto. Brak jakiegokolwiek ruchu czy dźwięku, nie licząc echa dalekich i sporadycznych wybuchów oraz wystrzałów, niesionych przez wiatr. Zupełnie jakby znaleźli się w samym sercu pustkowia, a nie w centrum olbrzymiego miasta.

– Jak stoimy z amunicją? – zapytał policjant, cały czas uważnie się rozglądając.

– Mamy dwa pełne magazynki do karabinku i kilkanaście pocisków do strzelb. Nie wiem dokładnie ile, ale tak około dwudziestu – odpowiedział energicznie Tomek. Zdecydowanie lepiej czuł się ze świadomością, że jest w grupie. Dodatkowo dowodzonej przez tak, zdawałoby się, ogarniętą osobę.

– Dobra, to chodźmy – powiedział Kuba, wzięwszy ciężką strzelbę w ręce i przerzuciwszy sobie glauberyta przez plecy. Tomek sięgnął po drugą strzelbę. Natalia popatrzyła zaskoczona na obu facetów.

– Chyba nie zamierzasz puścić mnie bez broni? – pytanie zabrzmiało bardziej jak warknięcie, toteż Kuba popatrzył zaskoczony na żonę, unosząc nieznacznie brwi.

– Przecież zawsze unikałaś broni palnej, mówiłaś, że...

– Tak, ale to było przed tym, jak ludzie zaczęli skakać sobie do gardeł – weszła mu w słowo, głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Tego argumentu Kuba nie mógł odeprzeć. Natalia zawsze polegała na innych, nie była specjalnie samodzielną osobą – jednak widać, że człowiek postawiony pod murem zniesie wiele, żeby przetrwać. Pokona nawet swoje własne demony.

– Okej, jasne – powiedział, spuszcżając wzrok. – Wybacz, masz rację. Proszę, weź to – powiedział, podając żonie glauberyta.

Natalia wzięła niezdarnie broń, robiąc przy tym minę, jakby trzymała w rękach obsranego dziecka. Po chwili jednak wzięła głęboki oddech i wyprostowała się. „Powiedziałam A, to teraz muszę powiedzieć B” – pomyślała.

– Dobrze. Jak to działa? – zapytała, kładąc wyraźny nacisk na „to”.

– To PM-84P Glauberyt – zaczął Kuba, patrząc na broń. – Pistolet maszynowy, strzelający standardową dziewięćmilimetrową amunicją. W magazynku masz trzydzieści naboju, odbezpieczasz poprzez naciągnięcie tej wajchy, a jak ci się skończy amunicja, to wciskasz ten guzik – wtedy wyskakuje magazynek, zabierasz go i wkładasz następny, aż usłyszysz ciche kliknięcie. Następnie odbezpieczasz i możesz walić dalej. Ma niewielki odrzut, ale polecam trzymanie go obiema rękami. Nie, lewą połóż pod lufą. Tak, tutaj. I złap mocno. Przełączyłem ci tryb prowadzenia ognia na pojedyncze strzały, więc jedno pociągnięcie za spust równa się jeden strzał. Inaczej w parę sekund wywaliłabyś cały magazynek w niebo. Albo w nas.

Natalia wpatrywała się bez słowa w trzymany w rękach kawał metalu.

– I trzymaj się blisko mnie. Ruszamy – powiedział Kuba, nie dając jej dojść do słowa i zadać jakiegokolwiek pytania – jak bowiem powszechnie wiadomo, człowiek najlepiej uczy się poprzez praktykę.

Poruszali się powoli i metodycznie, sprawdzając każdy podejrzany cień, których w niewielkim parku nie brakowało. Kuba, jako lider grupy, odbił na północ, kierując się w stronę Muranowa. Natalia szła w środku, Tomek zamykał tyły, cały czas uważnie się rozglądając. Baczenie stawiali każdy krok, starając się zachować ciszę. Przeszli kilkadziesiąt metrów i zatrzymali się za ścianą restauracji. Przed nimi rozciągała się niewielka polana, następnie ulica generała Władysława Andersa i sama komenda – majestatyczny budynek z żelaznymi kratami w oknach i wysokimi, niedostępnymi ścianami.

– Coś tu jest cholernie nie tak... – wyszeptał Kuba.

Nie zdążył dokończyć zdania, gdy usłyszeli jęk. Tomek jako pierwszy odwrócił się i zobaczył zombie mozolnie idącego w ich kierunku. Za pierwszym monstrum widać było dziesiątki kolejnych kreatur. Z parku wylaniały się coraz to nowe postaci, wszystkie bezsprzecznie zmierzające w ich kierunku. Naraz jeden zombie wydał gardłowy okrzyk i ruszył biegiem. Sekundę później kilkunastu innych poszło w jego ślady. Zwiertzyli zapach krwi lub wyczuli mięso – ich motywacja nie miała dla całej trójki najmniejszego znaczenia. Bez względu na nią, czuli się niczym zwierzyna łowna.

– Biegiem! – krzyknął Kuba, unosząc strzelbę i oddając strzał do najbliższego przeciwnika. Huk był ogłaszający, ale żadne z nich się tym nie przejęło. Udało mu się trafić. Zombie upadł na ziemię, tylko po to, by za chwilę znów zacząć wstawać.

– Co jest, kurwa... – zapytał sam siebie Kuba.

– Musisz strzelać w głowę! – krzyknął Tomek. Razem z Natalią byli już dobre dwadzieścia metrów przed nim.

– Kuba! – krzyknęła Natalia głosem pełnym rozpacz.

„Dobra. Muszę być przy niej”. Kuba spał się, jakby dostał ostrogami pod zebra, i ruszył z kopyta w kierunku pozostałej dwójki. Biegł, ile sił w nogach, jednak zombie byli coraz bliżej. Kuba odwrócił się na chwilę, żeby ocenić liczbę przeciwników. Na pierwszy rzut oka było ich z piętnastu, jednak w oddali widział kolejnych. Nie zdążą przeładować broni, a każdy niecelny strzał może przesądzić o ich życiu.

Krzyk Natalii wyrwał go z zamyślenia. Okazało się, że od strony Muranowa również naciera grupa zombie. Byli odcięci.

Tomek chaotycznie oddał parę strzałów, niestety niezbyt celnych. Trafiał co prawda w korpusy, ale w głowę już raczej niezbyt. A to nie wykluczało zombie z dalszej rozgrywki.

Natalia i Tomek wyraźnie zwolnili, aż dobiegł do nich Kuba.

– Musimy się przebić, nie mamy wyjścia! – wykrzyczał i pognał do przodu, w stronę budynku komendy. Natalia zdążyła tylko zobaczyć błysk w oku męża i poczuć ciepło nadziei, kiełkujące gdzieś w dole żołądka.

Od wejścia dzieliło ich mniej niż dwadzieścia metrów. I mniej więcej tyle samo od zombie nadciągających od strony Muranowa. O tych za plecami nie wspominając. „Mamy przesrane” – pomyślał policjant. „Jesteśmy już tak blisko, a zdechniemy rozszarpani pod samym wejściem na komendę”. Kuba przyglądał się biegnącym w jego stronę kobietom i mężczyznom. Wszyscy wyglądali tak samo, jak żołnierze odlani z jednej formy. Tak samo zakrwawione twarze. To samo wściekle szaleństwo wypisane w oczach. „Nie tak miała wyglądać moja śmierć” – pomyślał, mimowolnie godząc się z tym, co nieuniknione. Nagle zobaczył obok siebie idącą powoli Natalię. Trzymała wyciągniętego przed siebie glauberyta i miarowo naciskała na spust. Drobną twarzyczką jego żony była błada z determinacji.

Kuba poczuł się, jakby ktoś przewijał film, stopniowo uruchamiając dźwięk. Wszystko nabrało tempa i kolorów. Dopiero teraz usłyszał, że Tomek z tyłu coś wrzeszczy i równie miarowo pociąga za spust. Mężczyzna zdecydował, że zrobi to samo. Podbiegł parę kroków w stronę zombie, zatrzymując się co kilka metrów i oddając idealnie wymierzone i celne strzały. W głowie liczył, ile pocisków mu zostało. Położył sześciu przeciwników, gdy nagle zza murku wyskoczył na niego kolejny zombie. Kuba odruchowo zdzielił kreaturę kolbą w twarz, a gdy ta leżała na ziemi, odwrócił broń i pociągnął za język spustu.

Usłyszał najbardziej złowieszcze kliknięcie w swoim życiu. Iglica nie trafiła w sponkę, a z lufy nie wyleciało nic poza powietrzem.

– Oż kurwa – zdążył wycedzić, bo huk pistoletu maszynowego nie pozwolił mu na dokończenie zdania. Natalia zabiła potwora strzałem w głowę z przyłożenia. Kuba spojrział na nią z wdzięcznością. Po jej policzkach spływały łzy.

– Tomek, dawaj! – krzyknął, powracając do rzeczywistości.

W międzyczasie chłopak cały czas pruł do zombie, biegnących od strony lasu. Położył wielu z nich, jednak jemu również skończyła się amunicja.

– Nie mam nabo! – krzyknął z paniką w głosie.

– Już prawie jesteśmy! – Kuba dopadł do drzwi jako pierwszy.

Te, o dziwo, okazały się być otwarte. W pierwszej sekundzie Kuba nie wierzył, że naprawdę stanęły przed nim otworem, jednak wpychający go do środka Natalia i Tomek, nie dali mu się długo zastanawiać. Młodziak wpadł weń w takim pędzie, że jak długi przewrócił się na zabrudzoną podłogę, wypuszczając z rąk strzelbę, która potoczyła się ze zgrzytem po korytarzu. Natalia błyskawicznie odwróciła się i zatrzęsnęła drzwiami. Sekundę później dziesiątki rąk zaczęły w nie wściekle walić, domagając się wpuszczenia do środka.

Nikt się nie odzywał. W cichym komisariacie słychać było tylko powarkiwania zawiedzionych zombie i ciężkie, urywane oddechy trójki osób, którym cudem udało się ująć z życiem.

– Musimy się ruszyć – powiedział Kuba, po kilkudziesięciu sekundach odpoczynku. – I sprawdzić, czy komenda jest bezpieczna.

Krew w głowie buzowała mu od nadmiaru emocji, całe ciało drżało od krążącej adrenaliny. Jednak wiedział, że nie może odpuścić. Musi pozostać czujny. Sięgnął do kieszeni po paczkę czerwo-



nych lucky strike'ów, wyciągnął jednego i podpalił go trzęsącą się ręką. „Jestem na to, kurwa, za stary” – pomyślał policjant, głęboko zaciągając się dymem.

– No dobrze... – odpowiedział niechętnie Tomek, gramoląc się z podłogi. Nikt nie miał ochoty się ruszać. Po prostu tkwili zawieszeni w próżni i czekali, aż ktoś przyjdzie i zmusi ich do działania.

Kuba dopalił, podszedł do Natalii i złapał ją delikatnie za kark.

– Wszystko okej? Jak się czujesz? – zapytał z troską w głosie, zaglądając żonie w oczy.

– Strzelałam do nich... zabiłam... – odpowiedziała, patrząc szklistym wzrokiem w podłogę.

– Kochanie, to już nie byli ludzie – zaczął mówić Kuba, zabierając z jej ręki broń. „No tak” – pomyślał. „Mogłem się tego spodziewać”. Nie był zły na żonę, było mu jej po prostu żal.

– Byli! Strzelałam do ludzi! Skąd wiesz, czym oni są? Może da się ich wyleczyć? Może to chwilowa zmiana? – wykrzykiwała Natalia, nie dając Kubie dokończyć zdania. W niebieskich oczach jego pięknej żony zamieszkało szaleństwo. Kuba zrozumiał, że jakkolwiek to się skończy, jego Natalia już nigdy nie będzie taka sama. Wziął głęboki oddech.

– Wiem to, bo człowiek trafiony ze strzelby z odległości pięciu metrów, prosto w klatkę piersiową, nie ma prawa wstać – powiedział spokojnie, zważając na każde wypowiedziane słowo. – Nie wiem, czym „oni” są, ale wiem, że na bank nie są ludźmi. Nie obchodzi mnie, czy to wirus, gniew Boży, czy to ruscy nas zaatakowali bronią biologiczną, wyhodowaną w Czarnobylu. Mam to w dupie. Zależy mi jedynie na tym, żeby wydostać nas stąd żywych. Rozumiesz?

Natalia zajrzała głęboko w oczy męża. Dostrzegła w nich siłę i determinację, której tak bardzo jej w tym momencie brakowało.

– Tak – wyszeptała, uśmiechając się delikatnie.

– No. Grzeczna dziewczynka – powiedział Kuba, również się uśmiechając.

– Fajnie. Mogę się z wami zabrać? – zapytał retorycznie Tomek, przyglądając się całej scenie. – To słodkie i w ogóle, ale chodźmy zobaczyć, dlaczego komisariat jest pusty, okej? Jak mamy tu zostać, wołałbym, żebyśmy byli sami, a nie z tymi popaprańcami – dodał chłopak, wskazując lufą drzwi.

Pozostała dwójka przytaknęła i z odrobinę podbudowanym morale ruszyła w głąb budynku. Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia zza rogu ściany wyskoczył zombie i rzucił się na Tomka. Ten, nie mając za wiele czasu na reakcję, odskoczył niezgrabnie w bok. Na niewiele się to zdało – zombie przywarł do chłopaka, zaciskając ręce na jego karku i próbując odgryźć mu co najmniej pół twarzy. Tomek wypuścił broń i chwycił martwego policjanta za czoło oraz szyję, całą siłą wkładając w to, żeby nie dać się chociażby drasnąć. W tym cudownie niezgrabnym uścisku odbili się od ściany i zaczęli się szamotać, rozwalając wszystko wokół. Chłopak przeraźliwie krzyknął, w jednym dźwięku wyrażając zarówno zaskoczenie, jak i wolę walki, bo wiedział, jak blisko śmierci się znalazł. Zombie warczał niczym wściekły pies.

– Kurwa! Zdejmijcie go ze mnie! – wołał Tomek, nie odrywając wzroku od przeciwnika. Teraz nie uważał wołania o pomoc za coś uwłaczającego jego męskości.

Kuba zareagował instynktownie i błyskawicznie rzucił się na pomoc. Niemniej szamotanina sprawiała, że miał bardzo ograniczoną możliwość oddania strzału.

– Nie ruszaj się przez chwilę! – krzyknął do Tomka, chociaż zdawał sobie sprawę, jak kretyńsko to zabrzmiało.

Sytuacja coraz bardziej wymykała się spod kontroli – Tomek znalazł się pod zombie, a nie, co by było o niebo lepsze, na nim. Ciężar kreatury przygniótł chłopaka do ziemi, dosłownie wyduszając mu dech z piersi, a ich głowy były zbyt blisko siebie, żeby Kuba mógł się zdecydować na oddanie czystego strzału. Tomek spojrzał w źrenice potwora i zamarł. Poczuł, że cała siła, cała wola niszczenia zombie jest skierowana na niego. Że jest nic niewartym, kolejnym posiłkiem. I tego właśnie potrzebował. Obudziła się w nim jakaś iskra, która nie chciała pogodzić się z tym, co nieuniknione. Chłopak naprężył mięśnie i z całej siły wyprostował ramiona, odpychając od siebie zombie najdalej, jak to było możliwe. Krzyknął z wysiłku, a kątem oka dostrzegł jakiś ruch...

To Kuba rozwiązał spór kopniakiem, jakiego nie powstydziliby się sam Roberto Carlos. Zombie, trafiony w głowę, puścił chłopaka i poleciał w głąb korytarza, a policjant, idąc za ciosem, wycelował PM-84P i bez zbędnych ceregieli pociągnął za spust. Budynek wypełnił huk strzału, a głowa jego byłego kolegi po fachu eksplodowała, dekorując korytarz w piękne, jasnoczerwone plamy. „Zupełnie jakby ktoś rozlał wazę wigilijnego barszczu” – pomyślał mężczyzna.

– Jesteś cały? – zapytał Kuba, pomagając Tomkowi podnieść się z ziemi.

– Tak. Chyba tak – powiedział chłopak, oglądając swoje ciało w poszukiwaniu ran. W jego oczach dalej mieszkalo przerażenie. – Ale chyba się zesrałem...

– Dobrze, że tylko tyle – zaśmiał się mężczyzna i poklepał Tomka po plecach.

– Krew ci leci – wyszeptała Natalia, stojąc w dalszym ciągu pod drzwiami, jakby nogi wrosły jej w linoleum.

Tomek zrobił się blady niczym kartka papieru.

– Gdzie...? – wyszeptał przerażony.

Był doskonale świadom tego, co dzieje się z osobami ugryzionymi przez zombie. Zapadła cisza.

– Gdzie?! – tym razem krzyknął, oglądając swoje ubranie. Niczego nie dostrzegł, chociaż na i tak brudnym ubraniu pojawiło się parę plam krwi, których – mógłby przysiąc – nie było tam wcześniej. Panika sprawiła, że był gotów natychmiast strzelić sobie w głowę, nawet nie widząc potencjalnego zranienia. Wolał nie widzieć pewnie już ropiejącej bruzdy, która zmieni go w bezmózgiego yeti zjadającego mózgi młodych dziewczyc.

– Nie wierz się, na miłość boską – powiedział Kuba, łapiąc go za ramiona. Dopiero teraz Tomek uświadomił sobie, że szamotał się i tańczył wokół własnej osi niczym Indianin podczas tańca wywołującego deszcz.

– Daj, obejrzę cię – powiedział spokojnie policjant. – Natalia, gdzie widziałaś krew?

– Na plecach – odparła cicho.

Kuba spojrzał na żonę. Wyglądała jak świeczka, która lada moment się dopali. Dosłownie gasła w oczach. „Jezu, żeby to tylko było przemęczenie i nadmiar emocji” – pomyślał Kuba. W tym mo-

mencie zreflektował się, że w ciągu paru sekund dwukrotnie odwołał się do Stworzyciela. Ciekawe.

– Ej! Natalia! – powiedział podniesionym głosem. – Kochanie, podejdź na chwilę. Musisz mi pomóc.

Oczywiście niczego od niej nie potrzebował, poza tym, że chciał ją mieć obok i to przytomną oraz myślącą, przynajmniej do momentu znalezienia bezpiecznej kryjówki. Wobec tego musiał ją czymś zająć, bo podpieranie drzwi wyraźnie jej nie służyło.

Natalia podeszła.

– Co? – zapytała, a w jej głosie słychać było zmęczenie i pretensję, że musiała się ruszyć.

– Pokaż mi, co dokładnie i gdzie widziałaś – powiedział Kuba, patrząc na żonę. Ta nie odwzajemniła spojrzenia.

– O tu – wskazała miejsce na plecach palcem, ale nie dotknęła czerwonej, wyraźnie świeżej plamy krwi na koszulce Tomka.

– I jak to wygląda? – zapytał wystraszony chłopak.

– Poczekaj, sekundę... – odrzekł Kuba, rozchylając delikatnie rozdartą koszulkę.

Po chwili pełnej napięcia policjant wypuścił ze świstem powietrze.

– Jest dobrze – powiedział. – To znaczy – faktycznie jesteś ranny, ale to nie ugryzienie. Ani zadrapanie. Przeciąłeś sobie skórę podczas szamotaniny.

– Skąd wiesz? – chłopak nie wierzył do końca towarzyszowi.

– Stąd, że rana jest idealnie równa, płytka i czysta. – odparł Kuba. – Wystarczy?

– Tak, dzięki – odpowiedział Tomek z wyraźną ulgą w głosie.

– Dobra, chodźmy znaleźć apteczkę. Idę pierwszy – powiedział Kuba.

Podszedł do zwłok, schylił się i wyciągnął z kabury martwego policjanta glocka. Sprawdził magazynek, po czym podał pistolet Tomkowi. Sam pozostał uzbrojony w zabrany Natalii pistolet maszynowy.

Cała trójka ruszyła w głąb opuszczonego budynku, tym razem spokojnie i metodycznie zaglądając w każdy podejrzany róg.

**ŠRODA.**

## MOKOTÓW, GODZINA 03:20.

Paweł drgnął niespokojnie i otworzył szeroko oczy. Wydawało mu się, że usłyszał coś doskonale mu znanego. Wcześniej spał, o ile oczywiście drzemanie w fotelu z przymkniętymi raptem powiekami można określić jako „spanie”. Misje przebyte w Afganistanie nauczyły go regenerować organizm bez zapadania w głęboki sen, toteż potrafił odpoczywać w sposób niekoniecznie odpowiadający zwykłemu, szaremu człowiekowi. Tam, tak jak w aktualnej sytuacji, o jego życiu decydowała reakcja na zmiany, zachodzące w najbliższym otoczeniu. Reakcja na podejrzone dźwięki, skrzypnięcia, na skradanie się wroga czyhającego na jego życie. Jednak teraz było inaczej. Talibowie nie zwykli krzyczeć i jęczeć niczym potępione dusze, włócząc się bez celu po ulicach umierającego miasta.

Zerknął przez okno i z delikatną satysfakcją stwierdził, że umarłaków kręci się coraz mniej. Właściwie to naliczył niecałe pięć sztuk. Raczej nie poszły spać, czyli coś musiało odwrócić ich uwagę. Tak czy inaczej, dla Pawła i Maxa była to dobra wiadomość.

Po spotkaniu grupy, która ściągnęła na siebie uwagę zombie, nie udało się im wydostać bezpiecznie ze sklepu. Maszkary nadbiegły ze wszystkich stron, ścigając auto, jednak zwabione hałasem przyczłapały również te nieumiejące biegać. Paweł długo zastanawiał się, skąd różnica, i doszedł do wniosku, że zależy to od stopnia zakażenia, zniszczenia ciała i czasu, jaki upłynął od śmierci i następującej po niej reanimacji.

Wiedziony instynktem mężczyzna zamknął wtedy delikatnie drzwi sklepu i bardzo cicho wycofał się z chłopakiem na zaplecze. Nieoczekiwanie znaleźli tam schody prowadzące na piętro, gdzie, jak się wkrótce okazało – rezydował właściciel sklepu. Mieszkanie było niezbyt duże, ale jego głównym atutem były trzy pary drzwi, które odgradzały ich od kreatur szwendających się po ulicy. Wzięli z magazynu tyle jedzenia, ile zdołali unieść, po czym spożyli spokojną wieczerzę przy klimatycznym świetle emitowanym przez dwie małe świece. Każdy z nich w takim samym stopniu żałował, że nie przyszło mu wcinać kolacji z kimś przeciwnej płci i odrobinę bardziej atrakcyjnym. Niedługo po tym Max zapadł w kamienny sen, a Paweł stanął na warcie. Najpierw Max upierał się, że nie będzie spał i że muszą od razu działać, ale gdy tylko emocje opadły, zmęczenie wzięło górę nad wszystkim innym. Nie mógł mieć tego chłopakowi za złe. Żołnierz wiedział, że będą potrzebowali sił na nadchodzące godziny. W czasie gdy chłopak spał, Paweł zdecydował, że kiedy zacznie świtać, udadzą się do pierwotnego celu, ku któremu zmierzali – czyli Oddziału Zabezpieczenia Dowództwa Garnizonu Warszawa, stacjonującego tuż za Polami Mokotowskimi. Nie mógł wtedy nawet przypuszczać, że zanim nadejdzie świt, jednostka przestanie istnieć.

– Co jest? – zapytał Max, unosząc się na łokciach. Przetarł zaspane oczy i usiadł.

Paweł milczał, wpatrując się w okno. Zaszczycił chłopaka ledwo widocznym odwróceniem głowy. Niczym ponad to.

– Hm? – wyszeptał Max, obserwując reakcję Pawła. – Czemu nie śpisz?

– Cicho... – powiedział Paweł, unosząc otwartą dłoń i cały czas wpatrując się w przestrzeń za oknem. Max zastosował się do polecenia i siedział w bezruchu. I w ciszy.

Nagle usłyszał cichy grzmot, dochodzący gdzieś z oddali. Potem kolejny i kolejny. Następnie grzmoty przybrały na sile, a Maxowi przypomniał się czas, gdy – jeszcze jako dzieciak – siedział na kolanach u mamy i przysłuchiwał się wybuchom noworocznych sztucznych ogni. Z tym że intuicja mu podpowiadała, że te ognie nie do końca były sztuczne.

– To strzały? – zapytał cicho chłopak.

– Tak – odpowiedział Paweł. – Z tej odległości trudno to ocenić, ale stawiam na beryle i cekaemy.

Chłopak popatrzył na niego zagubionym wzrokiem.

– Standardowe wyposażenie niektórych oddziałów Wojska Polskiego – dodał mężczyzna. – Wygląda na to, że miejsce, do którego chcieliśmy iść, właśnie jest atakowane.

– Atakowane? W sensie przez zombie?

Paweł spojrzał na Maxa z politowaniem. Chłopak stwierdził, że milczenie w tym wypadku będzie najlepszym rozwiązaniem.

Usłyszeli głuchoe tąpnięcie, wyraźnie odznaczające się na tle pozostałych dźwięków.

– O, granaty – dodał, unosząc brwi, Paweł.

– Co zrobimy? – zapytał Max po chwili, zmieniając zdanie dotyczące zachowania milczenia.

– Poczekamy do świtu i pójdziemy tam – powiedział spokojnym, zdecydowanym głosem oficer.

– Co? Chcesz iść tam, gdzie strzelają? – obruszył się Max. – Ale skoro strzelają, to za moment będzie tam pełno zombie! Przecież to bez sensu.

– I tak, i nie – powiedział sentencjonalnie Paweł. – Jeśli tam pójdziemy, mamy szansę znaleźć innych, do tego dobrze uzbrojonych ludzi. Jeżeli nie, to przynajmniej znajdziemy pełno wojskowego sprzętu, który pozwoli nam przetrwać. Broń, amunicja, pojazdy, środki łączności, liofilizowana żywność i środki medyczne. Wszystko to, co jest potrzebne do przetrwania w naszej sytuacji. Jeżeli tam nie pójdziemy... – Paweł zrobił chwilę przerwy na złapanie oddechu. Z drugiej strony chciał też wyrzucić na chłopaku większe wrażenie tym, co zamierza powiedzieć. – ...Jeżeli tam nie pójdziemy, to nasza śmierć jest tylko kwestią czasu.

Max kiwnął powoli głową, trawiając to, co przed chwilą usłyszał. Niezbyt mu się to podobało, ale patrząc z odpowiedniej perspektywy, wolał iść za rękę z doświadczonym komandosem, niż próbować radzić sobie samemu. Zwłaszcza że błąd mógł kosztować go życie.

## POLA MOKOTOWSKIE, GODZINA 03:28.

Kaja siedziała na taborecie i patrzyła na mamę krzątającą się po oświetlonej słońcem kuchni. Czekala, aż ta poda jej na kolację pyszne, gorące pieczywo posmarowane świeżym twarogiem oraz szklankę ciepłego mleka, takiego prosto od krowy, jej ulubionego. Za oknem leniwie zachodziło słońce, kąpiąc wszystko w przepięknym czerwono-pomarańczowym blasku. Kaja ze zdziwieniem, ale i ze spokojem wpatrywała się w stojącą tyłem sylwetkę matki, która nucąc pod nosem cichą melodię, miarowo poruszała ramionami. „Przecież moja matka umarła przy porodzie” – pomyślała dziewczyna. „Nie mam prawa wiedzieć, jak wyglądała. Nie licząc zdjęć, oczywiście”. Jednak w głębi duszy wiedziała, że to ona.

Do pomieszczenia zaczął wczołgiwać się pies. Tylne łapa i ogon zwierzęcia były oderwane, a reszta sierści postrzępiona, jakby kundla przejechała kosiarka. Czołgając się, pies pozostawiał na swojej drodze smugę krwi, wypadające kołtuny i fragmenty własnego ciała. Powinien był leżeć i zdychać w męczarniach, jednak nie dość, że był w stanie się poruszać, to jeszcze jego obdrapany pysk wyrażał spokój, jakby pies niczego nie czuł.

Podczołgał się do kobiety, która spokojnie schyliła się i tasakiem odrąbała drugą łapę zwierzęcia. Pies przy tym wpatrywał się niemo w dziewczynę, która poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Chciała się podnieść i uciec, ale jak się okazało – nie mogła się ruszyć.

Matka położyła odrąbaną łapę na desce do krojenia. Następnie zaczęła miarowo unosić ramię, szatkując mięso na drobniejsze kawałki. Nie przestawała przy tym nucić. Każde uderzenie tasaka o deskę przyprawiało Kaję o dreszcz. Nagle niebo zaszło gęstymi, czarnymi chmurami, spowijając pomieszczenie w mroku i dodając całej scenerii jeszcze nieco grozy. Do akompaniamentu uderzeń tasaka doszły pioruny, których błyski co rusz oświeślały całą kuchnię upiornym blaskiem.

Nagle kobieta odwróciła się, a Kaja poczuła, jak jej ciało kurczy się z przerażenia. To wcale nie była jej matka. A nawet jeżeli, to nie sposób było jej rozpoznać. Po drugiej stronie stołu stała kobieta-zombie, trzymająca w ręku talerz z... kolacją. Wielkie kawałki mięsa były wymieszane z sierścią i połamanymi kawałkami psich kości, a wszystko to było skąpane we krwi zwierzęcia. Tak, jak kobieta trzymająca przerażające danie. Z jej policzka zwisał kawał oderwanej skóry, oba oczodoły okazały się być puste. Pseudo-matka podeszła chwiejnym krokiem do dziewczyny i położyła przed nią talerz.

– Smacznego, kochanie – powiedziała głosem dobiegającym jakby z głębi ziemi. Gdy wypowiedziała te słowa, jej twarz prawie się rozpadła. Dopiero teraz Kaja poczuła ohydny fetor gnijącego mięsa. Smród tak upiorny, że prawie zwymiotowała.

– Czemu nie jesz? – zapytała ponownie, splatając ręce na wysokości piersi. Kaja nie odpowiedziała, tylko przypatrywała się całej scenie, balansując na krawędzi obłędu. Jeden krok w przód

i będzie po wszystkim. W rozbłysku pioruna dostrzegła psa czołgającego się w jej stronę. Wpatrywał się w nią przekrwionymi ślepiami, jednocześnie obnażając wściekle kły.

– Jedz – powiedziała kobieta, biorąc kawałek przerażającego gulaszu w rękę. Podniosła go i skierowała w stronę ust Kai. Ta odsunęła twarz z obrzydzeniem. Miała wrażenie, że serce zaraz jej eksploduje. Pies był coraz bliżej.

– Nie! – krzyknęła dziewczyna. – Odejdź, zostaw mnie!

Matka odsunęła się na chwilę, jakby zaskoczona reakcją dziewczyny. Nagle błyskawicznie pochyliła się tak blisko, że ich twarze dzieliło mniej niż dziesięć centymetrów.

– Żryj! – krzyknął zombie.

Pies podczołgał się i zaczął gryźć dziewczynę w nogę.

Kaja zerwała się z łóżka. Usiadła na pryczy, kurczowo przyciskając koc do piersi, z której o mało nie wyskoczyło jej serce.

– To tylko sen... – wymamrotała ni to do siebie, ni do pustego namiotu.

Wypuściła ze świstem powietrze i położyła dłoń na mokrym od potu czole. Jednak to nie do końca był sen. Zombie, czy jak ich tam nazywać, faktycznie parę godzin wcześniej prawie ją dopadli. Namiot co prawda nie był wakacyjną chatką, ale na szczęście jest w bezpiecznej, wojskowej...

Usłyszała strzał, brutalnie przerywający jej myśli. Samotny, zakłócający nocną ciszę, jak motorówka mącąca spokojne wody śpiącego jeziora. Inwazyjny. Niepasujący kompletnie do niczego, zwiastun złej nowiny. Jak uderzenie tasaka ćwiartującego psie mięso.

Po chwili następny i kolejny. Po paru sekundach rozległy się krzyki, a karabiny zaczęły miarowo terkotać. Kaja nie była w stanie policzyć, ile luf strzela, ale na pewno było ich kilkanaście. Krzyki narastały, podczas gdy dziewczyna siedziała na łóżku jak sparaliżowana i czekała na dalszy rozwój wydarzeń.

„Rusz się!” – krzyknął głos w jej głowie. Zerwała się na równe nogi. Są atakowani – to jasne. Instynkt kazał jej szukać bezpiecznego schronienia, nie zważając na to, że znajduje się w prawdopodobnie najlepiej strzeżonym miejscu w promieniu paru kilometrów. Jednak pamiętała lekcję z centrum miasta i to, w jaki sposób żołnierze zostali rozgromieni przez przeważającego liczebnie przeciwnika.

Nagle do namiotu wpadł znajomy człowiek w garniturze. W pierwszej chwili zatrzymał się zaskoczony, widząc obudzoną Kaję. Patrzył na nią zdezorientowany, chociaż sprawiał wrażenie człowieka, którego niełatwo wyprowadzić z równowagi.

– Chodź – powiedział tylko i to wystarczyło. Puściła w niepamięć ich ostatnią rozmowę i niepokojące wrażenie, jakie na niej wywarł. Teraz liczyło się tylko to, że ten tajemniczy mężczyzna może uratować jej życie, bo wygląda na to, że znaleźli się w średnio komfortowej sytuacji. Nie czekając na ponaglenia, Kaja ruszyła w stronę wyjścia z namiotu.

Wkroczyła do siódmego kręgu piekła. Chociaż jakby się dobrze zastanowić, to bardziej przypominało czwarty, ewentualnie piąty – a to dlatego, że przeciwnikom nie udało się jeszcze sforsować dobrze zorganizowanej linii obrony. Zasieki odgradzające obóz były pokryte zawieszonymi na nich



ciałami zombie. Z wież strażniczych żołnierze prowadzili ciągły ostrzał, kierując lufy we wszystkie możliwe strony, podczas gdy operatorzy szperaczy ustawili reflektory w optymalnych pozycjach, również chwytając za broń. Ciężkie karabiny maszynowe wyrzucały dziesiątki rozpalonych łusek na ziemię, kładąc ogniem zaporowym całe grupy nacierających potworów.

– Granat! – krzyknął ktoś na wieży, rzucając metalową puszkę w grupę zombie.

Eksplozja wyrzuciła kilka ciał w powietrze, wraz z ziemią i fragmentami drutu kolczastego. Zamiar żołnierza był zapewne odrobinę inny. Powstała wyrwa w zasiekach, która po paru sekundach zapełniła się napierającym tłumem. Żołnierze błyskawicznie skierowali ogień w powstałą szczelinę.

– Z drogi! – usłyszała obok siebie Kaja i odruchowo zrobiła krok w tył. Przebiegło obok niej kilkunastu ciężko uzbrojonych żołnierzy, kierując się w stronę dziury w ogrodzeniu. Kilku zombie już wkroczyło na teren obozu, jednak ich ciała błyskawicznie zostały rozszarpane przez krzyżowy ogień prowadzony z kilku beryli. Jednak to nie zraziło bezmyślnej masy, która wdzierała się do obozu powoli i nieubłaganie. Niczym powódź.

Do akcji wkroczyli żołnierze z miotaczami płomieni – trzech wojaków skierowało ogień w jedno wąskie przejście, w mig podwyższając temperaturę o kilkaset stopni i paląc wszystko, co miało nie-fart znaleźć się w środku. Skóra zombie pękała przy akompaniamencie głośniego syku, zupełnie jak mięso przypalane na grillu. Tylko zapach był nieco inny – z gnijących ciał unosił się smród zgnilizny, fekaliów i niestrawionego pokarmu. Maszkary ginęły, wrzeszcząc i przeraźliwie wyjąc. Cokolwiek się przedostało, było dobijane strzałem z karabinu maszynowego. Pomimo kilkunastu metrów, jakie dzieliły dziewczynę od wyrwy, Kaja poczuła na twarzy powiew rozgrzanego powietrza. To już wyglądało na krąg szósty...

Poczuła też ostre szarpnięcie w tył – to jej dziwny opiekun złapał ją za rękę i ciągnął między namioty. W innych okolicznościach pewnie by się opierała, jednak teraz była pewna, że jegomość ma tylko i wyłącznie dobre zamiary, toteż bez problemu pozwoliła się prowadzić.

Biegli. Mijali ich nie tylko skupieni żołnierze, ale też lekarze, którzy nie bardzo wiedzieli, gdzie mają się podziać. Ziemią co raz wstrząsał wybuch granatu lub miny, które wojacy pośpiesznie rozkładali na trasie przemarszu żywych trupów. Miarowe terkotanie karabinów maszynowych nie ustawało na sile.

– Dokąd biegniemy? – zapytała Kaja, starając się przekrzyczeć wszechobecny chaos.

Mężczyzna nie odpowiedział. Nie musiał, bo wybiegli zza namiotu i oto cel ich ucieczki stał się jasny – na ubitej ziemi stał ciężki wojskowy transporter opancerzony – rosomak. Potężna maszyna, którą Kaja miała okazję widywać tylko w *Wiadomościach*, na żywo robiła spore wrażenie. Nie pamiętała już, że komandosi, którzy uratowali ją w centrum miasta, dysponowali właśnie takim pojazdem. Oto siedmiometrowy potwór, dźwigający na ośmiu kołach ponad dwadzieścia ton stali, na której czubku, niczym wisienki na urodzinowym torcie, znajdowały się karabiny maszynowe i wyrzutnie granatów. Fiński pojazd produkowany w Polsce i testowany w Afganistanie. Testowany z powodzeniem, ku niezadowoleniu samych Afgańczyków. Krótko mówiąc – świetne narzędzie do tłumaczenia, że tylko twoje poglądy są jedynie słuszne i właściwe. Poza tym, w chwili obecnej – do-

skonałej jakości sejf. Sejf nie dość, że z własnym systemem ogniowym, to jeszcze wyposażony w prawie pięćsetkonny, sześciocyndrowy silnik wysokoprężny z turbodoładowaniem. Oczy dziewczyny zaświeciły się, jakby pod choinką zobaczyła wymarzonego kuczka.

Mężczyzna dobiegł do tylnego wjazdu, otworzył go i gestem dłoni zaprosił Kaję do środka. Wnętrze pojazdu okazało się być puste.

– Mam tam wejść? – zapytała naiwnie Kaja, nieufnie zaglądając do środka maszyny.

– Tak, szybko. Nie mamy czasu – ponaglał ją.

Coś podpowiadało jej, że nie do końca powinna mu ufać. Co prawda jak do tej pory nie znalazła najmniejszego racjonalnego powodu, żeby postrzegać go w tak negatywnym świetle, jednak uczucie niepewności uparcie nie pozwalało się odgonić. Wsunął rękę do środka i nacisnął jakiś guzik, a wewnątrz transportera rozbłysło delikatnym, zielonym światłem taktycznym.

Naraz z drogi, którą sami przebyli, wypadł zombie. Kaja pisnęła przestraszona, jednak mężczyzna zachował zimną krew – nie wiedzieć skąd, w jego dłoni zmaterializował się nagle pistolet Walther P-99. Mężczyzna bez zbędnego wahania pociągnął za spust. Mały pocisk przeleciał przez głowę zombie z prędkością kilkudziesięciu metrów na sekundę. Martwe „zwłoki” opadły bezwładnie na chłodną ziemię.

– Adam Brdak – powiedział, odwracając się ku dziewczynie i zaglądając jej głęboko w oczy. Kaja poczuła, że to jeden z tych momentów w życiu, których się nie zapomina. – Nazywam się Adam Brdak. Jak już spotkasz swojego ojca, przekaż mu moje pozdrowienia.

Powiedziawszy to, wepchnął Kaję do środka transportera i zatrzasnął za nią drzwi. Dziewczyna jeszcze kątem oka zdążyła dostrzec wbiegających na polankę zombie. Zbyt wielu, żeby można ich było położyć jednym pistoletem.

Po paru sekundach usłyszała rozdzierający krzyk, dobiegający gdzieś spomiędzy namiotów. Krzyk pełen wściekłości i zawodu, ale i pewnego rodzaju zaciętości.

Od pancerza odbiły się kawałki metalu, a rosomakiem delikatnie zakołysała fala uderzeniowa, spowodowana wybuchem granatu. Granatu, który zakończył żywot Adama.

Bez wątpienia znalazła się w ostatnim, dziewiątym kręgu.

## PLAC BANKOWY, GODZINA 03:50.

Tomek wstał i przeciągnął się, ostentacyjnie ziewając. Kuba spojrzął na niego swoimi podkrążonymi oczami, po czym powrócił do czyszczenia broni małą, naoliwioną szmatką. Od kilkudziesięciu minut pielęgnował swój pistolet Walther P-99, a jak powszechnie wiadomo – raz użyta broń nigdy nie będzie idealnie wyczyszczona. Co nie znaczy oczywiście, że nie należy próbować.

Po szybkim sprawdzeniu komendy wyszło na to, że jest pusta i względnie bezpieczna. Odnaleźli magazyn broni, lecz ku ich rozczarowaniu okazało się, że pomieszczenie zostało totalnie splądrowane – stojaki na broń świeciły pustkami; tylko na podłodze wały się pojedyncze sztuki amunicji. Widać ktoś wpadł na ten sam pomysł. Dodatkowo trafili jeszcze na kilka ciał, każde z przestrzeloną głową, więc zgodnie z obowiązującymi standardami – względnie bezpiecznych. Rozczarowani, ale z odrobiną podładowanymi magazynkami, zadekowali się w jednym z pomieszczeń biurowych. Natalia drzemała na prowizorycznym posłaniu, ułożonym na podłodze.

– Nie możesz spać? – zapytał mężczyzna. Echo poniosło jego ciche słowa w głąb opuszczonego posterunku.

– Nie – odpowiedział Tomek. – To znaczy jestem zmęczony, ale w głowie mam tyle myśli, że...

– Wiem, ja też – pocieszył go Kuba, krzywiąc twarz w lichej parodii uśmiechu.

Chłopakowi zrobiło się trochę lżej na duchu. Zaczął więc przyglądać się czynnościom wykonywanym przez towarzysza. Może sam by się tego nauczył? „W sumie kiedyś może mi to być potrzebne” – pomyślał. „Poza tym, jak się czymś zajmę, to chociaż na chwilę przestanę myśleć o głupotach”.

– Mogę się przysiąc? – zapytał tonem gimnazjalisty, który chce się dosiąść do najładniejszej dziewczyny w szkole. Kuba spojrzął na niego spode łba i nic nie powiedział, tylko uniósł delikatnie brwi. Chłopak uznał to za cichą zgodę. Odchrząknął i usiadł na ziemi obok policjanta.

– Jak zacząć? – zapytał z wyczuwalnym w głosie zainteresowaniem.

Nie podnosząc wzroku, Kuba zaczął mówić:

– Masz, weź to – powiedział, podając mu pistolet maszynowy. – Po pierwsze, zanim zaczniesz czyścić broń, musisz wyjąć magazynek. Teraz odbezpiecz broń, przesuwając bezpiecznik na literę P. O tak, tutaj. Cofnij zamek w położenie tylne, zajrzyj do środka i sprawdź, czy w komorze nabojowej nie ma pocisku. Zrzuć zamek, wyceluj, o tam, i oddaj strzał kontrolny. Nie chciałbyś raczej, żeby jakiś zabłąkany pocisk narobił niepotrzebnego bałaganu, nie? – dodał z uśmiechem.

Tomek w skupieniu wykonywał wszystkie polecenia.

– Okej, teraz rozłóż przedni uchwyt – kontynuował policjant, patrząc na ręce chłopaka. – Wciśnij rygiel do środka, ten z lewej strony, pod lufą. Dobra, teraz rozłóż. Yhm... A teraz kolbę. Wci-

śnij rygiel do środka. Ten z lewej strony też, z tyłu szkieletu, pod szczerbinką. Teraz ją obróć i zdejmij. Dobrze. To teraz wnętrze.

Trzy minuty później przed Tomkiem leżał rozbebeszony pistolet maszynowy. Powyginane kawałki metalu, sprężyny i tuleje, które po złożeniu stawały się śmiertcioną bronią i dodawały pięćdziesiąt punktów do pewności siebie. Chłopak patrzył zafascynowany na swoje dzieło, dumny z tego, że udało mu się rozłożyć broń za pierwszym razem.

– Fajnie. Co teraz? – zapytał Kuba.

– Teraz bierz szmatkę i wytrzyj broń z kurzu i sadzy. Potem weź drugą, nasącz ją w oleju i pucuj. W środku, na zewnątrz, wszędzie – powiedział policjant, składając pistolet. Szło mu to tak sprawnie, że Tomek był pewien, że ten mógłby go składać i rozkładać z zamkniętymi oczami. Kuba odłożył pistolet i sięgnął po strzelbę typu Imperator, którą również zamierzał rozłożyć i wyczyścić.

„W sumie to nie jest tak źle. Jeżeli pominąć ludzi pożerających się wzajemnie, strzelaniny, wszechobecną krew i chaos, to naprawdę jest całkiem fajnie” – pomyślał Tomek. W końcu niewielu jego kolegów mogło pochwalić się tym, że czyścili policyjną broń na komisariacie, o godzinie czwartej rano. Podobało mu się też to, że Kuba nie zadawał zbędnych pytań. Nie zastanawiał się, po co Tomkowi umiejętność czyszczenia broni, nie komentował. Po prostu pomógł.

– Właściwie to po co czyści się broń? – zapytał chłopak.

– Żeby ci się nie zacięła w najmniej odpowiednim momencie. No wyobraź sobie, że masz pełny magazynek, idą na ciebie dwa, trzy truposze, pociągasz za spust i... nic. Trochę słabo, nie? – odpowiedział Kuba.

– No – odparł Tomek, którego ręce zaczęły dokładniej czyścić broń. W sumie argument był całkiem logiczny.

Przez następnych parę minut pracowali w milczeniu, każdy pochłonięty swoim zajęciem.

– Kuba? – zapytał cicho chłopak. – Co my dalej zrobimy?

Mężczyzna przerwał na chwilę pracę i spojrzał przed siebie, zamyślony.

– Myślę nad tym od paru godzin – powiedział w końcu. W jego głosie słychać było rezygnację i zawód. – Nie spodziewałem się, że komenda będzie w takim stanie.

– No, ani ja.

– Plus jest taki, że mamy tu pełno broni i amunicji, wystarczy ją pozbierać. Budynek jest solidny, więc ciężko będzie go sforsować. W najgorszym wypadku możemy zamknąć się w celach, do których zombie na pewno się nie dostaną – stwierdził. – Ale zrobimy wszystko, żeby do tego nie doszło, bo wtedy będziemy totalnie uzależnieni od pomocy z zewnątrz. A z tym może być różnie.

Tomek nie odpowiedział, tylko trawił to, co przed chwilą usłyszał.

– Fajne buty – dodał na koniec mężczyzna.

Twarz chłopaka spłonęła purpurą, gdy zerknął na policyjne buty, założone na własne stopy. Przez ostatnie parę godzin zupełnie zapomniał, że mogą go połączyć z wypadkiem, którego był świadkiem. Że mogą go oskarżyć o brak wszczęcia alarmu, o nieprzekazanie informacji gdziekolwiek dalej. Potem te buty – wniosek nasuwa się sam.

– Spokojnie, nie musisz mi się tłumaczyć – powiedział Kuba. – Wszyscy robiliśmy różne rzeczy, żeby przeżyć. Robiliśmy to, co musieliśmy zrobić, chociaż nie do końca się z tym zgadzaliśmy. Ale tego wymagała sytuacja. Wiem jednak – spojrzał teraz w zielone, przestraszone oczy chłopaka – że nigdy nie zabiłeś kogoś, kogo nie musiałeś zabić.

Tomek poczuł się, jakby ktoś przekuł wielki balon, który trzymał nadmuchany w brzuchu. Powietrze uszło z niego z impetem, a głaz spadający z serca niemalże przyprawił o ból w krzyżu.

Nagle usłyszeli głośnie trzaśnięcie drzwi, oraz urwane, wycedzone przez zęby przekleństwo. Obaj nastroszyli się jak psy wartownicze i zaczęli nasłuchiwać, wpatrując się w nieokreślony punkt przed sobą. Kuba jako pierwszy wstał i pokazał gestem dłoni, że Tomek ma zostać na swoim miejscu. Przeładował cicho broń, korzystając z magazynka zabranego zabitemu wcześniej policjantowi i skradając się, podszedł do drzwi. Wyjrzał na korytarz, po czym błyskawicznie wrócił do chłopaka. Ukucnął przy nim, podał mu pistolet i powiedział:

– Stań przy drzwiach i celuj w korytarz. Jak ktoś się w nich pojawi, nie strzelaj od razu, ale poczekaj, aż podejdą bliżej – wyszeptał, w międzyczasie składając głauberyta, najciszej jak potrafił.

Jego ruchy były opanowane i schematyczne, co zważywszy na sytuację, w jakiej przyszło mu działać – było co najmniej godne podziwu. Po kilkunastu sekundach głauberyt i imperator były już złożone, załadowane i odbezpieczone. Tomek cały czas wpatrywał się w korytarz, ale na pytające spojrzenie Kuby tylko wzruszył ramionami. Nie pojawiło się nic podejrzanego. Mężczyzna wykorzystał to i podszedł do śpiącej żony.

– Kochanie, musisz wstać – powiedział, delikatnie potrząsając ją za ramię.

Natalia otworzyła swoje wielkie, niebieskie oczy i spojrzała na męża przerażonym wzrokiem.

– Znaleźli nas? – zapytała cicho, widząc palec wskazujący na ustach Kuby.

– Tak – odpowiedział krótko i rzeczowo. W takich sytuacjach nie ma co owijać w bawełnę. Zwłaszcza jeżeli za chwilę najprawdopodobniej będzie trzeba walczyć o własne życie.

– Zombie? Jak? Przecież się zabarykadowaliśmy – powiedziała zaskoczona, wstając z podłogi. Przeciągnęła się jak kotka, a Kuba widząc to, poczuł przyjemne mrowienie w podbrzuszu. Instykt samca działał nawet w sytuacji zagrożenia. Żeby nie było.

– Nie. Ludzie – powiedział krótko.

Natalia i Tomek spojrzeli na niego zaskoczeni. Skoro to nie zombie wkroczyli do wnętrza, tylko zwykli ludzie, to dlaczego Kuba zachowuje się tak dziwnie?

– Później wam to wytłumaczę – powiedział, widząc ich miny.

Podszedł do drzwi, wychylił się i krzyknął:

– Rzućcie broń i oprzyjcie się rękami o ścianę! – jego donośny głos odbił się echem od pustego komisariatu. Odpowiedział mu odgłos potrącanych krzesel, biurek i kroków świadczący o tym, że obcy błyskawicznie przeorganizowali się i zajęli bezpieczne pozycje. Do jego uszu doleciała seria wymienianych między sobą przekleństw i pytań, jednak poza tym nie doczekał się oficjalnego komunikatu.

Kuba odetchnął głęboko i ponownie krzyknął:

– Wkroczyliście uzbrojeni na teren komendy policji, rzućcie broń i oprzyjcie się rękami o ścianę, bo otworzymy ogień!

Tym razem odpowiedź była nieco inna. Głośny huk wystrzału przegalopował przez budynek, a sam pocisk odbił się rykoszetem kilka centymetrów od twarzy policjanta. Ten błyskawicznie schował się z powrotem w pomieszczeniu i głośno zaklął. Tomek i Natalia patrzyli na niego przerażeni, nie wiedząc, ani co robić, ani co myśleć.

– Bierzcie broń – rozkazał – Natalia, podaj mi glauberyta. Tomek, weź strzelbę – kontynuował, gdy przerwał mu okrzyk:

– Hej! Nie szukamy kłopotów! – doleciało z głębi korytarza. – Wróciliśmy po parę naszych rzeczy, pozwólcie nam przejść, to nikomu nic się nie stanie!

Kuba zastanowił się przez chwilę. Zaryzykował błyskawiczne zerknięcie na korytarz i zobaczył, jak jeden z napastników się przemieszczał, zmniejszając dzielący obie grupy dystans. A więc atakowali, mimo obwieszczenia, że nikomu nic się nie stanie. Zresztą wcześniejszy strzał tylko to potwierdza. „Chcą, byśmy się poddali, a jak wyjdziemy z pomieszczenia, to albo nas zastrzelą, albo rozbiją i wezmą do niewoli” – pomyślał policjant. I wtedy nagle doznał olśnienia. Puzzle wskoczyły na swoje miejsce i spowodowały, że krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach.

– To oni zastrzelili policjantów, których tu znaleźliśmy. Oni też zrabowali broń, ale nie dali rady unieść wszystkiego, więc wrócili teraz po resztę – powiedział do Natalii i Tomka. W ich oczach dostrzegł błysk zaciętości i strachu zarazem.

Jeżeli zabili policjantów, to nie zawahają się przed zastrzeleniem zwykłych obywateli.

– Odejdźcie, to nikomu nic się nie stanie! – krzyknął Kuba.

– Posłuchaj, kolego, spierdalajcie, póki macie na czym. Jasne? – błyskawiczna i cięta riposta nie pozostawiła wątpliwości co do intencji przybyszów.

– Nie, to wy posłuchajcie! – wydarł się Kuba. – Mówi inspektor Jakub Drejer, Biuro Kryminalne Komendy Głównej Policji. Rzućcie broń!

Zapadła głucha cisza. Funkcja Kuby zdecydowanie zmieszała napastników, jednak bardzo szybko odzyskali rezon:

– Patrzcie, jeszcze jeden został! – wesoło krzyknął któryś z nich, co raczej nie wróżyło niczego dobrego. Następane sekundy tylko to potwierdziły.

W stronę wejścia do biura poleciało kilkanaście pocisków, a za nimi kilka przekleństw. Gdyby bluzgi mogły zabijać, cała trójka już by zapewne nie żyła. Natalia i Tomek skulili się ze strachu na podłodze, ale szybko podeszli do ściany, którą wskazał im policjant. Kuba błyskawicznie oszacował, że przeciwnicy mają co najmniej dwie bronie automatyczne, strzelbę i na pewno dwa lub trzy pistolety. Co znaczy, że jest ich sześciu lub pięciu. Jedna wysoka para, wysoka karta i dość słaba trójka albo para. Z futryny sypały się kawałki drewna, jednak żaden zabłąkany rykoszet na szczęście nikogo nie trafił. Opatrzność, o ile takowa istnieje, czuwała nad nimi. Przynajmniej na razie. Przy odrobinie szczęścia wszyscy napastnicy okażą się bandą debili, którzy dorwali się do zabawek przeznaczonych dla dorosłych. Zamiast postawić ogień zaporowy i podejść do drzwi, każdy strzelał jed-

nocześnie, co całkowicie mijają się z celem. „Czyli raczej debile” – pomyślał mężczyzna. Miał w ręku dwie różne karty, ale reszta leżała na stole. Wszystko mogło się zdarzyć. Pora odkryć *flopa*. Wziął głęboki oddech, czekając, aż przestaną strzelać, i gdy to nastąpiło, wychylił się zza drzwi. Wszedł do gry.

Pierwszy z napastników był strasznie zaskoczony, gdy kula wystrzelona z walthera przeszła jego klatkę piersiową, centralnie w miejscu styku żeber. Kuba zdążył jeszcze zobaczyć grymas niedowierzania na jego twarzy. Strzelba upadła na ziemię obok ciała. Ułamek sekundy później seria puszczonego z glauberyta, tkwiącego w drugim ręku Kuby, trafiła innego faceta odpowiednio w żołądek, klatkę piersiową i policzek, nim ten zdążył zniknąć za ścianą. „A jednak chcieliście nas podejść, zasrańcy” – pomyślał Kuba. Przebiegł przez korytarz i dał nura za metalowe szafki na dokumenty. Blacha i tkwiąca za nimi biurokracja pochłonęły ołów przeznaczony dla policjanta. Dwóch odpadło. Kuba podbił stawkę, ale w grze była jeszcze mocna para i pozostałości po trójce, czyli w sumie dwie pary.

Zobaczmy, co nam pokaże *turn*.

Wychylił się, żeby zrobić tę samą sztuczkę co przed chwilą. W ostatnim momencie udało mu się schować. Zauważył bowiem, że próbują go obejść z dwóch stron naraz. Tego nie przewidział, a powinien. „Szybko się uczą, skurwysyny” – pomyślał. Zagrali wysoko, a on nie może ani spasować, ani czekać. Trzeba podbić stawkę, puła robił się naprawdę ciekawa. Wychylił rękę z pistoletem maszynowym i puścił serię w miejsce, gdzie – jak mu się wydawało – powinien stać przeciwnik, zachodzący go od lewej. Kilka kul nie odbiło się od ściany, a to, że utkwily w czymś miękkim i organicznym, potwierdził jęk bólu. Dobrze, kolejny odpadł. Wiedząc, że jedna ze stron jest wolna, Kuba zdecydował się na kolejne podbicie stawki. Wybiegł zza szafki i skierował się z powrotem w kierunku biura, w którym została Natalia i Tomek. Jednak uporczywy ogień, prowadzony przez napastników, nie pozwolił mu dotrzeć do celu. Mężczyzna zanurkował w przeciwległym biurze. Zakrawało na cud, że udało mu się wyjść z tego wszystkiego bez chociażby draśnięcia.

Instynkt podpowiedział mu bardzo ryzykowne zagranie.

Kiedy Kuba się schował, napastnicy zaczęli podchodzić, chcąc wykończyć go w ślepym zaułku. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chowa się gdzieś tylko po to, żeby za chwilę z tej kryjówki wyskoczyć. Jednak Kuba ostatnio nie czuł się jak osoba będąca przy zdrowych zmysłach. Więc gdy tylko wskoczył do pomieszczenia, błyskawicznie pozbył się glauberyta, złapał swoje ukochane dziecko, pistolet Walther P-99 w obie ręce i wrócił na korytarz. Wszedł *all-in*, gdy na stole leżał jeszcze nieodkryty *river*.

Dwóch ludzi, zgodnie z jego założeniem, nadbiegało korytarzem. Kuba, upadając na ziemię, zastrzelił pierwszego z nich, dosłownie o włos mijając kule wystrzelone z broni drugiego. Gdy upadł, otworzył ogień do ostatniego napastnika. Trafił go w brzuch i zmusił do bolesnej kapitulacji. Trafiony napastnik wyrzucił broń i znalazł się na podłodze, wyjąc z bólu. Kuba, niewiele myśląc, dobił go strzałem w głowę. Dwóch poległo z glauberyta, trzech z walthera. To by dawało całkiem niezłego *fulla*. Cóż, może nie najmocniejszy układ, ale jak się okazało – wystarczający.

Mężczyzna uśmiechnął się w duchu i podniósł z podłogi, żeby pozbierać zetony.

Jednak opatrność istnieje.

Z pomieszczenia, w którym wcześniej czyścił broń, wyskoczył Tomek i blada ze strachu Natalia. Cała akcja Kuby trwała zbyt krótko, żeby pozostała dwójka zdążyła wymyślić jakikolwiek logiczny plan wsparcia policjanta. Na szczęście okazało się, że nie trzeba go było wspierać. Kuba stał teraz przed nimi i dyszał z wysiłku. Miał wrażenie, że adrenalina dosłownie paruje z jego organizmu.

Złapał oddech i powiedział:

– Musimy wrócić do magazynu broni. Gdzieś tam schowali zapasy, których nie zdołali udźwignąć.

Dwójka popatrzyła na niego zgodnie, jednak chłopak miał nieco inny pomysł:

– Dobra, ale najpierw chyba powinniśmy zabarykadować drzwi. Zombie pewnie słyszeli strzelaninę i zaraz tu będą.

Kuba przez chwilę zapomniał o tym podstawowym i bardzo licznym przeciwniku. Kiwnął tylko głową i cała trójka pobiegła stawiać zaporę. Drzwi na szczęście były zamknięte, ale i tak obaj mężczyźni zastawili je paroma biurkami oraz szafkami. Przewrotny zawsze ubezpieczony.

Parę minut później wrócili do znanego już magazynu broni. Przeszukali ponownie pomieszczenie, jednak niczego nie znaleźli.

– Pewnie nie schowali tego tutaj – zaczęła Natalia. – Nie schowali broni w magazynie, bo każdy, kto przyjdzie do komisariatu, najpierw swe kroki skieruje do tego miejsca. Powinniśmy szukać gdzie indziej.

– Gdzie na przykład? – zapytał Tomek.

– Nie wiem, znam ten budynek tak samo, jak ty. Chyba, że bywałeś już tutaj? – odpowiedziała, patrząc na chłopaka wzrokiem mówiącym, że może jednak mały gówniarz zna go lepiej.

Tomek nie skomentował spojrzenia, natomiast zapytał Kubę:

– Ty pewnie się na tym znasz najlepiej z nas. Gdzie można schować broń?

Policjant popatrzył na niego z politowaniem.

– Pistolet możesz schować w segregatorze, a haubicę polową w środku lasu. Nie wiem, jaką broń schowali, ale pewnie zostawili ją w jakiejś torbie, żeby łatwo było ją przenieść.

– Dobra, może zamiast gadać, po prostu zacznijmy szukać? – zapytała ponownie Natalia.

Mężczyźni kiwnęli głowami i cała trójka wyszła z pomieszczenia. Wbrew wszelkim zasadom obowiązującym w horrorach, rozdzielili się, jednak w taki sposób, że każdy był pilnowany przez przynajmniej jedną osobę. Po kilkunastu minutach Tomek trafił na dwie ciężkie torby schowane pod jednym z biurek. Wyciągnął je i otworzył, zawoławszy wcześniej pozostałą dwójkę.

Torby były wypełnione bronią i amunicją. Poczuli się jak w *Matriksie*, gdy Neo i Trinity szli odbijać Morfeusza. Bandyci musieli znać się na rzeczy, bo amunicja była schowana razem z bronią, do której pasowała. Kuba nie uwierzył w ich własne szczęście. W jednej z toreb leżały trzy pięknie błyszczące pistolety maszynowe H&K MP5A3. Leciutka broń używana przez komandosów GROM-u oraz okazjonalnie przez oddziały specjalne polskiej policji, w wariantcie z rozkładaną kolbą i latar-



ką taktyczną przyczepioną pod lufą. Broń została stworzona z myślą o walce na krótkim dystansie w terenie miejskim. Minimalny odrzut przy bardzo dużej szybkostrzelności i doskonałej celności. Do tego, pod pistoletami leżały pudełka, zawierające co najmniej czterysta sztuk amunicji. W drugiej torbie znaleźli dwie strzelby Imperator oraz około stu dwudziestu naboii. Poza tym leżał jeden glauberyt, jednak bez zapasu amunicji.

Po zebraniu toreb oraz broni od osób zastrzelonych przez Kubę, okazało się, że dysponują całym sporym arsenałem. W sumie cztery strzelby, sześć pistoletów maszynowych i cztery zwykłe. Brakowało tylko granatów i wsparcia lotniczego, by można było ruszyć na wojnę.

Cała trójka patrzyła na broń niczym na znaleziony właśnie skarb.

– Okej, słuchajcie – zaczął Kuba, biorąc głęboki oddech. – Dobrze w naszej sytuacji jest to, że mamy dużo splan i amunicji. Poza tym trochę wypoczęliśmy. Jest... wpół do piątej, więc nie mamy po naszej stronie osłony nocy. A musimy stąd wiać.

– Dlaczego? – zapytała Natalia, spoglądając na męża.

– Bo przyjdzie tu więcej ludzi, którzy będą chcieli odbić broń – powiedział przytomnie Tomek.

Kuba uniósł brwi z zaskoczenia, ale i uśmiechnął się do chłopaka, który powiedział dokładnie to, o co mu chodziło.

– Tak. Tomek ma rację. Przyjdą następni, a nie wiemy, czy tym razem uda nam się tak łatwo ich załatwić – powiedział policjant.

– Ale może być też tak, że zabięś wszystkich i nie ma już nikogo, kto miałby przyjść po broń – powiedziała Natalia. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Kuba jednak był przygotowany i na to, więc błyskawicznie odpowiedział:

– Jasne, ale mogą być inne grupy. Pomyśl, ci ludzie, którzy przeżyli pierwsze parę godzin, pójdą po rozum do głowy i pierwsze, co zrobią, to albo zabarykadują się gdzieś i będą czekać na pomoc, albo wyjdą na miasto w poszukiwaniu broni. Więc nawet jeżeli pozbyliśmy się wszystkich rabusiów z jednej grupy, to wkrótce przyjdą następni.

Natalia nie odpowiedziała, tylko patrzyła smutnym wzrokiem. Kuba doskonale ją rozumiał. Chciał pocieszyć i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, jednak nie mogło mu to przejść przez gardło.

Nagle dziewczyna uniosła głowę i patrząc prosto w oczy męża, bojowo zapytała:

– Dobra. To gdzie chcesz jechać?

Ten wytrzymał spojrzenie, chociaż wielkie, niebieskie oczy Natalii zdawały się świdrować go na wylot.

– Jeżeli w mieście jest taki rozpiardol, to... opuśćmy je – odpowiedział spokojnie, jakby podejmował decyzję co do miejsca, w którym zjedzą niedzielny obiad. – Wyjedźmy z Warszawy.

## MOKOTÓW, GODZINA 04:56.

Jacek siedział w ciemnym pomieszczeniu z kilkoma śpiącymi facetami i pozwalał, by trawił go największy kac w historii ludzkości. Jego znajomi drzemali w najlepsze, podczas gdy po podłodze walały się puste butelki po whiskey i innych trunkach. Dla każdego znalazło się coś, co lubił. Smród trawionej wódki unosił się w powietrzu, czyniąc duszne pomieszczenie jeszcze mniej zdatnym do życia. Nie pamiętał, o której godzinie usnął, wiedział tylko, że nowi koledzy polewali mu, a on – żeby łatwiej zdzierżyć ich żalotne towarzystwo – systematycznie pozwalał się upijać. I jak widać – wyszło mu to dość dobrze.

Przetarł brudną ręką zmęczoną twarz i usiadł na posadce. Przesunął wzrokiem po śpiących mężczyznach, przyglądając się rytmicznie unoszącym się i opadającym klatkom piersiowym. Zastanowił się, czy zombie też oddychają? Chyba powinni, ale jaki to ma sens? Jeżeli nie oddychają, to może można trzymać takiego w zamknięciu, przez nie wiadomo ile czasu. Na tę myśl uśmiechnął się ponuro sam do siebie. To stwarza nowe perspektywy. Wyobraził sobie zombie zamkniętych w szczelnym pomieszczeniu albo pod wodą, albo z siatką zawiązaną na głowie. Jednak stwierdził, że w każdej wersji wyglądałoby równie durnie, więc szybko zrezygnował z dalszych fantazji. Obiecał sobie jednak, że kiedyś wróci do tego tematu.

Wstał i ruszył przed siebie. Lawirował pomiędzy leżącymi mężczyznami, aż do momentu, gdy zrobił wielki krok, żeby znaleźć się na korytarzu. Poszedł w stronę okna, z którego półtorej godziny wcześniej obserwowali zaciętą bitwę między zombie a żołnierzami broniącymi obozu. Z bezpiecznej odległości, pijani i weseli, komentowali wydarzenia, nie bacząc na to, że kilkaset metrów dalej ludzie walczą o życie. Walczą i przegrywają. Jacek od samego początku wiedział, że tak to się skończy. Nie trzeba było być absolwentem Wyższej Szkoły Wojsk Lądowych, żeby wiedzieć, że z tak przeważającym liczebnie przeciwnikiem nie walczy się w otwartym polu. Problem oficerów jednak był taki, że nie docenili wroga i najzwyczajniej w świecie nie spodziewali się ataku. „Biedactwa. Szkoda, że nigdy nie będą mieli okazji naprawić swojego błędu” – pomyślał. Wziął lornetkę leżącą na parapecie i zlustrował pozostałości po obozie.

Większość namiotów spłonęła, a te, które uniknęły płomieni, leżały zawalone na ziemi. Trzy stały nieruszone, podczas gdy poranny wiatr smagał ich niedomknięte wejścia. Wszędzie widać było ślady krwi oraz fragmenty rozerwanych ciał. Całych zachowało się względnie niewiele. Większość została pożarta, a te wyłącznie nadgryzione po jakimś czasie po prostu wstały i ruszyły na żer. Wszędzie natomiast leżało pełno broni. Jacek nawet z tej odległości widział połyskujące w ostrym, porannym słońcu karabiny maszynowe. Gdyby ktoś teraz patrzył na brudnego, obszarpanego mężczyznę, zobaczyłby w jego oczach chwilowy błysk radości oraz chytry uśmiezek, malujący się w kącikach ust. Stara, dobra noga od stołu dobrze mu służy, ale na dłuższą metę przyda mu się

broń palna. Poza tym, tak łatwiej będzie się pozbyć górskich olbrzymów, głośno chrapiących na drugim końcu korytarza. Bo już podjął decyzję, że woli umierać w samotności. Nie potrzebuje do tego towarzystwa. Niby mógłby po prostu odejść, chociażby teraz, i zostawić ich samych. Jednak jakaś mroczna część jego podświadomości, ta obecnie przeważająca, uparcie chciała zobaczyć, jak mężczyźni zakończą swój żywot. I coś mówiło Jackowi, że będzie mu to dane.

Trzeba ich obudzić i udać się do splądrowanej bazy, zanim ktoś inny wpadnie na ten sam pomysł. Co prawda nie wierzył zbyt w to, że ktoś byłby na tyle głupi, żeby wychodzić z bezpiecznej kryjówki, ale skoro on to robi, może inni też na to wpadną? Szczerze w to wątpił. Ale trzeba działać, ot tak, na wszelki wypadek. Zawrócił do pokoju i pogardliwie kopnął leżącego najbliżej mężczyznę. Cielsko nie zareagowało w żaden sposób, toteż Jacek poprawił kopnięcie. Dalej nic. Za trzecim razem wziął potężny zamach i uderzył z całej siły. Pijany wór uniósł się odrobinę, po czym wydęte od alkoholu usta rozchyliły się, wypuszczając na świat jedno, ledwo słyszalne słowo:

– Spierdalaj.

A następnie dalej zapadł w drzemkę, nie zaszczycając Jacka nawet jednym spojrzeniem. Mężczyzna głośno wypuścił powietrze. Obudzenie tej trzody zajmie mu sporo czasu, ale potrzebował ich tam, gdzie zamierzał się udać.

## MOKOTÓW, GODZINA 05:02.

Paweł cały czas wpatrywał się w okno. Od ostatniej wymiany paru zdań, która miała miejsce trochę ponad godzinę temu, nie rozmawiał z chłopakiem. Max usnął na chwilę, ale dręczyły go koszmary, więc nie spał zbyt długo. Paweł natomiast, nieruchomy i niewzruszony niczym posąg z Wysp Wielkanocnej, wpatrywał się w okno... Jego bystry umysł działał na jałowym biegu, regenerując się i gromadząc energię, której, czego był pewien, będzie potrzebował. Błądził myślami po Warszawie, zastanawiając się, gdzie może być teraz jego córka. To, że przeżyła, było pewne – innej opcji nie przewidywał. To nie tak, że był niepoprawnym optymistą – po prostu znał swoje dziecko, wiedział, jak je wychował i czego może się po nim spodziewać. Kaja była sprytna, bystra i spostrzegawcza. Oraz cholernie uparta, zupełnie jak jej matka. Na wspomnienie żony serce Pawła zabiło mocniej, jednak równie szybko pojawiło się zupełnie nowe uczucie, które w tej wersji wspomnień jeszcze nigdy nie gościło – uczucie wdzięczności, że jego żona już nie żyje. Że nie żyje i co się z tym wiąże – nie musi oglądać ani doświadczać koszmaru, który rozgrywa się wszędzie dookoła.

Pora ruszać na miejsce bitwy. Wstał, podszedł do drzemającego chłopaka i potrząsnął delikatnie jego ramię.

– Max. Obudź się. Już czas.

Chłopak błyskawicznie zerwał się z posłania i usiadł. Długie, czarne loki zafalowały i napuszyły się jakby w geście protestu, po czym odpadły, zasłaniając tym samym szeroko otwarte, brązowe oczy nastolatka. Paweł przyglądał się mu, pozwalając, by chłopak się trochę rozbudził. Max przetarł dłońmi po zaspanej twarzy, następnie spojrzał na Pawła, potem za okno i powiedział:

– Naprawdę już? – było to pytanie pełne rezygnacji, ale też nadziei, że może mężczyzna zmieni zdanie.

– Tak. Powinniśmy wyjść – odpowiedział spokojnym głosem Paweł.

– Skoro tak... A właściwie to dlaczego tak wcześnie?

– Łatwiej i bezpieczniej poruszać się w świetle dnia.

– Rozumiem, naprawdę, ale czy to musi być piąta rano? Nie mógłbym jeszcze trochę poospać? – przeciągnął ostatni wyraz, kładąc się z powrotem na posłaniu i jednocześnie zamykając oczy.

Paweł uśmiechnął się pod nosem. Ten chłopak przypominał mu jego własną córkę, która codziennie rano musiała stoczyć zażartą walkę z kołdrą. Swoją drogą, walkę, którą nierzadko przegrywała.

– Wstawaj. Może czekać nas długi dzień – powiedział mężczyzna i podniósł się z podłogi. Po chwili usłyszał, jak Max, niechętnie, też się podnosi, mamrocząc coś pod nosem.

Kilkanaście minut później byli już po śniadaniu i porannej toalecie. Paweł zaryzykował nawet zrobienie kawy, jednak warował przy czajniku i wyłączył go natychmiast, gdy tylko zaczął gwizdać. Teraz stał z gorącym kubkiem w ręku i wdychał aromat świeżo parzonej kawy. Max podszedł do niego i z obrzydzeniem spojrzał na zawartość kubka.

– Bez mleka? – zapytał.

– Bez.

– A cukier?

– Łyzeczka. Czasem półtorej – odpowiedział oficer.

– Masakra. Jak ty to możesz pić? – zapytał Max, który zebrał się w sobie i powąchał napój. Przez ciało przeszedł mu dreszcz.

– Normalnie. Przyzwyczailem się – powiedział rozbawiony Paweł. – Jak jedziesz w pole na dwa miesiące... no, na poligon znaczy, to mleka nie bierzesz, bo się łatwo psuje. Cukier szybko się kończy, kawa zresztą też, ale łatwo ją ukryć. Cukier na dodatek kradną te łapserdaki od herbaty. Poza tym – kawa stawia na nogi. Ach, i jeszcze jedna rzecz. Ale nie wiem, czy mogę ci to powiedzieć.

Oczy Maxa rozszerzyły się z zaciekawieniem.

– Co? Powiedz.

Paweł pochylił się konspiracyjnie nad chłopakiem, rozejrzał wokół i kiedy upewnił się, że w pomieszczeniu nie ma żadnego zombie, który ich podsłuchuje, wyszeptał:

– Poza tym mi to po prostu smakuje.

Max odsunął się i zmarszczył brwi. Po chwili jednak uśmiechnął się, a następnie odwrócił na pięcie i podreptał w stronę swojej herbaty.

Przez chwilę rozmawiali na temat przeszukania szaf właściciela domu, lecz jednogłośnie stwierdzili, że to jeszcze nie ten etap. Jeszcze za wcześnie na plądrowanie czyjegoś domu w poszukiwaniu zastępczych ubrań. Cała sytuacja trwa niespełna dobę, a kradzież byłaby jakby potwierdzeniem kryzysowej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Wystarczy, że ukradli pożywienie ze sklepu na dole.

– Max, jak będziemy na dole, to weź jeszcze trochę jedzenia do plecaka – zaczął Paweł. – A tak w ogóle to powinniśmy już ruszać. Jesteś gotowy?

Chłopak spojrzał na niego i odpowiedział:

– Tak. To znaczy, szczerze mówiąc, w ogóle mi się nie chce tam iść, ale skoro tak będzie lepiej...

– Będzie – wszedł mu w zdanie Paweł. – Jeżeli sytuacja się polepszy, a przynajmniej nieco unormuje, to szybciej nas tam znajdą. Albo my znajdziemy pomoc. Jeżeli się pogorszy, to prędzej czy później skończy nam się jedzenie i tak czy inaczej, będziemy musieli stąd wyjść.

– Przecież mamy cały sklep jedzenia. Starczyłoby na całe miesiące na naszą dwójkę – zripostował chłopak, zakładając ciężkie glany na nogi.

– Tak, zgadza się – rzekł Paweł. – Zakładając, że nikt inny nie wpadłby z wizytą. Poza tym, nie mamy broni. Max, posłuchaj. Pozostawanie w ruchu to nasza jedyna szansa na przeżycie. Uwierz mi, wiem coś na ten temat.

Tak, tego argumentu chłopak nie mógł przebić. Niby oglądał Discovery i tam też mówili, że przemieszczanie się jest jednym z priorytetów. O ile oczywiście jest możliwe. Szkoda, że nikt nie zrobił programu o tym, jak przeżyć we własnym mieście opanowanym przez zombie.

Kilka minut później byli już na dole. Paweł zszedł pierwszy, delikatnie otwierając drzwi i zaglądnąwszy w każdy róg. Za broń służył mu tasak do mięsa, który znalazł w kuchni właściciela mieszkania. Słabo, ale aktualnie nie było nic lepszego.

Upewniwszy się, że sklep nie wywołał specjalnego zainteresowania zombie, mężczyzna i chłopak zagłębili się między półki z jedzeniem. Paweł kazał chłopakowi zapakować do plecaka kilka konserw mięsnych i suchary, podczas gdy sam został na czatach. Konserwy miały długi termin przydatności, poza tym nie trzeba było się o nie jakoś szczególnie troszczyć w transporcie. Max zapakował w sumie około siedmiu kilogramów jedzenia, doliczając jeszcze butelkę z wodą przytoczoną do bocznych pasków plecaka. Tymczasem Paweł przyglądał się ulicy. Okazała się pusta, jakby wymarła. Co zresztą niewiele mijalo się z prawdą. Żadna żywa czy nieumarła dusza nie pokazała się w zasięgu wzroku.

– Okej, mam wszystko, co kazałeś mi wziąć – powiedział Max, podchodząc na kucach do Pawła.

Ten kiwnął mu potakująco głową.

– Cholera, miałem nadzieję, że uda nam się tu znaleźć jakąś broń – powiedział z rezygnacją, rozglądając się jeszcze po półkach.

– Nie, tu jest tylko jedzenie – skwitował Max.

Paweł pokiwał w milczeniu głową. Wyjście z bezpiecznej kryjówki, dodatkowo z jednym tylko tasakiem, wydaje się być dość nierozsądnym rozwiązaniem. Ale decyzja już zapadła.

– Dobra, idziemy.

Max przełknął głośno ślinę i ruszyli w stronę zamkniętych drzwi.

Mimo wczesnej godziny, było już ciepło. Poranne, lipcowe słońce przyjemnie grzało ciała, dodając otuchy i podnosząc morale. Paweł nie mógł się nadziwić Maxowi, który kroczył w ciężkich gładkach i grubych bojówkach. Sam nieraz chodził w wysokich, wojskowych butach, co było dość oczywiste, ale tamto obuwie było inne. Dostosowane do warunków klimatycznych, w których rozgrywała się dana akcja, oddychające. Natomiast te buciory wyglądały na stworzone z nieprzepuszczającej powietrza warstwy, w której stopy dosłownie się gotują. Jednak chłopak zdawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi. Obaj stąpali spokojnie, jakby poruszali się po polu minowym, jednocześnie bacznie rozglądając się wokół.

Po kilku minutach wędrówki weszli na ulicę Stefana Batorego, przeszli między równo ustawionymi blokami i oficjalnie znaleźli się na Polach Mokotowskich. Pola swoją powierzchnią łączyły trzy dzielnice Warszawy – Ochotę, Śródmieście i sam Mokotów. Paradoksalnie najmniejszy przydział pozostawiając tej ostatniej. Jedno z ulubionych miejsc spędu warszawiaków, pełne zieleni, drzew i małych stawów. Teraz również pełne cierpienia, krwi i śmierci. Paweł czuł się, jakby kroczył we śnie. Nie zatrzymywał się, ale stąpając powoli po zielonej trawie, pozwolił się ponieść ponurym

myślom. Prawdopodobnie zrobiłoby mu się lżej na sercu, gdyby wiedział, że Max odbiera to dokładnie tak samo, jak i on. Chłopak oddałby całe zgromadzone jedzenie, żeby tylko nie zagłębiać się między drzewa.

Park był pusty. Taki stan rzeczy nie powinien nikogo dziwić, zwłaszcza że była środa, przed godziną szóstą rano. Jednak coś było nie tak. Brakowało ptaków, które codziennie rano wyśpiewywały swoje arie, ku uciechu miłośników wczesnego wstawania i ku utrapieniu tych, którzy woleli dłużej spać. Powietrze pachniało inaczej, jakby było przesycone bólem. Jakby znaleźli się w szpitalu.

– Ej, Paweł – zagadał chłopak. Mężczyzna mruknął, co znaczyło, że go usłyszał, jednak nie odwrócił się, bo uparcie wpatrywał się przed siebie w poszukiwaniu najmniejszego ruchu. – To chyba dziwne, że nikogo tu nie ma, nie? – dokończył Max.

– Mhm – stwierdził Paweł – też o tym myślałem.

– To znaczy wiesz, mi nie przeszkadza, że jest tak pusto i nie wałęsają się te pojeby, ale... – zaczął się tłumaczyć Max.

– Wiem, rozumiem. Mi też coś tu nie gra. Dlatego musimy być maksymalnie ostrożni. I przyspieszyć.

– Przyspieszyć? – zapytał chłopak.

– A czym się obronisz, jeśli nagle nas zaatakują? – tym razem Paweł odwrócił się i spojrzał na Maxa, którego oczy rozszerzyły się z przerażenia. Wyobraźnia chłopaka działała dość dobrze, toteż nie miał najmniejszego problemu ze zwizualizowaniem sobie tego, co by się stało, gdyby otoczyło ich kilku zombie. Zaczęli iść szybciej, jeszcze uważniej rozglądając się wokół.

Nie wierzyli w swoje szczęście, gdy po wyjściu zza kępy krzaków ich oczom ukazał się zniszczony obóz wojskowy. Paweł gestem dłoni pokazał chłopakowi, żeby ukucnął. Skryli się za wielkim dębem i przez chwilę w milczeniu obserwowali teren.

– Teraz musimy uważać. Jacyś... zombie – Paweł z trudem wykrztusił z siebie drugie słowo – dalej mogą tu być. Żerować. Albo po prostu kręcą się bez celu, co i tak nieźle im wychodzi. Nieważne. Podchodzimy, bierzemy najbliższą broń i cały czas trzymamy się razem, jasne? Jak zobaczymy, że jest czysto, to możemy się rozejrzeć za resztą rzeczy. Umiesz strzelać?

Max pokręcił przecząco głową.

– To się nauczysz. Kiedy podniesiesz broń maszynową, najpierw sprawdź magazynek – jeśli jest pełny, to od razu przełącz tryb prowadzenia ognia na pojedynczy. Przeważnie jest albo taka mała wajcha, albo guzik, który zwalnia magazynek. Wciskasz, wysuwasz, sprawdzasz. Potem po prostu wsadzasz go z powrotem, aż usłyszysz głośne kliknięcie. To znaczy, że zamek załapał. Pokażę ci, gdzie przełączyć tryb prowadzenia ognia. Inaczej po wciśnięciu spustu w parę sekund zostaniesz bez amunicji. To może cię kosztować życie. Jasne?

Tym razem kiwnięcie było potakujące.

– Dobra, to idziemy. Trzymaj się za mną.

Powiedziawszy to, Paweł wyszedł zza skrywającego ich drzewa i pochyłony ruszył w kierunku wyłomu w ogrodzeniu. Max trzymał się tuż za nim. Przeszli po leżącej na ziemi siatce i kłębach

drotu kolczastego, uważnie stawiając nogi, żeby tylko się nie poranić. Tu zapach śmierci był niemalże namacalny. Fetor gnijącego, rozkładającego się mięsa unosił się w powietrzu, przyprawiając o zawroty głowy. Setki much żerowały na fragmentach porozrywanych ciał. Obóz przypominał scenografię z horroru, gdzie zbyt fantazyjny scenarzysta rozlał zdecydowanie za dużo sztucznej krwi i porozrzucił kilogramy mięsa, żeby tylko jak najwierniej oddać klimat rzezi. Jedyna różnica polegała na tym, że to wydarzyło się naprawdę. Krew nie była sztuczna, tak samo jak walające się fragmenty ludzkich ciał. Max, który z obrzydzeniem, ale i dziwną fascynacją przyglądał się wszystkiemu, zwymiotował nagle śniadanie, zginając się w pół. Fragment nadgryzionego ucha, na który przez przypadek chłopak nadepnął, był swoistym punktem krytycznym dla jego żołądka. Paweł tylko odwrócił się i gestem dłoni nakazał chłopakowi zachować maksymalną ciszę. Zmaltretowany nastolatek kiwnął głową przepraszająco.

Wyszli z za namiotu i ukucnęli za drewnianymi skrzyniami. Paweł wystawił głowę, uważnie lustrując otoczenie i nasłuchując wszelkich podejrzanych odgłosów. Naraz schylił się i zanurkował między skrzynie, aby po chwili powrócić z karabinem maszynowym typu Beryl. Sprawnym ruchem sprawdził zawartość magazynka, po czym ponownie załadował i od razu odbezpieczył. Max był pod wrażeniem fachowych ruchów komandosa. Z jego punktu widzenia wszystko odbyło się machinalnie, jakby bez świadomości Pawła – ale każdy ruch był przemyślany, nic nie działo się bez przyczyny. Niby taki szczegół jak przeładowanie broni, a pozwala pokazać, jak bardzo ktoś jest obeznany z tematem. Chłopakowi zrobiło się dużo lżej na sercu.

Nagle usłyszeli dziewczęcy krzyk, dobiegający gdzieś spomiędzy namiotów. Przez ułamek sekundy Max zdążył zobaczyć, jak oczy Pawła rozszerzają się z przerażenia, po czym mężczyzna rzucił się biegiem w kierunku, z którego dobiegał głos. Chłopak bez zastanowienia ruszył tuż za nim.



## POLA MOKOTOWSKIE, GODZINA 05:25.

Udało mu się. Jacek sam był w szoku, gdy stwierdził, że czwórka ćwierćprzytomnych mężczyzn dała się w końcu obudzić. Szli teraz obok niego, mamrotaniem wyrażając swoje niezadowolenie. Nie był do końca świadom, jak udało mu się ich namówić do wyprawy. Może obietnicą skarbów, jakie znajdą w splądrowanym obozie? Całej tej broni, wojskowych pojazdów, amunicji. Dodatkowych zabawek i atrybutów władzy, która tak bardzo przypadła im do gustu. Jednak gdy Jacek sięgnął głębiej do skołatanych pokładów własnej pamięci, przypomniał sobie, że to rozmowa z największym górale, z Grzegorzem, przyniosła oczekiwany rezultat. Grzesiek w pewnym momencie po prostu kiwnął głową, mruknął do kompanów: „Idziemy”, a cała reszta wstała i poszła.

Pomimo wczesnej pory, słońce już mocno grzało. Niestety to sprawiło, że wszyscy jeszcze bardziej śmierzdźli. Jacek zastanowił się, kiedy ostatni raz się kąpał, ile dni przed... inwazją? Atakiem? Nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa. Może apokalipsą? Chociaż nie, te wszystkie terminy określają zmianę na coś gorszego. Natomiast dla wysuszonego pracownika korporacji, paradującego w czerwonej od krwi koszuli, zmiana, jaka nastąpiła, była zmianą na lepsze. Nowy początek. Tak. Jacek kiwnął głową w milczeniu. Nowy początek, gdzie każdy zaczyna z czystą kartą. Stare zasady zostały wymazane i zastąpione nowymi. Lecz nowe zasady tak naprawdę sięgały głębiej w przeszłość niż cała ludzkość, czyli były starsze od starych. Bo jakby nie patrzeć, od zarania dziejów żeby żyć, trzeba zabijać. Jacek zatonął w mrocznych odmętach własnych myśli i ocknął się dopiero, gdy poczuł na ramieniu czyjąś rękę. Spojrzał w górę i ujrzał wpatrujące się w niego oczy Grzegorza.

– Ej. Jesteśmy – powiedział tubalnym głosem, po czym jako pierwszy wkroczył do zdewastowanego obozu.

W tym momencie oprzytomniał. Dotarli. Mężczyźni rozpierzchli się między namiotami. Plądrowali skrzynie, zaglądali we wszystkie zakamarki. Przez chwilę Jacek zastanawiał się, czego oni właściwie szukają? Odpowiedź była prosta – wszystkiego, co wyda się im wystarczająco atrakcyjne. Czy potrzebne? Nieważne.

– Kurwa, co za rozpierdol – dotarło do niego gdzieś zza namiotu. Otoczenie, w którym się znaleźli, faktycznie nie wyglądało za dobrze. Po przejściu kilkunastu metrów, człowiek przyzwyczajał się jednak do wszechobecnego widoku krwi i fragmentów ludzkich ciał. Ciężki zapach śmierci cały czas unosił się w powietrzu, utrudniając oddychanie. Do tego promienie słoneczne sprawiały, że nad wałającymi się wszędzie wnętrznościami unosiła się delikatna mgiełka, w której kłębiły się dziesiątki much.

Jacek poczuł się, jakby trafił do ziemi obiecanej – do jego własnego królestwa, azylu, w którym może czuć się niczym król.

Nagle jeden z mężczyzn wydał z siebie okrzyk zaskoczenia. Wszyscy wybiegli na polankę, gdzie ujrzeli ciężki wojskowy transporter opancerzony. Oczy mężczyzn rozbłysły z podniecenia. Jacek natomiast wykorzystał tę chwilę, żeby usunąć się w cień. Doprowadzili go do obozu. Teraz znajdzie broń, pozbędzie się ich i będzie mógł dalej działać na własną rękę. Znikając za wojskowym starem, zobaczył jeszcze, jak Grzegorz podchodzi do zamkniętego transportera i zaczyna pukać w gruby pancerz.

## POLA MOKOTOWSKIE, GODZINA 05:35.

Kaję obudziło stłumione stukanie w pancierz pojazdu. Nie był to ani odgłos ostrzału, ani nieskoordynowane walenie zombie. To było miarowe, rytmiczne pukanie, którego sprawcą musiał być człowiek. Raz dwa. Raz dwa trzy. Serce dziewczyny zabiło szybciej. „Przybyła odsiecz! Wreszcie!” – pomyślała. Sięgnęła ręką do dźwigni otwierającej drzwi, gdy nagle zatrzymała się w połowie ruchu. Usłyszała stłumione głosy, jednak nie była w stanie rozróżnić pojedynczych słów. Coś podpowiadało dziewczynie, że nie powinna otwierać. Przeczucie to podobne było do tego, które towarzyszyło jej podczas spotkań z Adamem Brdakiem i które przecież okazało się zupełnie bezpodstawne. Głośno wydechając powietrze, pozbyła się lęku i otworzyła wąż.

Ostre poranne słońce oślepiło ją, toteż przez pierwsze parę sekund była zupełnie bezbronna. Chwilę potrwało, zanim przyzwyczała się do blasku światła i mogła skupić wzrok na postaciach stojących przed nią. Przybysze przestali nagle rozmawiać.

Pierwsze, co dziewczynie niezbyt się spodobało, to fakt, że czterej mężczyźni nie byli ubrani jak żołnierze. Wręcz przeciwnie – byli niechlujni i niedogoleni, jakby nie kąpali się od tygodnia. Z drugiej strony w obecnej sytuacji było to dość oczywiste. Gehenna, jaka miała miejsce, odcisnęła swoje piętno na każdym człowieku, więc trudno było wymagać nienagannego ubioru i wzorowego uczesania. Nie ten film. Ale coś podpowiadało Kai, że nie powinna była otwierać drzwi opancerzonego transportowca.

– No, no, Grzesiu – powiedział krępy mężczyzna stojący najdalej od transportera. – Aleśmy trafili! – Zagwizdał.

Olbrzym nazwany Grzesiem spojrzał na Kaję i wykrzywił kwadratową twarz w grymasie, który prawdopodobnie miał przedstawiać uśmiech. Dziewczyna przyjrzała mu się, jako że stał najbliżej i prawdopodobnie to właśnie on pukał w pancerne drzwi. Mężczyzna wyglądał jak wyciosany z kamienia kolos, składający się z samych mięśni i ścięgien. Fizyczna, pierwotna siła niemalże unosiła się w aurze otaczającej olbrzyma. Na pierwszy rzut oka było widać, że wielkie mięśnie nie zostały stworzone na siłowni, tylko powstały przez lata mozolnej, ciężkiej fizycznej harówki.

Grześ wyciągnął łapę w stronę dziewczyny i powiedział jedno słowo, od którego po kręgosłupie Kai przeszedł dreszcz:

– Pierwszy.

Dziewczyna, zrozumiałwszy intencje olbrzyma, chciała się wycofać w głąb transportera i zamknąć wąż. Jednak było za późno na jakiegokolwiek działanie. Wielkolud, pomimo swojego rozmiaru i wagi, okazał się być zaskakująco zwinny i szybki. Zanim Kaja zdążyła się zorientować, dłoń mężczyzny zamknęła się na jej przedramieniu, przykrywając je niemal w całości. Olbrzym pociągnął dziewczynę za rękę, wyrzucając ją z transportera niczym kukłę. Ta, po przeleceniu paru me-

trów, boleśnie upadła na trawę. Starła się podnieść, ale błyskawicznie pojawili się przy niej pozostali mężczyźni i śmiejąc się, przytrzymali ją na ziemi. Jeden z napastników oblizał się ohydnie, prezentując poźółkłe i zepsute zęby. W oczach agresorów widać było szaleństwo i pożądanie, a Kaja zdawała sobie sprawę, jak marne ma szanse w starciu z czterema tak silnymi mężczyznami. Jednak nie przestawała walczyć. W desperackiej szamotaninie udało się jej uwolnić jedną nogę i kopnąć stojącego nad nią mężczyznę prosto w twarz. Cios okazał się zaskakująco celny, toteż ze złamanego nosa trysnęła krew, a sam mężczyzna zaskowyczał z bólu i puścił dziewczynę. Inni skomentowali to głośnym, histerycznym śmiechem. Ten ze złamanym nosem już zamierzał się, żeby oddać dziewczynie, ale lecąca w stronę jej twarzy ręka została zatrzymana.

– Mówilem. Ja pierwszy – tubalnie odezwał się olbrzym, odpychając z pogardą pobitego kompana. Bezapelacyjnie był to lider grupy.

– Ale ta dziwka mnie kopnęła! – zaskowyczał tamten.

– Wiem. Ale ta dziwka teraz jest moja. Jak skończę, będziesz mógł zrobić z nią, co zechcesz.

Powiedziawszy to, wielki mężczyzna spojrzał z uśmiechem na Kaję. Cmoknął ustami sięgając do spodni, przez co żołądek dziewczyny skurczył się jeszcze bardziej. Wiedziała, co ją czeka. Odpychała to od swojej świadomości, ale bała się, że koszmar będzie trwał w nieskończoność. Mężczyźni wykorzystają ją, a potem albo zabiją, albo pozostawią na pożarcie zombie. Albo, co chyba jeszcze gorsze, zabiorą ze sobą i uczynią z niej swą niewolnicę. Musiała coś zrobić. Zyskać na czasie, pomyśleć. Przeżyć.

– Poczekaj. Pomogę ci – powiedziała drżącym głosem, patrząc głęboko w oczy napalonego samca.

Ten jednak zamiast pozwolić dziewczynie na działanie, uderzył ją na odlew w twarz, mówiąc:

– Zamknij mordę, suko.

Gdyby nie mężczyźni przytrzymujący Kaję, to ta pod wpływem siły uderzenia pewnie przeturlałaby się po trawie. W głowie zaczęło jej huczeć, a na twarzy poczuła rozchodzące się ciepło, gdy z rozbitego łuku brwiowego zaczęła lać się krew. Olbrzym wziął jej podbródek w swoje wielkie łapsko i przysuwając blisko swoją twarz, rzekł:

– Masz się nie odzywać bez pytania. Rozumiesz? – zapytał. Z ust zionęło mu przetrawioną wodką.

Kaja skinęła ze strachem głową. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że to niemożliwe. Pewnie dalej śpi zamknięta w bezpiecznym rosomaku. Niemożliwe, żeby w takiej sytuacji trafiła na ludzi tak doszczętnie złych. Chciała się rozplakać, ale nie znalazła siły na wyciśnięcie z oczu łez.

Nagle usłyszała huk. W pierwszej chwili nie zrozumiała, co się stało, ale gdy uścisk z jednej strony zelżał, a mężczyzna, który trzymał ją za prawą rękę, osunął się na ziemię z przestrelonym oczodołem, pojęła. Ułamek sekundy później usłyszała kolejny grzmot i drugi z oprawców upadł bez życia na trawę w rozbryzgu własnej krwi. Olbrzym zareagował błyskawicznie. Poderwał dziewczynę z ziemi i złapał w pasie, trzymając ją przed sobą niczym tarczę. Wyglądała w jego objęciach jak zabawka, a jej ciała wystarczało tylko na to, aby skryć jego głowę i część tułowia. Z ust wylewał mu się

potok przekleństw, podczas gdy bystre oczy wypatrywały ukrytego strzelca. Nie wiadomo skąd w drugim ręku mężczyzny nagle znalazł się pistolet.

– Wyjdź, a nic się jej nie stanie – krzyknął głośno, prawie ogłuszając Kaję.

Naraz zza namiotu wyłonił się krótko ostrzyżony, wysoki mężczyzna. Ubrany zwyczajnie, w jeansy i szary T-shirt. W umięśnionych rękach trzymał pewnie karabinek szturmowy, a pozycja, w jakiej się poruszał, świadczyła o doświadczeniu w posługiwaniu się bronią. Serce Kai zabiło szybciej, gdy uświadomiła sobie, na kogo patrzy.

– Puść dziewczynę – powiedział spokojnie Paweł, celując w głowę olbrzyma zasłaniającego się jego córką.

Paweł kątem oka dostrzegł ruch po swojej lewej stronie, ale przewidując to, wysłał w tamtym kierunku Maxa. Dobry rekonesans to podstawa operacji wojskowej, jeżeli takowa ma mieć szanse powodzenia. Pisał o tym sam Sun Tsu, a informacja ta była jedną z podstawowych, jakie wpajało się chłopakom w szkołach oficerskich, toteż po usłyszeniu krzyku dziewczyny komandos zbliżył się powoli do polanki i zbadał uważnie teren. Następnie, uzbrojony w najbardziej śmiertelnością broń, jaką jest wiedza, wysłał Maxa we wcześniej dokładnie określonym kierunku. Teraz chłopak przyczajony za wojskowym starem tylko czekał, aż czwarty mężczyzna przejdzie obok niego i wyjdzie na pozycję, z której będzie mógł ostrzelać Pawła. Niedoczekanie. Max uniósł broń, którą znalazł podczas biegu, wycelował i wystrzelił parokrotnie w bok skradającego się faceta. Napastnikiem rzuciło, podczas gdy trzy z pięciu pocisków zatopiły się w jego ciele. Kaja poczuła niesamowitą ulgę, że ktoś uratował życie jej ojcu.

– Zostałeś sam. Puść dziewczynę, to może pozwolę ci odejść – powiedział Paweł.

– Pierdol się! – krzyknął Grzesiek. – Wypierdalaj stąd albo ją zastrzele.

Paweł stał niewzruszony, wpatrując się w napastnika pełnym skoncentrowanej nienawiści wzrokiem.

– Liczę do trzech – krzyknął komandos.

– Możesz liczyć i do stu, baranie jeden.

– Raz...

– Powiedziałem już, wypierdal...

Nie było mu dane skończyć, ponieważ Paweł nacisnął spust. Pocisk o kalibrze 5,56 milimetra wyleciał z lufy z prędkością ponad dziewięćset metrów na sekundę. Wbił się centralnie między oczy Grzegorza, nim ten zdążył zorientować się, co się stało. Olbrzym wypuścił z rąk broń i Kaję, po czym runął na plecy, wprost w kałużę własnej krwi i fragmentów roztrzaskanej czaszki. Tapnięcie, jakie towarzyszyło jego zetknięciu z podłożem, prawie wywołało trzęsienie ziemi.

Kaja stała sparaliżowana strachem, nie rozumiejąc, co właściwie się stało. Dopiero gdy Paweł podszedł do niej i przerzucając karabin na plecy, objął córkę, dziewczyna wypuściła z płuc powietrze i rozplakała się jak małe dziecko. Nie była w stanie uwierzyć w to, co przed chwilą miało miejsce. Najpierw cali ci zombie, walka na dachu kiosku, strzelanina pod centrum handlowym, następnie atak na bazę wojskową, który ledwo przeżyła, potem próba gwałtu, przed którym uratował ją

własny ojciec, pojawiający się diabli wiedzą skąd. Kaja nie miała pojęcia, jak się czuje, ale wiedziała, że teraz będzie już tylko lepiej. Owszem, w dalszym ciągu mogli zginąć, ale o wiele lepiej umrzeć u boku własnego ojca niż w samotności i opuszczeniu.

– Nic ci nie jest? – zapytał Paweł, delikatnie odsuwając od siebie córkę, która trzymała go kurczowo.

– Nie – odparła cicho. – To znaczy, gdyby nie wy, to byłoby...

– Wiem, mała. Już dobrze – powiedział Paweł, przytulając ją swoimi muskularnymi ramionami.

– ...ze mną słabo, ale nagle wy tu. I zabiliście ich... Skąd ty się tu wzięłaś?!

Była roztrzęsiona, ale i niesamowicie szczęśliwa.

– Przypadek – odpowiedział z uśmiechem Paweł. – Albo przeznaczenie. Ważne, że jesteśmy razem i już nic ci nie grozi.

Kaja spojrzała na ojca zaskoczona.

– Jak to? To znaczy... „oni” już odeszli? – zapytała z nadzieją w oczach, chociaż w głębi duszy nie spodziewała się twierdzącej odpowiedzi.

Paweł wziął głęboki wdech i już otwierał usta, żeby odpowiedzieć na pytanie, ale Max wszedł mu w słowo:

– Nie. I choć nie chciałbym wam psuć powitania, to pragnę wam przypomnieć, że trwa apokalipsa, a zombie pewnie słyszeli strzały. I zaraz się tu zlecą jak hieny.

Kaja spojrzała na istotę, która zepsuła najszcześniejszą niespodziankę, jakiej doświadczyła w życiu. Za plecami jej ojca stał młody chłopak, ewidentnie lubujący się w ciężkiej muzyce. Bojówki, czarne glany i koszulka z czerwonym napisem, którego Kaja nie była w stanie przeczytać, nie pozostawiały wątpliwości. Miłośnikiem hip-hopu to on raczej nie był. Do tego na szczupłym ręku, które trzymało wojskowy karabin, dumnie połyskiwała pieszczocha. Ten dość ekscentrycznie wyglądający burzyciel nastroju miał jednak rację.

– Słusznie – stwierdził Paweł. – Musimy się ogarnąć, oni zaraz mogą tu być.

Dziewczyna kiwnęła potakująco głową, kierując wzrok z powrotem na ojca.

– Dziękuję – powiedziała i ucałowała go w policzek.

– Kochanie, później będzie czas na dziękowanie – odpowiedział Paweł, puszczając córkę. Zrobił krok w tył i zaczął się rozglądać.

– Musimy jeszcze zgromadzić zapasy i możemy ruszać – stwierdził, zatrzymując wzrok na chłopaku. Jego młode rysy nabrały męskich cech, jakby wydarzenia ostatnich godzin niemal fizycznie go postarzyły. Co pewnie niewiele mijало się z prawdą.

– Spędziłam tu parę godzin – powiedziała dziewczyna. Mężczyzna i chłopak spojrzeli na nią pytającym wzrokiem. – Potem wam opowiem. Wiem, gdzie był punkt medyczny i gdzie trzymali amunicję.

Oczy obu zaświeciły z radości.

– Prowadź zatem, córuś, do amunicji – powiedział z chytrym uśmiechem Paweł. Kaja ruszyła.

– A mi pokaż, gdzie jest punkt medyczny. Skoczę po lekarstwa, bandażę i sam nie wiem co jeszcze – powiedział Max.

– Nie ma takiej opcji – powiedział stanowczo Paweł. – Poruszamy się w trójkę. Ja prowadzę, Kaja za mną, a Max ubezpiecza tyły. Tylko nie strzelamy od razu na widok zombie. Czasami lepiej będzie się wycofać albo wyeliminować go po cichu, żeby nie alarmować innych. Czy to jasne? – Pozostała dwójka kiwnęła głowami. – To dobrze. Kaja, to gdzie trzymali amunicję?

## PLAC BANKOWY, GODZINA 05:45.

Serio myślisz, że jeszcze tu wrócą? – zapytał szeptem Tomek.

– Myślę, że mogą – odpowiedział Kuba. – Ale wolę nie ryzykować i nie czekać, żeby to sprawdzić.

Chłopak przytaknął w milczeniu. Siedzieli w oknie na piętrze i od kilkunastu minut wpatrywali się w ulicę generała Władysława Maczka i plac Bankowy. Przez ten czas nic specjalnie się nie zmieniło. Poza paroma wałęsającymi się zombie, okolica była opustoszała.

– I co? – zapytała Natalia, podchodząc do nich.

– I nic – odpowiedział Kuba. – Szwenda się parę sztuk i tyle, nic specjalnego. Nie ma większej aktywności. Nie zauważyliśmy też nikogo żywego.

– To chyba dobrze, nie?

– Dobrze, że jest mało zombie, czy że nie widzieliśmy nikogo żywego? – dopytał sarkastycznie Kuba.

– Że jest mało zombie – niezrażona tonem męża odpowiedziała Natalia.

– Chyba tak. A ty coś znalazłaś?

– Niewiele. W kuchni jest trochę kawy, cukru i herbaty, ale nie ma jedzenia. To znaczy w lodówce są jakieś resztki, ale nic godnego uwagi. Gdy stąd wyjdziemy, będziemy musieli zahaczyć o jakiś sklep, czy coś takiego.

– Tak, też o tym pomyślałem – powiedział Kuba.

– Dlaczego to dobrze, że ich nie widać? – zapytał Tomek. Na twarzy malowało mu się zmęczenie, ale zielone oczy były bystre i czujne.

– Bo to znaczy, że reszta gdzieś sobie polazła i robi huk wie co. Może czają się pod budynkiem i czekają na nasze wyjście? Albo wszyscy poszli się utopić do Wisły? Opcji jest sporo – wytłumaczył się Kuba.

– Aha. Dla mnie to dobrze, że ich nie ma. Nie mogę na nich patrzeć – stwierdził Tomek.

– Nie tylko ty – odpowiedziała ciepło Natalia. – Tak sobie pomyślałam, że gdy będziemy stąd wychodzić, to możemy założyć kamizelki kuloodporne.

Kuba spojrzał na nią zaskoczony. Kamizelki przeciwko zębom? Może to nie taki głupi pomysł.

– Wiecie, jakby się trafili jacyś ludzie, którzy będą do nas strzelać... – dodała zmieszana, doskonale rozumiejąc reakcję męża. Ten natomiast nie mógł wyjść z podziwu, jak szybko jego delikatna żona odnalazła się w nowej roli. Roli twardej wojowniczkii, która walczy o przetrwanie wszelkimi możliwymi środkami.

– Gdzie chcesz jechać? – odezwała się ponownie Natalia, przerywając milczenie.

Kuba zagłębił się w myślach zerkając za okno.



– Nie wiem jeszcze – odparł. – Może Mazury albo Podlasie? Góry? Nie wiem. Szkoda, że nie mamy nigdzie działki.

– Ja mam – stwierdził Tomek. – To znaczy moi rodzice mają, czyli w sumie to ja mam. Trochę mam.

– Gdzie? – zapytał ożywiony Kuba.

– Na Mazurach właśnie. W Romanach.

– W Romanach? Gdzie to jest dokładnie? Wiesz, jak tam dojechać? – Kuba zaczął serię pytań, niczym na przesłuchaniu.

– Tak, wiem – odparł Tomek. – Jeździmy tam co roku na wakacje, ale często też na weekendy czy święta. No i w zimę.

– W zimę też? Czyli wszystko tam jest? – Kuba nie przestawał bombardować Tomka pytaniami. Jego ciemne, brązowe oczy rozszerzyły się jak ślepia polującego kota.

– Eeee... jakie wszystko?

– No woda, prąd, gaz. Wszystko potrzebne do życia.

– Aha, takie wszystko – Tomek kiwnął głową. – Tak, takie rzeczy są. Jest prąd dociągnięty ze wsi, jest kanalizacja i kuchenka gazowa. Wiem nawet, jak wymienić butlę, a w garażu stoją chyba jeszcze dwie zapasowe.

Natalia i Kuba wpatrywali się w niego w milczeniu, więc chłopak niespodziewanie zamilkł, speszony.

– Co jest...?

– Nic, nic, mów dalej – poprosiła dziewczyna słodkim głosem. Tomek poczuł ciepło w brzuchu, gdy się do niego odezwała. Już jak zobaczył ją po raz pierwszy, jeszcze na Wisłostradzie, to mu się z marszu spodobała. Oczywiście była poza jego zasięgiem, ale nie miało to absolutnie najmniejszego znaczenia. Nie odezwał się od razu, tylko zaczął przyglądać się pozostałej dwójce. Nagle go olśniło.

– No nie! Chyba nie chcecie tam jechać? – zapytał przestraszony.

– Nie wiem, bo za mało nam powiedziałaś. Ale to dla ciebie jakiś problem? – odpowiedział pytaniem Kuba.

– No bo... no, to działka moich rodziców, nie wiem, czy możemy... – urwał niespodziewanie. Dopiero teraz Tomek zdał sobie sprawę z absurdalności swojej odpowiedzi. Po raz kolejny zamilkł, zastanawiając się, co się dzieje z jego rodzicami, przy okazji przypominając sobie o siostrze. Ostatnie godziny minęły tak szybko, że nie mógł poświęcić jej nawet sekundy swej uwagi. Cała energia i percepcja były skupione na tym, by przeżyć. Siostra nie wróciła do domu, przynajmniej dopóki on tam siedział, więc musiała być w jakimś bezpiecznym miejscu. Jednak jedno pytanie nie dawało mu spokoju – dlaczego nie próbowała się z nim skontaktować? „Pewnie dlatego, że ukradli ci telefon, ciołku” – pomyślał.

– Hej – powiedział uspokajającym tonem Kuba, kładąc dłoń na ramieniu chłopaka. – Nie martw się. Z nimi wszystko w porządku. Mówiłaś, że wyjechali, więc tym bardziej. Cały ten syf dzieje się

w Warszawie, dlatego powinniśmy się stąd wydostać. A działka będzie bardzo dobrym rozwiązaniem. Po drodze możemy pojechać do twojego domu i zostawić kartkę z informacją, gdzie jesteśmy. Co ty na to? Jak sytuacja się wyklaruje i rodzice wrócą do domu, to będą spokojni, wiedząc, że jesteś bezpieczny. Jak myślisz?

Tomek kiwnął głową, ale bez specjalnego przekonania. Dopiero gdy w głowie powtórzył sobie to, co usłyszał, zaczął kiwać nią odrobinę energiczniej.

– Tak, chyba masz rację. To dobry pomysł. Wezmę też klucze i inne rzeczy. Zostawimy kartkę. Tylko... – chłopak wziął głęboki oddech – ...musiałem uciekać z mieszkania przez okno. Sforsowali drzwi po tym, jak dobrali się do sąsiada. Zabarykadowałem się, ale niewiele to dało.

– Spoko, tym razem sobie poradzimy – powiedział Kuba, wskazując ręką na torby z bronią. Od momentu, w którym je znaleźli, mieli je cały czas przy sobie.

Tomek zastanowił się chwilę.

– Okej. Możemy tak zrobić – stwierdził w końcu.

Twarze pozostałej dwójki wyraźnie się rozpromieniły.

– Super. Powiesz nam, co masz jeszcze na tej działce? Jakies narzędzia, jest ogrodzona, czy masz niedaleko jezioro, jak tam dojechać, gęsty las? – Kuba wylewał z siebie potok pozornie niepowiązanych pytań, które jednak miały wspólny mianownik – bezpieczeństwo.

– Poczekaj, spokojnie – zaczął Tomek. – Działkę moi rodzice kupili siedem lat temu. Wtedy był to kawałek ogrodzonej, ale porośniętej gęstymi chwastami ziemi nad jeziorem. Rosło tam sporo drzew, co się w sumie nie zmieniło, a chwasty sięgały mi prawie do czoła. Serio, nie patrzcie tak na mnie. Karczowałem to przez tydzień, tylko z ojcem. Pojechaliśmy przygotować grunt pod budowę domu. Niby ojciec mógł opłacić jakąś ekipę, żeby to zrobili za nas, ale chyba chciał po prostu trochę odpocząć od miasta i pojechać tam tylko ze mną. Przez ten tydzień spaliśmy w namiocie i kąpaliśmy się w jeziorze. Jest tam takie małe jezioro, miejscowi nazywają je Romanek, nie wiem, jak się nazywa w rzeczywistości. Z tarasu je widać. Mamy też łódkę, a działka jest ogrodzona płotem. Nie wiem, ile ma wysokości, ale sięga mi z pół metra nad głowę. Rodzice lubili prywatność, zwłaszcza gdy zaczęli budować ten dom. Wiecie, żeby miejscowi się za bardzo nie interesowali, ale ja i tak myślę, że jak nas tam nie ma, to oni przeskakują przez płot i sobie wszystko dokładnie oglądają.

– Czyli jest płot i jezioro? – potwierdził Kuba.

– No przecież mówię – zachnął się Tomek, spoglądając nań poirytowanym wzrokiem.

– Dobra, mi chyba tyle wystarczy – powiedział Kuba, patrząc na Natalię.

Jej oczy wyrażały zgodę, ale powiedziała:

– Tak, mi też, ale wcześniej musimy jeszcze wziąć parę rzeczy. Jak na przykład jedzenie.

– Jasne. Zapasy na parę miesięcy – skwitował policjant.

– Ej, czy was nie za bardzo ponosi? Skąd pewność, że poza Warszawą tak nie jest?

Pytanie Tomka rozbroiło pozostałą dwójkę. Bo faktycznie, nie wiedzieli. Nie mieli prawa wiedzieć, co się dzieje poza miastem, zwłaszcza że nie mieli pewności, co się dzieje w samej stolicy.

Łączności nie było, telefony stały się bardziej zaawansowanymi zegarkami z funkcją robienia zdjęć, bo bez zasięgu na niewiele więcej się zdawały.

Po trwającym kilkanaście sekund milczeniu Kuba zabrał głos:

– Masz rację, nie wiemy. Ale wolę się uzbroić, zgromadzić zapasy na parę tygodni i podczas ewakuacji z Warszawy trafić na grupę ratunkową, niż siedzieć tu i beczynn timer czekać na dalszy rozwój wypadków.

W milczeniu trawili to, co przed chwilą powiedział. A jak się powszechnie przyjęło, milczenie wyraża zgodę. Każdy w głowie wyobrażał sobie, co ich czeka na Mazurach, jak się przygotować do wyprawy i co zrobić, żeby bezpiecznie wydostać się z miasta. Po paru minutach ciszy odezwała się Natalia.

– To co? Jedziemy?

– Wygląda, że tak. Co ty na to? – Kuba z szacunkiem zapytał Tomka o zdanie. Jakby nie było, działka była jego, a oni się tak jakby trochę wprasali.

– Tak. Jedźmy – odpowiedział chłopak. – Ale wcześniej zahaczmy o moje mieszkanie.

– Jasne, tak jak się umawialiśmy.

– Spoko.

Oczy policjanta błysnęły z zadowolenia.

– Spoko – powtórzył Kuba. – Zastanówmy się, czego nam potrzeba.

– Mam na czym zapisać – powiedziała Natalia, wymachując plikiem czystych kartek, znalezionych na najbliższym biurku.

Wszyscy czuli takie samo podniecenie – jak przed pierwszą szkolną wycieczką, kiedy nie wiesz, czego się spodziewać, i nie do końca jesteś przekonany, czy naprawdę chcesz jechać, ale i tak ruszasz po przygodę. Pojawiła się iskierka nadziei, że może uda się wyjść z tego bagna w jednym kawałku.

## POLA MOKOTOWSKIE, GODZINA 05:47.

Udało się. Tak jak chciał, zobaczył marny koniec górskich olbrzymów. Chociaż nie wywołało to takiej euforii, jakiej oczekiwał, to i tak było miło popatrzeć, jak ich ciała opadały bezwładnie na chłodną ziemię Pól Mokotowskich. W momencie gdy odkryli rosomaka, Jacek wycofał się spokojnie między namioty. Niby w poszukiwaniu broni, niby jako tylna straż. Jednak zamiast dać nogę i uciec, pozostał na stanowisku. Bo coś mu podpowiadało, że warto będzie posiedzieć parę minut między skrzyniami i poczekać na dalszy rozwój wypadków.

Z początku współczuł dziewczynie. Była taka drobna i wystraszona. Błyskawicznie spostrzegł, że w pięknym ciele kryła się dusza wojowniczkii, jednak wiedział, że w starciu z tymi potworami nie miała szans. Piękna i bestie, ale z nieco innym zakończeniem. Kiedy niespodziewanie na polanę wkroczyła odsiecz, Jacek miał mieszane uczucia – nie był w stanie określić, czy bardziej się cieszył z tego, że mężczyźni zostali rozstrzelani, czy było mu smutno, bo przerwali pokaz, zanim na dobre się zaczął. „Cóż, dziewczynie to pewnie było na rękę. Chociaż, kto wie...” – pomyślał ponuro i zachichotał sam do siebie.

Jednego uczucia był pewien – uczucia rozczarowania. Rozczarowania tym, że krew normalnych ludzi okazała się tak samo czerwona jak krew zombie. W sumie to nie wie, czego się spodziewał, ale chyba oczekiwał czegoś innego. Z drugiej strony to doświadczenie zacierało Jackowi granicę, jaka teoretycznie istniała między ludźmi a zombie. W tym momencie po raz kolejny przez głowę mężczyzny przeleciała myśl, że zabawa, którą tak ostatnio polubił, nie musi się ograniczać tylko do żywych trupów. Można się przecież zabawić z zupełnie normalnymi ludźmi. Może ci okażą się bardziej rozmowni, a nie będą tylko jęczeć i wyć. Wniosą do dyskusji nieco polotu.

Jacek cicho wycofał się, podczas gdy ludzie na polanie padli sobie w objęcia. Coś w głębi duszy podpowiadało mu, że jeszcze kiedyś na nich trafi. Może zmieni podejście i będzie chciał się zemścić za górali, z którymi spędził ostatnie godziny? A może zamiast tego zaprzyjaźni się z tymi ludźmi i wspólnie przetrwają panujący wokół chaos?

Chaos.

To słowo towarzyszyło mu nieprzerwalnie od ostatnich kilkunastu godzin i zdążył się z nim bardzo zaprzyjaźnić. Zastanawiając się nad absurdalnością i bezsensownością swoich rozmyślań, dotarł do krańca obozu. Przyjrzał się wysokiej siatce, nienaruszonej w żadnym miejscu. Jej szczyt okalał gęsto rozpięty drut kolczasty, którego sforsowanie mogłoby się źle skończyć, więc stanął i pokręcił głową w poszukiwaniu wyrwy. Nagle usłyszał zbliżające się głosy. Rozmówcy z całą pewnością szli w jego kierunku, a on nie miał gdzie się ukryć. Poczł narastającą panikę. Nie zastanawiał się, czego się boi. Po prostu aktualnie nie chciał stanąć twarzą w twarz z tymi ludźmi. Nie i koniec. Wariaci nie muszą mieć racjonalnego powodu, żeby cokolwiek zrobić albo żeby czegoś nie

chcieć. Nagle do jego trawionego szaleństwem umysłu wpadł załączek czegoś, co można nazwać dobrym pomysłem. Jacek podbiegł parę kroków i położył się na ziemi, tuż obok szczątek martwego zombie. Mężczyzna był umazany krwią tak mocno, że nie sposób byłoby odnaleźć rany po ugryzieniach, więc maskowanie miał niemal idealne. Nie zważając na potworny smród unoszący się wokół, położył się na brzuchu, zwracając twarz w kierunku, z którego mieli nadejść ludzie. Parę chwil później wyszli zza namiotów. Jacek przymknął powieki.

– To ten kolejny namiot – powiedziała dziewczyna.

– Tam trzymają amunicję? – zapytał mężczyzna, który ją uratował. Miał niski, głęboki głos, z delikatną chrypką, przez którą wydawał się brzmieć bardziej tajemniczo.

– Tak – padła odpowiedź.

Przeszli obok niego i nagle, gdy znaleźli się parę metrów za nim, trzeci głos powiedział:

– Ej, patrzcie.

Głos nie należał ani do mężczyzny, ani do dziewczyny. Należał do kogoś, kogo Jacek przeoczył. Kogo nie widział. To źle. Wyobraźnia zaczęła wariować. Miał ochotę wstać i uciec, jednak wiedział, że musi pozostać nieruchomy.

– Co jest? – zapytał mężczyzna.

– Trup. Nie widzisz? – nieznany wcześniej głos na pewno należał do kogoś młodego. Jakiegoś nastolatka. Jacek powoli zaczął tworzyć w wyobraźni jego obraz.

Czuł, że pozostała dwójka przytaknęła.

– No, trup. Jezu, ale go urządzili. Ale co z tego? – zapytała dziewczyna.

– To, że zaraz wstanie i zacznie polować. Powinniśmy mu strzelić w łeb – stwierdził nastolatek.

Jacek przyjął to z dziwnym spokojem. W sumie to nie byłoby takie złe. Dostałby strzał w tył głowy, ponoć bezbolesny. Kotara opada, publiczność bije brawa. I koniec. Nikt by za nim nie zapłakał. Chyba, bo gdzieś tam w podświadomości kołatało się wyblakłe wspomnienie tego, co większość ludzi określa mianem „rodzina”. Swojej rodziny Jacek nie pamiętał. Wie, że byli jacyś ludzie, którzy go wkurwiali bardziej i częściej niż inni, ale nie potrafił powiedzieć niczego więcej na ich temat. Może ich zabił? Może to oni zabili jego.

– Chyba masz rację – powiedziała dziewczyna. Miała miły głos. Taki ciepły i opiekuńczy. Jacek chętnie by się z nią zabawił. Nie w sposób, o jakim myśleli górale. Nie – on na przykład wsadziłby ją do klatki i słuchał, jak mówi. Kazałby jej mówić cały czas. Rozmawialiby długimi godzinami, a on, otulany jej słowami, usypiałby na kanapie, przed którą stałaby klatka. „Urocza wizja, aczkolwiek mało prawdopodobne, żeby się spełniła, bo zaraz palną ci w łeb, debilu” – usłyszał w myślach.

Uchem złowił zbliżające się kroki. Ktoś stanął nie dalej niż metr od niego. Chwilę potem usłyszał mechaniczny szczęk odbezpieczanego zamka. Wstrzymał oddech. Czas stanął w miejscu. W wyobraźni słyszał huk wystrzału, ale on uparcie nie nadchodził. W pewnym momencie miał ochotę wstać i wykrzyknąć: „Strzelaj!”, ale pewnie wcześniej dostałby kulkę prosto w twarz. W sumie to też była jakaś opcja. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność.

– Nie, poczekaj – nieoczekiwanie powiedział mężczyzna.

– Czemu? – zapytał nastolatek. W jego głosie słyhać było zawód, przemieszany ze strachem. Wyrażnie bał się, że jeżeli nic nie zrobi, będą z tego powodu kłopoty.

– To nie jest zombie.

Dopiero teraz Jacek naprawdę zaczął się bać. Co zrobi, jak będą próbowali go ocucić? Jak wpadną na głupi pomysł zbadania go lub zaopiekowania się nim? Jakby co może powiedzieć, że się położył, bo myślał, że są jednymi...

– Skąd wiesz? – usłyszał ponownie głos dziewczyny. Ten rozświetlał jego umysł niczym ciepłe światło pochodni rozpraszające cienie opuszczonych i zapomnianych lochów. Przerwał rozmyślenia, żeby maksymalnie skupić się na tym, co mówią. W końcu od tego zależy jego dalszy los.

– Gdyby był zainfekowany, już dawno by wstał.

– No, w sumie... ale wiesz przecież, że różnie na to reagują. Jedni wstają od razu, inni trochę później.

– Tak, ale wydaje mi się, że ten tutaj zginął podczas strzelaniny. Pewnie żołnierze go przywieźli tuż przed atakiem zombie. Kaja, widziałaś go wcześniej w obozie? – zapytał mężczyzna.

– Nie – odpowiedziała.

– To pewnie jest tak, jak mówię. Dobra, chodźmy już, bo tylko tracimy czas.

Jacek poczuł wyraźną ulgę. Jednak jeszcze trochę czasu mu zostało.

Max niechętnie wykonał polecenie Pawła. Coś mu podpowiadało, że gdzieś już widział tego człowieka. Ta biała, zalana krwią koszula. Twarz wyrażająca szaleństwo i noga od stołu, która niewątpliwie służyła za maczugę. Gdy nieśli skrzynię z amunicją, w końcu sobie przypomniał – to był mężczyzna, którego oboje z Pawłem widzieli w sklepie spożywczym! Ten sam, który bratał się ze zgrają wielkoludów zastrzelonych teraz przez Pawła. Max wypuścił skrzynię i odbezpieczając broń, czmychnął z powrotem między namioty. Wiedział, że człowiek w białej koszuli żył, gdy nad nim stali. Jakiś szósty zmysł mu to podpowiadał. Powinien był go wtedy zastrzelić i nie oglądać się na Pawła i Kaję.

Gdy wybiegł z namiotu, okazało się, że miejsce, w którym leżał zakrwawiony mężczyzna, jest puste.

## POLA MOKOTOWSKIE, GODZINA 06:45.

Mówię ci, że to był ten sam gość – znowu zaczął Max, dźwigając z Pawłem ciężkie pudło. – Jezu, dobrze. Wierzę ci – powiedział wyraźnie rozdrażniony Paweł. – I co z tego? Co ci to da? Chcesz iść i go szukać? Proszę bardzo, droga wolna.

Mężczyzna miał już dość słuchania w kółko tego samego.

– Może zamienił się w zombie – zasugerowała Kaja, wyczuwając napięcie między nimi.

– Nie, raczej nie – odpowiedział zamyślony chłopak. Domyślił się, że jego dywagacje nie miały najmniejszego sensu i tylko odwracały uwagę Pawła od naprawdę ważnych rzeczy. – Wtedy pewnie przyszedłby do nas.

Kaja kiwnęła mu głową, nie odpowiadając na to ani słowem.

– Dobra, to co my tu mamy? – zapytał Paweł, zmieniając temat. Oparł się plecami o chłodny pancierz rosomaka.

Ostatnie kilkadziesiąt minut poświęcili na plądrowanie obozu i zbieranie wszelkich potrzebnych im rzeczy. Paweł też kilkakrotnie próbował nawiązać łączność krótkofalową przez radiostację zamontowaną w transporterze, jednak czynił to bezowocnie. Sprzęt był sprawny, ale po drugiej stronie nikt nie odpowiadał, co nie wróżyło niczego dobrego. Podczas gdy Kaja i Max zbierali środki medyczne, komandos upewnił się, że rosomak działa, i przygotowywał go do drogi. Poinstruował też pozostałą dwójkę, że mają być niesłychanie uważni i czujni – jedna osoba zbiera leki, bandażę i inne ratujące życie cuda do torby, a druga stoi na czatach. Sporo ryzykowali, ale jednocześnie każdy z nich był wyjątkowo spokojny. Może liczyli na to, że zombie po splądrowaniu obozu nie będą prędko wracać w te strony? Teoria naciągana i mało prawdopodobna, jednak im wystarczyła. Potrzebowali tej odrobiny psychicznego luzu, żeby móc skupić się na tym, co będzie im niezbędne w przyszłości.

Takim sposobem po niespełna dwudziestu minutach zakończyli pakowanie.

– No dobra. Sprawdźmy, co mamy – powiedział Paweł, przyglądając się opancerzonemu transporterowi. Pozostała dwójka milczała.

– Amunicja?

– Jest – odparła krótko Kaja.

Paweł odwrócił głowę w jej stronę. Nic nie mówił, tylko z rękami opartymi luźno na przewieszonym przez ramię berylu, wpatrywał się uważnie w córkę. Kaja nagle jakby oprzytomniała. Uderzyła się dłonią w czoło.

– Tak. Przepraszam. Trzy skrzynie, w każdej po trzydzieści kilogramów pocisków kalibru 5,56 milimetra. Innych nie znaleźliśmy.

– Dobrze, tak lepiej. Broń?

– Jedna skrzynia ręcznych karabinów maszynowych typu Beryl. Zebraliśmy to, co zostało po bitwie. Nie wiemy, w jakim stopniu karabiny są sprawne, ale wyglądają dobrze. Czternaście sztuk, nie licząc tego, co mamy przy sobie.

Dziewczyna przypomniała sobie, jak ważne jest składanie raportów w zwięzły i prosty sposób. Pozwala to na zaoszczędzenie cennych sekund, których zawsze brakuje podczas bitwy, więc teraz Kaja mówiła krótko i rzeczowo. Tak jak ojciec uczył ją przez te wszystkie lata, gdy wychowywała się bez matki. Lubiła to. Lubiła ten cały wojskowy dryl – gdy miała kilka lat, od razu się w nim odnalazła. Nigdy nie kręciły ją zabawy lalkami czy w dom i gotowanie obiadów z piasku. Nie, Kaja wolała bawić się w poligon albo w budowanie baz na drzewach. Co nie ujmowało jej kobiecości, a to już nie lada sztuka.

– Środki medyczne? – ciągnął dalej komandos. Ruszył powoli dookoła rosomaka, przyglądając się pojazdowi.

– Dwie małe skrzynki. Opatrunki, bandaże, środki dezynfekujące i antybiotyki. Nie wiemy dokładnie jakie, nie mieliśmy czasu czytać ulotek – rzuciła ironicznie, jednak Paweł nie zareagował na to w żaden sposób. Jego umysł pracował teraz na najwyższych obrotach, nie pozostawiając miejsca na zabawę.

– Okej. Znaleźliście jedzenie?

Tym razem odezwał się Max.

– Tak, trafiliśmy na konserwy. Nie znalazłem pieczywa ani wody, ale mamy około osiemdziesięciu puszek z terminem ważności gdzieś do końca świata. I jeden dzień dłużej.

Paweł kiwnął w milczeniu głową.

– A co z nim? – zapytała Kaja, wskazując ręką transporter.

– Jest dobrze – odpowiedział wyraźnie dumny z siebie Paweł. – Ma sprawny silnik, pełen bak i zapas paliwa na czterysta kilometrów.

– Tylko? – wtrącił Max.

– Aż. Wiesz, ile ten smok pali?

– Nie chcę wiedzieć.

– Tak myślałem. Dobra, dzieciaki, wskakujemy na pakę i spadamy.

Powiedziawszy to, Paweł usiadł na miejscu kierowcy, a Kaja ruszyła w kierunku tylnego wjazdu. Tylko Max stał niewzruszony i grzał się w porannym słońcu, marszcząc w skupieniu krzaczaste brwi. Delikatny wiatr smagał jego długie włosy, co chwila ciskając jakiś kosmyk na twarz chłopaka, ten jednak zdawał się tego nie zauważać.

– Paweł... – zaczął powoli. Mężczyzna spojrzał na niego zza kierownicy.

– Hm?

– A... – chłopak odchrząknął – gdzie ty właściwie chcesz jechać?

Paweł zastanowił się przed chwilę, patrząc na Maxa. Stwierdził, że pytanie chłopaka nie jest przypadkowe.

– Dlaczego pytasz?



Max rozejrzał się wokół, jakby szukał kogoś, kto odpowiedziałby za niego. Paweł dał mu odrobinę czasu.

– Bo wiesz, myślałem o moich rodzicach – wyrzucił w końcu z siebie Max. – Chciałbym zajrzeć do domu i zobaczyć, czy wszystko z nimi okej.

Paweł czuł się zbity z tropu. Chłopak nawet słowem nie wspomniał wcześniej o swojej rodzinie, a przecież, jakby nie patrzeć, mieli na rozmowę o niej dość czasu. Z drugiej strony może był zbyt zaabsorbowany walką o przetrwanie? Ale czy można to uznać za wystarczające tłumaczenie? Takie dywagacje nie miały teraz najmniejszego sensu.

– Rozumiem – powiedział Paweł. – Gdzie mieszkacie?

– Na Bemowie. Na ulicy Conrada.

– Jasne, możemy tam pojechać.

Oczy Maxa rozbliły.

– Serio, to nie będzie problem? – zapytał z entuzjazmem.

– Żartujesz? – zapytał Paweł, chyba odrobinę zbyt szorstko.

– Nie, to znaczy, dziękuję – odpowiedział zdezorientowany chłopak. – Ale nie odpowiedziałeś mi, gdzie chcesz jechać – dodał.

– Na południe. Znajdziemy tam jakąś chatkę i przeczekamy to wszystko wysoko w górach, w jakimś trudno dostępnym miejscu – stwierdził.

– Okej... – odpowiedział chłopak. – Ale dlaczego akurat góry? Nie powinniśmy zostać w mieście i poczekać na wsparcie? Na wojsko czy lekarzy, aż wymyślą szczepionkę i wszystko wróci do normy?

– Max, widzisz, co się stało z obozem – powiedział Paweł, pochylając się nad chłopakiem. – Tu, w mieście, nie jesteśmy bezpieczni. Po pierwsze dlatego, że w terenie zabudowanym ciężko jest prowadzić operacje wojskowe, a po drugie dlatego, że w Warszawie żyje, a może powinienem powiedzieć: żyło, kilka milionów ludzi. Teraz każdy z nich potencjalnie może być naszym wrogiem. Rozumiesz?

Oczy Maxa rozszerzyły się, gdy do jego umysłu dotarły słowa komandosa.

– Tak, rozumiem. Cholera – odpowiedział, ostatnie słowo kierując bardziej do siebie niż do swojego rozmówcy.

– Dobra. Wsiadaj i ruszamy, bo tracimy tylko czas.

– Jasne.

Max wgramolił się do transportera, szczelnie zamykając za sobą drzwi. Nie spostrzegł Kai, która wcześniej stała, przysłuchując się dyskusji, i zniknęła, gdy tylko skończyli rozmawiać.

Ruszyli.

Dwadzieścia minut później dotarli do skrzyżowania alei Jana Pawła II i Alei Jerozolimskich. Poruszali się zółwim tempem. Ciężki transporter co prawda dawał olbrzymie poczucie bezpieczeństwa w połączeniu z naprawdę zadowalającą mobilnością, jednak miał jedną wadę – nie był czołgiem. A czołg przydałby się chociażby po to, aby przejechać po dziesiątkach pozostawionych na pastwę

losu samochodach. Niestety, dysponując takim sprzętem, byli zmuszeni kluczyć pomiędzy autami i szukać dróg, którymi dałoby się przejechać.

– Tato... – powiedziała cicho Kaja, siadając obok Pawła.

– Hm? – zapytał mężczyzna. Gdy usłyszał to magiczne słowo, wypowiedziane przez swoją jedyną, ukochaną córkę, serce zabiło mu mocniej. Niespełna pół doby temu nie spodziewał się, że w ogóle kiedykolwiek jeszcze ją ujrzy. Mimo wszystko wygląda na to, że opatrzność czuwa.

– Gdzie się podzieli wszyscy ludzie? – zapytała dziewczyna.

Paweł milczał dłuższą chwilę. Po części dlatego, że zastanawiał się nad odpowiedzią na tak trudne pytanie. Ale także dlatego, że myślał, jak ominąć wielki, przewrócony na bok autobus, i zastanawiał się, co spotkają po jego drugiej stronie. Poza tym – po prostu bał się odpowiedzieć. Bał się, że Kaja usłyszy w jego głosie strach, który tłumił głęboko w sobie od kilkunastu godzin. I niepewność, co przyniesie przyszłość. Od wyjścia z metra Paweł prowadził nieustanną wewnętrzną walkę – czy warto podejmować ryzyko i próbować wydostać się z miasta? Czy jest sens walczyć, czy może powinni zabarykadować się i przeczekać wszystko w jakimś bezpiecznym budynku, w którym byłoby pełno jedzenia, i do którego byłby ograniczony dostęp? Czy poddać się i zakończyć tę nierówną walkę? Co prawda jako zawodowy żołnierz tę trzecią opcję od razu odrzucił, jednak pozostałe nie dawały mu spokoju.

Aż do momentu, w którym zobaczył swoją córkę w objęciach tych ohydnych, śmierdzących facetów. Wtedy jego wewnętrzne rozterki zniknęły, całą siłę woli koncentrując na jednym, banalnie oczywistym zadaniu – zapewnieniu Kai bezpieczeństwa.

– Nie wiem, kochanie – odpowiedział w końcu zgodnie z prawdą. – Nie wiem.

Kaja przyjęła deklarację w milczeniu. Spodziewała się odpowiedzi tego typu. Ojciec zawsze był z nią szczery – już od najmłodszych lat. Nie owijał w bawełnę. Nawet mówiąc o śmierci jej mamy, a swojej ukochanej żony. Z jednej strony Kaja chciałaby, żeby czasem delikatnie nagiął prawdę i podkoloryzował nieco wersję wydarzeń, ale z drugiej była mu wdzięczna za szczerość. To wytworzyło u niej warstwę, pomagającą przetrwać trudne sytuacje.

– A jak myślisz, co się z nimi stało? – zapytała, łapiąc się rączki nad głową. Transporterem bujało, jakby na zewnątrz wiał halny.

– Myślę, że część z nich uciekła. Zdążyli się sami ewakuować albo wojsko ich ewakuowało – odpowiedział mężczyzna.

– Wojsko? – zapytała dziewczyna, unosząc brwi – Tak jak to zrobili na Polach Mokotowskich? „Cholera” – pomyślał Paweł. „Za dobrze ją wyszkoliłem”.

– Nie, Kaja, nie tak. Myślę, że zorganizowali ewakuację i wywieźli stąd kilkaset tysięcy ludzi. W jakieś bezpieczne miejsce, może do...

– A ja myślę, że kłamiesz – przerwała mu dziewczyna.

– Dlaczego?

– Bo zbyt mało czasu minęło – stwierdziła. – Ewakuacja całego miasta zajęłaby kilkanaście godzin, więc może i by się wyrobili, ale tylko wtedy, gdyby cała operacja była wcześniej dobrze zapla-

nowana i przygotowana. Logistyka musiałaby być dopięta na ostatni guzik. Komunikaty musiałyby być spójne i jasne. A to fizycznie niemożliwe. Mieli za mało czasu.

Kaja mówiła z sensem, trzeba było jej to przyznać. Pomimo traumy, jakiej doświadczyła, była w stanie zachować trzeźwość umysłu i zdolność racjonalnej oceny sytuacji.

Minęli Hotel Marriott i ich oczom ukazała się olbrzymia, niezgrabna bryła Dworca Centralnego. Po jego wschodniej stronie majaczył monumentalny Pałac Kultury i Nauki, symbol Warszawy, pamiętający jeszcze czasy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Wszystko wydawało się być puste i zapomniane. Budynki wyglądały jak makiety pozostawione przez dziecko, które się nimi znudziło i poszło się bawić gdzie indziej. Zresztą, to samo można by powiedzieć na temat całego miasta. Widać, że ludzie opuścili je w popłochu, nie bacząc na to, czy kiedykolwiek będzie im dane wrócić i zabrać swoje dobra.

Max siedział cicho i przysłuchiwał się rozmowie. W końcu zdecydował się zabrać głos.

– Ja myślę, że oni zginęli.

Odpowiedzieli mu milczeniem, czekając na dalszą część wypowiedzi. Każdy w głębi siebie miał podobne przeczucie, ale wypowiedzenie tego na głos było już czymś zupełnie innym.

– No tak – chłopak zaczął mówić dalej, jakby wyczuwając ich intencje. – Myślę, że podczas pierwszych paru godzin był chaos. Paweł, pamiętasz, co się działo w metrze, to co dopiero musiało się dziać na powierzchni.

– Tak, wiem coś o tym – wtrąciła dziewczyna. – Byłam w samym centrum miasta, na „patelni”. Tych... nie wiem nawet jak ich określić...

– Zombie – odpowiedział Max.

– Zombie? – powtórzyła dziewczyna. W głosie słychać było niesmak i zaskoczenie. – Jak to „zombie”? Przecież takie rzeczy są na filmach albo w legendach, nie w rzeczywistości. Nie, to na pewno nie zombie.

– Dlaczego nie? – zapytał. – Przecież sama widziałas, co robią. Strzelasz do nich, a oni idą dalej. Dostają w serce i nie umierają. Możesz poucinać im nogi, a i tak będą czołgać się w twoim kierunku. Dopiero po strzale w głowę jest po problemie. A jak ich nie zabijesz, to dopadną cię i zaczną pożerać żywcem – powiedział Max. – Mówię ci, to zombie. Legendy zawsze zawierają ziarno prawdy.

Kaja zamyśliła się, ale po chwili potrząsnęła głową i zaczęła mówić dalej:

– Dobra, nieważne. Możesz nazywać ich, jak chcesz. Dla mnie to po prostu chorzy ludzie, których da się wyleczyć... – mówiąc ostatnie zdanie, przypomniała sobie rozmowę z kolegą taty, Adamem Brdakiem. I jego monolog, w którym w jasny sposób tłumaczył, że wojsko nie ma pojęcia, z czym musi się mierzyć ani jak to zrobić. Zdecydowała na razie zachować tę wiedzę tylko dla siebie. – Tak czy inaczej, w centrum miasta było ich od groma. Spędziłam na dachu kiosku kilka godzin i podczas tego czasu liczba – jak ich nazywasz – zombie, znacznie wzrosła.

– No widzicie? – odpowiedział podekscytowany chłopak – Mówię wam. Zaraza rozprzestrzeniła się tak szybko, że nie zdążyli zorganizować oporu. Część ludzi schroniła się w domach albo biu-

rach, reszta nie miała tyle szczęścia. Wojsko przyjechało za późno. Jak dla mnie, to całe miasto umarło.

– Dlatego się stąd wynosimy – odpowiedział Paweł, cały czas w skupieniu obserwując drogę przed sobą.

Nagle gwałtownie się zatrzymał, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

## PLAC BANKOWY, GODZINA 07:05.

Pakowanie poszło szybko i sprawnie. Ubezpieczając się wzajemnie, przeszukali jeszcze raz cały budynek. Nie znaleźli jedzenia, lecz do przygotowanych pakunków dołożyli między innymi kamizelki kuloodporne, o których wspomniała Natalia. Zdecydowali się też zabrać całe wyposażenie oddziałów prewencji. Może niekoniecznie chcieli je od razu zakładać, ale woleli mieć coś takiego pod ręką na wypadek kryzysowych sytuacji. Gruby kevlarowy pancerz był stworzony do walki w tłumie, gdzie w ruch idą narzędzia wszelkiej maści. Może kły i pazury niekoniecznie, ale strój powinien idealnie się sprawdzić w konfrontacji z zombie. Problemem była jego duża waga oraz ograniczona mobilność osoby, która zdecydowała się przywdziać taki pancerz. No ale przecież nie można mieć wszystkiego.

Prawdziwym problemem okazało się znalezienie pojazdu, którym się wydostaną. Chętnie ukradliby ciężką policyjną ciężarówkę z armatką wodną na dachu, ale nie mogli nigdzie odnaleźć do niej kluczy. A niestety, nikt nie potrafił spiąć przewodów na krótko i odpalić samochodu w ten sposób. Tomek skwitował to zdaniem, że na filmach zawsze ktoś taki się trafia. Reszta zbyła go milczeniem. W końcu stanęło na policyjnej furgonetce, takiej samej, jaką przyjechali na plac Bankowy. Z tą tylko różnicą, że ta miała mieć wszystkie okna. Udało się im znaleźć odpowiednie kluczyki i zapakować wszystkie torby do samochodu. Zdecydowali, że Kuba będzie prowadził, Natalia będzie jechała obok niego, zaś Tomek miał za zadanie siedzieć z tyłu samochodu i ubezpieczać wszystko, co znajdowało się poza zasięgiem pozostałej dwójki.

– Dobra, chyba wszystko mamy – powiedział Kuba, wyciągając z kieszeni paczkę papierosów. Niewiele w środku zostało. Odpalił jednego, zaciągnął się i wypuścił dym ponad głowę. – Tomek, powiedz jeszcze raz, gdzie mieszkasz?

– Przy samej stacji metra Stare Bielany – odpowiedział chłopak.

– Okej, wiem, jak tam dojechać – stwierdził po chwili namysłu mężczyzna.

– Poczekaj, a którędy chcesz jechać? Trasą czy przez miasto? – zapytała Natalia.

– Mówiłeś, że trasa jest pusta, nie? – zapytał Kuba, patrząc na Tomka.

– Tak, ale to było wczoraj wieczorem – odpowiedział ten, przytakując. – Nie wiemy, jak wygląda teraz.

– Racja. Ale wiecie, coś mi mówi, że wieczorem ruch był raczej nieduży – stwierdził ironicznie Kuba.

Natalia uniosła brwi, co jeszcze bardziej powiększyło jej i tak już olbrzymie oczy.

– Jeżeli się mylisz, to będziemy mieć problem – powiedziała. – Jak wbijemy się w jakiś korek albo zablokowaną drogę, to kaplica – nie zjedziemy z trasy. A w mieście będzie nam łatwiej znaleźć jakąś boczną uliczkę.

„Miała rację. Cholera, jak zwykle miała rację. Co ja bym bez niej...” – pomyślał Kuba. Nic nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się do żony, zaglądając jej głęboko w oczy. Tomek odwrócił wzrok, chcąc dać parze minimum prywatności.

– No to jedziemy przez miasto – stwierdził Kuba. – Najpierw Anielewicza, potem w Jana Pawła II, Słowackiego, kawałek Żeromskiego i na Kasprowicza. Tak dojedziemy pod samą stację metra. To chyba najprostsza droga. Może inaczej – jedyna, jaką znam. Ale pamiętam, że tam jest pełno uliczek, więc nie powinniśmy mieć problemu w razie... problemów.

Skończył mówić i wyrzucił papierosa na ziemię. Zgniół niedopałek butem, po czym bez słowa zasiadł na miejscu kierowcy. Odpalił silnik, który zaczął miarowo i równo mrużyć, niczym zadowolony kot. Tomek już otwierał tylne drzwi, gdy przerwał mu Kuba:

– Ej!

Chłopak wyjrzał zza samochodu zdziwiony.

– A brama? Sama się nie otworzy – wyjaśnił policjant.

Tomek trzasnął drzwiami i klnąc na czym świat stoi, ruszył przed samochodem. Najmłodszy zawsze mają najgorzej, zawsze muszą otwierać tę ciężką, przeklętą bramę. Mimo wszystko podszedł do ogrodzenia i wyjrzał ostrożnie zza krat. Brama wyjazdowa kierowała ich na Nowolipki zabudowane równymi, powojennymi blokami. Niskie, maksymalnie pięciopiętrowe budynki były oświetlone mocnym, porannym światłem. W okolicy rosły liczne drzewa, a to wszystko razem sprawiało wrażenie przebywania na osiedlu domków jednorodzinnych, a nie prawie w centrum miasta. Taka zabudowa niestety dawała też wiele potencjalnych miejsc do ukrycia. Tomek uważnie przyglądał się ulicy, cały czas trzymając rękę na przewieszonym przez ramię karabinku MP5. Nie zobaczył jednak żywej duszy. Martwej też nie. Taki spokój i sielanka niezbyt mu się podobały. Coś wisiało w powietrzu.

– Jak tam? – krzyknął z samochodu Kuba.

– Pusto! – odpowiedział chłopak i podszedł do zamka łączącego ramiona ciężkiej bramy – otwieram.

Zawiasy zgrzytnęły i wrota stanęły otworem. Chwilę później furgonetka wytoczyła się powoli na ulicę, a Tomek zajął już przynależne mu miejsce w aucie. Wszyscy jednogłośnie stwierdzili, że nie ma sensu zamykać bramy. Ruszyli.

Po dojechaniu do alei Jana Pawła II, co zajęło im mniej niż dwie minuty, Kuba zatrzymał się, stając kilkanaście metrów przed skrzyżowaniem.

– Co się dzieje? – zapytała Natalia, uważnie rozglądając się wokół. Zresztą każdy miał teraz oczy z tyłu głowy i był maksymalnie wyczulony na najmniejszy podejrzaný ruch.

Kuba nie odezwał się, tylko lustrował ulicę wzrokiem, pozostając cały czas w skupieniu.

– Co widzisz? – zapytał spokojnie, nie patrząc na Natalię.

Ta starała się skupić na kierunku, w który patrzył Kuba. A że latał oczami w każdą stronę, okazało się to dość trudnym zadaniem.

– No... nic – odpowiedziała niepewnie po chwili.

– No właśnie – skomentował Kuba. – Nic. Pusto i cicho.

– To chyba dobrze, nie? – zapytała żona.

– Nie, niedobrze – odpowiedział. – Zbyt pusto i zbyt cicho. Jakby wszystkich ludzi gdzieś wywiało.

– Pewnie się pochowali w domach albo co – stwierdził Tomek, włączając się do dyskusji.

– Może, ale zobaczcie, jedziemy furgonetką policyjną. Ludzie by na nas zareagowali, wyszliby i wołali o pomoc – mówiąc to, Kuba zaglądał w okna otaczających ich bloków. Wszystkie były tak samo puste, tak samo nieme. – To miasto umarło.

Ostatnie zdanie było tak złowieszcze, że Natalii przeszedł po kręgosłupie dreszcz. Warszawa wydała się jej nagle mroczna i ciemna, jak miasto z jakiegoś amerykańskiego horroru, gdzie grasują seryjni mordercy albo inne krwiożercze potwory. Mimo tego, co przeżyli przez ostatnie kilkanaście godzin – dalej ciężko było uwierzyć, że to się działo naprawdę. Każde z nich w takim samym stopniu chciało się obudzić i z ulgą stwierdzić, że to był tylko głupi, zły sen.

Ale też każde z nich wiedziało, że to niemożliwe. Znaleźli się w nowej rzeczywistości i albo się dostosują, albo polegą. System wartości został wywrócony do góry nogami, pieniądze przestały mieć znaczenie. Jedyłą wartością miała teraz wola walki i umiejętności, które pomagały przeżyć. Oraz determinacja.

– Jedźmy już – zaproponował Tomek. – Nie chcę was straszyć, ale mam złe przeczucia.

Natalia spojrzała na niego przerażona. Nie dość, że Kuba dziwnie się zachowywał, to jeszcze Tomek.

– Ja też – skomentował mężczyzna, siedzący za kierownicą. Ponownie ruszyli.

– Poczekaj, tu za rogiem, jak skręcisz w lewo, jest sklep spożywczy – dodał niezdecydowany chłopak. – Może tam podskoczmy i zrobimy jakieś zakupy?

– Dobry pomysł – stwierdził Kuba.

Skręcili w lewo, kierując się w stronę centrum miasta. Na horyzoncie unosiły się wielkie słupy czarnego dymu, ale nie było już słyhać strzałów ani wybuchów. Miasto opadło z sił, przestało walczyć i powoli zaczynało konać. Minęli sklep rehabilitacyjny, pizzerię i aptekę. Jechali dalej powoli, przyglądając się sklepowym witrynom, eksponującym najróżniejsze gadzety erotyczne, ale sklepu spożywczego nie było widać.

– Na pewno tu jest sklep? – zapytała Natalia z powątpiewaniem. – Taki normalny, spożywczy. Wibratory raczej nam się nie przydadzą.

– Z pewnością. Społem albo coś takiego – odpowiedział Tomek, uważnie wypatrując zbawiennego szyldu. – O, tam! – krzyknął nagle, wskazując ręką upragniony lokal. – Mówiłem, że jest!

Chłopak miał rację. Pozostała dwójka spodziewała się czegoś więcej niż klitki wielkości kiosku, toteż zareagowali mniej entuzjastycznie.

– To...? – zapytała Natalia. – Przecież tam niczego nie znajdziemy.

– Cicho! – zakrzyknął Kuba, zatrzymując samochód. – Popatrzcie.

Pozostali spojrzeli w kierunku wskazywanym przez mężczyznę i zamarli. Między niskimi budynkami, w odległości nie większej niż sto pięćdziesiąt metrów od furgonetki, zgromadzili się zombie. Grupa co najmniej pięćdziesięciu osób stała i rozglądała się beznamiętnym wzrokiem po okolicy. Część kreatur chybotwała się w miejscu, część stała nieruchomo jak posągi odlane z gipsu. Każdy w mniejszym lub większym stopniu był skąpany we krwi. Ubrania ich były poszarpane, tak jak i same ciała – ktoś nie miał ręki, komuś brakowało części twarzy lub kawałka ciała. Wyglądali niczym stado zwierząt, które zatrzymało się na noc w bezpiecznym miejscu. I pewnie wiele się od zwierząt nie różnili, zwłaszcza jeżeli chodzi o instynkt i schemat zachowania.

– O matko... – wyszeptała Natalia.

W tym momencie jej spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem jednej z kreatur. Pomimo dzielącej ich odległości dziewczyna była pewna, że zostali zauważeni. Nie musiała długo czekać na potwierdzenie. Potwór wydał z siebie nieludzki okrzyk i ruszył powoli w kierunku ofiary. Cała trójka w samochodzie przypatrywała się temu jak zahipnotyzowana. Pozostałe maskary poszły w ślad za zombie, który ujrzał Natalię. Grupa rozpoczęła marsz w stronę samochodu, zawodząc i wyjąc niczym dusze potępione.

– Kuba – odezwała się znowu Natalia.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko przyglądał się grupie bez słowa.

– Kuba! Ruszaj! – krzyknęła dziewczyna.

– Jedź! – dodał od siebie Tomek, w napięciu ściskając zagłówek fotela.

Kuba potrząsnął głową, wrzucił wsteczny i docisnął pedał gazu do podłogi. Oddalali się od grupy bardzo szybko, jednak zdążyli zauważyć, że paru zombie rzuciło się biegiem w pogoń.

– Kuba! Uważaj! – krzyczała wystraszona dziewczyna. Wiedziała, że furgonetka jest ich gwarancją przeżycia. Jeżeli przebiliby oponę lub uszkodzili silnik, nie mieliby szans z tak liczną grupą. Jedyną opcją byłaby ucieczka i schowanie się w jakimś bezpiecznym miejscu. Ale jak znaleźć bezpieczne miejsce w terenie, którego zupełnie się nie zna? Lecz Kuba był w pełni świadomy wartości samochodu, toteż szybko skręcił w boczną uliczkę, zatrzymał się, wrzucił jedynekę i ruszył do przodu, wracając na aleję Jana Pawła II. Mógł teraz jechać i dokładnie widzieć, co ma przed sobą. Nie licząc kilku pozostawionych samochodów, droga była pusta, więc mogli się szybko i bezpiecznie oddalić. W lusterkach majaczyły znikające postacie zombie, desperacko goniące swoje niedosze ofiary.

– Jezu – wykrztusił Tomek, opadając ciężko na fotel.

– No – skomentowała Natalia, śmiejąc się histerycznie. – Blisko było.

Kuba nie odzywał się, tylko w skupieniu patrzył to na drogę, to w lusterko, jakby gdzieś tam głęboko w sobie spodziewał się, że nagle pojawi się w nim odbicie zakrwawionej mordy kogoś, kto przyczepił się do furgonetki.

Tymczasem dojechali do ronda Radosława i ich oczom ukazało się olbrzymie centrum handlowe o dumnej nazwie Arkadia. Niestety wschodnia część budynku stała w ogniu. Płomienie strzelały wysoko w niebo, głośno demonstrując swoją potęgę.



– Jezu... – ponownie odezwał się Tomek. Gdyby nie całe zamieszanie, to z takim zasobem słownictwa mógłby spróbować sił jako komentator sportowy.

Kuba wjechał na rondo, automatycznie zerkając w lewo i sprawdzając, czy droga jest wolna. Stary nawyk, którego każdy kierowca nie pozbędzie się nawet w obliczu końca świata. Wzrok całej trójki skierowany był na olbrzymi budynek, ale nikt nie odezwał się ani słowem. Każdy analizował w myślach, co by było gdyby. Mogliby wejść do środka i brać, co tylko dusza zapragnie. Sklepy stały otworem, a kasy były wyłączone. Ochrony brak. Nikt nie myślał teraz o telewizorach ani laptopach, ale o praktycznych rzeczach, które przydałby się w podróży. I na samych Mazurach. Jednak na przeszkodzie stały dwie rzeczy – po pierwsze sklep był otwarty, więc nie wiadomo, ile maszkar kręci się w środku. Po drugie – wschodnie skrzydło budynku stało w ogniu. Pożar mógł osłabić całą strukturę, budowla mogła runąć w każdej chwili. Jednak perspektywa łatwego i szybkiego łupu była nad wyraz kusząca.

– Zajrzemy do środka? – zapytał Kuba, zatrzymując pojazd na środku ronda. Od wejścia do centrum handlowego dzieliło ich około trzystu metrów idealnie przystrzyżonej trawy i pięknie zamiecionych chodników, gdzieniegdzie tylko udekorowanych ludzkimi zwłokami. Wielka fontanna przed głównym wejściem cały czas działała, wyrzucając w powietrze hektolitry wody. Jednak dzisiaj żadne dziecko nie będzie się w niej bawiło.

– Boję się – odpowiedziała Natalia. – Ale chyba powinniśmy.

– Tak myślę – powiedział Kuba.

– Nie, nie wchodźmy tam – włączył się Tomek. W jego głosie słychać było strach, ale i determinację.

– Co? Dlaczego nie? – zapytała Natalia, marszcząc ze zdziwienia czoło.

– Bo budynek płonie! I goni nas stado zombie. Nie możemy wjechać bezpośrednio do środka, a skoro tak, to będziemy musieli iść pieszo. Na dodatek nie wiemy, co jest wewnątrz! – wyrzucił z siebie Tomek z prędkością karabinu maszynowego. – Nie warto tam wchodzić. Znacnie Arkadię? Ja znam. Głównie sklepy z ubraniami, które na nic nam się nie przydadzą. No dobra, przydadzą się, ale bez problemu znajdziemy inny sklep. Sklep sportowy jest jeden i to strasznie słabo wyposażony, więc na Mazury nic nam się nie przyda.

– Ale coś tam na pewno znajdziemy – stwierdziła Natalia. – Jedzenie chociażby.

– Tak, ale to bez sensu – Tomek zaczął gestykulować rękami. – Po drodze możemy podjechać do paru sklepów, znacznie lepiej wyposażonych. Serio. Nie wchodźmy tam, nie opłaca się. Możemy zginać – powiedział, kładąc bardzo duży nacisk na słowo „zginać”.

Małżeństwo milczało. To, co mówił chłopak, miało sens, jednak centrum kusilo i przyciągało, niczym otwarta skrzynia pełna skarbów.

– Proszę – dodał cicho Tomek.

– Tomek, słuchaj – powiedział Kuba. Skoro zaczął od imienia, to musi być poważna sprawa. Chłopak już wiedział, co mężczyzna zamierza powiedzieć. – Podjedziemy pod wejście. Zostaniesz w furgonetce na czatach, a ja z Natalią wejdziemy do środka. Jakby przyszli... – zaciął się, szukając

odpowiedniego słowa – ...no wiesz kto. Jakby przyszli, zacznij trąbić. Rzucimy wszystko i przybiegniemy.

– Jak zacznę trąbić, to zlecą się jak pszczoły do miodu – stwierdził z rezygnacją Tomek.

– Ale szybko im uciekniemy tym samochodem, bo będziesz na nas tu czekał z zapalonym silnikiem – wtrąciła z triumfem w głosie Natalia.

– Dalej myślę, że to kretyński pomysł – skomentował chłopak, krzyżując ręce na piersi.

– Nic nam nie będzie – powiedział pewnie Kuba.

– Zginiecie tam – odpowiedział równie pewny siebie Tomek.

– Nie. Wejdziemy i weźmiemy potrzebne rzeczy. To zajmie chwilę.

– Wejdziecie i zginiecie.

Zapadła cisza. Kuba wpatrywał się w chłopaka, ale ten nie odwzajemnił spojrzenia, tylko mierzył wzrokiem Arkadię. Napięcie było niemalże namacalnie, a atmosfera tak gęsta, że w powietrzu można by powiesić siekiere. Kuba chciał po prostu otworzyć drzwi i pójść po rzeczy. Niestety, wiedział, jak potrzebny był im chłopak. Teraz jechali na jednym wózku i każda osoba, każda żywa osoba, była znacznie cenniejsza niż całe złoto świata. A o zespół trzeba dbać.

– Ech... – zaczął spokojnie Kuba, po raz kolejny przybierając mentorski ton głosu, którego czasem używał podczas przesłuchań. – Posłuchaj, pójdziemy i...

Rozdzierający powietrze huk nie pozwolił mu dokończyć zdania. Dach wschodniej części centrum handlowego zawalił się, uwalniając olbrzymie jęzory ognia, które strzeliły wysoko w niebo.

– No. To problem z głowy – skomentował z nieukrywanym entuzjazmem Tomek.

Kuba zaklął siarczyście i ruszył samochodem w stronę ulicy Słowackiego.

Kilka minut później minęli Marymont i wjechali na drogę, przecinającą Trasę Toruńską, jedną z głównych arterii miasta. Kuba ponownie zatrzymał samochód. Byli na wiadukcie, więc ewentualnych agresorów zauważą odpowiednio wcześniej. Ryzykował, jednak musiał wysiąść i podejść do barierki, żeby dokładnie przyjrzeć się temu, co zauważył kilka metrów pod nimi. Pozostała dwójka zrobiła to samo. Podeszli do barierki i położyli ręce na zimnym metalu odgradzającym ich od przepaści.

Pod nimi, po obu stronach drogi stały samochody. Setki, jeśli nie tysiące pojazdów wszelkiego koloru i kształtu. Wszystkie puste, porzucone. Niektóre miały na dachach przywiązane pośpiesznie walizki lub inne rzeczy, które ludzie chcieli zabrać, ratując swoje życie. Sznur samochodów ciągnął się aż po horyzont, zarówno w stronę Bródna, jak i Bemowa. Im dłużej się im przyglądali, tym więcej szczegółów zauważali. Krew. Dziury po kulach. Wybite szyby. Kawalki postrzępionych ubrań i zwisające z ostrego szkła fragmenty ludzkiej skóry. Powoli zaczęli rozumieć. W korku pojawił się ktoś zakażony. Krzyki mordowanych i strzały przyciągnęły innych, a ludzie uwięzieni na wąskim pasie po prostu nie mieli dokąd uciekać. Po obu stronach trasy wznosiły się wysokie ekrany dźwiękoszczelne, tworząc z drogi koryto, którym spłynęła rzeka krwi bezbronnych ofiar, niczym rynną odprowadzającą krew po rytualnie ściętych jeńcach, złożonych ku czci jakiegoś przedwiecznego, krwiożerczego bóstwa. Tylko jakie bóstwo zostało zaspokojone tym razem? Kuba szczerze

wąpiał, żeby jakikolwiek bóg maczał w tym palce. Wyciągnął paczkę papierosów i odpalił jednego. Wypuścił dym z ust i powiedział do Tomka:

– Pytałeś, gdzie są wszyscy ludzie. Masz swoją odpowiedź – mówiąc to, wskazał ręką bliżej nieokreślony punkt pod nimi.

– Zajebicie – skomentował chłopak. – Dasz jednego? – zapytał, patrząc wymownie na paczkę papierosów.

– Nie wiedziałem, że palisz – powiedział Kuba, wyciągając ją w stronę chłopaka.

Ten wziął jednego papierosa, odpalił i głęboko zaciągnął się dymem. Trzymał go chwilę w płucach, po czym wypuścił i stwierdził:

– Bo nie palę. To znaczy, już nie.

– Aha – kiwnął głową Kuba. Niespecjalnie go interesowała historia rzucania nałogu przez Tomka, ale gdzieś w głębi przeczuwał, że jeszcze dane mu będzie jej wysłuchać.

Mężczyźni nie zauważyli, jak po policzku Natalii spłynęła okrągła, ciężka łza. Dziewczyna pociągnęła nosem i wciągnęła głęboko powietrze, starając się utrzymać w ryzach wybuch płaczu, który i tak zdawał się być nieunikniony. Oczyma wyobraźni widziała te wszystkie osoby, desperacko walczące o życie. Mężczyzn, chroniących swoje rodziny. Kobiety z małymi, niczego nierozumiejącymi dziećmi na rękach, w panice rozglądające się za miejscem, do którego mogłyby uciec lub w którym chociażby mogły skryć swój największy, przerażony skarb. Ale takich miejsc nie było. Zamiast tego była panika, chaos i wszechobecna śmierć, której woń dalej unosiła się w powietrzu. To nie był zapach krwi czy ludzkiego mięsa. To było coś pomiędzy, coś, co nie tyle można było wyczuć, ile dało się odczuć szóstym zmysłem. Może jakaś głęboko zakopana część instynktu podpowiadała jej, że to miejsce niedawno było świadkiem okrutnej tragedii. Może ta właśnie część instynktu kazała uciekać w obawie przed następstwami ostatnich zdarzeń.

Tak czy inaczej, to nie miało najmniejszego znaczenia. Nic już nie miało znaczenia, nic poza wolą walki i chęcią przetrwania, która drastycznie malała w obliczu widoku, jaki aktualnie oglądali.

– Jedźmy stąd. Do mnie już blisko – zaproponował cicho Tomek, gasząc niedopałek.

Nikt się nie odezwał, ale cała trójka ruszyła w kierunku policyjnej furgonetki.

## CENTRUM, GODZINA 07:25.

Ich oczom ukazał się wojskowy patrol, w skład którego wchodziło co najmniej pięciu żołnierzy. Szli wachlarzem po całej szerokości ulicy, uważnie rozglądając się wokół. Żołnierze ubrani byli w ciężkie, gumowe kombinezony ochrony przeciwchemicznej, na twarze mieli naciągnięte maski gazowe, a za nimi, w bezpiecznej odległości, jechał bojowy wóz piechoty, lekki pojazd gaśniennicowy, służący do transportu wojska i działań obronno-zaczeplnych. Lufa działa BWP groźnie pobłyskiwała w porannym słońcu, podczas gdy gaśniennice z głośnym zgrzytem orały asfalt. Paweł nacisnął hamulec i wpatrywał się jak urzeczony w żołnierzy. Wiedział, że zostali zauważeni, ale coś mu mówiło, że nie powinien być z tego faktu specjalnie zadowolony. Może to, że kilku wojaków błyskawicznie uciekło na boki, zajmując dogodne pozycje strzeleckie i celując w nich ze swoich karabinów?

– Co oni robią? – zapytała Kaja.

Paweł nie zdążył odpowiedzieć, bo do ich uszu doleciał donośny rozkaz wydany przez megafon:

– Wyjdźcie z podniesionymi rękami i stańcie przodem do pojazdu.

Co jest grane? Coś tu było bardzo nie w porządku. Jeżeli to jest ekipa ratunkowa, to dlaczego są tak wrogo nastawieni? Komandos przestawił swój umysł na tryb bojowy i zaczął błyskawicznie analizować najróżniejsze opcje i scenariusze. Scenariusz pierwszy – konflikt. BWP jest wyposażony w działo, które zależnie od rodzaju pocisku, może wyrzucić rosomakowi mniejszą lub większą krzywdę. Otwarta walka ma znikome szanse powodzenia. Żołnierze są dobrze wyposażeni, poza tym istnieje duże prawdopodobieństwo, że to zawodowa armia. Wobec tego, z dwójką amatorów i jednym GROM-owcem nie będą mieć większego problemu. Nie przy przewadze pięciu na jednego, gdzie element zaskoczenia i wiedza doświadczanego komandosa zniknęły. Scenariusz drugi – ucieczka. Mogą nie zdążyć się wycofać, albo zostać unieruchomieni podczas próby. W najgorszym wypadku mogą zginąć. Odpada. Scenariusz trzeci – wykonywanie rozkazów i bierne poddanie się temu, co nieuniknione. Przeżyją i dowiedzą się, co jest grane. Teoretycznie. Jak to wyjdzie w praktyce – oczywiście nie wiadomo.

– Wyjdźcie z rękami uniesionymi w powietrze! – ponownie rozkazał megafon.

– Chyba powinniśmy wyjść – powiedział skupiony Paweł. – Chodźmy. Max, zostań na razie w pojeździe. Chyba cię nie widzieli i niech tak zostanie. Na wszelki wypadek.

Chłopak doskonale rozumiał intencje komandosa, toteż schylił się jeszcze bardziej. Pod ręką cały czas trzymał karabin maszynowy, gotów użyć go w razie potrzeby. „Biedaczysko, nie wiedział, że nie miałby szans oddać nawet jednego strzału” – pomyślał Paweł. Jednak hart ducha tego dzieciaka bardzo przypadł mu do gustu.

Paweł otworzył drzwi i jako pierwszy zeskoczył na asfalt. Kaja opuściła pojazd tuż za nim. Tak jak im kazano, unieśli ręce do góry.

– Hej! Opuśćcie broń, nie jesteśmy uzbrojeni – krzyknął Paweł, robiąc krok w stronę pierwszego żołnierza.

Ten błyskawicznie się cofnął i krzyknął:

– Stój! Ani kroku dalej! – pomimo zniekształconego przez grubą gumę głosu polecenie było doskonale słyszalne.

Paweł jednak zrobił kolejny krok. Chciał wybadać grunt, niczym trzyletnie dziecko sprawdzające wytrzymałość psychiczną rodzica.

– Stój! Stój, bo strzelam! – krzyknął żołnierz i błyskawicznie zarepetował karabin.

Komandos zatrzymał się. „Okej, niech ci będzie” – pomyślał. „Albo jesteś młody i to twoja pierwsza misja w terenie, albo masz bardzo wyraźne i bardzo konkretne rozkazy. Idąc dalej tym tropem – jeżeli masz rozkaz strzelania do nieznanego i nieprzebadanego człowieka, to znaczy, że sytuacja jest bardzo poważna. To znaczy też, że nikt nie ma pojęcia, z czym walczą, i się po prostu boją. Świetnie”.

– Spokojnie! – krzyknął w odpowiedzi Paweł. – Nie strzelaj!

– Na kolana! – krzyknął znowu żołnierz. W jego głosie słychać było panikę, co bardzo nie spodobało się Pawłowi. Człowiek, trzymający przeładowany karabin maszynowy jest niebezpieczny, ale człowiek ogarnięty paniką i trzymający przeładowany karabin maszynowy to bomba z bardzo krótkim lontem.

– Dobrze, już dobrze! – krzyknął Paweł, unosząc w górę ręce i klękając. Nie miał za bardzo pola manewru, a bał się, że coś może się stać Kai.

Nagle kątem oka dostrzegł, jak żołnierz znajdujący się po jego prawej stronie odbezpiecza broń i przymierza się do strzału. Tak samo postąpił jego towarzysz, który kazał Pawłowi uklęknąć. Zaraz wystrzelał, a Paweł znalazł się w krzyżowym ogniu bez najmniejszej szansy na przeżycie i ochronę Kai. Jednak komandos zadziałał instynktownie, wykorzystując swoją największą przewagę – szybkość i doświadczenie bojowe. Błyskawicznie sięgnął po pistolet schowany za plecami, wyjął go i pośłał dwie kule prosto w maskę gazową żołnierza, znajdującego się przed nim. W tym samym czasie usłyszał głośnie warknięcie – to potężny silnik rosomaka został poderwany do życia, gdy Max wcisnął pedał gazu i zasłonił pojazdem Pawła i Kają. Gdy żołnierz z przestrzeloną twarzą upadał, usłyszeli stukot kul odbijających się od grubego pancerza pojazdu i krzyki żołnierzy, zajmujących pozycje ofensywne.

– Szybko, do środka! – krzyknął chłopak, jakby faktycznie trzeba było poganiać pozostałą dwójkę.

– Czemu strzelają?! – krzyczała dezorientowana Kaja. Była autentycznie wystraszona i zagubiona, chyba bardziej niż wtedy na kiosku.

– Nie wiem, później o tym pogadamy. Max, przesun się – rozkazał krótko Paweł, siadając za kierownicą.

Po oddaniu paru strzałów do rosomaka żołnierze przerwali ogień. Doskonale wiedzieli, z czym mają do czynienia. Po prostu szkoda marnować amunicji na tego bydlaka. Paweł wcisnął pedał gazu i ruszył w kierunku, z którego nadjechali.

Niestety nie było im dane daleko ujechać. Usłyszeli głośny huk wystrzału i rosomakiem mocno zachybotało.

– Kurwa, trafili nas – wycedził Paweł. – Szlag by to!

Jednak mężczyzna nie zdejmował nogi z pedału gazu. Musiał oddalić się maksymalnie daleko, mimo że czuł, jak go znosi na prawą stronę. Walczył z kierownicą ile sił, ale szybko pojął, że daleko nie zajadą.

– Dostaliśmy w tylną oś, musimy uciekać pieszo.

Powiedziawszy to gwałtownie skręcił na chodnik, taranując mały samochód osobowy, słup i kilka betonowych donic, odgradzających ulicę od strefy przeznaczonej dla pieszych. Stanął kilka metrów od wejścia do przejścia podziemnego.

– Max, łap plecaki i szybko na dół – krzyknął Paweł, zeskakując na ziemię i spoglądając w stronę, z której prawdopodobnie będą nadchodzić żołnierze. Po chwili ciężkie glany chłopaka uderzyły o asfalt tuż obok mężczyzny. Max ukucnął, rozglądając się z przerażeniem w oczach.

– Ej! – Kaja rzuciła plecak Maxowi. Ten złapał go w ostatniej chwili, tuż przed tym, zanim wylądował na jego twarzy. Błyskawicznie położył go na ziemi, szykując się do złapania kolejnego.

Przewidując sytuację, w której byliby zmuszeni do błyskawicznego porzucenia pojazdu wojskowego, Paweł kazał im wcześniej przygotować trzy plecaki ewakuacyjne. Z początku żadne z nich nie wiedziało, o co chodzi, jednak mężczyzna dokładnie wszystko wytłumaczył. Każdy miał własny plecak, w którym znajdowały się rzeczy niezbędne do przeżycia, takie jak środki medyczne, prowiant na trzy dni, amunicja, nóż i butelka wody. Niestety nie był to tak idealnie wyposażony plecak, jaki wymarzył sobie Paweł, jednak w aktualnych warunkach musiał im wystarczyć. Szczęście w nie-szczęściu polegało na tym, że trudna sytuacja dotknęła ich latem, a nie w środku zimy. Teraz można było spokojnie przespać się na dachu budynku lub nawet na drzewie, jeżeli sytuacja by tego wymagała. Nie musieli rozpalać ognia, żeby się ogrzać lub żeby przyrządzić jedzenie.

– Dalej! Na dół! – ponaglał Paweł.

– Co? Mamy zejść do podziemi? – zapytał zaskoczony Max.

– Tak, szybko.

– Nie! – odpowiedział stanowczo chłopak. – Nie pamiętasz już, przez co przeszliśmy w metrze? I znowu chcesz się pakować pod ziemię?

Paweł opuścił delikatnie broń, odwrócił się i spojrzał prosto w oczy Maxa.

– Doskonale pamiętam. Ale musimy teraz tam zejść, bo dzięki temu będzie nam łatwiej zgubić pościg. Nie pójdą za nami. Zobaczysz – odpowiedział krótko i rzeczowo.

Kaja weszła między mężczyzn i przyjrzała się schodom prowadzącym pod ziemię. Z jej perspektywy tunel w środku świecił pustkami, ale licho wie, co się tam czaiło. Poczwała irracjonalny lęk przed zejściem, prawdopodobnie spowodowany tak gwałtowną reakcją Maxa. Jednak zdusiła strach

w zarodku. Spojrzała na mocno grzejące słońce, jakby bała się, że nie ujrzy go ponownie zbyt szybko. Jednak to nie był odpowiedni czas na pożegnania czy analizy, to był czas na zdecydowane i konkretne działania.

– Idziemy – rzuciła i pobiegła truchtem pierwsza. Gdy była gdzieś w połowie schodów, Max ruszył za nią. Raz, że dziewczyna nie może się okazać odważniejsza, a dwa, że mimo krótkiego czasu, jaki spędzili razem, już zdążył ją polubić. Na górze został tylko Paweł, ubezpieczając tyły. Już miał zejść, gdy nagle obok niego odbił się pocisk. Komandos automatycznie schował głowę w ramiona i skoczył w kierunku najbliższej kryjówki, chowając się za rannym rosomakiem. Wyrzał po sekundzie na ulicę i od razu schował z powrotem głowę. Jednak zdążył w tym czasie zobaczyć, że trzech żołnierzy odnalazło ich i teraz zmierzali w tę stronę z wyraźnym zamiarem dokończenia tego, co zaczęli. Nie miał czasu zastanawiać się, dlaczego jego koledzy po fachu chcą ich zabić. Na to przyjdzie jeszcze pora. O ile uda mu się wyjść z tego cało. Gdy szukał możliwie najlepszego wyjścia z tej sytuacji, przybyła nieoczekiwana odsiecz.

Pierwszy z żołnierzy był zbyt skupiony na okrążaniu Pawła z prawej flanki, aby usłyszeć nadbiegającego zombie. Potwór rzucił się na jego plecy z takim impetem, że obydwaj przewrócili się na ziemię. Wojak zdążył tylko coś krzyknąć, wypuszczając z rąk karabin i chroniąc się rękami przed upadkiem na asfalt. W tym czasie zombie w dzikim szale zaczął szarpać dłońmi i zębami gruby gumowy kombinezon ochronny. Spostrzegł to drugi żołnierz i posłał serię w korpus maskary, zrzucając ją z kolegi. Gdy strzelał, kątem oka dostrzegł, jak zza przewróconego na bok autobusu wybiega kilkanaście osób i zmierza w jego stronę, wściekle rycząc. Wtedy zrozumiał, że nie ma szans. W akcie desperacji wypuścił serię w nadciągający tłum, kładąc dwoje przeciwników. Chyba krzyczał, ale gruba guma nie przewodziła dobrze dźwięków. Parę sekund później zniknął pod chmurą łapczywych szczęk.

Paweł bez wahania wykorzystał taki obrót spraw. Skoczył w kierunku schodów, zbiegając po nich na złamanie karku.

– Szybko! – krzyknął do pozostałej dwójki.

Dotarł do nich i cała trójka popędziła szerokim korytarzem, nie oglądając się za siebie.

Biegli kilkadziesiąt sekund w nieznanym kierunku. Stukot butów odbijał się głośnie echem, gdy nagle Paweł zwolnił, by po chwili gwałtownie się zatrzymać.

– Stójcie – powiedział cicho, unosząc w górę rękę.

Posłuchali i stanęli obok niego, ciężko dysząc. Max obejrzał się za siebie, ale schody, którymi zbiegli, zniknęły za zakrętem i nie było ich teraz widać. Nie docierał też do nich żaden dźwięk, świadczący o pościgu – ani żołnierzy, ani zombie.

– Co jest? Czemu stoimy? – zapytała Kaja, odgarniając z czoła niesforny kosmyk ciemnych włosów.

– Nasłuchuję – odpowiedział Paweł.

– Strasznie tu cicho, zauważyliście? I pusto – wydyszał Max, opierając dłonie na kolanach. Widać było, że pomimo młodego wieku aktywność fizyczna nie była jego najmocniejszą stroną. Kaja

przyjrzała się temu z nieukrywaną satysfakcją. Chociaż zdążyła się już przyzwyczaić do tego, że chłopcy w jej wieku woleli spędzać czas przed komputerem niż na boisku. „Szkoda” – pomyślała. „Adonisów to z nich nie będzie”.

– No właśnie. I mnie to dziwi. Jest stanowczo za cicho – stwierdził Paweł.

– Pewnie zombie wszystkich przepędzili – stwierdził chłopak.

Faktycznie, dopiero teraz zwrócili uwagę na rdzawe plamy, jakimi udekorowane były ściany i podłoga. A gdzieś tam i sufit. Wcześniej myśleli, że to po prostu brud, od zawsze towarzyszący każdemu podziemnemu przejściu w Warszawie. Tym razem było inaczej. Pachniało raczej standardowo – duszne powietrze było chłodne, śmierdziało stęchlizną i moczem, jak zawsze.

– Chyba masz rację – powiedział po chwili namysłu Paweł. – Ktoś wie, gdzie jesteśmy?

Kaja i Max zaczęli się rozglądać. Nie było ani tablic informujących, w którą stronę jaka znajduje się ulica, ani innych znaków mogących im pomóc w orientacji. Stali na skrzyżowaniu trzech korytarzy, z czego jeden rozdzielał się dalej, tworząc dwa kolejne. Wokół rozsiane były niewielkie sklepiki i kioski, prezentujące całą gamę najróżniejszych towarów. Od książek, poprzez ubrania i zabawki aż do jedzenia. Nie zabrakło także drobnych stoisk pod nazwą „wszystko za 5 złotych”, sklepu militarnego i erotycznego sex shopu.

– O proszę... – powiedział Max i wskazał ręką w kierunku sklepu obwieszzonego siatką maskującą i z manekinami ubranymi w wojskowe mundury, stojącymi na wystawie.

– Ja nie mam pojęcia – odezwała się Kaja, rozglądając się dookoła.

– A co to za różnica? – zapytał Max. – Wyjdziemy najbliższym wejściem i zobaczymy, gdzie jesteśmy – stwierdził przytomnie. – Ale najpierw wejdźmy do tego sklepu, na pewno znajdziemy tu dużo przydatnych rzeczy.

– Dobra, małe zakupy i potem idziemy dalej – powiedział Paweł, przyznając chłopakowi rację. – Ale bądźcie cicho, okej? Strasznie tu niesie głos.

Ledwo zdążył to powiedzieć, gdy rozległo się głośnie wycie dobiegające ze wschodniej odnogi korytarza.

– Spadamy! Migiem! – rozkazał komandos i wskazał ręką przeciwny kierunek – Tam. Ruszać się!

Znowu pobiegli. Kaja z Maxem z przodu, a Paweł ubezpieczał tyły. Krzyki były coraz bliżej, a na domiar złego dotarły do nich jeszcze odgłosy świadczące o tym, że pościg także nie żałuje nóg. Dźwięk dziesiątek par butów uderzających szybko – zbyt szybko – o posadzkę korytarza nie wróżył niczego dobrego. Nie wiedzieli, dokąd tak naprawdę uciekają, modlili się tylko, żeby przejście nie okazało się ślepe.

– Kaja! Znajdź jakiś przyczółek, gdzie możemy się schować. Sklep, czy coś. Ale z porządnymi drzwiami – krzyknął w biegu Paweł. – Ja ich jakoś zatrzymam. Przynajmniej na chwilę.

Wiedział, że nie zdążą wybiec na górę. Musieli się schować gdzieś tutaj i przeczekać. Kaja nie pytała o szczegóły ani intencje ojca. Ufała mu w stu procentach, więc ruszyła sprintem przed siebie. Max próbował ją dogonić, ale niezbyt mu to wyszło. Wyglądało to jak wyścig młodej gazeli



z bawołem, toteż chłopak po paru metrach zrezygnował i wyrównał bieg z Pawłem, co też nie było specjalnie łatwe. Tymczasem Kaja zniknęła za najbliższym rogiem, piszcząc podeszwą buta, jakby była na parkiecie boiska do koszykówki. Gdy parę sekund później i oni tam dobiegli, dziewczyny nie było już widać. Paweł zatrzymał się za rogiem i powiedział do Maxa:

– Biegnij!

Chłopak spojrzał na niego i ruszył w kierunku, w którym teoretycznie pobiegła Kaja. Minął księgarnię, kasę biletową i sklep z pamiątkami. Po jego lewej stronie się widać było liczne zejścia prowadzące w stronę peronów. Wniosek był prosty – dotarli pod Dworzec Centralny.

– Max! Tutaj! – do jego uszu doleciał znajomy głos. Zwolnił i zaczął się nerwowo rozglądać. W końcu dostrzegł ją, machającą zza szyby kawiarni. Dobiegł do drzwi, gdy jego uszy niemalże rozsadził huk, wielokrotnie spotęgowany wąskim tunelem. To żołnierz strzelał do zombie, dając pozostałej dwójce więcej czasu na ukrycie się.

– Paweł! Mamy miejscówkę! – krzyknął chłopak, machając ręką, żeby łatwiej było go dostrzec.

– Znaleźliście klucze? – odkrzyknął w odpowiedzi Paweł, posyłając w międzyczasie dwóch kolejnych zombie na tamten świat.

– Kaja, masz klucze? – zapytał chłopak.

– Nie, kurwa, poczekaj... – odpowiedziała, rozglądając się po wnętrzu lokalu. Klucze, na ich szczęście, znalazły się w jedynej szufladzie przy kasie fiskalnej. – Dobra, mam!

– Mamy! Dawaj! – odkrzyknął chłopak w stronę nadal strzelającego Pawła.

Nie trzeba było go dłużej namawiać. Oddał jeszcze parę strzałów, żeby najbliżsi zombie nie zdążyli zobaczyć, gdzie się chowają. Niestety, zanim dobiegł do kawiarenki, zza rogu wyleciała pierwsza poczwara. Przez głowę przeleciała mu myśl, żeby uciekać dalej korytarzem lub zbiec na peron. Popędzić przed siebie, ile sił w nogach, jak królik czmychający przed wygłodniałymi chartami. Żeby odciągnąć tym samym zombie od Kai i Maxa, żeby tylko oni pozostali bezpieczni. Niestety wątpił, żeby taki plan się powiódł. Zombie pewnie by wrócili, a jak nie oni, to żołnierze. Wtedy mieliby jeszcze mniejsze szanse na przeżycie, a tak może im pomóc. Zdecydował się nie podejmować tak drastycznych kroków. Jeszcze nie.

– Zamykaj! – krzyknął, wbiegając do małego pomieszczenia.

Przeszkłone drzwi i ściany nie dawały poczucia psychicznego komfortu. Paweł modlił się, żeby były ze szkła przeciwwłamaniowego lub chociaż hartowanego. Kaja błyskawicznie zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku.

– Wszyscy za bar, szybko. – Paweł wydał kolejny rozkaz, przeskakując samemu przez ladę. Za barem stał już Max, Kaja była w drodze.

– Ukucnijcie, schowajcie się. Żeby nas tylko nie zauważyli.

Pozostała dwójka posłusznie wykonała polecenie. Pierwszy z zombie dopadł do drzwi, waląc w nie z impetem. Po chwili kolejny zaczął się dobijać do szyby wystawowej, nie czyniąc jednak w niej żadnych szkód. Z każdym uderzeniem plama śliny i krwi toczony z ich pysków była coraz większa, jednak na szkłe nie pojawiło się nawet najmniejsze pęknięcie.

– Nie wychylajcie się – powiedział już spokojniejszy Paweł. Zdecydowanie mu ulżyło, gdy okazało się, że szkło jest w miarę wytrzymałe. Miał przynajmniej trochę czasu na przeładowanie magazynka i spokojne przemyślenie frapującej kwestii – co dalej?

– Co teraz? – zapytał Max, jakby czytał w jego myślach.

„No nie, nie dadzą się w spokoju zastanowić” – stwierdził z rezygnacją mężczyzna.

– Nic. Nie wychylamy się i poczekamy, aż sobie pójda – odpowiedział.

Kaję zaskoczyła odpowiedź ojca.

– Tak... tak po prostu? – zapytała, marszcząc brwi.

– Ciszej. Tak, tak po prostu – odparł, wkładając do beryla pełny magazynek. – Oni są jak zwierzęta. Ale takie głupie zwierzęta – dodał. – Jak będziemy wystarczająco długo pozostawać w ukryciu i ciszy, to w końcu zapomną, że w ogóle tu byliśmy, i sobie pójda.

„Brzmi dobrze i obiecująco” – pomyślał Max.

– Jesteś pewien? – zapytała z nadzieją w głosie Kaja.

– Nie – odpowiedział krótko i rzeczowo Paweł.

Pozostałym odechciało się rozmawiać. Siedzieli i słuchali, jak zombie wałę w szybę, wyczekując w napięciu na dźwięk pękającego szkła. Jednak ten szczęśliwie nie nadchodził.

– Która? – zapytał Max, patrząc na Kaję, zerkającą właśnie na zegarek.

– Piętnaście po ósmej – odpowiedziała dziewczyna.

– Jezu, mam wrażenie, jakby był środek nocy – odpowiedział chłopak i przetarł zmęczone oczy.

Po prawie dobowej walce o przeżycie, jego organizm zaczął się przyzwyczajać do podwyższonego poziomu adrenaliny, traktując zagrożenie jak coś normalnego. Ale wszystko miało swoje granice. Teraz ciało Maxa zdecydowanie domagało się odpoczynku.

– Prześpijcie się – zaproponował Paweł. – Będę was pilnował. Jakby coś się zaczęło dziać, to obudzę was odpowiednio wcześniej.

– Chyba żartujesz – parsknęła z dezaprobatą Kaja. – Spać? Teraz? Tutaj?

– Tak. Widzisz, że tu nie wejdą. Jakby mieli rozwalić szybę, już dawno by to zrobili.

– Kropla draży skalę nie siłą, lecz ciągłością spadania – powiedział filozoficznie Max.

Paweł popatrzył na niego spode łba. To, co przed chwilą usłyszał, było niezbyt motywujące.

– Sam tego chyba nie wymyśliłeś?

– Nie. Chińczycy to wymyślili. Ponoć mają przysłowie pasujące dosłownie do każdej sytuacji – powiedział dumny z siebie chłopak. Chociaż raz wiedział coś więcej niż Paweł.

– No dobra – stwierdził z rezygnacją mężczyzna. – Niech ci będzie. Ale te krople są zbyt głupie, żeby wystarczająco długo walić w szybę – powiedział Paweł i wyciągnął nogi na podłogę. Oparł się plecami o szafkę, a broń położył obok siebie, cały czas odbezpieczoną.

– Tego też nie wiesz – powiedziała cicho Kaja. W jej głosie słychać było coś złowieszczonego i smutnego.

Ojciec dziewczyny nie odpowiedział, tylko pograżył się we własnych, ponurych myślach.

– A ja myślę, że Paweł ma rację. Coś w tym jest – powiedział Max, chcąc dodać dziewczynie odrobinę otuchy. – No bo zobacz. Widziałaś atak na posterunek, na Polach Mokotowskich, nie? Właśnie. Był zorganizowany, ale nie w takim... ludzkim tego słowa znaczeniu. Rzucili się na jedzenie jak wygłodniała horda, no, jak wataha wilków. Z tym tylko, że nawet wilki atakują inteligentniej i sprytniej. Ci na Polach nie mieli wyjścia. To zwierzęta. Tu, na górze, żołnierze też zostali zaatakowani przez kolejną grupę. Kiedy ostatni raz widziałaś pojedynczą sztukę? My ostatni raz jeszcze w metrze. Potem zawsze po paru zombie naraz.

– Nie lubię tego określenia – stwierdziła ponuro dziewczyna, ale już nieco normalniejszym głosem, niż wcześniej. Może bez szału, jednak rozmowa wyraźnie zmierzała w dobrym kierunku.

– No to kiedy widziałaś samotne z... samotnego... Jezu, to jak chcesz ich nazywać? Tego zombie i tyle – powiedział zrezygnowany Max z odrobiną irytacji w głosie.

– Są zainfekowani. Czy to zombie, czy nie, coś ich musiało zarazić. Czyli zainfekowani – zaproponowała dziewczyna. – Poza tym infekcja to coś, co można wyleczyć.

– Okej, niech będzie zainfekowany – zgodził się Max, kiwając kudłatą głową. – To kiedy?

– Nie pamiętam. Na „patelni” było ich pełno, ale to był sam początek. Potem w centrum, przed Żłotymi Tarasami było już stado.

– Właśnie. Czyli zachowują się jak zwierzęta. Rządzą nimi podstawowe instynkty, jak najeść się i... i chyba to tyle. A w stadzie łatwiej im coś upolować – stwierdził Max.

– Macie jakiś pomysł, skąd to się wzięło? – zapytała dziewczyna.

Po tym pytaniu cała trójka milczała przez długie minuty.

– Tam w obozie, na Polach był pewien mężczyzna – zaczęła w końcu Kaja. – Opiekował się mną tuż po tym, jak mnie przywieźli. Dali mi jeść, zbadali. Na szczęście nie miałam gorączki. Twierdzili, że najpierw ma się wysoką gorączkę. Po tym można szybko poznać, czy ktoś jest zarażony, czy nie. Ja nie miałam, więc mnie zaprowadzili do namiotu tych zdrowych. Poza mną nie było w nim nikogo, natomiast ten drugi był pełny... Ludzie byli przykuci kajdankami do łóżek. Uzbrojona straż. Rozumiecie?

Rozumieli, ale żaden z nich nie chciał przerywać opowieści, toteż tylko kiwnęli przytakująco głowami.

– Bał się ich – dziewczyna zaczęła po chwili mówić dalej. – Ten mężczyzna powiedział mi wprost, że nie wiedzą i nie rozumieją, z czym mają do czynienia. Wyglądał na takiego, który wiele w życiu już zobaczył i wiele przeżył. Ale teraz się bał.

– Wszyscy się boimy – stwierdził Paweł – ale wyjdziemy z tego, nie martw się.

– Przegraliśmy – powiedziała Kaja.

To jedno krótkie słowo wbiło się niczym zimny sztylet prosto w serce Pawła. Odetchnął głęboko i już otwierał usta, żeby jakoś pocieszyć córkę, gdy ubiegł go Max.

– Przegrana to stan umysłu. Nikt nie jest pokonany, dopóki nie zaakceptuje porażki jako swojej aktualnej rzeczywistości – powiedział, patrząc Kai prosto w oczy. – Bruce Lee, *Wejście Smoka* – dodał na koniec.

W oku dziewczyny dostrzegł jakby błysk nadziei, co mu w tym momencie zupełnie wystarczyło. Wiedział, że udało mu się ją pocieszyć i że delikatny płomień dalej się tli w jej sercu.

## BIELANY, GODZINA 08:27.

Porzuciwszy nadzieje związane z Arkadią, skierowali się prosto do mieszkania Tomka, dokąd udało im się dojechać prawie pół godziny później. W normalny dzień przejechanie dzielącej oba miejsca drogi zajmuje mniej niż dziesięć minut, jednak teraz było zupełnie inaczej. Niektóre ulice były zakorkowane i trzeba było szukać alternatywnych przejazdów wąskimi uliczkami, które często okazywały się ślepe. To, co po drodze zobaczyli na Marymoncie, na długo odebrało im chęć prowadzenia jakiegokolwiek dyskusji.

– Okej, to prawie tutaj – powiedział Tomek, odzywając się pierwszy raz od kilkunastu minut. – To tamten blok, widzicie?

Wskazał ręką niewysoki budynek, mieszczący się bezpośrednio przy ulicy. Podjechali policyjną furgonetką prawie pod samą klatkę. Kuba wysiadł jako pierwszy, od razu odbezpieczając broń. Natalia i Tomek stanęli tuż za nim.

– Wygląda na to, że mówiłeś prawdę – stwierdził ponuro policjant, patrząc na ciemne plamy krwi, którymi był udekorowany zarówno chodnik, jak i ulica.

Poza krwią nie było ciał. To znaczy, nie było całych ciał – gdzieniegdzie było tylko widać fragment czyjejś ręki i podarte strzępy ubrania. Jednak nic poza tym. Ten sam zapach co wcześniej, ta sama zaschnięta krew. Te same chaos i rzeź. Prawdopodobnie każdy zaułek miasta wyglądał teraz identycznie. Anarchiści byliby zachwyceni.

– Drugie piętro, tam gdzie jest otwarte okno – zakomunikował chłopak, patrząc podejrzliwie w stronę własnego mieszkania. Oczami wyobraźni widział, jak buszują w nim paskudne kreatury, które chciały go pożreć. To już w ogóle przegięcie, bo bycie zjedzonym na ulicy jeszcze jakoś ujdzie.

– Prowadź – powiedział Kuba, cały czas czujnie rozglądając się po okolicy.

To było logiczne, jednak Tomkowi niezbyt przypadło do gustu. Bał się, że w środku znajdują zarażonych sąsiadów lub inne, równie mało przychylne postacie. Kuba, wyczuwając obawy chłopaka, klepnął go delikatnie po ramieniu i dodał:

– Spokojnie, kryjemy cię.

– No dobra – Tomek ruszył ku drzwiom, prowadzącym na klatkę schodową.

O dziwo te były zamknięte. Chłopak wstukał kod i podczas przeszywającego wszechobecnej ciszy bzyczenia, pociągnął za klamkę. Normalny dźwięk domofonu był teraz tak głośny, że zdawał się mieć moc tłuczenia szkła, więc cała trójka rozglądała się w panice, czekając tylko, aż zwabione dźwiękiem potwory wypadną zza rogu. Na szczęście nic takiego się nie wydarzyło. Kiedy tylko wkroczyli na klatkę, uderzył ich fetor gnijącego mięsa. Było ciepło i duszno, więc ciała rozkładały się w ekspresowym tempie. Wszyscy automatycznie zasłonili nosy rękami, a Natalia musiała aż wyjść i odkaszląć, niemalże wymiotując na chodnik. Kuba wyszedł za nią. Tomek został wewnątrz,

wpatrując się w szczyt schodów jak zahipnotyzowany. Każda część jego ciała, każda najmniejsza kośćeczka chciała uciekać. Jednak coś kazało mu ruszyć naprzód. Iść i odzyskać odebrane wcześniej mienie, walczyć o swoje i jeżeli będzie taka potrzeba – zginąć. Ale zginąć z honorem. Mówią na to chyba patriotyzm lokalny. Albo nawet bohaterstwo. Dla innych może to być po prostu głupota. Jednak ta wyprawa miała jeszcze jedną, ale ważną przesłankę, której nie wolno było lekceważyć. Musiał wejść do mieszkania, bo potrzebowali kluczy od działki. Oczywiście mogli rozwalić zamki łopatami czy bronią palną, jednak wtedy nie byłyby tak wytrzymałe, jak są teraz, a to z kolei mijало się z celem.

– Dobra, możemy już iść – powiedział cicho Kuba.

Tomek spojrzał na niego, potem na Natalię, stojącą tuż za nim. Kiwnął jej porozumiewawczo głową, a dziewczyna odpowiedziała tym samym. Dodatkowo na jej ślicznej buzi pojawił się przepraszający uśmiech, z serii tych, po których mężczyzna jest w stanie wybaczyć kobiecie najcięższe przewinienia, jak rozbicie samochodu czy brak piwa na liście zakupów. Czas zwolnił. Uśmiech Natalii był niczym promień światła przebijający się przez ciemne i mroczne poszycie lasu, jak drogowskaz dla zagubionego wędrowca...

– Idź – ponaglił go Kuba, bezceremonialnie przerywając przesłodzoną wizję.

Tomek potrząsnął głową, jakby odganiał osę, i wspiał się na pierwszy stopień schodów. Lufy karabinków skierowane były na ich szczyt, do którego zbliżali się z każdą chwilą. Na szczęście blok nie był aż tak stary i schody nie były drewniane, tylko betonowe, więc przy odrobinie zaangażowania i chęci można było iść bezszelestnie.

Wreszcie dotarli do zakrętu, z którego było widać drzwi prowadzące do mieszkania Tomka. Słabe światło wpadało przez mizerne okno umieszczone na klatce schodowej, ukrywając wszystko w tajemniczym półmroku. Drzwi były uchylone. One, tak jak i większa część klatki, umazane były zaschniętą, rdzawą krwią, która prawdopodobnie należała do sąsiada z naprzeciwka. Tomkowi przypomniały się jego agonalne krzyki i paniczny strach, jaki wtedy odczuwał. Przełknął ciężką gulę, która mu uwięzła w gardle, i ruszył cicho przed siebie. Lepiej mieć już to za sobą.

Lufa karabinku MP5 zajrzała do mieszkania jako pierwsza. Za nią pojawiła się dłoń Kuby. Jako doświadczony policjant, niejednokrotnie pracujący w terenie, wszedł pierwszy. Trzymał fachowo broń w dołeczku strzeleckim, podczas gdy maksymalnie rozszerzone źrenice lustrowały każdy najmniejszy fragment widzianej przestrzeni. Zagracony przedpokój, przewrócona szafka na buty i sterta gratów, imitująca barykadę. Szybko się domyślił, że ta ostatnia nie wytrzymała. Policjant zrobił długi krok i wszedł głębiej. Szybkim ruchem zajrzał do pokoju, w którym Tomek kilkanaście godzin wcześniej oglądał telewizję, a potem się upił. Na stole dalej stała flaszka. Kuba zajrzał jeszcze do kuchni, po czym dał znak pozostałym, że mogą wejść.

– Faktycznie wysoko, a wydaje się, że to tylko drugie piętro – stwierdziła Natalia, podchodząc do okna. – Ja bym chyba nie skoczyła – dodała z nieukrywanym podziwem, a Tomek poczuł jak się czerwieni.

– No wiesz... – zaczął niepewnie.

– Kochanie, jakbyś musiała, to byś skoczyła – powiedział Kuba. Magia po raz kolejny przysła.

Tomek nie skomentował tego w żaden sposób, tylko poszedł do przedpokoju i zaczął odsuwać szpargaly zagracaające podłogę.

– Co ty robisz? – zapytał zdziwiony Kuba.

– Odgarniam to. Chcę zamknąć drzwi – wystękał chłopak, dźwigając do pionu szafkę z butami.

– Ale po co?

– Bo to moje mieszkanie – odpowiedział ze złością Tomek, patrząc prosto w oczy Kuby. Nie wiedział skąd, ale wezbrała w nim olbrzymia agresja. Jakby tłumiona od dawna frustracja osiągnęła maksymalny poziom i szukała teraz ujścia, a Kuba, na swoje nieszczęście, był pod ręką. Jednak policjant po raz kolejny wiedziony instynktem schylił się i bez słowa pomógł chłopakowi podnieść szafkę. Wiedział, że nie ma co się teraz kłócić i tracić niepotrzebnie czas.

– Tomek, wspominałeś, że masz siostrę? – zapytała, wychylając się z kuchni, Natalia.

Chłopak odrobinę spochmurniał, ale odpowiedział:

– Tak, mam. Czemu pytasz?

Natalia chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią, kiwając głową, jakby prowadziła bardzo skomplikowany dialog wewnętrzny.

– Jesteśmy tu bezpieczni, prawda? – zapytała cicho.

Kuba zmarszczył brwi, spodziewając się drugiego dna pytania, jednak jeszcze nie mógł się domyślić, o co chodzi.

– Nie. Powinniśmy zebrać rzeczy i szybko stąd spadać. Czemu pytasz?

Odpowiedź trochę zbiła Natalię z tropu, ale zdecydowała się nie dawać za wygraną.

– Trochę jesteśmy. Bo wiesz... wiem, że to nie pora i w ogóle, ale ja... chciałabym...

– Wysłów się, błagam – wyrzucił z siebie Kuba, unosząc jednocześnie w górę ręce w geście nie-mego poddania.

– Chcę się iść odświeżyć. Pod prysznic. Dwie minuty – powiedziała Natalia i wbiła wzrok w podłogę.

Kuba spojrzął na żonę, starając się dostrzec, czy mówi prawdę, czy to był tylko żart. Do tego dość średni.

– No tak – powiedział w końcu, widząc, że Natalia nie zamierza powiedzieć ani słowa więcej, i że to chyba było na serio. – Wokół rozpętała się apokalipsa z zombie w roli głównej, przez ostatnie parę godzin walczyliśmy o życie, strzelając do napotkanych osób, które, nie wiadomo czemu, chciały nas pożreć, teraz na wariackich papierach spieprzamy z miasta, próbujemy zdążyć, sami nie wiemy przed czym i na co, a ty chcesz po prostu iść i wziąć prysznic. To ma sens.

– Tak. Jeśli mam zginąć, to chcę chociaż być czysta – stwierdziła, buńczucznie unosząc podbródek, co tylko dodało jej uroku.

„Oto kobieca logika” – pomyślał Kuba. Walka była bezcelowa, ona i tak pójdzie się wykapać.

– Dobra, ale bądź cicho. I pośpiesz się, błagam. My w tym czasie się spakujemy.

Wypowiadając ostatnie zdanie, zerknął na Tomka, który właśnie zamykał drzwi. Wyłamany zamek na niewiele się zdał, dlatego chłopak ponownie zastawił je szafką z butami. Prowizorka, która powinna wytrzymać parę pierwszych uderzeń, jeżeli ktoś przyjdzie i będzie próbował się wpakować na siłę do mieszkania. A wtedy mają karabinki, które na pewno się przydadzą i narobią trochę bałaganu.

– Tomek, mogę pożyczyć jakieś rzeczy twojej siostry? – zapytała Natalia.

– Tak, jasne. Jej pokój jest na końcu korytarza, po lewej stronie. Łazienka jest po prawej – odpowiedział machinalnie, starając się nie myśleć o siostrze. Wolał nie zastanawiać się, gdzie teraz jest i jak sobie radziła przez ostatnie kilkanaście godzin. Serce podpowiadało mu, że ona żyje, że ma się dobrze. Może wojsko ją odnalazło i jest teraz w bezpiecznym miejscu? Miał taką nadzieję. Z drugiej strony umysł podpowiadał coś zupełnie odwrotnego.

Tymczasem Natalia zniknęła w pokoju. Kuba odwrócił się w stronę chłopaka, wzruszył ramionami i powiedział tylko dwa słowa:

– Nie pytaj.

– Spoko – odpowiedział Tomek. – Idę poszukać tych kluczy i zabrać parę rzeczy.

– Okej. Ja będę pilnował klatki i okna.

Rozdzielili się. Natalia odkręciła po paru chwilach wodę w łazience i Kuba z nieukrywaną ulgą stwierdził, że jego żona nie robi aż tak dużo hałasu, jak się tego spodziewał. Tomek buszował w swoim pokoju, pakując do plecaka rzeczy, jakby jechał na wycieczkę.

Mężczyzna podszedł do drzwi, żeby sprawdzić prowizoryczną barykadę ułożoną przez chłopaka. Nie była zbyt stabilna, ale przynajmniej nikt niepostrzeżenie się przez nią nie przebije. Odwrócił się i zobaczył swoje odbicie w wielkim lustrze, wiszącym w przedpokoju. Dopiero teraz zrozumiał, co miała na myśli Natalia i dlaczego tak zależało jej na wzięciu kąpieli. Ubranie Kuby było brudne, prze pocone i udekorowane rdzawymi, zaschniętymi plamami krwi. Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo śmierdział. Błada, zmęczona twarz skrywała ciemne oczy, jeszcze głębiej osadzone niż zwykle. Lewy policzek był podrapany, ale Kuba nie był w stanie sobie przypomnieć, gdzie się skaleczył, a przecież okazji było kilka. Wyglądał, jakby przez ostatnie dni nie robił nic innego, tylko wlewał w siebie hektolitry wódki i bił ludzi po pyskach, a tamci nie pozostawali wobec niego dłużni. Stwierdził, że jak tylko Natalia skończy, to on też pójdzie pod prysznic. Złapał się brudnymi rękami za głowę i ciężko westchnął. Myśli rozbiegły się we wszystkich kierunkach, tworząc nieskładny strumień wspomnień ostatnich wydarzeń. Tyle śmierci, krwi i cierpienia skondensowane w tak krótkim czasie. Zmyje z siebie cały ten syf, poprzysiągł w duchu. Musi, innego wyjścia nie ma.



## CENTRUM, GODZINA 08:59.

Jack spojrzął na zegarek. Pierwsza myśl, jaka pojawiła się w jego spaczonym umyśle, dotyczyła tego, że za minutę powinien rozpocząć pracę. Zarzucił zakrwawioną nogę od stołu na bark i z nieukrywaną satysfakcją przyznał, że te czasy już bezpowrotnie minęły. Oczami wyobraźni wrócił do biura na Mokotowie, gdzie ujrzał swojego szefa z rozprutym brzuchem, wijącego się w konwulsjach po podłodze. Uśmiechnął się sam do siebie. Reszta kolegów i koleżanek albo została pożarta, albo zraniona i zamieniona w zombie. Najzabawniejsze w tym wszystkim jest to, że te wyobrażenia przychodziły mu z zadziwiającą łatwością. Nie czuł nic w stosunku do tych ludzi – ani żalu, ani radości z ich śmierci. Spędził z nimi ostatnie parę lat, grzejąc stółek w jednym miejscu, ale teraz, gdy uświadomił sobie, jak bardzo byli mu obojętni, poczuł olbrzymią ulgę. I satysfakcję, że przez tyle czasu pozwalał im myśleć, że mu na nich zależy. O błogosławiona naiwności, mają teraz za swoje.

Doczłapał do centrum miasta. Gdy na Polach Mokotowskich zobaczył determinację wypisaną na twarzy tego silnego żołnierza, zrozumiał, że musi go unikać. Jeden z głosów w jego głowie podpowiadał, że ten człowiek może mu wyrządzić wielką krzywdę, że zabawa, która tak bardzo się podoba Jackowi, nie do końca może się spodobać innym ludziom. Dlatego oddalił się od nich w poszukiwaniu nowej rozrywki.

Jednak to wszystko powoli zaczynało go nużyć. Osiągnął stan, do jakiego dochodzi się gracz, znający już wszystkie tajniki i kody swojej ulubionej gry. Gra z przyzwyczajenia, stając się coraz lepszym i za nic nie chce zrozumieć, że nie pozostało mu już nic do osiągnięcia i że jedynie goni własny ogon. Jedno wiedział na pewno – nie zamierzał wracać do pustego świata napędzanego kapitalizmem i rządzonego zasadą Pareta. Zdecydowanie bardziej wolał wolność jednostki, wolność bycia tym, kim chce się być. Nieważne, że lała się krew. Nieważne, że ludzie byli rozszarpywani na strzępy we własnych domach i że dzieci rzucały się do gardeł własnych rodziców. Dla niego cena była sprawiedliwa i warta zapłaty. Wreszcie wszystko było szczerze i prawdziwe. Coś ci się podobało – mogłeś to wziąć. Ktoś cię wkurzył – mogłeś mu roztrzaskać głowę nogą od stołu. Wygrywał silniejszy albo ten bardziej szalony.

Z drugiej strony powoli zaczynał rozumieć, że niewiele czasu mu zostało. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz jadł lub gdzie mieszkał. Nie, tego typu rzeczy straciły na wartości. Racjonalna część jego świadomości została zepchnięta w najgłębsze czeluści jego umysłu i spętana okowami szaleństwa tak silnymi, że już dawno przestała walczyć o oswobodzenie.

Spojrzął na nazwę ulicy – Wspólna. Wzruszył ramionami i dalej kontynuował bezcelową podróż tam, gdzie go nogi poniosą. Błąkał się bez celu w poszukiwaniu atrakcji. Po paru chwilach zagłębił

się między wysokie, stare i wysłużone bloki. Było tu przyjemnie chłodno, człowiek mógł odetchnąć od nieludzkiego upału.

I nagle, zupełnie nieoczekiwanie to atrakcja znalazła jego. Jacek usłyszał stukot butów i odwrócił się. Młoda kobieta pędziła w jego stronę, wściekle obnażając kły i rozczapierzając palce, jak kotka szykująca się do ataku. Jedynym dźwiękiem był stukot jej butów o asfalt. Mężczyzna bez słowa uniósł wysłużoną nogę od stołu, poczekał na odpowiedni moment, po czym zamachnął się i zdzielił kobietę prosto w twarz. Trzask pękającego nosa i wybitych zębów był tak głośny, że Jacek mimowolnie się uśmiechnął, zadowolony ze swojego dzieła. Kobieta wyrznęła na plecy, obryzgując wszystko krwią.

Jacek spojrzał na nią z góry. „Niezła” – pomyślał. Szczupłe nogi, fajne wcięcie w talii. Ładna niebieska bluzeczka, tak figlarnie rozerwana na górze, ukazująca biały stanik, trzymający w ryzach pełne i jędrne piersi. Twarz chyba też miała ładną, choć to trudno było tak do końca ocenić, a to dlatego, że cała była pokryta krwią, miała zerwaną skórę z połowy głowy i brakowało jej kilku zębów. Na szyi zionęła wielka dziura, którą jakiś zbyt natarczywy kochanek zrobił własnym zębami. „Ciekawe, jak smakowała?” – zastanowił się mężczyzna. „Poza tym, że jest brudna, zakrwawiona i martwa, chętnie bym się z nią umówił”.

– To jak? Pójdiesz ze mną na kawę? – zapytał, pochyliwszy się nad ofiarą. Położył jej nogę na szyi, przytrzymując ją na ziemi. Kobieta wiła się, starając się uwolnić z uścisku.

– No nie bądź taka niedostępna, przecież grzecznie pytam – ciągnął dalej Jacek. Nagle kobieta złapała go obiema rękami za nogę, uniosła głowę i zatopiła zęby w jego łydce. Ból był nie do opisania, przenikał całe jego chore ciało i gwałcił umysł, a jakaś część jego świadomości tańczyła i śmiała się, potępieńczo, machając rękami nad głową. Mężczyzna uniósł maczugę do uderzenia, gdy nagle w jego plecy grzmotnęło coś bardzo dużego i bardzo szybkiego.

Tym razem to Jacek wyrznął twarzą w asfalt, gdyż unieruchomione ręce nie mogły zamortyzować upadku. Poczul w ustach smak krwi. Zombie, który na niego skoczył, nie był wcale ani wielki, ani ciężki. To zwykły dzieciak, chłopak w wieku gimnazjalnym. Niespecjalnie wyrosnięty, ale z jakimś dziwnym zacięciem w oczach. Jacek mozolnie się podniósł, stanął na nogi i od razu zaczął kulęć – wyrwa w łydce zdecydowanie przeszkadzała w chodzeniu, poza tym był nieco zamroczony od uderzenia.

– No chodź! – krzyknął, czując, jak przez jego ciało przechodzi dreszcz podniecenia. Miał nieodparte wrażenie, że tym razem będzie naprawdę zabawnie.

Zombie-chłopak ponownie rzucił się w jego kierunku. Jacek, tak jak wcześniej, uniósł maczugę do uderzenia, ale przeciwnik był zaskakująco szybki – chłopak uderzył w Jacka, zanim ten opuścił do połowy maczugę. Mężczyzna zaczął robić desperackie kroki do tyłu, gdy nagle trafił na coś miękkiego. Potknął się o leżącą na ziemi kobietę i wylądował na plecach. Chłopak leżał na nim i szarpiąc się, kłapał zębami, żeby tylko wbić je w twarz mężczyzny. Ten trzymał go na dystans za pomocą dzierzonyj oburącz nogi od stołu, jednak szybko zrozumiał, że nie będzie mógł uwolnić ręki, żeby odpędzić się od kobiety.

Nagle zaczął się śmiać.

– Zobaczcie, jak pięknie. Ojciec, matka i syn – wydyszał. – Jesteśmy jak jedna, kochająca się rodzinka! – krzyknął do zombie, cały czas się śmiejąc.

– Nie uważacie?

Lecz oni mu nie odpowiedzieli. Chłopak cały czas wierzgał i nacierał, a Jacek starał się kopniakami odepchnąć leżącą obok niego kobietę, lecz z każdą chwilą tracił coraz więcej siły.

– Pierdolcie się! – krzyknął w nagłym przypływie siły i złości. Bardzo chciał wstać, a oni bardzo nie chcieli, żeby to uczynił. Ewidentny konflikt interesów.

Jednym silnym ruchem odepchnął i zrzucił z siebie chłopaka, po czym błyskawicznie zdzielił kobietę maczugą w głowę. Odbiła się od niej i uderzyła skronią w asfalt, lecz w jej oczach dalej było widać resztki życia. „Czyli jednak istnieje życie po śmierci” – stwierdził Jacek. Jak miło, to stwarza zupełnie nowe perspektywy. Uderzył ją drugi raz, trzeci. Kobieta na parę sekund zwiotczała, ale po chwili ocknęła się i wyciągając przed siebie ręce, sięgała w stronę oprawcy. Mężczyzna zupełnie zapomniał o chłopaku, który ponownie rzucił się na niego, korzystając z tego, że ten w dalszym ciągu leżał na ziemi.

Tym razem Jacek miał mniej szczęścia niż dotychczas. Chłopak wgryzł się w jego ramię, wyrwijąc olbrzymi kawał skóry i mięśni. Mężczyzna wrzasnął piskliwie jak wystraszona dziewczynka i przetoczył się na bok, z zombie cały czas przyczepionym do siebie. Zmienili się teraz miejscami i to Jacek był na górze.

– Debilu jeden! – krzyknął Jacek, starając się zepchnąć chłopaka. – Puść mnie!

W tym momencie kobieta powstała z zimnego betonu, podeszła do Jacka i wgryzła mu się w szyję.

Jacek poczuł, jak ciepła krew spływa po jego klatce piersiowej. Przestał walczyć, stwierdził, że już mu się nie chce. Kobieta wyrwała mu jakieś ścięgno, a ból promieniował od karku aż po sam czubek lewej dłoni, którą właśnie zaczynał gryźć chłopak. Po paru przeciągających się sekundach, mężczyzna przestał cokolwiek czuć, oprócz metalowej maczugi, którą cały czas trzymał w prawym ręku. Stara dobra przyjaciółka, której tak wiele zawdzięczał. Jacek patrzył obojętnie w niebo i nagle na dachu budynku zobaczył Szalonego Kapelusznika. Jego twarz wyrażała niesmak i rozczarowanie. Przyglądał się chwilę konającemu mężczyźnie, kręcąc powoli głową. Następnie zdjął kapelusz i rzucił go w przepaść między kamienicami. Ten leciał powoli, hamowany jedynie przez ciepłe powietrze tego pięknego, lipcowego przedpołudnia. Pomimo tego, że nie było wiatru, kapelusz zataczał leniwe kręgi, szybując w stronę głowy Jacka, który wyczekiwał go z nieukrywaną tęsknotą. Mężczyzna poczuł, jak z jego dłoni powoli wysuwa się noga od stołu. Po paru chwilach kapelusz opadł na jego twarz i wszystko skryła nieprzenikniona ciemność.

## BIELANY, GODZINA 09:27.

Cała trójka była już czysta i przebrana w świeże rzeczy. Natalia pożyczyła od siostry Tomka brązową bluzkę na ramiączkach oraz jeansowe spodni, podobne do tych, które miała na sobie wcześniej. Rozważała założenie pełnych spodni, jednak ostatnie dni były tak upalne, że nie miałyby to najmniejszego sensu. Kuba dostał od Tomka biały, świeży T-shirt. Zdecydował się pozostać w swoich spodniach. Trochę nie miał wyjścia, bo ani ubrania chłopaka, ani jego ojca nie pasowały na policjanta. Ostatni wykąpał się Tomek. Wszyscy poczuli olbrzymią ulgę – strumień wody oczyścił ich nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Część ich trosk i bólu, jakiego doświadczyli, zniknęła głęboko w odpływie.

Jedli śniadanie i pili zaparzoną przez Tomka kawę, jakby byli zwykłymi znajomymi, którzy spotkali przy kubku gorącego napoju, by porozmawiać o pogodzie. Od ponad godziny nie słychać było strzałów ani zawodzących w oddali syren czy wybuchów. Było cicho i spokojnie, co pozwalało odebrać myśli od koszmaru, przez jaki przeszli. Tomek znalazł klucze i spakował się, Natalia i Kuba odświeżyli się i odpoczęli. Ciepły aromat świeżej kawy koił nerwy, tworząc złudne, aczkolwiek bardzo aromatyczne, poczucie bezpieczeństwa. Było tak pięknie, tak spokojnie i miło, że nikt nie odważył się poruszyć tematu wyjazdu. Każdy był pogrążony we własnych myślach, jednak po twarzach zebranych przy stole osób nie trudno było odgadnąć, że tak naprawdę nie były one pozytywne. Nieuchronność trudnego wyjazdu, któremu prędzej czy później będą musieli sprostać, odciskała się głębokim piętnem na ich czołach.

– Mogę się o coś zapytać? – zaczął Tomek.

– No – odpowiedział Kuba, biorąc łyk kawy. – Mogę tu zapalić? – dodał, wyciągając z paczki papierosa. Nie czekając na odpowiedź chłopaka, po prostu go odpalił.

Tomek tylko uniósł brwi w zdziwieniu, jednak stwierdził, że zabranianie Kubie czegokolwiek nie ma sensu. To, czy zapali tu, czy nie, nie miało już najmniejszego znaczenia.

– No, o co chciałeś zapytać? – dopytał Kuba, wypuszczając z ust kłęb gryzącego dymu.

– Nie, nic już. Nieważne – odpowiedział Tomek, machając ręką, jakby odganiał niewidzialną muchę. Chłopak chciał zapytać o to, czym zajmowali się wcześniej. Jak wyglądało ich życie, zanim wszystko zostało wyrócone do góry nogami. I jak udało im się przeżyć. Czy musieli zabić kogoś, kogo znali? Kuba wyglądał na takiego, który mógłby coś takiego zrobić.

– Oj powiedz, nie obrażaj się – zaczął go naciskać Kuba. – O co chodzi?

Jednak nie doczekał się odpowiedzi, gdyż do ich uszu doleciał warkot potężnego silnika. Cała trójka wstrzymała oddech. Nagle Kuba odsunął krzesło tak gwałtownie, że prawie się przewróciło na podłogę, podbiegł do okna i wyjrzał na ulicę. W oddali widać było sunący powoli ciężki pojazd kołowy, a za nim kilka następnych. Wyglądało to na kolumnę wojska, które wreszcie pojawiło się,

żeby pomóc obywatelom. Policjant nie znał się aż tak dobrze na militariach, aby z tej odległości ocenić, co to za potwór, niemniej maszyna robiła piorunujące wrażenie – okuta ciężką stalą pomalowaną na ciemny, oliwkowy kolor, sunęła majestatycznie niczym tygrys drepczący po dżungli, świadomy tego, że w okolicy nie ma sobie równych. Po sekundzie z okna wyglądała już cała trójka.

– Co to? – zapytała piskliwie podniecona Natalia. – Wojsko? Ratunek? Widzicie, już przyjechali! – krzyknęła z radości, machając przy tym szczupłymi rękami.

– Cicho, poczekaj – przerwał jej Kuba. – Nie krzycz.

– Co? Przecież nas nie zobaczą, chodźmy do nich – zaprotestowała, ruszając szybkim krokiem w kierunku wyjścia z mieszkania.

– Natalia! – wycedził przez zaciśnięte zęby Kuba. – Poczekaj. Tak, tam jedzie transporter, i tak, pójdziemy do niego, ale spokojnie. Nie rób hałasu, bo nie wiesz, co jest za drzwiami. A jak nas zagryzą te pieprzone kanibale, to nic nam po wojskowym transporterze. Rozumiesz?

Dziewczyna odrobinę spochmurniała, ale kiwnęła głową. Oczywiście. Rozumiała. W końcu to Kuba w ich związku był głosem rozsądku, tak jak i tym razem. Wzięła głęboki oddech i wypuściła ze świstem powietrze, teatralnie demonstrując swoje opanowanie.

– Już jestem grzeczna, tato – powiedziała, ironicznie się do tego uśmiechając.

– Super – skomentował Kuba i posłał jej równie ironiczny uśmiech. – Tomek, bierz plecak. Wychodzimy.

Chłopak trzymał już plecak w rękę, jednak nie zrobił nawet kroku.

– Po co nam plecak i klucze na działkę? – zapytał.

– W sumie nie wiem. To zostaw go, jeśli chcesz – odpowiedział szybko Kuba.

Czuł coraz większe podniecenie na myśl o zbliżającym się ratunku. W końcu dowie się, co się stało, czy to był atak terrorystyczny, czy wybuch jakiejś nieznanej wcześniej epidemii. Otrzyma odpowiedzi na niedające mu spokoju pytania. Podszedł do drzwi i zaczął rozbierać usypaną przed nimi barykadę. Odsunął na bok szafkę i już sięgał do klamki, gdy usłyszał głos Tomka:

– Poczekaj. Słyszysz to? – zapytał chłopak.

Kuba popatrzył na niego, marszcząc w zamyśleniu czoło. Nie słyszał żadnych dźwięków dochodzących z korytarza, żadnych kroków czy powarkowań, słowem – niczego, co świadczyłoby o czyhającym za drzwiami zagrożeniu.

– Co? Korytarz jest pusty – stwierdził.

– Nie, cicho – wyjaśnił chłopak i gestem dłoni zaprosił go do kuchni. Sam podszedł do okna i dyskretnie wyjrzał na ulicę.

– ...o zostanie w domach. Osoby z gorączką muszą zostać przetransportowane do punktu medycznego.

Głos dochodził z głośników umieszczonych na szczycie transportera. Kuba, Natalia i Tomek zamilkli, czekając na dalszą część komunikatu. Jak wkrótce się okazało, nie musieli czekać zbyt długo.

– Za dwanaście godzin miasto zostanie poddane kwarantannie – dźwięk wydobywający się z głośników był teraz wyraźniejszy, transporter podjechał bliżej bloku Tomka. – Prosimy o opusz-

czenie domów w trybie natychmiastowym i niezabieranie ze sobą żadnych rzeczy osobistych. Jeżeli zostaliście zaatakowani i fizycznie ranni, wyjdźcie z czerwoną opaską. Mamy lekarstwo. Powtarzam. Nie zostawajcie w domach. Osoby z gorączką muszą zostać przetransportowane do punktu medycznego w trybie natychmiastowym.

„Pierdolenie” – pomyślał Kuba. Nie wiedział dlaczego, ale instynkt podpowiadał mu, że sytuacja wcale nie jest tak dobra. Kwarantanna i zamknięcie miasta? Jeżeli mają lekarstwo, to po co chcą izolować stolicę? Poza tym bardzo szybko udało im się je odkryć, co niestety było mało prawdopodobne. No i sam komunikat, który nie brzmiał zbyt profesjonalnie. Czyli nie mieli czasu na dobre przygotowanie, naskrobali parę wytycznych na kartce papieru i radźcie sobie sami. A agenta PR pewnie coś zżarło.

Nagle transporter zatrzymał się. Z przeciwległego bloku wyszły trzy osoby – mężczyzna w wieku około osiemdziesięciu lat i para mniej więcej trzydziestolatków, którzy prawdopodobnie byli z nim spokrewnieni. Kobieta miała przyłożoną do twarzy chustkę, mężczyzna, który teoretycznie mógł być jej mężem, pomagał jej iść. Starzec szedł za nimi, cały czas wspomagając się drewnianą laską. Widać było, że kobieta jest chora. Mężczyzna krzyknął do transportera, ale niepotrzebnie – został odpowiednio wcześniej zauważony.

– Stać! – padł rozkaz z głośników. W tym samym czasie zza pojazdu wybiegło trzech żołnierzy, każdy w masce przeciwgazowej i z bronią uniesioną do strzału. Biegli pochyleni, jakby spodziewali się ataku. Byli w pełnym umundurowaniu i w tych maskach na głowach musiało być im niesamowicie gorąco. Jeden z żołnierzy obstawił boczną uliczkę, znikającą za blokiem, pozostała dwójka podbiegła do ocalałych ludzi. Ustawili się tak, że otaczali zebraną trójkę z trzech różnych stron.

– Stać! – krzyknął najwyższy z nich. Małżeństwo zatrzymało się posłusznie, nie wiedząc, co dalej robić.

– Tak, tak, spokojnie. Nie jesteśmy uzbrojeni, nie strzelajcie – powiedziawszy to, mężczyzna postąpił krok naprzód, unosząc w górę ręce. Troje obserwatorów w kuchni zamarło, z napięciem śledząc rozwój akcji.

– Stać! Nie ruszaj się! Na ziemię! – krzyczał żołnierz, instruując mężczyznę bronią. Nie trzeba było być geniuszem, żeby zauważyć, jak bardzo jest zdenerwowany. „Boją się go” – pomyślał Kuba. „Czyli chyba nie jest tak różowo, jak mogłoby się wydawać”.

– Dobrze, już dobrze – mężczyzna zatrzymał się i posłusznie ukląkł na ziemi. Nagle, zupełnie niespodziewanie kobieta zakasłała i ruszyła w kierunku transportera, wyciągając przed siebie rękę z chustką, która wcześniej zasłaniała jej twarz.

– Stój! Na ziemię! Stój, bo strzelam! – znowu wściekle wrzasnął żołnierz, jednak kobieta nie zamierzała się zatrzymać.

– Nie strzelajcie! Nie jesteśmy zarażeni! – krzyczał mężczyzna, podnosząc się z ziemi. – Moja żona ma zapalenie płuc, od tygodnia nie wychodziliśmy w ogóle z domu!

Atmosfera gęstniała. Pomimo błagalnych wyjaśnień męża, żołnierze dalej krzyczeli, a kobieta się nie zatrzymała. Do tego doszedł krzyk dziadka, który najwyraźniej nie wytrzymał presji i też chciał

wyjaśnić, co się dzieje.

– Dlaczego po prostu się nie zatrzyma? Zatrzymaj się, kretynko – wyszeptała cicho Natalia, chłonąc jednocześnie scenę swoimi wielkimi, błękitnymi oczami. Gdzieś w głębi podejrzewała, jaki ta sytuacja będzie miała finał.

– Może chce im wszystko wyjaśnić? Załagodzić sytuację. Niektóre kobiety tak mają – zasugerował cicho Tomek.

Chora niezmordowanie szła w kierunku najbliższego żołnierza. Z tej odległości mogli zobaczyć jak odrzuca chusteczkę i wyciąga ręce do góry pokazując, że jest bezbronna. Jej usta poruszały się, natomiast dystans był zbyt duży, żeby usłyszeć, co mówi. W tym samym czasie jeden z żołnierzy przeładował karabin i wystrzelił prosto w środek jej klatki piersiowej. Impet pocisku był tak olbrzymi, że trafiona cofnęła się prawie dwa metry, potknęła o krawężnik i upadła na chodnik niespełna metr od własnego męża. Ten spojrzął na nią, nie wierząc w to, co widzi. Zapadła złowroga i pełna niedowierzania cisza. Kobieta umarła, zanim upuszczona przez nią chusteczka opadła na asfalt. Kilkanaście sekund później mężczyzna, będąc najprawdopodobniej w totalnym szoku, stanął na nogi i ruszył bez słowa w kierunku żołnierzy. Ci krzyczeli coś, ale on na pewno tego nie słyszał, tak jak nie słyszał płaczu staruszka stojącego kilka metrów za nim. Po chwili pierwszy pocisk przeszył jego klatkę piersiową, ale mężczyzna szedł dalej. Dopiero po czterech strzałach osunął się na kolana, aby sekundę później opaść bez życia na ciepły i szorstki asfalt. Wokół jego ciała błyskawicznie rozszerzała się kałuża krwi, odbijając gorące promienie słońca.

Kuba poczuł, jak przez jego ciało przebiega skurcz. Natalia wzięła go za rękę swoją zimną i mokrą od potu dłonią. Drżała jak w febrze, jej oczy zaszyły łzami. Nikt nie był w stanie wykrztusić z siebie chociażby jednego słowa. Po prostu siedzieli i chłonęli to, czego nie powinien widzieć żaden człowiek. „To nie mogło się stać naprawdę, nie, niemożliwe” – myśleli równocześnie. Coraz częściej używali ostatnio tego słowa, a rzeczywistość udawadniała im na każdym kroku coś zupełnie innego.

– Ja pierdołę, kurwa mać – wyrzucił z siebie Tomek, chowając głowę w ręce i kuląc się na kuchennej podłodze. Nie chciał już wyglądać przez okno, teraz chciał tylko zapaść się pod ziemię, uciec. Zrobić cokolwiek, tylko nie być w tym miejscu i w tym czasie. Zniknąć, bo to, czego przed chwilą był świadkiem, nie mogło wydarzyć się naprawdę. To na pewno był jakiś chory żart. „Tak jak i wszystko, co widziałeś przez ostatnią dobę, tak?” – usłyszał pytanie gdzieś pod sklepieniem czaszki.

Czyli nie. Zabili ich. Bez żadnych wątpliwości.

– Jezu – wyrzuciła z siebie Natalia i zaczęła płakać. Kuba błyskawicznie położył jej dłoń na ustach, pokazując palcem, żeby była cicho. Dziewczyna zmarszczyła brwi, jednak spojrzała w pełne determinacji oczy męża i kiwnęła porozumiewawczo głową.

– Musimy być cicho, bo nas znajdą i zabiją jak tamtych – wyszeptał mężczyzna. Ciężko było mu wypowiedzieć te słowa. Dalej pozostawali zwierzyną, jednak do polowania włączył się nowy myśliwy. I to taki, wobec którego mieli tak olbrzymie nadzieje.

– Co teraz? – zapytał cicho Tomek.

Kuba tylko pokręcił głową i pokazał kciukiem w stronę okna.

– Poczekamy, aż pojedą. Wtedy porozmawiamy – wyszeptał.

Za oknem słyhać było miarowe warczenie ciężkiego silnika transportera, ale wiadomo było, że żołnierze lada chwila odjadą. „Przecież nie będą chyba przebywać długo na miejscu zbrodni?” – zastanowił się Kuba. „Zbrodni? Jakiej zbrodni, przecież to teraz normalna sprawa, więc żołnierze nie będą uciekać z podkulonymi ogonami. Wykonywali rozkazy. Nie, chcieli zabić. Są zdegenerowani i uwielbiają zabijać. To pewnie nie wojsko, tylko przebrani degeneraci. Znajdą nas i w najlepszym wypadku też zabiją. Albo zabiją mnie i Tomka, a Natalię zabiorą. Nie, nie pozwolę im na to. Prędeej sam ją zabiję. No ale jak, jak do niej strzelić? Spokojnie, nie znajdą nas. Przeczekamy chwilę cicho, zaraz pojedą, i wtedy wymkniemy się z miasta. Tak, to jest dobry plan. Pewnie złapią nas pod drodze, pewnie stworzyli taką blokadę, że mysz się nie prześlizgnie. Ale nam się uda. Ludzie przecież uciekali z obozów koncentracyjnych, nam też się uda. Niemożliwe, żeby zamknęli miasto tak szczelnie. Nie, nie tutaj. Na pewno się uda. A jeśli tu wejdą, to ich zabiję”.

Przez głowę przelatywały mu dziesiątki myśli na sekundę. Jedna wypierała drugą.

– Bojar, weź Długiego i przeszukajcie ten blok – usłyszeli głos zza okna. To jedno zdanie niemalże przyprawiło całą trójkę o zawał serca, jednak szybko zrozumieli, że to nie o ich blok chodziło. Żołnierze dostali rozkaz przeszukania mieszkania, z którego wyszli zastrzeleni ludzie. „Oby nie wpadli na pomysł, że trzeba przeszukać sąsiadujące bloki” – modliła się w duchu Natalia.

– Tylko uważajcie – powiedział ten sam głos, który wydał żołnierzom polecenia. Dwa krótkie, rzeczowe „tak jest” potwierdziły wykonanie rozkazu.

Następne minuty siedzieli w milczeniu, a ich nerwy były napięte jak postronki. Czas ciągnął się jak niczym miód wylewający się powoli z pękniętego słoika. Nikt nie odezwał się nawet jednym słowem. Każdy nasłuchiwał.

Kilkanaście minut później kolumna odjechała, a oni dalej tkwili sparaliżowani na kuchennej podłodze. Już wtedy każde z nich rozumiało, że ich życie już nigdy nie będzie takie same, jak było kiedyś. Bali się wstać i wyrzec za okno, na skąpaną w słońcu ulicę, na której leżały teraz trzy ciała bestialsko zamordowanych ludzi.

– Musimy uciekać. I to szybko – zdecydował Kuba, przerywając milczenie. Nie wiedział, ile czasu stracili na bezczynne siedzenie. Może minuty, może godziny. Tak czy inaczej, czas pędził, a oni tkwili w miejscu.

– Wstajemy – powiedział i podniósł się jako pierwszy. Po chwili wszyscy byli już na nogach i tylko Tomek odważył się wyrzec za okno. Jego ciekawość okazała się silniejsza. Ciekawość lub chęć zapamiętania tej sceny, żeby wyciągnąć z niej odpowiednie wnioski. Na przykład takie, że nikomu już nie można ufać.

Jednak nie było mu to dane – jego rzeczywistość po raz kolejny została wywrócona do góry nogami.

– Zniknęli – wyszeptał.



– Co? – zapytał Kuba i spojrzał na bladą twarz chłopaka.

– Ci zastrzeleni. Zniknęli. Zobacz – powiedział Tomek i wskazał palcem krwawe kałuże, w których jeszcze przed paroma minutami leżały zwłoki.

– Co jest...? – zapytał Kuba.

W odpowiedzi usłyszał głuchoe warknięcie, dobiegające z ulicy.

## CENTRUM, GODZINA 11:12.

Max wychylił się zza krawędzi kasy i wyjrzał na zewnątrz.

– Dalej tam jest? – zapytał cicho Paweł, głaszcząc głowę śpiącej na jego nogach córki.

Chłopak kiwnął twierdząco głową.

– Uparte bydlę – stwierdził z rezygnacją. – Myślałem, że znudzi się tak, jak pozostałym, i sobie pójdzie. Ale chyba nie da tak łatwo za wygraną.

Paweł nie odpowiedział, tylko po raz kolejny pogрузił się w myślach. Spędzili ostatnie kilka godzin w kawiarni, czekając, nie wiadomo na co. Po zamknięciu drzwi i krótkiej rozmowie, zjedli wczorajsze muffiny i inne ciastka, jakie znaleźli w szklanych gablotach, a niewiele później Kaja jako pierwsza padła i usnęła. Max czuwał jeszcze kilkanaście minut, ale w końcu i jego zmorzył sen. Tylko Paweł, jako profesjonalny żołnierz, pozostał na straży i nie zmrużył oka, chociaż wiele by oddał za bezpieczny kawałek przestrzeni, w którym mógłby się położyć i zregenerować.

– On chyba stąd nie pójdzie – powiedział Max. – Nie możemy się go jakoś cicho pozbyć i stąd wyjść?

– Możemy – odpowiedział Paweł, uważając, żeby nie obudzić Kai. – Ale musielibyśmy to zrobić bardzo, bardzo cicho, bo echo rozniesie strzał po korytarzach i za chwilę będziemy mieć na głowie całe stado tych stworzeń. Poza tym przydało się wam trochę snu.

Max ponownie kiwnął głową, jednak po chwili dopytał:

– A ty coś spałeś?

Chłopak znał odpowiedź na to pytanie, ale stwierdził, że miło będzie zapytać. Paweł odpowiedział, że nie. W jego głosie nie było pretensji ani żalu, właściwie to ton wypowiedzi był wyprany z jakichkolwiek emocji. „Ciekawe, jak to jest” – zastanowił się Max. „Nie czuć żalu, współczucia czy nie przejmować się sumieniem. Złudzenia moralności też są odkładane przez niektórych na bok i człowiek robi to, co ma do zrobienia”. W głębi Max zawsze do tego dążył, przynajmniej tak mu się wydawało. Chciał być zimny i oschły, schowany za pancernem z lodu i nikogo do siebie nie dopuszczając. Jednak minioną doba pokazała mu, jak bardzo jego wyobrażenie o sobie odbiega od tego, jaki faktycznie jest.

– To co robimy? – zapytał ponownie. – Może prześpij się trochę, a ja teraz popilnuję?

Oczy Pawła błysnęły.

– Nie, dzięki – powiedział, a tym razem jego głos zdradzał emocje. Czyste rozbawienie.

– No co, poradzę sobie. Nie usnę – stwierdził nieco buńczucznie chłopak, równocześnie marszcząc brwi.

– Wiem, spoko. Nie o to mi chodzi – powiedział żołnierz, by zażegnać ewentualny mikrokonflikt. – Nie chcę teraz spać, bo myślę, że niedługo powinniśmy się zbierać.

– To jak stąd wyjdziemy?

– Sprzątniemy go po cichu – powiedział mężczyzna, delikatnie wychylając się zza lady. Zombie dalej uparcie trwał na posterunku, jak lis czający się przy wyjściu z kurnika.

– Po cichu? – drażył temat chłopak. Pawła zaczynało to odrobinę irytować, jednak zdawał sobie sprawę, że Max nie wszystko widzi jego oczami.

– Tak – odpowiedział. – Albo nożem, albo skrucę mu kark. Może to zadziała. Jak przerwę mu rdzeń kręgowy to powinien paść.

– A jak nie? Padają dopiero po strzale w głowę. Niejedna kula pewnie roztrzaskała kręgosłup, a oni szli dalej – stwierdził przytomnie chłopak.

– Tak, masz rację – skomentował Paweł i zamyślił się na chwilę. – To zostaje nam strzał w łeb. Albo nóż w czoło. A potem bardzo szybki bieg.

Taka odpowiedź niezbyt usatysfakcjonowała Maxa, ale był świadom tego, że są w patowej sytuacji i muszą podjąć jakieś działanie, zanim będzie jeszcze gorzej.

– No dobra – powiedział tylko.

– Wydostaniemy się jakoś na górę, znajdziemy samochód i pojedziemy do twoich rodziców.

Chłopak podniósł głowę i spojrzał w szare oczy komandosa. Poczul olbrzymią wdzięczność, ale po chwili sposepniał.

– Nie musimy już do nich jechać – powiedział z wbitym w podłogę wzrokiem. – Wszystko się rozpieprzyło. Mieliśmy dobry transport i plan, a teraz znowu chowamy się pod ziemią, bo nie dość, że na powierzchni latają zombie, to jeszcze strzelają do nas nasi własni żołnierze. Przecież to jakaś paranoja! Jak tak w ogóle można? Widzieli, że nie jesteśmy chorzy – twarz chłopaka nabiegła purpurą, gdy w sekundę zrobił się wściekły. Paweł chciał, żeby uszło z niego napięcie, toteż się nie odzywał, tylko pozwalał chłopakowi się wygadać. – To jest chore – ciągnął dalej Max. – Powinniśmy się trzymać wszyscy razem, jak my tutaj, a nie strzelać do innych żywych ludzi. Czy oni tego nie rozumieją? Dlaczego to zrobili?

Po kilkunastu sekundach ciszy do Pawła dotarło, że ostatnie pytanie zostało skierowane właśnie do niego.

– Bo takie mieli rozkazy – powiedział ponuro. Znał wagę rozkazu, jednak nigdy nie potrafił zrozumieć żołnierzy, którzy ślepo wykonywali te najgorsze, najgłupsze polecenia. Jak na przykład strzelać do cywilów we własnej stolicy. Dla Pawła to niczym nie różniło się od masakr, jakie odbywały się chociażby w Afryce.

Jednak pytanie pozostawało otwarte. Dlaczego żołnierze Wojska Polskiego strzelali do pobratymców, wiedząc, że ci nie są zainfekowani? Może choroba przenosi się też powietrzem, może atakuje mózg i powoduje niepohamowane ataki agresji? A może po prostu to sprawiło im przyjemność lub to po prostu nie byli żołnierze, tylko przebrani cywile. Zbyt wiele pytań i zbyt mało odpowiedzi. Nie było sensu teraz się nad tym zastanawiać. Jednak gdy człowiek ociera się o śmierć, to nie może przy tym tak po prostu przejść obojętnie i machnąć na wszystko ręką.

Nagle Kaja zerwała się jak rażona prądem. Usiadła na podłodze i zdezorientowana, zaczęła rozglądać się po pomieszczeniu. Dopiero, gdy napotkała spokojny wzrok Pawła i ciekawe spojrzenie Maxa, przypomniała sobie, gdzie jest i co się stało. Potrząsnęła głową i jakby zawstydzona, zapytała:

– Długo spałam?

– Kilka godzin. Jest dwunasta – odpowiedział, uśmiechając się, Paweł. – Zmogło cię, jakbyś robiła w polu przez ostatnią dobę. No, albo walczyła o życie i uciekała przed ludźmi, którzy próbują cię zjeść – dodał, pieszczotliwie mierzwiąc jej włosy.

Dziewczyna nienawidziła tego z całego serca, lecz tym razem nie odsunęła głowy przed ręką ojca. Wcześniej nawet przez chwilę nie przypuszczała, że go jeszcze kiedykolwiek ujrzy, więc taki gest wydał się teraz mniej irytujący niż do tej pory. Ba, nawet można by rzec, że był miły.

– Szczerze, to chyba wolałabym to pierwsze – stwierdziła, odwzajemniając uśmiech. – Co robimy?

– O, proszę. Dopiero co wstała, a już żadna przygód – stwierdził ironicznie Paweł.

Kaja posłała ojcu karcące spojrzenie. Widocznie nie była w nastroju do żartów, co oczywiście dało się zrozumieć.

– Kombinujemy, jak stąd wyjść i wydostać się na powierzchnię – wtrącił się Max.

– Dzięki – odpowiedziała dziewczyna, patrząc na chłopaka. – Wymyśliliście już, jak to zrobić?

– Najpierw musimy się pozbyć tego głąba, który się do nas dobija od paru godzin – odpowiedział. – Potem wyjdziemy jakimiś schodami, znajdziemy samochód i spadamy stąd.

– To brzmi jak plan – stwierdziła Kaja, uśmiechając się delikatnie.

– Dobra, chyba nie ma na co czekać – powiedział Paweł i podniósł się z podłogi. Widząc zbliżającego się człowieka, zombie za szybą dostał szału. Komandos podszedł bliżej i wpatrywał się w kreaturę. Zombie nacierał na szkło, wałąc w nie rękami i próbując przez nie przejść, jakby ono nie istniało. Wszystko było upačkane krwią i śliną. Paweł przekręcił delikatnie głowę i powiedział szeptem:

– Nie widzisz czy nie rozumiesz szkła? – zapytał bardziej siebie niż kogoś z pozostałych osób. Jednak oni i tak usłyszeli.

– Co mówiłeś? – zapytała Kaja.

Podeszła bliżej ojca, ale do szyby się nie zbliżyła. Wolała przyjrzeć się potworowi ze względnie bezpiecznej odległości.

– Zastanawiam się, dlaczego on to robi. Albo nie widzi szkła, albo nie rozumie, czym ono jest. Jednak powinien zrozumieć, skoro od paru godzin nie udało mu się przez nie przebić – odpowiedział Paweł.

– Albo zapomina – dodał Max, podchodząc do pozostałej dwójki. – Może nie ma w ogóle pamięci i nie kojarzy, że sekundę temu odbił się od przeszkody. Dlatego cały czas naciera.

– Może – powiedział cicho Paweł. – Dobra, odsuńcie się.

Max i Kaja usłuchali, wycofując się i zbliżając do siebie. Tak było o wiele rażniej i bezpieczniej.

Paweł podszedł i otworzył drzwi, jednocześnie sprzedając przeciwnikowi potężnego kopniaka prosto w splot słoneczny. Zombie wycofał się o kilka kroków, desperacko próbując zachować równowagę. Mężczyzna był pod wrażeniem, że potwór się nie przewrócił, ale nie pozwolił, żeby to uczucie go zdominowało. Idąc za ciosem, postąpił parę kroków do przodu i powalił przeciwnika eleganckim obrotem, jednocześnie go podcinając. Ten, w akompaniamencie dzikiego kwiku wyróżnął w posadzkę, w locie próbując złapać swojego prześladowcę, na co Paweł oczywiście nie pozwolił. Wiedział, że jest szybszy i mądrzejszy. Wiedział też, że nie może pozwolić się ugryźć czy chociażby zadrapać, więc stąpał wyjątkowo ostrożnie, pamiętając jednocześnie, że jego ruchy muszą być szybkie i pewne. Ta gra nie przewidywała powtórek czy drugich szans.

– Tato!

Paweł odwrócił się i zobaczył Kaję, trzymającą w ręku wielki kuchenny nóż. Podała mu go, a Paweł w podziękowaniu kiwnął głową. Kawał stali był długi na co najmniej osiemnaście centymetrów, doskonale utrzymany i naostrzony. Prawdopodobnie do tej pory jego głównym zadaniem było krojenie miękkich owoców. Mężczyzna nie zastanawiając się zbyt długo, podszedł do gramolącego się z podłogi potwora, szybkim ruchem złapał go za kark i uniósł delikatnie. W ten sposób jego głowa bezwiednie odchyliła się w tył, eksponując nieosłoniętą brodę, w której błyskawicznie zatopił się nóż. Zombie targnął się w pośmiertnej konwulsji, po czym opadł bezwładnie na posadzkę. Całość trwała mniej niż pięć sekund, a obeszło się cicho i bez zbędnych hałasów.

Max i Kaja stali, wpatrując się w Pawła, który najpierw rozejrzał się, a następnie, upewniwszy się, że teren jest bezpieczny, wytarł nóż do sucha. Byli pod wrażeniem perfekcyjnego pchnięcia, jak i tego, że podszedł do bezpośredniego starcia z takim potworem.

– Masz zajebistego ojca – stwierdził z zazdrością Max.

– Dzięki. Wiem – odpowiedziała Kaja, ale żadne nie spuściło wzroku z leżących na ziemi zwłok. Dalej jakaś część ich świadomości wypierała to, co się dzieje. Gdyby teraz wpadła policja i rzuciła ich na ziemię z powodu zamordowania przypadkowego przychodnia, chyba poczuliby ulgę. Bo wyszłoby na to, że wszystko, co się wydarzyło, miało miejsce tylko w ich głowach. Niestety, nie było tak pięknie, jakby chcieli.

– Ej, obudźcie się – przywołał ich do porządku Paweł. – Macie swój sprzęt?

– Tak, twój też – powiedział Max, postępując krok do przodu. Podał Pawłowi jego plecak i karabin. Ten wziął go bez słowa, zarzucił na plecy i ponownie się rozejrzał. Niestety nie mieli zbyt wielkiego wyboru – stali pośrodku korytarza i mogli albo wrócić, skąd przyszli, albo iść dalej w kierunku centrum. Jakby odgadując jego myśli, odezwał się Max:

– Możemy jeszcze zejść na peron i iść wzdłuż torowiska.

– Nie, dzięki – odparł błyskawicznie Paweł. – Już raz to przeszedłem i nie zamierzam tego powtarzać. Idziemy dalej.

Powiedziawszy to, ruszył w stronę przeciwną niż ta, z której przybyli. Korytarz okazał się być pusty, ale Paweł i tak rozkazał im rozsypać się w tyralierę. Sam szedł z przodu, z lewej strony korytarza. Kaja szła przy prawej ścianie, kilka metrów za ojcem. Zamykający pochód Max szedł jak

Paweł – z lewej strony – jednak co chwila zerkał za siebie, ubezpieczając tyły. Każda broń była uniesiona i gotowa, by w każdej chwili wystrzelić. Szli w całkowitej ciszy. Najgłośniejszy okazał się Max, którego ciężkie glany wybijały wojskowy rytm w cichym i opuszczonym podziemiu, niosąc się echem daleko przed i za nich.

– Kurwa, nie wiem, gdzie jesteśmy – stwierdził po minucie Paweł.

Okazało się, że korytarze nie są oznaczone. Nazwy ulic pojawiają się tylko przy skrzyżowaniach i przy wyjściach. Nikt z nich nie pamiętał, w którym miejscu skręcili i w jakim kierunku teraz podążali. Akcja działała się zbyt szybko, żeby zwracać uwagę na takie szczegóły. Ruszyli jeszcze prędzej, czując nagłe pragnienie wydostania się na powierzchnię. Zwłaszcza Paweł i Max, którzy mieli zdecydowanie dość przebywania pod ziemią.

Po przebyciu truchtem kilkudziesięciu metrów Paweł dał pozostałym znak, żeby się zatrzymali. Dotarli do kolejnego skrzyżowania, jednak to było inne niż poprzednie. Podłoga i niektóre ściany były umazane krwią, do wysokości co najmniej półtora metra. Nie było ciał czy chociażby ich fragmentów. Paweł uniósł broń do ramienia i bezszelestnie przybliżył się do miejsca rzezi. Pochylił się i dotknął plamy krwi opuszkami palców. Nie była skrzepnięta ani zimna, co znaczy, że do masakry doszło stosunkowo niedawno. To stawiało kolejne pytanie – co stało się z ciałami? Jednak mężczyzna wolał teraz się nad tym nie zastanawiać. Dał pozostałym znak i ruszyli cicho, zręcznie omijając wszelkie plamy posoki. Po przejściu kilku metrów ich oczom ukazały się schody, prowadzące na powierzchnię. Ciepły słoneczny blask przebijał się przez zimne światło lamp, dodając całej trójce otuchy.

– Dobra – powiedział Paweł. – Teraz musimy być jeszcze ciszej, niż do tej pory. Wyjdę pierwszy i się rozejrzę. Max, osłaniaj nasze tyły, Kaja, patrz na mnie i koordynuj wszystko na dole. Dam znak, gdy góra będzie czysta i będziemy mogli iść. Okej?

Pozostała dwójka skinęła zgodnie głowami. Paweł ruszył ku schodom, cały czas trzymając broń w gotowości. Do jego nosa dotarło świeże powietrze, które błyskawicznie i zachłannie wciągnął w płuca. Odbite od szklanych budynków słońce oślepiło go, więc komandos zatrzymał się na parę sekund, aby przyzwycząić wzrok i nie wyjść na górę, będąc ślepym jak kret. Po chwili wyrzwał i dał pozostałym znak, że mogą do niego dołączyć.

Po paru chwilach cała trójka, niczym pieski preriowe, wystawiała głowę spod ziemi i obserwowała otoczenie, wypatrując niebezpieczeństwa. Okolica była wyludniona i cicha jak wcześniej, zanim zostali zmuszeni do ucieczki pod ziemię. Niemniej teraz już wiedzieli, że to nie była żadna gwarancja bezpieczeństwa, ale musieli iść przed siebie bez względu na zagrożenie. Pozostanie w miejscu gwarantowało śmierć albo z rąk zombie, albo od kul.

– Tam. Widzicie? – powiedział Paweł, spoglądając na ulicę. Wskazał ręką ciemne, stalowoszare volvo, stojące na środku drogi.

– Drzwi są otwarte, kluczyki pewnie w stacyjce – stwierdził z nadzieją w głosie.

– Myślisz, że jak ktoś uciekał, to wyłączył silnik? – zapytał Max, co rusz zerkając w dół schodów. Nie chciał, żeby jakieś zęby zatopiły się w jego plecach. – Bo ja nie. Pewnie samochód ma rozłado-

wany akumulator, zobacz, światła się nie świecą. Ktoś po prostu wybiegł i go zostawił, a biedak zdechł. Nic nam po nim.

– Niekoniecznie – powiedziała w zamyśleniu Kaja. – Zobacz, wiele osób ma odruch przekręcania kluczyka w stacyjce, jak tylko wysiadają. Jak odruch zapinania pasów czy przekręcania zamka w drzwiach. Przyzwyczajenie, rozumiesz.

Max kiwnął głową. Podobało mu się, że dziewczyna odzyskała nieco wiary w to, że uda im się ująć z tego z życiem. A nawet jeśli nie, to stojąc przed Stwórcą, będą mogli godnie stwierdzić, że walczyli o życie z całych sił.

– Dobra, nie ma co gdybać – uciął dyskusję Paweł. – I tak go sprawdzimy. Osłaniajcie mnie.

Powiedziawszy to, wybiegł na chodnik, a potem nisko pochylony pobiegł w stronę samochodu. Max i Kaja wybiegli za nim, ale zatrzymali się tuż przed ulicą. Chłopak osłaniał wschód, Kaja od razu przykucnęła obok niego i skierowała broń na zachód. Nie wiedziała dlaczego, ale obecność Maxa sprawiała, że czuła się bezpieczniejsza. To było bardzo dziwne, czuć się bezpiecznie przy takim amatorze, zwłaszcza że jej ojciec służył w jednej z najlepszych formacji do zadań specjalnych na świecie. Jednak chłopak miał coś w sobie. Może to była kwestia podobnego wieku? Dziewczyna potrząsnęła głową, odrzucając myśli i skupiła się na pilnowaniu swojego kawałka ulicy.

Po chwili dotarł do nich dźwięk uruchomionego silnika, a Paweł wychylił uniesiony w górę kciuk, jakby potrzebowali jeszcze jakiegoś potwierdzenia, że udało mu się zapalić samochód. Kilkaście sekund później cała trójka siedziała już w środku.

– Fajna fura – stwierdził Max, zajmując miejsce na tylnej kanapie. Usiadł na niej bokiem, żeby widzieć to, co się działo za ich plecami. Paweł nie musiał mu mówić, żeby ubezpieczał tyły. Powstała między nimi jakaś niewidzialna więź komunikacyjna, każdy znał swoje miejsce w formacji.

– No, zajebista, nie? – powiedział dumny z siebie Paweł, prezentując w szerokim uśmiechu pełne i białe uzębienie.

– Gdzie jedziemy? – zapytała Kaja, chowając broń między nogi lufą do dołu, tak jak uczył ją ojciec.

– Tak jak się umawialiśmy – odpowiedział komandos, zdejmując nogę ze sprzęgła i jednocześnie dodając gazu. – Na Bemowo, do rodziców Maxa.

Nie mówiąc już nic więcej, ruszyli.

## BIELANY, GODZINA 11:29.

**D**obra, to jeszcze raz – powiedziała Natalia. – Pakujemy się na furgonetkę i jedziemy na północ, na Mazury, tak? Którędy wyjedziemy z miasta?

– Nie możemy jechać trasą gdańską, bankowo jest zablokowana – powiedział Kuba, pochylając się nad rozłożoną mapą. – Natalia, przecież ustalaliśmy to już chyba z dziesięć razy – dodał poirytowany.

Mieli się zbierać jakiś czas temu, jednak za oknem pojawiły się kolejne wojskowe transportery. Tym razem trzy sztuki pędzące w zwartej kolumnie w stronę centrum. Wtedy zdecydowali się przeczekać jeszcze chwilę, jednak wkrótce potem doszli do wniosku, że czekanie będzie zgubne, bo albo ich znajdą, albo na dobre odizolują miasto i już na pewno się nie precisną. Trzeba skorzystać z zamieszania, jakie wiąże się z operacją na tak wielką skalę, i zmyć się od razu.

– Dobra, zbieramy się – powiedział Kuba, wstając z kanapy. – Tak jak rozmawialiśmy, idziemy na dół i pakujemy się do furgonetki. Wyjeżdżamy na Kasprowicza, potem na Wólczyńską i dalej do cmentarza Północnego, skąd już niedaleko do Łomianek. Zmywamy się z miasta przez Dąbrowę. Bokiem oczywiście i po cichu, nie rzucając się w oczy. Gotowi?

– Tak, chodźmy – powiedział Tomek. Oczy mu błyszczały ze strachu, ale i z determinacji. Chłopak martwił się o swoją siostrę i rodziców, jednak udało mu się przemówić do rozsądku, że niewiele im pomoże, zostając w mieszkaniu z niesprawnym zamkiem, podczas gdy po ulicy grasują plutony egzekucyjne. I to dwa rodzaje – możesz sobie wybrać, w jaki sposób chcesz skończyć.

Stał i przyglądał się starej kuchni. Poszarzałe szafki od dwudziestu lat wisiały w tym samym miejscu, blat krzyczał o wymianę, a stół pamiętał chyba jeszcze PRL. Przypomniał sobie, jak mama rozmawiała z ojcem na temat remontu. Mieli zrobić to jeszcze przed Bożym Narodzeniem, żeby było ładnie na święta. Wygląda na to, że im nie wyjdzie. Tak jak wcześniej ustalili, Tomek zostawił kartkę z informacją, że żyje i udaje się na Mazury. Stwierdził, że nic więcej nie będzie pisał. Przyczepił ją kilkoma magnesami na lodówce i to było jedno z najtrudniejszych doświadczeń w jego życiu. Czuł się, jakby pisał testament lub żegnał się osobą, która niechybnie umrze.

Kuba podszedł i położył dłoń na ramieniu chłopaka. Domyślał się, jak ciężkie to musiało być dla niego doświadczenie. To wszystko, co się działo od wczoraj, do tego widok bestialsko mordowanych ludzi przez żołnierzy, którzy mieli nieść ocalenie. A na dodatek chłopak musiał uciekać z podkulonym ogonem z mieszkania, w którym prawdopodobnie się wychował. Chciał go pocieszyć, jednak w niektórych momentach słowa tylko pogarszają sytuację.

Chwilę później byli na dole. Zeszli powoli po klatce schodowej, ubezpieczając się wzajemnie. Następnie policjant jako pierwszy wyjrzał zza futryny i zlustrował okolicę wzrokiem. Było pusto. W innych okolicznościach doceniłby tak piękną aurę – słońce przyjemnie grzało, stojąc wysoko na



bezchmurnym niebie, powietrze było świeże i pachnące. Samochody nie jeździły po ulicy, więc człowiek wreszcie słyszał swoje własne myśli.

– Czysto – powiedział do pozostałych i ruszył w stronę szoferki.

Cały czas ciężko mu było uwierzyć, że wojskowi nie zainteresowali się ich furgonetką. Tłumaczył to sobie w taki sposób, że jeżeli widzieli pusty i pokrwawiony radiowóz – pewnie jeden z wielu takich – to wiedzieli, że funkcjonariusze już dawno nie żyją. Jakby ją sprawdzili, to całe zapasy broni i amunicji, wszystko, co zdołali zgromadzić, byłoby stracone.

Wsiedli do nagrzanego w słońcu samochodu. Tak jak wcześniej, Kuba usiadł za kierownicą, mając obok siebie Natalię, a Tomek zajął miejsce z tyłu pojazdu. Zajrzeli jeszcze do toreb z bronią, ale na szczęście te leżały nieruchomo tam, gdzie je zostawili. Zawartość również się nie zgadzała. Ruszyli.

Po kilku minutach dojechali do ulicy Kasprowicza i skręcili w prawo. Miasto było bardziej wymarłe niż kilka godzin wcześniej, chociaż trudno było im to sobie wyobrazić. Na horyzoncie ciągle unosiły się wysokie i czarne smugi ciężkiego dymu. Coraz więcej pożarów trawiło stolicę i nie było nikogo, kto mógłby je ugasić. Niektóre budynki spaliły się doszczętnie, jakimś cudem nie podpalając kolejnych. W innych zadziałał system przeciwpożarowy i zdusił płomienie w zarodku, póki żywioł nie pochłonął całej budowli. Okna w blokach, które mijali, były powybijane, niektóre drzwi prowadzące na klatki schodowe stały otworem. Ludzie uciekali w popłochu z miasta, na czym żerowali złodzieje, plądrując niepilnowane mieszkania. „Ciekawe, ile z tych łajz przypląciło to życiem” – zastanowił się Kuba. Miał nadzieję, że jak najwięcej. Jechali w milczeniu, skupiając wzrok i wypatrując zagrożenia. Minęli kilka leżących ciał, ale nikt nie skomentował tego nawet jednym słowem. Analityczny umysł Kuby bardzo szybko mu podpowiedział, że jeżeli ciała dalej leżały na ziemi, to – albo ci ludzie zostali zastrzeleni niedawno, czyli wojsko jest bardzo blisko, albo zostali potraktowani kulą w głowę i faktycznie już nie żyją. Wolał tę drugą opcję, ale i tak nerwowo zerkał w boczne lusterka.

Tuż przed nimi pojawiły się złote łuki logo McDonalda. Zarówno Kuba, jak i Natalia niemal natychmiast, odruchowo odczuli głód i poczuli zapach frytek smażonych w głębokim tłuszczu. Do tego w ich głowach wizualizowały się ulubione kanapki. Poczuli ich smak, konsystencję miękkiej i ciepłej bułki trzymanej w ręku i przelknęli głośno ślinę. Natalia uśmiechnęła się na myśl o tym, ile razy jadali w takim miejscu. Kuba spojrzał głęboko w oczy żony i również się uśmiechnął, uświadomiwszy sobie, jak bardzo mieli wyprane mózgi i jak nimi manipulowano. Czuł się jak pies Pawłowa – zobaczył żółte łuki i automatycznie poczuł głód, pomimo tego, że był najedzony. „A mogliśmy żyć inaczej” – pomyślał. „Trzeba nam było prowadzić zdrowy tryb życia, zastosować jakąś dietę, trenować. O ile łatwiej byłoby teraz nam przetrwać” – pomyślał.

Ta trwająca sekundę refleksja niemalże kosztowała ich życie.

– Uważaj! – przerażonym głosem wydarł się Tomek, a Kuba odruchowo wcisnął pedał hamulca i skręcił kierownicą. Nie widział niczego, ale zadziałał jak zaprogramowana maszyna. Kątem oka dostrzegł, jak w jego kierunku, nie wiadomo skąd pędzi ciemne volvo. Samochody minęły się może o niecały metr, ale żaden nie użył klaksonu. Nie było na to czasu. Policyjna furgonetka wpadła

w poślizg i uderzyła bokiem o przystanek autobusowy, jednak Kuba wystarczająco wytracił wcześniej prędkość i nikomu nic się nie stało. Głośny pisk opon i następujący po nim głuchy huk uderzenia świadczyły o tym, że volvo również miało znaczne problemy.

– Nic wam nie jest? – zapytał Kuba, pochylając się w stronę Natalii i powierzchownie badając jej plecy.

Ta tylko kiwnęła głową i zapewniła go, że jest cała. Jej błękitne oczy zdradzały totalne zaskoczenie i szok. Kuba wyglądał dość podobnie – rozszerzone ze strachu i nagłego przyływu adrenaliny źrenice i bordowa ze zdenerwowania szyja.

– Tomek? – zapytał mężczyzna.

– Okej. Trochę mną rzuciło, ale nic mi nie jest – odpowiedział chłopak, gramoląc się z podłogi. W momencie uderzenia o wiatę przystanku rzuciło nim jak bezwładną kukłką na drugą ścianę furgonetki, jednak upadek nie wyrządził mu większych szkód, poza zwykłymi stłuczeniami. Grunt, że wszystkie gnaty były na swoim miejscu i w jednym kawałku. Wysiadając z samochodu, Kuba modlił się, żeby auto nadawało się do dalszej drogi.

Wyskoczył na chodnik i przeładował broń, unosząc ją do pozycji strzeleckiej.

– Poczekaj w samochodzie – polecił Natalii. Nie było sensu mówić tego samego Tomkowi, gdyż chłopak już zdążył wyskoczyć z wozu i ukucnąć za betonowym śmietnikiem. Kuba okrążył pojazd i wyjrzał zza rogu.

Ciemne volvo, z którym prawie się zderzyli, też wpadło w poślizg, jednak jego skutki były dużo gorsze – samochód zatrzymał się słupie oświetleniowym. Policjant wyteżył wzrok i dostrzegł dodatkowe szczegóły. Drzwi kierowcy były otwarte, a z daleka było widać biel poduszki powietrznej. Bez śladów krwi, więc kierowca przeżył i gdzieś się zawinął. Kuba przeszedł tor jazdy i zobaczył skasowany znak pokazujący dozwoloną prędkość i otarcie na zaparkowanym na poboczu. To daje dwa miejsca, które pozwoliły wytracić nadmierną prędkość. W innym wypadku, waląc w betonowy słup z pełną prędkością, nawet znane ze swego bezpieczeństwa volvo nie uratowałyby pasażerów.

– Rzuć broń! – usłyszał nagle Kuba. Głos był młody, ale pewny siebie i waleczny, bez cienia strachu. Kuba błyskawicznie skulił się i zaczął rozglądać wokół siebie, wbrew poleceniu unosząc karabin do strzału. Nie dostrzegł nikogo, poza Tomkiem, który wpatrywał się w niego przerażonym wzrokiem, nie wiedząc, co robić. „Myśl” – ponaglił się w myślach policjant.

– Rzućcie broń! – do jego uszu dotarło kolejne polecenie.

– Pokaż się! – odpowiedział policjant.

„Cholera, gdzie on jest” – pomyślał. „Jeśli jest jeden, to dlaczego nie uciekł?”. Nagle dostrzegł ruch przed sobą, tuż za samochodem, o które otarło się volvo. Ktoś się tam czał i na pewno nie był to zombie.

– Wyjdź z samochodu, a nic ci się nie stanie! – krzyknął w przyływie pewności siebie Kuba.  
– Tylko spokojnie!

Czuł, jak jego żołądek kurczy się ze strachu. Ręce delikatnie mu drżały, jednak wiedział, o jaką wielką stawkę toczy się rozgrywka – musi za wszelką cenę ochronić Natalię, jakoś wyprowadzić ją z tego przeklętego miasta. Fajnie by było, jakby przy okazji i jemu udało się przeżyć.

Wtedy postać ukrywająca się za samochodem powstała. Okazał się być nią młody chłopak w stylu metalowca – czarny T-shirt w bliżej nieokreślony wzór, długie, rozpuszczone włosy, bojówki i ciężkie glany. „I tej gnidy się bałem?” – zapytał się w duchu Kuba. „Jezu, chyba się starzeję”. Nagle zza volva, stojącego kilka metrów dalej, wyłoniła się kolejna postać. Tym razem była to drobna brunetka, o pociągłej twarzy, nie dziewczyna, ale jeszcze i nie kobieta, jak to śpiewała pewna blondynka zza oceanu. Na dodatek napotkana dwójka trzymała w rękach czarne, połyskujące w słońcu karabiny maszynowe. Kuba bez problemu rozpoznał w nich broń, jaką posługuje się Wojsko Polskie. Sytuacja była patowa, dwa do dwóch, jednak Kubie w dziwny sposób ulżyło – z dwójką dzieciaków poradzi sobie przecież bez problemu.

– Wyjdźcie zza samochodów i rzuć... – zaczął mówić, ale nie było mu dane skończyć.

Usłyszał stukot spadającego kamyczka o sekundę za późno.

– Rzuć broń – usłyszał tuż za sobą i poczuł, jak robi się malutki ze strachu. „Niemożliwe, żeby ktoś mnie zaszedł od tyłu, przecież w samochodzie siedzą Tomek i Natalia, któreś musiało coś widzieć”.

– No dalej. Tylko powoli – ponaglił go głos. Był spokojny, pewny siebie i opanowany. Nieznoszący sprzeciwu. Poza tym policjant był w takiej sytuacji, że najmniejsza próba stawienia oporu niechybnie skończyłaby się jego śmiercią.

Kuba położył MP5 na asfalcie, po czym odwrócił się powoli z uniesionymi rękami i spojrzał na stojącego niespełna dwa metry od niego potężnego, krótko ostrzyżonego mężczyznę w szarym T-shircie. Facet celował w niego z kolejnego karabinu maszynowego. Głęboko osadzone szare oczy świdrowały go na wylot i Kuba, patrząc na jego postawę, uświadomił sobie, że ma do czynienia z profesjonalistą.

## BIELANY, GODZINA 11:42.

Jak dalej? – zapytał Paweł, wjeżdżając w ulicę Conrada. Przejechali bez większych problemów przez aleję Jana Pawła II, następnie Powązkowską, Maczka i Reymonta. Przy cmentarzu Powązkowskim Max zaczął coś mówić na temat trupów wstających z grobów, jednak Kaja błyskawicznie go sprowadziła do pionu, dyplomatycznie prosząc o zamknięcie gęby. Ku jej uciesze, chłopak posłuchał.

– Prosto. Przez to skrzyżowanie... kurwa! – krzyknął Max. Nie zdążył dokończyć, gdyż z prawej strony skrzyżowania niespodziewanie wyskoczyła policyjna furgonetka. Paweł wdusił pedał gazu, żeby zdążyć przejechać przez rozpędzonym pojazdem i, o dziwo – udało mu się dosłownie minąć go o włos. Błyskawicznie wcisnął do dechy pedał hamulca i jednocześnie zaciągnął ręczny, żeby tylko jakoś się zatrzymać. Wtedy jeszcze nie pomyślał o tym, co będzie później. Volvo wpadło w poślizg, pomimo tego, że na ulicy było sucho i pusto. W ułamku sekundy przez umysł Pawła przeszła tylko jedna myśl – zawsze się zastanawiał, jak to jest możliwe, że ktoś prowadzi samochód połą drogą i nagle ląduje na drzewie. Teraz już wiedział, zrozumiał, jak wiele może zmienić drobny, gwałtowny ruch kierownicą przy pełnej prędkości. Jednak była to niesamowicie niebezpieczna i bolesna lekcja.

W ciągu następnych kilku sekund samochód uderzył kolejno w stojącego na poboczu forda i odbijając się od niego, skasował znak drogowy, aby w końcu zatrzymać się na słupie. Z głośnym hukiem wystrzeliły poduszki powietrzne, przednia szyba pokryła się gęstą siatką pęknięć, a maska złożyła się w elegancką harmonijkę. Paweł poczuł, jak jego potylicą uderza w miękkie zagłówek, a potem nastąpiła tak bardzo upragniona ciemność i cisza.

Jednak nie było mu dane długo odpoczywać. Jak przez mgłę poczuł uścisk na ramieniu i dobiegający gdzieś z oddali głos.

– Tato, tato, ocknij się – błagała Kaja i szarpała go za ramię. Mimo tego, że jej strach nie był zbyt uzasadniony, dziewczyna bała się, że straciła ojca. Przecież wystrzeliła poduszka powietrzna, kierowca był bezpieczny, tak samo jak w jej przypadku – szok wywołany wypadkiem to jedno, ale brak obrażeń fizycznych i zagrożenie motywowało do działania.

Niechętnie i mozolnie Pawłowi zaczynała wracać świadomość. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest, gdy nagle wspomnienia uderzyły go z zadziwiającą siłą – wypadek, hamowanie, słup. „Czy Kaja jest bezpieczna, czy nic się jej nie stało?” – pomyślał spanikowany. „Nie, skoro to ona go ocuciła, musi być cała i zdrowa”. Uspokoił się, widząc, że stan jego córki nie odbiega od tego, co sobie wyobraził. Wtedy do jego nozdrzy doleciał mdły zapach oleju silnikowego. „To jesteśmy w dupie” – stwierdził w duchu mężczyzna.

– Max? – zerknął na tylne siedzenie. Wiedział, że chłopak jechał w niezapiętych pasach bezpieczeństwa, przez co mógł wypaść przez przednią szybę.

– Jestem cały – doleciał do niego głos chłopaka. Paweł odwrócił się i niczego nie dostrzegł. Dopiero gdy skierował wzrok na podłogę, zobaczył, że Max zdążył się skulić między fotelami, przyjmując na podłodze pozycję embrionalną. Prawdopodobnie uratowało mu to życie. Jednak nie czas teraz na analizę. Policjanci z tego wozu mogą być równie wrogo nastawieni jak wojsko, które strzelało do nich w centrum. A tutaj nie mają gdzie uciekać, więc pozostaje im tylko atak.

Złapał beryla i chwycił za klamkę.

– Max, Kaja – powiedział. – Wyjdźcie z samochodu, rozdzielcie się i odwróćcie ich uwagę. Ja w tym czasie znajdę ich od tyłu.

Powiedziawszy to, otworzył drzwi i wyskoczył na asfalt. Nie czekał na ich reakcję, nie było czasu na rozmowy i dokładne ustalanie strategii. W powietrzu unosił się zapach spalonej gumy i oleju. Ulica była pusta, ale Paweł i tak się rozejrzał. Wszak jadąc w tym kierunku, też myślał, że są sami, i o mało nie kosztowało ich to życie. Biegł maksymalnie pochylony i po chwili znalazł się po drugiej stronie ulicy, za krzakami oddzielającymi torowisko od chodnika. Czuł, że od uderzenia bolało go kolano i pulsowała mu głowa, ale zignorował ból, skupiając się na czekającym go zadaniu. Teraz od samochodu policyjnego dzieliło go około trzydziestu metrów. Zauważył, że tamci też uderzyli w przeszkodę, więc jest szansa, że są ogłuszeni. Na jego szczęście całą drogę mógł pokonać pod osłoną wysokiego na półtora metra, gęstego żywopłotu. Dodatkowo doszedł element zaskoczenia, bo wątpił, żeby któryś z policjantów spodziewał się ataku od tyłu. Paweł rozpoczął ciche i szybkie podkradanie się do celu.

Gdy był około piętnastu metrów od furgonetki, zatrzymał się. Usłyszał trzask otwieranych drzwi i czyjeś kroki na asfalcie. Naliczył dwie osoby.

– Rzuć broń! – dobiegło doń z oddali.

Paweł usłyszał komendę, wydaną przez Maxa. Wyjrzał przez dziurę w żywopłocie, ale nie dostrzegł nigdzie ani chłopaka, ani swojej córki. „Dobrze to wymyślili” – stwierdził. „Muszę iść dalej, liczy się każda sekunda” – ponaglał się w myślach. Był już tylko kilka metrów od furgonetki, gdzie kończyła się linia krzaków, które dawały mu ochronę. Teraz musiał wyjść na otwarty teren. Pochylił się nisko do ziemi i zajrzał pod pojazd. Zobaczył parę białych sportowych butów, które na pewno nie znajdowały się na wyposażeniu policji. Wtedy jego wzrok trafił na trzęsącego się ze strachu chłopaka, chowającego się za koszem na śmieci. O co tu chodzi? Cywile w policyjnej furgonetce?

– Rzućcie broń!

To ponownie wydarł się Max. Później będzie czas na wyjaśnienia.

– Pokaż się! – odkrzyknął człowiek w sportowych butach, chowający się za furgonetką. Sądząc po głosie, był to mężczyzna, około trzydziestoletni.

Teraz.

Paweł wyskoczył zza krzaków i bezszelestnie podbiegł do policyjnego auta. Musiał okrążyć przystanek, co zabrało mu kilka cennych sekund, ale nie zmieściłby się między nim a samochodem. Do-

piero wtedy dostrzegł, że na fotelu pasażera siedzi młoda kobieta. Na jego szczęście była odwrócona do Pawła plecami i obserwowała całą sytuację z teoretycznie bezpiecznej perspektywy. Mężczyzna zastanowił się, czy nie użyć jej jako zakładniczki, ale szybko odrzucił ten pomysł. Nie wiedział, jakie były relacje, między nią a pozostałą dwójką, więc porywanie jej mogło minąć się z celem.

– Wyjdź z za samochodu, a nic ci się nie stanie! – krzyknął gość w białych adidasach. Czyli dostrzegł Maxa, niedobrze. Teraz liczy się każda sekunda. – Tylko spokojnie! – dodał głos, już dużo pewniejszy siebie.

Paweł postawił wszystko na jedną kartę. Uważnie obserwując dziewczynę, z bronią wycelowaną w jej głowę, bezszelestnie zbliżył się do samochodu i pochylony nisko przebiegł tuż przed jego maską. Sekundę później wyłonił się z za niej, i cały czas będąc poza zasięgiem wzroku pasażerki, podszedł parę metrów wzdłuż pojazdu, gdzie podnosząc się wycelował w głowę człowieka, który z kolei celował w Maxa. Jednocześnie modlił się w duchu, żeby tylko drzwi za jego plecami się nie otworzyły i żeby siedząca w kabinie kobieta nie przyłożyła mu lufy do głowy.

– Wyjdźcie z za samochodów i rzuć... – zaczął mówić mężczyzna w białych adidasach, ale Paweł brutalnie mu przewał:

– Rzuć broń – powiedział.

Te dwa słowa sparaliżowały faceta. Widać było, że zastanawia się nad tym, co robić. Paweł postanowił ułatwić mu podjęcie decyzji.

– No dalej. Tylko powoli.

Na szczęście, dla właściciela sportowego obuwia, ten podjął jedyną i słuszną decyzję – schylił się, położył broń na betonie i odwrócił się z uniesionymi rękami. Paweł rozpoznał karabinek MP5 i zaczął zastanawiać się, gdzie ci ludzie go znaleźli.

## BIELANY, GODZINA 12:01.

Spokojnie, nie strzelaj. Nie szukamy kłopotów – powiedział Kuba, cały czas trzymając ręce w górze. Patrzył w głęboko osadzone oczy obcego mężczyzny i wiedział, że musi go jakoś przekonać, żeby ten go nie zabił. Już prawie udało im się wydostać z miasta, a tu takie coś. Ale chyba miał szansę. Ten facet nie wyglądał na pierwszego lepszego wariata, który dorwał się do zabawki dla dorosłych.

– Tomek, rzuć broń – polecił, odwracając odrobinę głowę, ale i nie tracąc kontaktu wzrokowego z przeciwnikiem. Chłopak posłusznie położył broń na ziemi, wstał i podszedł na trzęsących się nogach do Kuby.

W tym samym czasie Kaja i Max wyszli zza swoich osłon i ostrożnie podeszli do furgonetki, cały czas mierząc do dwóch mężczyzn trzymających podniesione ręce.

Nagle dziewczyna z szoferki otworzyła drzwi i zgodnie z obawami Pawła – wycelowała do niego z karabinku MP5. Z tej odległości miała druzgocącą przewagę. Komandos był świadom tego, że nawet jeżeli kobieta nie potrafi strzelać, to jeśli na jego nieszczęście przełącznik ognia był ustawiony na automatyczny, tak minimalny rozrzut i odrzut broni sprawi, że w ułamku sekundy w jego plecach znajdzie się około dziesięć kul. A taka ilość ołowiu w ciele może znacząco utrudnić wydostanie się z miasta.

– Rzuć broń! Rzuć to! – krzyczała Kaja do Natalii, podbiegłszy do ojca. Stała parę metrów obok niego, celując w obcą kobietę. W tym czasie Max ustawił się tuż za mężczyznami.

– Nie! Niech ten facet przestanie celować w mojego męża! – odkrzyknęła dziewczyna, wskazując podbródkiem Pawła. Kaja nie odpowiedziała, tylko przyglądała się blondynce spojrzeniem pełnym nienawiści.

Nagle obie dziewczyny wylały z siebie potok przekleństw i argumentów, która kogo pierwsza zabije i dlaczego akurat to ta druga ma się poddać. W końcu jednak zamilkły, ciężko dysząc z bezsilnej wściekłości.

Pat.

Czas stanął w miejscu. Niezmacona niczym cisza przygniałała. Nie szumiały drzewa, zamilkły ptaki, nie słychać było odległych wystrzałów ani niczego innego. Jakby cała okolica wstrzymała oddech przed zanurzeniem się w ciemnej głębinie oceanu, do którego spadała z zawrotną prędkością. Tylko słońce paliło tak samo mocno jak zawsze.

Paweł już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale zamilkł. Do jego uszu doleciał huk wystrzału i w pierwszej chwili niemalże poczuł, jak jego plecy przeszywa kula. Ale to było tylko złudzenie, bo dziewczyna z szoferki nie pociągnęła za spust. Nie zrobili też tego ani Kaja, ani Max. Strzały dobiegały z oddali. Oczywiście szóstki skierowały się teraz w stronę ulicy Conrada, za stacją benzynową,

obok której stał McDonald. Zza budynków wybiegło kilku żołnierzy, prowadząc ogień osłaniający i kierując się w ich stronę.

– Kurwa mać. Schowajcie się, bo nie chcecie, żeby was spotkali – wycedził Paweł i nie czekając na reakcję nieznanym mu osobom, pobiegł za furgonetkę i kilka metrów dalej zanurkował za żywopłotem. Po sekundzie dobiegł do niego mężczyzna z żoną i młodym chłopakiem. Po drodze zabrali swoją broń. Teraz już cała szóstka tkwiła poza wzrokiem żołnierzy i modliła się, żeby nikt ich nie dostrzegł.

– Wiemy, do czego są zdolni – powiedział mężczyzna w białych adidasach.

Paweł spojrział na niego i kiwnął głową. Czuł w kościach, że może temu facetowi zaufać. Czasami to się po prostu wie.

– My też. Strzelali do nas – powiedział. – Przepraszam za to całe zamieszanie. Z początku myśleliśmy, że jesteście jednymi z nich.

– My tak samo – odparł mężczyzna. Wyciągnął nagle rękę w stronę Pawła i powiedział – Kuba. To moja żona, Natalia. A ten chłopak to Tomek. Uratował nam życie.

Pozostała dwójka skinęła głowami. Nie było czasu na wymianę grzeczności, przytulanie się i całowanie po policzkach, chociaż Paweł zdążył stwierdzić, że chętnie przywitałby się tak z żoną Kuby.

– Paweł – odparł, odwzajemniając uścisk dłoni Kuby. – To Kaja, moja córka, i Max.

– Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem – powiedział sentencjonalnie Max, uśmiechając się nieśmiało.

Kaja pokiwała głową, ale też się roześmiała. Ten chłopak ją zaskakiwał praktycznie na każdym kroku, a widząc go na ulicy, nigdy by nie pomyślała, że może być tak sympatyczny. Zrobiło się jej dużo lżej na sercu. Znaleźli innych ludzi, którzy ocaleli i sprawiali wrażenie względnie normalnych. To dobrze rokuje na przyszłość, stwierdziła.

Nagle kule zastukały w karoserię policyjnej furgonetki.

– Schylcie się! – krzyknął Kuba, kładąc rękę na głowie Natalii i przygniatając ją do ziemi.

Wszyscy zgodnie rozplaszczyli się na trawie.

– Zauważyli nas – stwierdziła przerażona Kaja. – Musimy uciekać, te krzaki nas nie osłonią.

– Nie, poczekaj. Nie widzieli nas – stwierdził Paweł. – To były zbłąkane kule. Kretyni.

Jako jedyny dotąd obserwował sytuację przez małą dziurę w krzakach, ale po tym zdaniu pozostali również zaryzykowali i przez wyrwy w krzakach spojrzeli na drogę.

Żołnierze zostali otoczeni. Skupili się na środku ulicy, stając plecami do siebie. Paru z nich kłęcząco, pozostali stali za nimi i prowadzili ogień. Było ich około dziesięciu, jednak jak zauważył Paweł, popełnili olbrzymi błąd, który niechybnie będzie ich kosztował życie – zamiast dalej uciekać, zatrzymali się i próbowali odeprzeć nacierającego i przeważającego przeciwnika. Fala zombie wylała się pomiędzy bloków stojących zarówno po lewej, jak i prawej stronie ulicy Conrada. Żołnierze ustawili się w ciasnym kole, strzelając w kilka stron naraz. Przypominali teraz pancernik z olbrzymią ilością luf, desperacko miotający się i walczący o przetrwanie. Nagle ze środka kręgu wyleciał mały, ciemny przedmiot i poszybował parabolą w stronę dużej grupy zombie. Granat eksplodował



między trupami, wyrzucając w górę ciała. Niektóre kreatury rozerwało, inne przewróciły się od poddmuchu, ale ich miejsce błyskawicznie zastąpiły kolejne. Całość wyglądała jak walka ze stugłowym smokiem, któremu na miejsce odciętej głowy natychmiast wyrastało sto następnych.

Nagle wydarzyło się coś, co zadecydowało o dalszym rozwoju akcji. Z południowej części ulicy Wólczyńskiej nadbiegła duża grupa zombie, prawdopodobnie zwabiona hałasem. Na pierwszy rzut oka liczyła około czterdziestu, może pięćdziesięciu sztuk. To daje dwa magazynki do beryla, zakładając, że jeden strzał oznacza jednego przeciwnika mniej. I że żołnierz miał czas na spokojne wycelowanie, a cel nie biegnie szaleńczo przed siebie, obnażając kły i tocząc pianę z pyska. Niestety, wojsacy nie mieli tyle szczęścia. Jeden z nich coś krzyknął i paru jego kolegów odwróciło się, aby pokryć ogniem nacierającą, trzecią już grupę. I wtedy zrozumieli, że było już za późno. Za mało czasu na przeładowanie błyskawicznie kończącej się amunicji. Jeden z żołnierzy desperacko rzucił się przed siebie i biegnąc, ile sił w nogach, pędził w kierunku policyjnej furgonetki. Pozostali chcieli zrobić to samo, ale nie dali rady.

Zombie dobiegli do żołnierzy. Wywiązała się walka w zwarciu. Chociaż chyba nie można tego nazwać walką, bo bardziej przypominało to rozszarpywanie chorego i starego łosia przez watahę wygłodniałych wilków. Łoś miotał się i machał porożem, ale prędzej czy później zawsze upadał. Tak było i teraz. Zieleń mundurów błyskawicznie zniknęła pod coraz to rosnącym stosem krwiożerczych, plugawych kreatur. Skończyły się wystrzały, zaczęły krzyki bestialsko mordowanych ludzi. Po chwili nastąpił kolejny wybuch granatu, parę ciał podskoczyło. Lecz na zombie nie zrobiło to specjalnego wrażenia. „Przynajmniej niektórzy żołnierze nie zginęli w tak strasznych męczarniach” – pomyślał Paweł. Doskonale rozumiał, dlaczego któryś z jego „kolegów” wyciągnął zawleczkę.

Mimo tego, co widzieli wcześniej, szóstka ludzi chowająca się za krzakami szczerze im współczuła. I była śmiertelnie przerażona, bo wiedziała, że oni też tak mogą skończyć.

– Nie możemy mu pozwolić, by zabrał samochód – powiedział pewnym głosem Kuba.

Paweł zmarszczył brwi, próbując zrozumieć to, co powiedział Kuba. Spojrzał na niego i dostrzegł w jego oczach determinację.

– Wybieraliście się gdzieś? – zapytał, unosząc brwi.

– Później – odpowiedział Kuba i wstał.

Bez słowa komandos podniósł się z ziemi i ruszył za Kubą w stronę furgonetki. Jednak nie dobiegł do niej, tylko położył się i wycelował w nogi biegnącego żołnierza. Strzelił parę razy, jedna z kul roztrzaskała żołnierzowi kostkę i ten, z niewypowiedzianym zdziwieniem malującym się na spoczonej twarzy, wyrznął w asfalt. W wyniku upadku broń wypadła mu z rąk i przekoziółkowała kilka metrów dalej.

– Bierzemy go! – krzyknął Paweł i rzucił się biegiem w stronę żołnierza, którego przed chwilą postrzelił.

– Max, siadaj za kierownicą, reszta mnie osłania! Kuba, pomóż mi! – krzyczał w biegu, wydając rozkazy, jednocześnie strzelając pojedynczym ogniem do nadbiegających zombie.

Przez chwilę Kuba miał ochotę strzelić do niego, wsiaść do furgonetki ze swymi dotychczasowymi towarzyszami i odjechać, jednak szybko zrozumiał plan Pawła. Po jego ruchach, po sposobie, w jaki biegł w stronę leżącego żołnierza, Kuba zrozumiał, że ten facet miał wiele wspólnego z armią i może im się przydać. W kupie rażniej, potem będzie czas na przegadanie szczegółów. Jeśli przeżyją.

Parę długich sekund później komandos ukucnął obok jęczącego żołnierza.

– Kurwa, moja kostka! – krzyczał tamten.

– Zamknij się! – powiedział bezceremonialnie Paweł i zdzielił go kolbą w twarz. Żołnierz błyskawicznie zalał się krwią i złapał za złamany nos.

– Ty chuju, zabiję cię – powiedział, a jego słowa mieszały się z wypluwaną krwią.

Naraz pojawił się przy nim Kuba i bez słowa zarzuciwszy sobie broń na plecy, złapał żołnierza za kamizelkę taktyczną i zaczął ciągnąć w kierunku furgonetki. W tym czasie Natalia usiadła za kierownicą i zapaliła silnik. Ku jej zdumieniu, ten zaskoczył za pierwszym razem. Uderzenie bokiem w przystanek nie unieruchomiło auta.

Pozostali skupili się przy tylnych drzwiach samochodu i prowadzili ogień do zombie, który biegł w ich stronę. Miarowe terkotanie beryli i MP5 zapewniało poczucie bezpieczeństwa i napełniało mocą. Człowiek pierwszy raz strzelający do celu i widzący, jak ten padał, doznawał niespotykanego wcześniej uczucia panowania nad sytuacją i kontrolowania własnego przeznaczenia. Kaja z zaskoczeniem, ale i z olbrzymią ulgą stwierdziła, że kreatury nie są nimi aż tak zainteresowane. Duża część zombie skupiła się na pożeraniu martwych już teraz żołnierzy, ale nie wolno było jej bagatelizować niebezpieczeństwa. I tak byli jak na widelcu. Naraz usłyszała ciche stuknięcie iglicy i uświadomiła sobie, że pora zmienić magazynek. Zostały jej jeszcze trzy. Musi oszczędzać.

W tym samym czasie Kuba zaciągnął półprzytomnego żołnierza i wrzucił go na tył furgonetki. Sam wskoczył za nim i stojąc na szeroko rozstawionych nogach, oddawał pojedyncze strzały do zombie. Jak każdy, celował w głowę. Parę sekund później do furgonetki dobiegł Paweł.

– Pakuj się do środka – polecił Kai.

Dziewczyna wskoczyła do samochodu zwinnie niczym kotka. Po chwili wgramolił się Tomek i na końcu Paweł. Max zasiadł w szoferce tuż obok Natalii.

– Jedziemy! – krzyknął Paweł i dziewczyna za kierownicą wcisnęła gaz do dechy. Samochód zeskoczył z krawężnika i taranując po drodze kilku zombie, popędził dalej ulicą Wólczyńską.

## MŁOCINY, GODZINA 12:17.

Wólczyńska poprowadziła ich aż do torów kolejowych. Przez ostatnią minutę nikt się nie odzywał, a panującą ciszę przerywał tylko rześący oddech rannego żołnierza. Każdy analizował to, jak udało im się przeżyć, lub myślał zupełnie o niczym, po prostu rozkoszując się дарowanym życiem.

– Zatrzymajmy się – powiedział w końcu Paweł.

Natalia spojrzała we wsteczny lusterku na Kubę, jednak ten kiwnął jej porozumiewawczo głową. Zwolniła, zjechała na pobocze i zatrzymała się. Komandos bez zbędnych przemówień wstał, otworzył drzwi i wywlókł przez nie żołnierza. Cisnął nim na pobocze. Cały aż kipiał z wściekłości. Skoczył na niego, złapał go za kamizelkę i uniósł w taki sposób, że ich twarze dzieliło nie więcej niż kilka centymetrów.

– Dlaczego?! – wykrzyczał mu prosto w twarz.

– Nie wiem, o co ci chodzi, spierdalaj – odpowiedział żołnierz.

W odpowiedzi dostał od Pawła z prawego sierpowego w twarz. Następnie mężczyzna puścił go i pozwolił, żeby żołnierz upadł plecami na ziemię.

– Zapytam jeszcze tylko raz – powiedział spokojnie Paweł. – Potem przestrzelę ci drugą kostkę i zostawię tutaj. A wierz mi – nie będziesz długo sam.

Żołnierz zbladł, przypomniawszy sobie, jaki los spotkał jego kolegów. Pozostali przyglądali się im z furgonetki. Kaja uważnie obserwowała okolicę, wypatrując niebezpieczeństwa. Tak samo Max, który stanął obok furgonetki i patrzył w kierunku, w którym mieli dalej podążać. Tomek siedział skulony w samochodzie i tylko Kuba zeskoczył i podszedł do Pawła. Jednak nie wtrącał się, pozwolił mu samemu prowadzić przesłuchanie.

– Dlaczego? – zapytał zgodnie z obietnicą komandos.

Żołnierz splunął krwią i przetarł wierzchem dłoni usta.

– Co dlaczego? – odpowiedział ten, patrząc spode łba na oprawcę.

– Dlaczego strzelacie do ludności cywilnej – doprecyzował pytanie Paweł.

Wojak wyraźnie zastanawiał się na odpowiedzią, ale szybko doszedł do wniosku, że utrudniając przesłuchanie, więcej może stracić, niż zyskać. Wziął głęboki oddech i po rozejrzeniu się wokół, jakby upewniał się, że nikt nie będzie świadkiem jego spowiedzi, powiedział:

– Bo takie były rozkazy.

– Wiem, debilu – powiedział Paweł i zrobił krok do przodu.

Żołnierz zasłonił się ręką.

– Poczekaj, nie bij mnie! – krzyknął piskliwie.

Paweł się zatrzymał, ale nie cofnął.

– Dostaliśmy rozkaz strzelania do ludzi – zaczął niechętnie mówić. – Nikt nie wie, kto jest zarażony, a kto nie, ani jak to rozróżnić, zanim ugryzieni nie zmienią się w te pieprzone, chodzące trupy. Marszałek coś chrząknął o tym, że musimy użyć wszelkich dostępnych środków, aby zminimalizować możliwość wydostania się choroby poza obręb miasta – wytłumaczył.

– Przecież to niemożliwe – powiedział Paweł. – Marszałek? – dodał, z niedowierzaniem kręcąc głową. – Musielibyście otoczyć cały teren siatką i drutem kolczastym albo murem, postawić szperacze, wartowników i stanowiska ogniowe co kilka metrów. To nierealne, nie na taką skalę. Przecież to olbrzymie hektary terenu.

Żołnierz milczał, czekając, aż Paweł się wygada.

– Barykada jest prawie skończona – powiedział w końcu. – Ściągnięto dywizje pancerne z całego kraju, saperów, wojska inżynieryjne. Każdy dostał swój kawałek, za który jest odpowiedzialny.

Paweł poczuł, jak po plecach ścieka mu zimna kropla potu. „Pięknie” – pomyślał. „Nie zdążyliśmy”.

– Co dalej będzie? – zapytał po chwili.

– To, co teraz. Będziemy wypuszczać patrole i ratować tych, co przeżyli.

– Ratować?! – krzyknął w nagłym przyływie furii Kuba. – Przecież strzelacie do niewinnych osób! Na moich oczach tacy jak ty zabili bezbronnych ludzi!

Rwał się, żeby przyłożyć leżącemu żołnierzowi, jednak Paweł powstrzymał go, łapiąc jego rękę. Policjant się uspokoił, ale splunął z pogardą obok leżącego żołnierza.

– Musimy zrobić wszystko, żeby zaraza się nie rozprzestrzeniła – mówił dalej żołnierz. – Nie rozumiecie? Zagrożona jest cała Polska, jak nie Europa i świat. Zobaczcie, przez niespełna dobę to cholera opanowało całe miasto. Całe miasto! Kilkaset tysięcy ludzi jest już zarażonych, reszta pochowała się po jakiś dziurach albo jakoś walczy. I doskonale wiecie, jak ta walka się skończy – dodał ponuro. – Odciecie i izolacja miasta to jedyny pewny sposób.

– Tak? A jak wam nie wyjdzie to co, zrzucicie bombę atomową na stolicę? – zapytał Kuba.

Żołnierz milczał, ale posłał policjantowi wystarczająco wymowne spojrzenie.

– Ja pierdolę. Pięknie, kurwa, pięknie – powiedział Kuba i złapał się rękami za głowę. – Dobra, nie ma na co czekać. Spierdalamy stąd – dodał i poszedł zająć miejsce za kierownicą.

– Ej, nie zostawiajcie mnie! – krzyknął desperacko żołnierz.

– Nie martw się. Koledzy cię znajdą – odpowiedział Paweł i zamknął drzwi furgonetki. Ruszyli.

Leżący na ziemi żołnierz odprowadzał tęsknym wzrokiem oddalający się pojazd. Gdy tylko zniknął za zakrętem, sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej małą krótkofalówkę. „Kretyni” – pomyślał, włączając urządzenie. Radio trzasnęło cicho, żołnierz wcisnął odpowiedni przycisk i zaczął mówić:

– Baza, mówi starszy sierżant sztabowy Mak. Na północ w kierunku cmentarza Północnego gdzie furgonetka policyjna z sześcioma osobami na pokładzie – sierżant przerwał na chwilę, żeby zastanowić się co dalej powiedzieć. – Dwie osoby są na pewno zarażone, jedna już w gorączce. Są uzbrojeni i niebezpieczni, postrzelili mnie i zabili troje moich ludzi. Uciekają z miasta. Zatrzymać za wszelką cenę.

- Zrozumiałem – odpowiedział zniekształcony mechanicznie głos po drugiej stronie.
- I zabierzcie mnie stąd, leżę przy torach na Wólczyńskiej – dodał żołnierz.
- Zrozumiałem, potwierdzam. Bez odbioru.

Głuchy trzask świadczył o zakończeniu rozmowy.

Sierżant sposepniał, uświadomiwszy sobie, co powiedział i jakie to będzie niosło za sobą konsekwencje. Niestety, nie miał zbyt dużego wyboru. Ci ludzie za dużo wiedzieli i jeżeli to by wyszło na jaw, miałyby przesrane.

Nagle usłyszał krzyk. Spojrzał w stronę, z której nadjechali, i zobaczył, jak zza zakrętu wybiega wataha zombie. Poczuł, jak kropla zimnego potu spływa mu po plecach, i przeżegnał się, prosząc o szybką śmierć.

## OBRZEŻA WARSZAWY, GODZINA 12:30.

Co za skurwiele – powiedział Kuba, wałąc ręką w deskę rozdzielczą. – Jak tak można? Do własnych ludzi, jak do zwierząt? – wypluwał z siebie pełne nienawiści słowa.

Nikt jednak nie podejmował dyskusji, więc policjant po chwili się uspokoił. Minęli myjnię samochodową i przejeżdżali teraz obok parkingu sąsiadującego z cmentarzem Północnym.

– Uciekaliście z miasta? – zapytał Paweł.

Kuba zerknął na niego przez tylne lusterko i stwierdziwszy, że nie ma sensu czegokolwiek ukrywać, odpowiedział:

– Tak. Wy?

– My też – odpowiedział komandos.

Dziesiątki myśli kłębiło się w głowie każdego z nich. Zdecydowanie zbyt wiele, aby wyłowić z nich coś sensownego i rozpocząć rozmowę. Okolica jak zawsze była pusta i wymarła. Z jednej strony widać było wysoki mur największego cmentarza Warszawy, z drugiej rzadkie domy otoczone przez pola i niewielkie kępy drzew i krzaków. Właściwie to można było się poczuć, jakby jechali na wycieczkę za miasto.

– Na skrzyżowaniu skręcimy w prawo, potem już prosta droga do Łomianek – powiedział Kuba. – Jak będą problemy to wbijemy się w las, tam łatwo ich zgubimy – dodał. – Jakoś będziemy musieli ominąć blokadę, bo droga pewnie jest nieprzejezdna.

– Dobry pomysł. Gdzie jedziecie? – zapytała Kaja, włączając się do dyskusji.

– Na Mazury – odpowiedziała Natalia, odwracając się w jej stronę. – Tomek zaproponował nam wakacje w domku jego rodziców. Chcecie się zabrać z nami?

Pomimo tego, że nie konsultowała tego z mężem, Natalia zaryzykowała. Zauważyła, że ludzie są okej. Paweł wyglądał na faceta, który potrafi sobie w życiu z wszystkim poradzić. No i miał córkę, co powinno być gwarancją jego względnie normalnego zachowania.

Na wspomnienie rodziców Max wyraźnie sposepniał. Nie udało się dotrzeć do jego domu, a ilość grasujących w okolicy zombie nie wróżyła niczego dobrego.

– Jasne – odpowiedziała Kaja i spojrzała pełna nadziei w oczy ojca.

Nagle szare oczy Pawła rozszerzyły się z przerażenia.

Komandos złapał córkę w talii i rzucił się z nią na podłogę, chociaż było dla niego jasne, że nie miało to najmniejszego sensu i w niczym im nie pomoże. Jednak instynkt był silniejszy.

Max, zastanawiając się co się stało z jego rodzicami, obgryzał właśnie paznokieć kciuka, gdy spostrzegł dziwne zachowanie komandosa. Nim uświadomił sobie, czym jest spowodowane, było już za późno.

Tomek patrzył na mijane za szybą drzewa i zastanawiał się, czy poradzą sobie na Mazurach. Na-

gle drzewa zniknęły, a w ich miejsce pokazało się jasnoblękitne niebo.

Kaja chciała krzyknąć, jednak siła, z jaką ojciec przygniótł ją do podłogi, odebrała jej dech w piersi. Poczowała dominujący i wszechogarniający strach, posypany szczyptą niedowierzania.

Kuba, widząc to samo, co zobaczył Paweł, desperacko skrzył kierownicą, jednak przez to sprawił, że zaczęli stanowić łatwiejszy cel. Poczuł, jak koła tracą przyczepność i samochód przewraca się na prawy bok.

Natalia z zaskoczeniem obserwowała zachowanie Pawła i chciała się odwrócić w stronę drogi, żeby sprawdzić, co je wywołało, ale nie zdążyła.

Sekundę wcześniej Paweł zobaczył, jak daleko przed nimi, spomiędzy drzew wylania się potężna i majestatyczna sylwetka czołgu Leopard 2A4, którego młodszy kuzyni plądrowali polskie ziemie podczas II wojny światowej. Jego olbrzymia lufa była wyzywająco i szyderczo skierowana w stronę nadjeżdżającej furgonetki. Ułamek sekundy później czołgiem delikatnie zakołysało, a fala uderzeniowa uniosła ziemię wokół niego, tworząc tym samym olbrzymi tuman kurzu.

Powietrze przeszył huk wybuchu, niczym uderzenie pięścią wściekłego i rozczarowanego boga.

A potem wszystko zalało oślepiające, ciepłe światło.

## SPIS TREŚCI:

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Poniedziałek.

Przedmieścia Warszawy, godzina 20:27.

Wtorek.

Żoliborz, godzina 03:15.

Wola, godzina 13:00.

Mokotów, godzina 13:00.

Metro, godzina 12:25.

Most Śląsko-Dąbrowski, godzina 13:00.

Metro, godzina 12:37.

Bielany, godzina 12:50.

Mokotów, godzina 13:15.

Wola, godzina 13:15.

Most Śląsko-Dąbrowski, godzina 13:15.

Metro, godzina 13:19.

Bielany, godzina 13:30.

Mokotów, godzina 14:00.

Centrum, godzina 14:00.

Metro, godzina 14:05.

Bielany, godzina 14:07.

Mokotów, godzina 14:23.

Stare Miasto, godzina 14:37.

Centrum, godzina 16:43.

Metro, godzina 16:50.

Bielany, godzina 16:47.

Mokotów, godzina 16:57.

Stare Miasto, godzina 16:58.

Centrum, godzina 20:13.

Metro, godzina 20:15.

Bielany, godzina 20:20.

Mokotów, godzina 20:21.

Stare Miasto, godzina 20:22.

Bielany, godzina 21:45.

Mokotów, godzina 21:30.

Pola Mokotowskie, godzina 21:58.

Metro, godzina 22:15.

Stare Miasto, godzina 22:04.



Trasa Gdańska, godzina 22:35.  
Pola Mokotowskie, godzina 22:45.  
Mokotów, godzina 23:10.  
Plac Bankowy, godzina 23:15.

## Środa.

Mokotów, godzina 03:20.  
Pola Mokotowskie, godzina 03:28.  
Plac Bankowy, godzina 03:50.  
Mokotów, godzina 04:56.  
Mokotów, godzina 05:02.  
Pola Mokotowskie, godzina 05:25.  
Pola Mokotowskie, godzina 05:35.  
Plac Bankowy, godzina 05:45.  
Pola Mokotowskie, godzina 05:47.  
Pola Mokotowskie, godzina 06:45.  
Plac Bankowy, godzina 07:05.  
Centrum, godzina 07:25.  
Bielany, godzina 08:27.  
Centrum, godzina 08:59.  
Bielany, godzina 09:27.  
Centrum, godzina 11:12.  
Bielany, godzina 11:29.  
Bielany, godzina 11:42.  
Bielany, godzina 12:01.  
Młociny, godzina 12:17.  
Obrzeża Warszawy, godzina 12:30.